

JOANNA CHMIELEWSKA

LEKARSTWO NA MIŁOŚĆ

SFILMOWANE OPOWIEŚCI JOANNY CHMIELEWSKIEJ

Wielokrotnie zadawano mi dwa pytania. Pierwsze, dlaczego nie kręci się filmów z moich książek. I po drugie, czy ktoś już tego próbował.

Na drugie pytanie potrafię odpowiedzieć nawet dość dokładnie, co do pierwszego natomiast mam zdanie chwiejne i nie bardzo porządnie wyrobione.

Najwięcej zdziwienia budziło „Całe zdanie nieboszczyka”. Słyszałam opinie, że jest szalenie filmowe, powinno sieje nakręcić, byłaby to sama przyjemność. Zgadza się, obmyślane było obrazami, akcji tam dużo, tylko wybierać wydarzenia! Odrza jednak okazywało się, że nic z tego nie będzie, bo film byłby zbyt kosztowny, nie mamy tyle pieniędzy, same plenery, co najmniej Jugosławia, o Brazylii nie ma nawet co marzyć, a Jugosławia to też waluty wymienialne i nikt na to nie pójdzie. W porządku, brak pieniędzy to argument nie do zbiccia, „Nieboszczyk” ze względów praktycznych odpada, ale takie na przykład „Wszystko czerwone...”?

„Wszystko czerwone” chciała kręcić telewizja, ściśle biorąc, nie instytucja, tylko jednostka ludzka tam zatrudniona, nie pamiętam już kto. Zaproponowano mi napisanie scenariusza, napisałam, dostarczyłam, po czym wezwano mnie na rozmowę. Pan kierownik redakcji, który, na szczęście, zapomniałam, jak się nazywał, wyjaśnił mi naukowo, że z tego utworu filmu zrobić się nie da. Pomija już kwestię wystaw sklepowych i duńskich napisów, ale tam się pokazują nogi. Same nogi, głowy pałętają się oddzielnie, nie wiadomo, co do kogo należy, widz nie dopasuje tych głów do nóg, to za trudne, telewizja nie posiada takich szalonych możliwości technicznych, te głowy i nogi za daleko od siebie. Prawie uwierzyłam, że w telewizji pokazuje się wyłącznie nogi wprost z głów wyrastające, poniechałam tematu i oddaliłam się pośpiesznie z przyczyn, jak sądzę, zrozumiałych.

Istnieje w tym interesie jeden prawdziwy szkopuł. Podstawową sprawą dla stworzenia i prezentacji obrazu jest sposób patrzenia i sposób widzenia. Film robi reżyser i on decyduje o ostatecznym kształcie dzieła. Nie spotkałam jeszcze reżysera, który by widział to samo co ja.

Jako przykład kliniczny może służyć słowo „ogrodzenie”. Podoba mi się ten przykład i używam go często. Ogródzenie, hasło wywoławcze, i natychmiast ja widzę walący się, drewniany parkan z połamanymi sztachetkami, a reżyser elegancko ostrzyżony żywopłot. Albo siatkę w ramach na podmurówce. Albo odwrotnie, on zdewastowany i nadkruszony mur z cegieł, a ja stalowe zawijasy, ręcznie kute i złocone. I już zaczynamy się rozchodzić w dwie przeciwne strony.

Pewien młody człowiek, którego nazwiska też, chwalić Boga, nie pamiętam, reżyser początkujący, zaproponował mi współpracę przy filmie ze „Zwyczajnego życia”. Z drobnymi zmianami. Tereska powinna mieszkać w takim wielkim, beznadziejnym mrówkowcu... jak w tym mrówkowcu miała rąbać drzewo i do czego to drzewo miało być? ... a oczywiście, drzewo też musimy wyrzucić... Jako pierwszy obraz on widzi na ekranie takie potwornie wielkie, surrealistyczne oko...

W tym miejscu przerwałam rozmowę i zwróciłam mu grzecznie uwagę, że może sam napisać całkowicie dowolny utwór i nakręcić z niego film, bohaterem będzie rosół, oka ma i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby je pokazywać, ale co ja mam z tym wspólnego? Piszę swoje, on swoje i wcale nie jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni. Po namyśle przyznał mi chyba słuszność, bo dał spokój tak „Zwyczajnemu życiu”, jak i mojej osobie.

W grę wchodziły jeszcze dwa utwory — „Wszyscy jesteśmy podejrzani” i „Lesio”, ale tu wysunięto niepewną supozycję, że lepiej byłoby może przenieść akcję do kopalni, albo do PGR-u, bo biuro projektów jest niedostatecznie malownicze. Zdaje się, że wszystkim reżyserom moja twórczość podoba się ogromnie i tylko należy ją całkowicie zmienić...

No i proszę, ciekawa rzecz, dlaczego z moich książek nie kręci się filmów...?

Na pierwsze pytanie odpowiedziałam. Co do pytania drugiego, efekt kręcenia poniższej powieści wszyscy mogą zobaczyć na własne oczy. Normalne, nie surrealistyczne. Z „Klina” wyszło „Lekarstwo na miłość”.

Żeby nie było nieporozumień, z góry i na wstępie oświadczam, że pana Jana Batorego bardzo lubiłam, ceniłam wysoko, zachwyciły mnie jego pomysły, miałam dla niego mnóstwo uznania i klóciłam się z nim zażarcie i dziko, walczyłam pazurami i zębami, ze wszystkich sił i pełną parą. On ze mną też.

Zespół „Syrena” w Filmie Polskim zaproponował mi ekranizację „Klina”, zaproponował nawet napisanie scenariusza, ale nie miałam odwagi robić tego sama. Może należało, trudno, przypadło. Nie umiałam wykombinować sposobu, w jaki można by zaprezentować myśl, o ile to, co działo się w głowie bohaterki, tym szlachetnym mianem da się określić. Nie byłam pewna co i jak pokazywać z tego dalszego sensacyjnego ciągu. Licząc na doświadczenie i wiedzę reżysera, uznałam niejako jego prawa, zdecydowałam się na współpracę i na własnej skórze odczułam odmienną spojrzenia. Od początku do końca pisaliśmy ten scenariusz razem, pan Batory i ja, odbiegając od siebie w coraz Żywszych podskokach...

LEKARSTWO NA MIŁOŚĆ

(scenariusz)

Zadzwoił telefon i Joanna chwyciła słuchawkę.

— Słucham?...

W słuchawce zabrzmiał nieco zachrypnięty głos:

— Z kierownikiem Sureckim!

— Pomyłka — odparła i odłożyła słuchawkę. Usiadła na tapczanie i oparła się o poduszki, ale natychmiast się zerwała, bo znów zadzwonił telefon.

— Słucham...

— O, cholera, to znowu pani? — powiedział w telefonie ten sam co poprzednio zachrypnięty głos i połączenie zostało przerwane.

Joanna odłożyła słuchawkę i zamyśliła się ponuro: „Nie ma co się dłużej oszukiwać... Jeżeli do tej pory nie zadzwonił, to już nie zadzwoni... Gdyby mu chociaż odrobinę na mnie zależało, to by zadzwonił natychmiast po przyjeździe... Albo przynajmniej następnego dnia! Ale nie trzy dni, nie te trzy koszmarne dni...”. Dzwonek telefonu wyrwał ją z zamyślenia.

— Słucham? — powiedziała z nową nadzieją.

— Joanna? — spytał kobiecy głos.

— Tak — odparła, tracąc natychmiast entuzjazm.

— To ja — powiedziała bardzo przejęta Janka. — Zgadnij, kogo przed chwilą widziałam! — mówiąc to pilnie spoglądała w bok.

— Nie wygłupiaj się — mruknęła Joanna. — O co ci chodzi?

— O Janusza — odparła Janka tajemniczo. — Jest w Warszawie...

Na Joannie ta wiadomość nie zrobiła żadnego wrażenia.

— Wiem — odparła ponuro.

— Dzwonił?

— Jeszcze nie — powiedziała jeszcze bardziej ponuro. — A skąd wiesz, że jest?

— Widziałam go. Szłam do banku... Bo ja teraz dzwonię z banku i koło Grandu...

W tym momencie Janka nagle zamilkła i pilniej wytrzeszczyła oczy.

— Muszę lecieć, mój numerek świecił. Potem zadzwonię alt wpadnę... Cześć!...

Odwiesiła słuchawkę i popędziła do okienka, nad którym zapaliła się liczba 435.

W dużej hali, przez którą biegła, panował ożywiony ruch. Przy okienkach tłoczyli się kasjerzy i kasjerki przedsiębiorstw, podejmujący pieniądze na wypłatę. Milionowe sumy przechodziły z rąk do rąk. Starszy, solidnie wyglądający pan postawił na parapecie okienka sporą walizkę i starannie wypełniał ją paczkami pięćsetek, podawanymi przez kasjera. Dwaj uzbrojeni strażnicy z ochrony przypatrywali się temu z doskonałą obojętnością. W ogóle ludzie, znajdujący się tutaj, najwidoczniej tracili zainteresowanie dla pieniędzy. Dwaj panowie przechodzący obok ledwie rzucili okiem na wypełnioną pięćsetkami walizkę, a to z wielką uwagą zaczęli studiować znajdujące się obok ogłoszenia PKO.

Starszy pan zamknął walizkę i ruszył ku wyjściu, eskortowany przez strażników. Panowie czytający ogłoszenia również zabrali się do odejścia. Cała grupka zbliżała się właśnie do obrotowych drzwi gdy stojący obok nich mężczyzna, zajęty wertowaniem „Życia Warszawy”, szybkim ruchem zasłonił gazetą twarz starszego pana i pchnął go w objęcia strażników, a sam, porwawszy walizkę, zniknął za drzwiami.

Stało się to tak nagle, że wszyscy, ze strażnikami włącznie, zamarli ze zdumienia, jedynie czterech panów okazało nadzwyczajną przytomność umysłu. Byli to dwaj panowie, którzy

studiowali ogłoszenia, oraz dwaj inni, którzy weszli właśnie na salę. Wszyscy czterej z okrzykami: „Złodziej, złodziej, łapać go!” — rzucili się ku obrotowym drzwiom.

Nieszczęściem każda dwójka pobiegła do innego skrzydła, na skutek czego drzwi zostały dokładnie unieruchomione. Krzyki starszego pana oraz zmieszane głosy panów przy drzwiach i strażników, którzy już też włączyli się do akcji, zaalarmowały resztę osób, znajdujących się na sali. Janka odwróciła się od okienka i popędziła do drzwi, gdzie zebrał się już tłum. Podniósł się zgielk, zabrzmiały dzwonki alarmowe. Na domiar złego w zamieszaniu jeden z panów, najwidoczniej przez nieuwagę, wsadził palec między drzwi i krzyczał teraz:

— Uwaga, palec, palec! O rany, mój palec!...

Te rozpaczliwe okrzyki zatrzymały na chwilę całą akcję.

Tymczasem złodziej skręcił za róg banku i nagle zwolnił kroku. Naprzeciwko szedł milicjant. Złodziej wyjął chusteczkę i starannie zaczął wycierać nos, zasłaniając przy tym pół twarzy. Minął milicjanta i przyśpieszył kroku, bo zza rogu rozległy się okrzyki goniących. Spojrzał na numery domów i skręcił w najbliższą bramę.

Na schodach czekał na niego współnik z dużym pakunkiem. Błyskawicznie odwinął papier. Ukazała się walizka identyczna jak ta, którą złodziej trzymał w ręku. Panowie bez słowa zamienili się walizkami i złodziej zawrócił do wyjścia.

Wybiegł na ulicę w chwili, gdy ścigający wypadli zza rogu. Głośny okrzyk świadczył, że go dostrzegli. Złodziej pogalopował ulicą, ale ze wszystkich stron biegli już do niego zaalarmowani przechodnie. Rozejrzał się i, widząc zbliżający się pościg, rzucił walizkę, a sam skręcił w boczną uliczkę.

Jakieś tęgie małżeństwo zatrzymało się nad łupem, mąż podniósł go, obejrzał ciekawie, po czym ruszył w kierunku biegnących i z triumfem wręczył znajdującym się na czele strażnikom.

Strażnicy obejrzel ją uważnie, zważyli w rękach i sprawdzili zamki.

— Chyba w porządku? — powiedział jeden.

Otoczył ich zwarty tłum. Tylko nieliczni pobiegli dalej, w ślad za uciekającym złodziejem, w tym trzech milicjantów. Dookoła strażników robiło się coraz tłoczniej.

— Rozejść się! Odstąpić! — wołali dwaj inni milicjanci, odsuwając najbliżej stojących. Janka cofnęła się tylko po to, żeby wynurzyć się w innym miejscu.

Starszy pan, ledwie dysząc przepchnął się przez tłum.

— Niech pan sprawdzi, czy jest w porządku — powiedział strażnik.

Starszy pan skinął głową i sięgnął po kluczyki. Ręce mu się trzęsły.

Po chwili zameczki odskoczyły z trzaskiem, strażnik podniósł wieko i przez tłum przeszedł jęk zdumienia. Walizka była wypełniona po brzegi paczkami pięćsetek.

— Ty idioto — powiedziała cicho, lecz dobitnie tęga pani, patrząc z pogardą na swego małżonka. Stojąca obok Janka wlepiła w walizkę osłupiały wzrok. Sierżant milicji przełknął z wysiłkiem i powiedział słabym głosem:

— Zamknijcie to, obywatelu, po co drażnić ludzi...

Starszy pan posłusznie spełnił polecenie. Tymczasem wrócił reszta pościgu.

— No i co? — spytał sierżant jednego z milicjantów. Tamten rozłożył ręce.

— Uciekł. Musiał mieć tu za rogiem samochód.

— Najważniejsze, że forsa jest — powiedział ktoś z tłumu.

— Kto może opisać wygląd złodzieja? — spytał sierżant. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Nikt nie zwrócił uwagi na współnika złodzieja, który w tej chwili wyszedł z bramy z dużą paczką owiniętą w papier, wsiadł do samochodu i spokojnie odjechał.

Do małego warsztatu ślusarskiego na zapadłej uliczce w zupełnie innej części miasta zbliżył się główny sprawca kradzieży. Rozejrzał się i wszedł do wnętrza.

Zasmolony ślusarz piłujący coś przy warsztacie powitał go:

— No, nareszcie! Już myśleliśmy, że cię nakryli.

— Myślisz, że łatwo uciekać przy takiej komunikacji? W tramwajach tłok, jak cholera — oburzył się tamten i dodał: — Jest już ktoś?

— Wszyscy są. Czekają.

Złodziej podszedł do ściany i odchylił zawieszoną tam szafkę z narzędziami. Ukazał się spory otwór. Złodziej schylił się i wszedł do wnętrza.

Zbiegł po schodach do niewielkiej piwnicy. W kącie, przy stole pod ścianą siedzieli czterej panowie, którzy w banku jako pierwsi rzucili się w pościg. Towarzyszył im mężczyzna, który w bramie wymienił walizki, oraz jakiś niedbale ubrany brodac. Na widok wchodzącego z piersi zebranych wyrwał się radosny okrzyk:

— Osiemnastka! Nareszcie jesteś!

Przybysz, nazwany Osiemnastką, podszedł do stołu. Cały blat zapępniały paczki banknotów pięćsetłotowych. Obok stała walizka.

— Jest siedem milionów? — spytał z zainteresowaniem.

— Co do grosza — odparł chudy mężczyzna.

Osiemnastka pokiwał głową z uznaniem.

— Szef ma głowę... — przyznał z podziwem. — Ciekaw jestem, jak on wygląda.

— Milicja też byłaby ciekawa — odparł Chudy. — Dlatego szef woli się nie ujawniać.

Osiemnastka skinął głową ze zrozumieniem.

— Zameldowałeś już w centrali? — spytał.

Chudy spojrzał na zegarek.

— Dopiero druga, Honoraty może jeszcze nie być — odparł.

Osiemnastka padł na krzesło.

— Zmachalem się — westchnął. — Dajcie papierosa.

Siedzący obok niego Elegant podał mu paczkę. Banknoty na stole przeszkadzały mu, więc wrzucił cały ich plik z powrotem do walizki.

— Jakie to brudne — powiedział ze wstrętem, wycierając palce chusteczką.

— Ja też wolę nasze — wtrącił milczący dotąd Brodac. — Zobaczcie, jak to wykonane — wziął jedną z leżących przed nim paczek i rzucił na środek stołu z pogardą. — Prawie każda sztuka inaczej przycięta!

— Ale przynajmniej nie fałszywa — odparł siedzący obok Kasjer.

Brodacz bez słowa wstał, podszedł do małej maszyny drukarskiej, stojącej w rogu pokoju i włożył do niej jeden z leżących na pulpicie arkusików papieru. Nacisnął guzik na tablicy rozdzielczej. Rozległ się cichy pomruk silnika i po chwili maszyna wyrzuciła z siebie nową pięćsetkę. Brodac rzucił ją na stół przed Kasjerem.

— Założę się o każdą sumę, że nie znajdziesz tu błędu — powiedział stanowczo.

— Nie kłócić się — przerwał Chudy. — To i tak się rozstrzygnie za kilka dni. Dziś mamy sobotę. Tamci, jak otworzyli walizkę i zobaczyli forszę, na pewno jej nie oglądali, tylko wypłacili ludziom. Zanim ludzie zdążą ją wydać, zanim trafi do banku i zanim zorientują się, że jest fałszywa, minie parę dni, a przez ten czas Dwudziestka zdąży jechać na Wybrzeże i kupić dolary. Milicja będzie szukać facetów, którzy rozprowadzają fałszywe pięćsetki, a my tymczasem spokojnie będziemy szykować następny transport. Ciekawe, co tym razem szef wymyśli...

— Mam nadzieję, że coś spokojniejszego — wtrącił Osiemnastka. — Najadłem się strachu, jak przyskałem z tego banku. Jak zatrzymaliście strażników? — zapytał Chudego. Tamten wzruszył ramionami.

— Jednym palcem — odparł lekceważąco.

— Moim — dodał z wściekłością Intelktualista podnosząc w górę grubo obandażowaną rękę.

— Szef przyzna ci odszkodowanie za wypadek przy pracy — po wiedział Chudy wstając i ruszył ku schodom.

Wyszedł z warsztatu na ulicę.

Wszedł do budki telefonicznej. Wykręcił numer.

Telefon Joanny zadzwonił. Podniosła słuchawkę i spytała:

— Słucham?...

— Centrala? — spytał Chudy,

— Pomyłka — odparła rozwścieczona Joanna i odłożyła słuchawkę aparatu.

— Przepraszam — Chudy nacisnął widelki i ponownie wykręcił numer.

— Centrala? — spytał.

— Tak — odparł ktoś w słuchawce.

— Kto mówi?

— Honorata — powiedziała spokojnie efektowna brunetka. Siedziała przy stoliku w małym, przytulnie urządzonej pokoju. Twarzy jej nie było widać.

Chudy rozejrzył się, czy wokół budki nie ma ludzi. Nie było.

— Przed chwilą dostaliśmy umówiony transport. Są jakieś polecenia od szefa? — spytał.

— Tak — odparła Honorata — Dwudziestka zgłosi się wieczorem. Dać mu nową partię do wymiany. I przygotowywać nowy towar.

— Tak jest! — odparł Chudy. Odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki.

Joanna paliła papierosa w ponurym zamyśleniu. Nagły dzwonek sprawił, że podskoczyła do góry i odruchowo chwyciła słuchawkę leżącą obok aparatu. Dopiero gdy dzwonek powtórzył się, zrozumiała, że to nie telefon. Rzuciła słuchawkę na widelki i pobiegła do drzwi wejściowych.

Stojąca za nimi Janka dyszała ciężko jak po długim biegu.

— Joanna, co ja widziałam!... — krzyknęła wchodząc.

— Wiem, Janusza — odparła tamta.

— Janusza?... A tak, Janusza też, ale w banku!... Wyobraź sobie, brałam właśnie pieniądze...

Joanna nie słuchała jej.

„A może rzeczywiście jest zajęty? Może musi załatwić milion różnych rzeczy i chce to odwalić, żeby potem mieć czas?... Te trochę czasu dla mnie?... Zawsze tak było, najpierw załatwiał, a potem się spotykał... Może i teraz?...” — myślała z rozpaczliwą nadzieją.

Patrzyła na Jankę, która zdejmowała palto, mówiąc coś do niej i gestykulując z przejęciem i nie słyszała z tego ani jednego słowa. Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu. Bez słowa zostawiła Jankę w przedpokoju i rzuciła się do aparatu.

— Słucham?...

— Czy to Dział Zbytu? — spytał niepewny głos w słuchawce.

— Nie — odparła z taką wściekłością, że niepewny głos wyraźnie się speszył.

— A, tego... — powiedział. — Z kim mówię?...

— Ze mną — oświadczyła Joanna niezyczliwie i odłożyła słuchawkę.

— Co się stało? — spytała z zaciekawieniem Janka, wchodząc do pokoju.

— Nie wiem. Szału chyba dostanę. Od czasu, jak zainstalowali w naszej dzielnicy nową centralę telefoniczną dzwonią do mnie różni faceci i pytają o tokarki, obrabiarki, dźwigi i inne idiotyzmy.

— Aha — powiedziała Janka ze zrozumieniem. — Wybieraki przeskakują.

— Jakie wybieraki?

— W automatycznej centrali. Jak ktoś dzwoni pod numer podobny do twojego...

— To w tym miejscu wskakują na mój?

— Oczywiście. Zadzwoń do Biura Napraw.

— Dzwoniłam. Powiedzieli, że sprawdzą.

— No to kiedyś pewnie sprawdzą. Na razie możesz nie podnosić słuchawki.

— Oszalałaś! A jeżeli to Janusz? Janka wzruszyła ramionami.

— No to co? Jak będzie chciał, to cię znajdzie. Nie możesz siedzieć uwiązana jak pies do telefonu.

— Psa się nie uwiązuje do telefonu — zaprotestowała Joanna ponuro.

— Wszystko jedno! Ja ci radzę, nie podnoś...

„Może ona ma rację? Jeżeli mu na mnie nie zależy, to nie ma sensu przy każdym dzwonku wyskakiwać ze skóry” — pomyślała Joanna...

I w tym samym momencie na dźwięk telefonu poderwała się z miejsca.

— Słucham — powiedziała z westchnieniem.

— Ja w sprawie rewolwerówek. Możecie przysłać jeszcze dziesięć?

— Nie — warknęła Joanna.

— Dlaczego? Przecież jeszcze macie?

— Wykluczone! Wszystkie rewolwerówki zamknęła milicja! Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Janki, która przyglądała się jej krytycznie.

— Coś źle z tobą — powiedziała. — Stanowczo powinnaś się czymś zająć.

— Właśnie jestem zajęta — odparła Joanna, wskazując uprzejmym gestem tapczan, zavalony papierami.

— Co piszesz?

— Artykuł o estetyce wewnątrz.

Janka spojrzała na tapczan, a potem rozejrzała się po pokoju. W tym samym momencie z sufitu oderwał się kawałek farby i z cichym trzaśnięciem spadł na stolik.

— To musi być szalenie trudny temat — powiedziała łagodnie, przyglądając się z zaciekawieniem farbie.

— Odczep się — mruknęła Joanna. — Lada dzień będę robić remont... Znów zadzwonił telefon.

— Tu Warak — powiedział ktoś z tamtej strony. — Mam podjechać?

— Dokąd? — zdziwiła się Joanna.

— Jak to dokąd? Po dyrektora!

— A, tak, tak. I niech się pan pośpieszy, bo dyrektora zaraz szlag trafi.

— Taki zdenerwowany?

— Jeszcze jak!

— Dobra, już jadę...

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek.

— Już trzecia. Mam nadzieję, że to jakieś idiotyczne Zjednoczenie dłużej nie pracuje.

— Żartujesz! — krzyknęła z przerażeniem Janka, zrywając się z miejsca. — Już trzecia? A ja mam być na szóstą na tym przyjęciu!...

Wepchnęła byle jak czapkę na głowę i popędziła do drzwi.

Joanna z westchnieniem ulgi oparła się o poduszki. Zapaliła papierosa i popadła w głębokie zamyślenie.

„Nie warto się dłużej oszukiwać... Wszystko jest rozpaczliwie jasne... Już dawno było jasne... Co on teraz robi? Gdzie jest?...”

Przed oczami pojawił się jej obraz młodego człowieka przy barze w Kameralnej, wpatzonego w młodą, piękną blondynkę. Przed młodym człowiekiem stał kieliszek i szynka z sosem tatarskim. Blondynka się uśmiechnęła...

„Nie, on nie lubi blondynek — pomyślała Joanna i obraz znikł. Może jest z wizytą u znajomych? Na obiedzie?... Bo jeżeli jest u siebie i nie dzwoni...”

Oczyrna duszy ujrzała tegoż młodego człowieka w małym pokoju hotelowym, pracującego przy stoliku, następnie zakładającego krawat, otwierającego drzwi, po czym przy boku młodzieńca pojawiła się smukła blondynka z baru, która natychmiast zamieniła się w brunetkę...

Równocześnie z sufitu zleciał wielki kawał farby i z trzaskiem rozbił się o przewróconą popielniczkę. Joanna spojrzała na farbę, uporządkowała nieco popielniczkę.

„Może ja go niesłusznie posądzam...” — pomyślała ze skrucą.

Blondynki ani brunetki nie było, młody człowiek siedział przy stoliku pogrążony w pracy. Obok leżało ilustrowane czasopismo ze zdjęciem pięknej kobiety na okładce. Pracujący młodzian spojrzał na pismo, sięgnął po nie, przez chwilę przyglądał się pięknej kobiecie, a następnie odrzucił je z niesmakiem i wstrętem i znów pogrążył się w pracy.

Z westchnieniem ulgi Joanna ocknęła się z zamyślenia. Sięgnęła po długopis i zaczęła pisać:

Estetyka wewnątrz wpływa na podniesienie poziomu kulturalnego...

Po godzinie kartka papieru była pokryta szeregiem po większej części pozbawionych sensu zdań. Ostatnie brzmiało:

Przestronny hol wprowadza nastrój...?

Po czym następowало jeszcze mnóstwo znaków zapytania. Joanna, zapatrzona w obdrapaną ścianę oglądała oczyma wyobraźni wielki, dwukondygnacyjny hol domu kultury. Hol zamienił się w świetlicę, przyozdobioną różnymi odpowiednimi emblematami, świetlica nagle skurczyła się, pojawiły się w niej fotele, mały stolik i wersalka. Na fotelach siedzieli młody człowiek z hotelu oraz brunetka o pełnych kształtach. Młody człowiek ruchem pełnym galanterii zapalał jej papierosa, brunetka odłożyła papierosa, wstała, wzięła za rękę młodego człowieka i pociągnęła go w kierunku wersalki. Tamże nadzwyczaj agresywnym ruchem zarzuciła mu ręce na szyję...

Ponętny obraz przerwał nagle brutalnie dzwonek telefonu. Zaskoczona Joanna przez chwilę nie wiedziała, czy to dzwoni u niej, czy u pary w hotelu. Oprzytomniawszy, gwałtownie chwyciła słuchawkę.

— Słucham?...

— Centrala? — spytał cichy, niespokojny głos i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej pośpiesznie: — Pani Honorato, tu Osiemnastka. Nie kontaktować się ze mną! Chodzą za mną, jestem spalony — i natychmiast się wyłączył.

Zdumiona tą dziwną informacją Joanna przez chwilę przyglądała się trzymanej w ręce słuchawce. Powoli ją odłożyła, zamyśliła się na krótko, wzruszyła ramionami i na powrót

oparła o ścianę. Zapaliła nowego papierosa, ze wstrętem popatrzyła na kartkę, wypełnioną bredniami, wydarła ją i z długopisem w ręku zastygła nad nową.

Estetyka wewnątrz wpływa... — napisała wielkimi wołami i znów się zamyśliła.

„Dlaczego estetyka wewnątrz wpływa na podniesienie poziomu kulturalnego? O, mój Boże, co mnie to obchodzi... Pokój 336... Przecież nie zadzwonię, bo pozna mój głos... Nie, tak nisko jeszcze nie upadłam... Wnętrze powinno być opracowane z myślą o zaspokojeniu potrzeb. Zaraz, jakich potrzeb?... Wszystko jedno, różnych! A gdyby tak ktoś inny?... Może zadzwonić ktokolwiek, byle nie ja. Poprosić ten pokój i sprawdzić, czy się odezwie. I już wtedy będę wiedziała!... Genialne, tylko kto?...”

Ręce jej się trzęsły, kiedy z dna śmietnika wygrzebała w okropnym pośpiechu kalendarzyk i przejechała palcem po alfabecie.

„Janka odpada, on zna jej głos... Jerzy?... Nie, Jerzy nie będzie chciał. Irena?... Wykluczone, nie zamierzam jej wtajemniczać w szczegóły mojej klęski!... Halina!!!...”

W momencie, kiedy sięgnęła po słuchawkę, telefon zadzwonił. Na ułamek sekundy ręka Joanny znieruchomiała nad aparatem, a potem nagle z furią porwała słuchawkę. Zamiast odezwać się normalnie, nie czekając na wypowiedź przeciwnej strony, krzyknęła wściekłym głosem:

— Dosycie tego, do ciężkiej cholery! Proszę się natychmiast uspokoić z tymi telefonami!!!...

— Zwariowałaś? — spytała po drugiej stronie śmiertelnie zdumiona Janka.

— Ach, Boże! — jęknęła Joanna. — To ty?!...

— Tak, ja, słuchaj, ja już mam kompletną sklerozę, przecież ja po to do ciebie przyszłam i zupełnie zapomniałam! Czy ty nie masz przypadkiem czegoś zielonego?

Joanna rozejrzała się po pokoju.

— Mam — odparła stanowczo. — Asparagus. Jedną doniczkę.

— Idiotka! Na szyję! Idę na uroczystość w tej zielono-czarnej kiece i brakuje mi czegoś zielonego na szyję. O Boże, muszę natychmiast wyjść, może coś masz?

— Nie zwracaj mi głowy. Masz taką świecą, zieloną broszkę. Powieś ją na łańcuszku. Masz łańcuszek? Albo aksamitkę?

— Mam, oczywiście. Jesteś genialna! Nie przyszło mi to do głowy. To cześć, powinnam wyjść już dziesięć minut temu...

Odłożywszy słuchawkę Joanna natychmiast wróciła do kalendarzyka.

„Halina... Może zadzwonić, on jej nie zna. Tylko żeby ona to inteligentnie zrobiła... Trzeba jej powiedzieć dokładnie, co ma mówić...”

Nakręciła numer, ale odezwał się sygnał „zajęte”. Odłożyła słuchawkę i natychmiast telefon znów zadzwonił.

— Słucham?

— Centrala? — zabrzmiało w słuchawce.

Joanna zgrzytnęła zębami, odetchnęła głęboko i opanowawszy się powiedziała słodko:

— Tak.

— Kto mówi? — padło następne pytanie.

Przez moment zaskoczona Joanna przypominała sobie nagle poprzedni tajemniczy telefon.

— Honorata — powiedziała stanowczo.

Chudy, stojący w budce telefonicznej, pochylił się nad słuchawką i ściszył głos.

— Osiemnastka się nie zgłosił — powiedział niespokojnie.

Joanna poczuła nagły przypływ jadowitej radości.

— Osiemnastka jest spalona — powiedziała z satysfakcją. — Chodzą za nim.

— Rany boskie! — przeraził się Chudy. — Szef wie?!

- Szef wszystko wie! I skończcie wreszcie te cholerne telefony!
- Dlaczego? — zaniepokoił się Chudy.
- Szef zarządził ciszę w eterze — odparła Joanna z determinacją.

Chudy był wyraźnie przestraszony. Rozejrzył się niespokojnie dookoła.

- A co z nową serią? — spytał. — Może nie zaczynać?
- Nie zaczynajcie — zgodziła się Joanna.
- Ale co z ludźmi? Wszyscy na miejscu... Na razie dałem ich do patynowania.

Joanna straciła cierpliwość.

- No to niech zostaną w tym patynowaniu! I przestańcie wreszcie tyle gadać!
- Tak jest — powiedział posłusznie Chudy. Był wyraźnie wstrząśnięty otrzymaną od Joanny wiadomością. Odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki. Rozejrzył się, z zakłopotaniem potarł brodę i ruszył przed siebie.

Na dole, w niewielkim, pozbawionym sprzętów pomieszczeniu znajdowało się czterech panów. Trzej z nich bez przerwy krążyli wkoło, nie jak osoby zamyślane, ale jak zawodnicy odbywający trening w marszu. Brodacz siedział w kącie, pochylony nad maszyną. Intelktualista czytał na głos z trzymanego w rękach samouczka:

- Chciałbym czarnego rolls-royce'a. I want a black Rolls-Royce.
- I want a black Rolls-Royce — powtórzyli chórem pozostali, nie przerywając marszu.
- Proszę dwa bilety pierwszej klasy do Honolulu. Two first class tickets to Honolulu please.
- Two first class tickets... — zaczęli panowie i nagle umilkli, bo na schodach pojawiły się nogi, a potem cała postać Chudego.
- Osiemnastka spalony — oznajmił przybyły. Panowie zatrzymali się, kontynuując jednak marsz w miejscu.
- Siedzi? — przeraził się Intelktualista.
- Tyle wiem, co i wy — wzruszył ramionami Chudy. — Ta Honorata z Centrali zdenerwowana jak cholera. Aż jej się głos zmienił.
- Robi się niedobrze — stwierdził Elegant. Intelktualista potwierdził skinieniem.
- Żeby jak najszybciej załatwić wymianę całego towaru! — westchnął.
- Chudy zamyślił się.
- Kasjer zaraz powinien tu być — spojrzął na podłogę. — Jak towar?

Pochylił się. Cała podłoga była pokryta dwudziestocentymetrowej grubości warstwą banknotów pięćsetzłotowych. Niektóre z nich były brudne i pomięte, inne świeciły jeszcze nowością. Bose, przybrudzone nogi chodzących mieszały i gniotły je bezustannie. Chudy zaczerpnął pełną garść i obejrzał je uważnie.

— Trzeba jeszcze patynować — zawyrokował. Intelktualista podniósł do oczu samouczek i ruszył naprzód, a za nim dwaj pozostali.

— Te brylanty są za małe. Theese diamonds are too small — zabrzmiało monotennie. Po chwili chór głosów powtórzył to samo.

Chudy zatrzymał się przy maszynie. Pochylony nad nią Brodacz nie zwrócił na niego uwagi. Maszyna pracowała rytmicznie, wyrzucając na podłogę nowiutkie pięćsetki.

Na schodach pojawił się zażywny, dobrze ubrany jegomość. Na jego widok Intelktualista przerwał kształcenie i zbliżył się do Chudego.

- Przyszedł Dwudziestka. Chudy przywitał się z zażywnym.
- Ile pan chce zabrać? — zapytał.
- Ze trzy miliony.
- To będzie prawie trzydzieści tysięcy dolarów. Weź pan cztery.

Dwudziestka potrząsnął głową.

— Nie będzie tyle waluty. I tak cinkciarze na całym Wybrzeżu gromadzą dla mnie wszystko, co się tam pojawi. Boję się zwrócić uwagę.

Chudy skinieniem głowy przyznał mu rację.

— Dobra, chodź pan.

Ruszył w stronę stojącej w kącie szafy pancерnej. Dwudziestka podążył za nim. Równocześnie na schodach pojawił się Kasjer.

— Szczęść Boże — powiedział uprzejmie do zebranych.

Joanna z uporem kręciła numer Haliny, który był ciągle zajęty. Przezornie nie kładła słuchawki na widełki, tylko szybko rozłączała się i kręciła następny raz.

Na dużym arkuszu papieru przypiętym do ściany Kasjer narysował ostatnią strzałkę. Rysunek był skończony. Przedstawiał dwa spore prostokąty i kilka kółek, połączonych ze sobą strzałkami. Strzałki i kółka uszeregowane były w dwie linie, przecinające się w jednym punkcie, obok którego widniała litera J. Kasjer odwrócił się.

Chudy pożegnał Dwudziestkę i przyłączył się do depczących w miejscu współtowarzyszy, wpatrzonych w dziwny rysunek na ścianie.

— No to możemy zaczynać? — spytał Kasjer. Chudy skinął potakująco głową. Kasjer nabrał powietrza i zaczął tonem prelegenta.

— Plan szefa przemyślany jest do ostatniego szczegółu i musi się udać, pod warunkiem, że nie zawinią wykonawcy...

— Dobra jest. To nie zebranie, nie czaruj pan, tylko wal pan kawę na ławę — przerwał mu Kierowca.

Kasjer spojrzał na niego niechętnie.

— Dobrze, będę się streszczał, jeżeli koledzy sobie życzą.

— I żeby nie tracić czasu, może pan z nami pospacerować — zaproponował uprzejmie Intelektualista. Kasjer rzucił mu wściekle spojrzenie, ale posłusznie zdjął buty i ruszył drobnym kroczeniem przed siebie.

— Dokładny dzień, godzinę i minutę wymiany przekażę telefonicznie Centrali. Przyjedziecie jako furgonetka z Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. Macie już samochód?

— Spokojna głowa. Jest wóz jak ta lala — odparł Kierowca i dodał z przekąsem: — Tu wykonawcy nie zawinią.

— Daj Boże, daj Boże — w głosie Kasjera brzmiała nutka wątpliwości. — Przyjeżdżacie punktualnie co do minuty, bo równocześnie z wami będzie w banku furgonetka z Płocka, która przyjedzie po pieniądze na wypłatę dla Kombinat. Stajecie koło rampy, o tu — Kasjer, nie przestając deptać, wskazał palcem jeden z prostokątów na planie — a obok was stają ci z Płocka. Wynosicie worki z pieniędzmi i zanosicie je do mnie, o tu — wskazał kółko z literą J. — Ja, zamiast przekazać je do skarbcza, wręczam ludziom z Płocka, a wam przekazuję pieniądze, przeznaczone dla nich. W ten sposób fałszywe pieniądze po kilku godzinach jazdy trafią wprost do rąk ludzi i pójną natychmiast w obieg. Ponieważ wypłata odbędzie się w sobotę, będziemy mieli co najmniej trzy dni za zakup dolarów.

— Panie kolego — zawołał Intelektualista — przecież, jak tylko bank zorientuje się w tej kombinacji, natychmiast pana wsadzą!

— Panie, co się pan o niego martwisz. Przy takiej robocie ofiary muszą być — powiedział spokojnie Kierowca.

Kasjer rzucił mu spojrzenie pełne wstrętu.

— Trzeba być kompletnym idiotą, żeby przypuszczać, że poświęciłbym się dla takiego typa jak pan — odparł. — I dlatego — ciągnął dalej, zwracając się do Intelektualisty —

zgodnie z rozkazem szefa tego samego dnia, kiedy odbędzie się wymiana, późnym wieczorem, wyjeżdżam za granicę na zaproszenie. Mam już wszystko załatwione.

— Za czyje pieniądze? — warknął Kierowca.

— Między innymi za pańskie — uśmiechnął się jadowicie Kasjer.

— Dobra, nie kłócić się — wtrącił się Chudy. — I jak wywieziemy z banku wymienione pieniądze?

— Dam wam przepustkę, że zabieracie zniszczone banknoty na przemiał. Są jakieś pytania?

Intelektualista skinął głową.

— Czy ta wymiana odbędzie się przed czwartą, czy po czwartej?

— Oczywiście, że przed czwartą.

— To ja mogę mieć trudności, w naszej firmie w tym miesiącu jest remanent.

— To pójdziesz pan na chorobę — poradził Kierowca.

— Co pan oszalał, pan wie, co to jest remanent?

— A co pan myśli, że tylko pan pracuje? — zaperzył się Kierowca. — Ja już z dziesięć razy dawałem za siebie zastępstwo.

— Panie kolego, zwolni się pan jakoś — powiedział Elegant.

— Ja mam trudności, ale muszę przyjść.

— Spokój, panowie! — przerwał Chudy. — Wiadomo, jak kto chce dorabiać po godzinach, musi trochę nawalić w pracy. Albo posada, albo zarobek. Kolego Kasjer, pokażcie teraz plan banku, musimy poznać te miejsca.

Kasjer sięgnął po leżący obok rulon...

Telefon do Haliny wreszcie się zwolnił. Słuchając sygnału Joanna modliła się: „Halina, bądź w domu, Halina, bądź w domu...”

— Słucham? — powiedziała Halina.

— Nareszcie! Na litość boską, musisz tyle gadać przez telefon?! Godzinę do ciebie dzwonię! Słuchaj — powiedziała Joanna i ciągnęła dalej bez większych wstępów — wyobraź sobie, że w hotelu Warszawa mieszkała jedna twoja znajoma ze Szczecina i ty jej dałaś numer telefonu drugiej znajomej i ona go zapisała na futrynie drzwiowej, nic innego nie miała pod ręką. I tobie jest teraz ten numer szalenie potrzebny, wszystko jedno po co. Proszę cię, zadzwoń do hotelu Warszawa, do pokoju trzysta trzydzieści sześć i tego kogoś, kto się odezwie, zapytaj o ten numer na futrynie...

— Nic nie rozumiem — powiedziała Halina zdumionym głosem.

— Nic nie wiem o żadnym numerze na futrynie i nie znam żadnej pani ze Szczecina.

— Ale możesz znać. Przyjechała i zapisała. Zresztą, nie wszystko ci jedno? Zadzwoń i zapytaj, moje życie od tego zależy!

— To dlaczego ty sama nie zadzwonisz? Dlaczego to ja muszę?

— Bo tam znają mój głos.

— To dlaczego ta pani nie zadzwoni?

— Bo ta pani w ogóle nie istnieje...

— Jeżeli ona nie istnieje, to po co ty mi o tym mówisz? Ja ciągle nic nie rozumiem.

Joanna westchnęła z ogromną rozpaczą.

— No więc słuchaj — powiedziała. — Tam w pokoju trzysta trzydzieści sześć mieszka jeden pan, bardzo sympatyczny i ja muszę się dowiedzieć, czy on jest w domu. To znaczy w hotelu. A ja nie mogę zadzwonić i nic nie powiedzieć, bo on się może domyśleć, że to ja dzwonię i nic nie mówię, więc koniecznie trzeba coś powiedzieć. Tylko, broń Boże, nie moim głosem! Twoim! Zrozum, ten pan to jest największe nieszczęście mojego życia. Ja nic więcej nie chcę, tylko dowiedzieć się, czy on tam jest! Halina przez chwilę milczała.

— Wiesz, mnie jest głupio — powiedziała wreszcie trochę niepewnie. — Ja takich rzeczy nie umiem załatwiać. Przecież ja tego pana zupełnie nie znam. Co będzie, jak on mi nawymyśla?

— Po pierwsze, co cię to obchodzi, przecież nie będzie wiedział, że to ty. A po drugie, nie nawymyśla ci, bo to jest bardzo sympatyczny facet, intelektualista i młodzieniec z dobrej rodziny. Dzwon!

— Poczekaj, zaskoczyłaś mnie... Niech się przez chwilę zastanowię...

— Nie zastanawiaj się, dzwoni!

W tym momencie w słuchawce rozległ się bardzo miły, spokojny, męski głos:

— I po co pani to wszystko?

— Jak to po co? — spytała mimo woli zaskoczona Joanna.

— Tak pani zależy na tym panu z pokoju trzysta trzydzieści sześć?

— No pewnie, że mi zależy! Przecież jakby mi nie zależało, to bym się tak nie wygłupiała!

— No, jak pani tak bardzo zależy, to ja to mogę pani załatwić, bo słyszę, że tamta pani ma jakieś obiekcje.

— Halina? — powiedziała Joanna pytająco.

— Na litość boską — powiedziała Halina, która zamarła po swojej stronie telefonu. — Co to znaczy?

— Nic, drobiazg, widocznie ten pan się włączył. To zadzwonisz, czy wolisz, żeby ten pan zadzwonił?

— A ty znasz tego pana?

— Skąd! Pierwszy raz w życiu go słyszę!

— Ja panie bardzo przepraszam — powiedział ten pan — włączyłem się zupełnie przypadkowo. Zamierzałem dzwonić zupełnie gdzie indziej, ale rozmowa pań była tak interesująca, że nie miałem siły się wyłączyć i pozwoliłem sobie wysłuchać. Najmocniej za to przepraszam. To jak? Chce pani, żebym zadzwonił?

— Bo ja wiem? Halina, jak myślisz?

— Nie wiem, ja nic nie myślę, jestem ogłuszona.

— No widzi pani, ta pani jest ogłuszona, na pewno będzie lepiej, żebym to ja załatwił.

— Halina, zdecyduj się, ty czy ten pan?

— To już może lepiej niech będzie ten pan... Tylko że teraz to ja już kompletnie nic nie rozumiem...

— Dobrze — powiedziała Joanna z rozpaczliwą determinacją. — Niech będzie ten pan. A jak mnie pan potem zawiadomi o rezultatach?

— Poda mi pani swój numer telefonu i ja do pani zadzwonię.

— Nie, to niech pan mi poda swój numer telefonu i ja do pana zadzwonię.

— Kiedy do mnie jest strasznie trudno się dodzwonić. Jeżeli pani ma jakieś obawy, to ja się przecież nie narzucam.

— W nosie mam obawy. Wszystko mi jedno. Tylko niech pan to jakoś inteligentnie załatwi.

— Postaram się, droga pani, wykrzesać z siebie tyle inteligencji, ile tylko zdołam. Słucham.

— Co słucham?

— No, numer pani telefonu!

Okazując wahanie przy każdej cyfrze, doszczętnie skołowana Joanna powiedziała: 45... 21... 21...

Halina się wyłączyła nadal nieopisanie zdumiona.

— To ja się wyłączam i za chwilę dzwonię do pani ze szczegółowym sprawozdaniem.

— Dobrze, czekam...

Odłożyła słuchawkę i mocno oszołomiona zaczęła zbierać rozproszone władze umysłowe. Zanim je zebrała, telefon znów zadzwonił.

— No i co? — spytała niecierpliwie.

— No i nic. Zadzwoniłem i ten pan odebrał telefon.

— I co pan powiedział?

— Spytałem o pana Zdanowskiego. Powiedział, że pomyłka i koniec.

— Kto to jest pan Zdanowski?

— Nie mam pojęcia. No i co teraz?

— Nie wiem.

„Więc jest w pokoju. Jest u siebie... I nie dzwoni... I pewnie już nigdy nie zadzwoni...”

Siedziała ze słuchawką w ręce i ze ściśniętym sercem. W słuchawce znów rozległ się miły, spokojny głos:

— Wie pani co, jeśli można pani radzić, to niech pani sobie tego pana wybije z głowy.

Joanna ocknęła się z zamyślenia.

— Dlaczego? — spytała z oburzeniem.

— Tak mi się jakoś wydaje... Wie pani, mam wrażenie, że tam była jakaś pani...

— Może sprzątaczką? — powiedziała Joanna beznadziejnie.

— Możliwe — odparł z powątpiewaniem. — Jeżeli ten pan jest ze sprzątaczkami na „ty”?...

„Nie wierzę... Boże drogi, nie wierzei... Ach, on ma rację, to prawda... Boże, wybić go sobie z głowy, za wszelką cenę wybić go sobie z głowy!!!”

— Cóż — powiedziała smutnie po chwili milczenia, w czasie której gwałtownie usiłowała przyjść do siebie — do tego pana wszystko jest podobne...

— No właśnie, tym bardziej niech go pani sobie wybije z głowy...

— Ach, Boże! Nie ma pan pojęcia, jak bym chciała! I w żaden sposób nie mogę.

— A wie pani, jakie jest najlepsze lekarstwo na nieszczęśliwą miłość? Druga miłość...

— Nieszczęśliwa?...

— Przeciwnie...

— Drogi panie, miłość jest dwuosobowa. A ja tak sobie na razie pojedynczo cierpię.

— Zapewniam panią, że znacznie przyjemniej jest cierpieć podwójnie. Czy nie zechciałaby pani pozwolić sobie w tym cierpieniu towarzyszyć?

— A proszę, niech pan sobie towarzyszy...

— No właśnie. To może byśmy się tak spotkali?

— Może — powiedziała w roztargnieniu, bo na skutek wstrząsu zrobiło się jej wszystko jedno i ogarnęła ją beznadziejna apatia. — A gdzie i kiedy?

— Gdzie pani sobie tylko życzy, a kiedy? No, na przykład piętnaście po dwunastej.

— W południe?

— Nie, wieczorem.

Na tę dziwną propozycję Joanna nagle oprzytomniała. „Zwariował? Już się nie ma kiedy spotykać?”

— A nie może być na przykład o siódmej wieczorem?

— Nie, bo widzi pani, ja bardzo długo pracuję i to codziennie. Dopiero o dwunastej kończę pracę, i potem jest akurat bardzo piękna pora, żeby się spotkać. No to jak? Gdzie mam na panią czekać?

— Panie, niech pan się opamięta! Nie mam najmniejszej ochoty wychodzić teraz z domu i pętać się po mieście. Wykluczone!

— To ja mogę przyjechać do pani.

— Mowy nie ma, musiałabym posprzątać. A poza tym ja też teraz pracuję.

— No to chociaż niech pani powie, jak pani wygląda?

— Rozmaicie. Raz przepięknie, a raz wręcz przeciwnie.

— Nie, nie tak. Dokładnie. Wzrost? Wymiary? Oczy, włosy?

— Mam zeza i koślawe nogi — powiedziała stanowczo — i garb. I powiem panu w wielkiej tajemnicy, że jestem kompletnie łysa. Noszę perukę, taką jasnorudą.

— To znaczy, że jest pani absolutnie w moim typie.

— Gratuluję... A jak pan wygląda?

— A tak, dość przeciętnie.

— Ile pan ma wzrostu?

— Metr sześćdziesiąt pięć.

W tym momencie przed oczyma duszy zaczął jej się pojawiać obraz nieznanego faceta. Słuchając pięknego, miękkiego, sympatycznego głosu powoli robiła się nieco mniej nieszczęśliwa, a za to bardziej zaciekawiona. Metr sześćdziesiąt pięć wzrostu sprawiło, że oczami wyobraźni ujrzała niedużą, nabitą w sobie sylwetkę osobnika na krótkich nóżkach.

— O, jaka szkoda, że tak mało — powiedziała z żalem. — Ja tak lubię wysokie obcasy!

— No trudno. Opatrzność nie dała, nie urosłem.

— A reszta?

— Jaka reszta?

— No, włosy, oczy i inne detale? A może też pan jest łysy? Skrócona sylwetka błysnęła na chwilę łysiną.

— Nie, włosów mam nawet nadmiar. Ciemne, oczy też.

Na głowie oglądanego oczyma duszy faceta pojawiła się straszliwa szopa czarnych kudłów, a do tego jeszcze na niewyraźnej twarzy wyrosły potężne wąsy. Joanna wzdrygnęła się na ten widok.

— Ma pan jakąś ozdobę na twarzy? — spytała niepewnie.

— Na litość boską, jaką ozdobę?!

— No, wąsy, albo okulary... Albo brodę?... Niewyraźna gęba obrosła kudłami ze wszystkich stron.

— Nie, nie mam nic takiego. W ogóle żadnej ozdoby na twarzy... No to jak, zdecydowała się pani? Gdzie mam przyjechać o dwunastej piętnaście?

— Nigdzie. Nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić z domu i spotykać się z panem, chociaż jestem bardzo ciekawa, jak pan naprawdę wygląda. Mam zamiar pohamować ciekawość, napisać artykuł, a potem iść spać.

— No to ja pani coś powiem. Niech się pani jeszcze namyśli, a ja później zadzwonię jeszcze raz do pani. Dobrze?

— Dobrze. Nie namyślę się, ale niech pan zadzwoni. To mi wyraźnie poprawia samopoczucie...

— Świetnie, to na razie dobranoc...

Wyłączył się. W duszy Joanny natychmiast wybuchły wszystkie poprzednie, przygłuszone na chwilę uczucia. „Jakaś pani w jego pokoju? O nie, tego to ja tak nie zostawię...!”

Chwyciła słuchawkę.

— Pokój trzysta trzydzieści sześć, proszę... ..sygnał... sygnał... sygnał...

— Nie zgłasza się, proszę pani...

— Przepraszam...

„Nie ma go w pokoju? To co z tą panią? Wyszli albo nie podnoszą słuchawki...!”

„Nie ma go w pokoju... Niemożliwe, żeby nie znalazł przez trzy dni jednej krótkiej chwili na ten telefon do mnie! Przez trzy doby kamieniem tu siedzę, z pracy wracam taksówką... Cóż, jasna sprawa, ma mnie w nosie, w nosie, w nosie!...”

„Nienawidzę go! Ach, wybić go sobie z głowy!...”

„Taki piękny głos... Co to za facet?... O dwunastej piętnaście? Nie, no bzdura! Gdzie mnie diabli będą nieśli o dwunastej piętnaście! Rzeczywiście, nie mam co robić, tylko

spotykać się z obcym człowiekiem o takiej idiotycznej porze tylko dlatego, że ma piękny głos...”

„Znalazł sobie lekarstwo na miłość...”

„Prawda, miałam pisać artykuł!”

Po długiej chwili, w czasie której gorliwie wypisywała przedziwne nonsensy na temat domów kultury, telefon zadzwonił.

— No i co? Namyśliła się pani?

— Jeszcze nie — odparła Joanna już z błyskiem uśmiechu w oczach. — Znakomicie mi się pracuje. A panu? — i mówiąc to spojrzała z ukosa na ostatnią zadziwiającą brednię, jaką jej się udało uwiecznić.

— Fatalnie. Bardzo nie lubię samotności.

— Powinien pan sobie kupić pieska.

— Mam pieska, ale to nie to samo. No cóż, zadzwonię jeszcze do pani...

Burza, szalejąca w jej sercu powoli przycichała. Zaczynała brać górę urażona ambicja. — „Dość tego! Dość tej idiotycznej rozpaczki i tego wyczekiwania! Nie będę nieszczęśliwa, nie życzę sobie być nieszczęśliwa! Właśnie, że się spotkam z tym facetem i wszystko jedno, co z tego wyniknie!”

„Wnętrze powinno wyglądać... No pewnie, że powinno wyglądać, tylko jak? Ostatecznie, co mi to szkodzi? Może to rzeczywiście sympatyczny i kulturalny człowiek, a że ma cudaczne pomysły?... Ja też mam cudaczne pomysły...”

Spojrzała na kartkę, skupiła się i zaczęła pisać: *Wnętrza domów kultury powinny być przemyślane do najdrobniejszych szczegółów...*

— ...No i co? — powiedziała słuchawka urzekającym, miękkim głosem.

— Dobrze — oświadczyła Joanna stanowczo. — Zdecydowałam się. Nie mam zamiaru nigdzie latać po nocy. Niech pan tu przyjeżdża.

— Proszę uprzejmie. Gdzie mam przyjechać? Już bez wahania podała ulicę i numer domu.

— Niech pan tylko nie liczy na to, że dam panu coś do zjedzenia — powiedziała tknięta nagle poczuciem gościnności. — Mogę panu najwyżej dać herbaty, nic innego nie mam.

— Nie szkodzi, ja jestem po kolacji. Aha, jeszcze jedno! Czy u pani dozorca zamyka bramę?

— Mam klucz. Zejdę i otworzę panu.

— To jeszcze niech mi pani powie, jak pani będzie ubrana, żeby nie popełnił jakiejś pomyłki...

— Czy pan sądzi, że o tej porze pod moją bramą stoi tłum kobiet?

— No, może nie jest aż tak źle... Wobec tego za dwadzieścia minut jestem... Do zobaczenia...

— Do zobaczenia — mruknęła i odłożyła słuchawkę. Zeszła z tapczanu, rozejrzała się dookoła i zaczęła uprzątać pobjowisko.

Dokładnie piętnaście po dwunastej włożyła palto, spojrzała do lustra, postukała się palcem w czoło i w kłapkach na nogach zeszła na dół. Przed domem stał wartburg z pracującym silnikiem, a w środku siedział jakiś facet. Joanna zatrzymała się, usiłując mu się przyjrzeć.

Pan wysiadł z samochodu, mówiąc grzecznie:

— Dobry wieczór...

Przyglądająca mu się z zaciekawieniem Joanna poczuła się nagle okropnie zaskoczona, bo była nastawiona na niskiego faceta, a nie na to, co ujrzała przed sobą. — „Jezus Mario — pomyślała w popłochu — ile to może być? Metr osiemdziesiąt pięć?... Chwała Bogu, do takiego można nosić każde obcasy!...”

Gestem poprosiła go na górę i weszli do mieszkania. Unieruchomiła go w fotelu, usiadła naprzeciwko i zaczęła się czuć nieco głupio. Gwałtowne przejście od kontaktów telefonicznych do osobistych nieco ją oszołomiło i nie bardzo potrafiła uwierzyć w to, że ten

facet, który siedzi vis a vis, to jest ten sam, który rozmawiał przez telefon, zwłaszcza że wyraźnie brakowało mu wyobrazonych uprzednio gęstych, czarnych kudłów.

— Czy to aby na pewno pan? — spytała, zanim zdążyła zastanowić się nad tym, co mówi.

— Na pewno ja — odparł i uśmiechnął się.

„Uśmiech ma bardzo sympatyczny... Nie można powiedzieć, przystojny facet. Wygląda bardzo kulturalnie, ale lichy go wie... Bandyta? Nie, chyba nie, chociaż wszystko jest możliwe... Na zboczeńca też nie wygląda... Gdyby mnie nagle napadł, to prawdę mówiąc, nie mam się czym bronić. Zaprawić go popielniczką? Do kitu... O Boże, nie mogę przecież siedzieć tak w nieskończoność i wybałuszać na niego oczy...”

— Dlaczego pani mi się tak przygląda? — spytał z uśmiechem.

— Porównuję pana z obrazem, jaki sobie wytworzyłam na podstawie pańskich opisów.

— Z jakim skutkiem?

— Pozytywnym.

„Do licha... Gdybym tak miała pod ręką coś żrącego? Chlusnąć mu czymś w oczy w razie czego...” Tknięta nagłą myślą Joanna zerwała się z miejsca.

— Napije się pan herbaty, prawda?

— Dziękuję, nie muszę...

— Ależ koniecznie, gorącej, bo tu jest strasznie zimno...

Kuchnia była dokładnie zaparowana. Joanna zgasiła gaz pod czajnikiem i naląła herbaty do szklanek.

„Wielki Boże, zapomniałam zaparzyć!... — pomyślała z mimowolnym niepokojem. — Lura, nie esencja... Wszystko jedno, do oblania faceta wystarczy. Kanapki!... Jak będzie jadł, to się nie będzie rzucał...”

Zajrzała do kredensu. W środku leżał potężnych rozmiarów kawał ementalera i jedna, nadgryziona kajzerka za czterdzieści groszy. Niepewnie wzięła kajzerkę do ręki i postukała nią o ściankę kredensu, przy czym dźwięk, który się rozległ, wymownie świadczył o świeżości pieczywa.

„Przez tego Janusza to ja umrę z głodu” — pomyślała. Wzięła szklanki z herbatą i cukier i wróciła do pokoju.

Gość, stojący na środku, odwrócił się na odgłos jej kroków. Stawiając szklanki na stole szybko rozejrzała się po pokoju.

„Chyba niczego nie ukradł? — pomyślała. — Nie, to idiotyzm, skąd bandyta! Normalny, przyzwoity człowiek, nieco stuknięty, tak samo jak ja...”

— Przykro mi niewymownie, ale nie mam nic do jedzenia.

— Nie szkodzi, jest za to znakomita herbata — odparł wytwornie, przyglądając się dziwnemu płynowi w szklankach.

„Żeby mu tylko do tej herbaty nie wleciał kawałek farby” — pomyślała z niepokojem Joanna, spoglądając nieznacznie na sufit. Nieznajomy usiadł i z lekkim wahaniem przysunął sobie szklankę.

— Czy ja na panią tak źle wpływam? — spytał.

— Dlaczego?...

— Jest pani dziwnie milcząca.

— Może ja tak już z natury?...

— No nie! W rozmowie z panią Haliną była pani nadzwyczaj wymowna. Jeszcze raz muszę panią bardzo przeprosić za to włączenie się do rozmowy...

— Nic nie szkodzi, doskonale mi to zrobiło. Świetnie mi się cierpi w pana towarzystwie. A propos, jakiego pan ma pieska?

— Bardzo ładnego. Czarnego nowofundlandczyka. Ale nie to jest ważne. Czuję się w obowiązku poprawiać pani nastrój.

— Dziękuję, już się to panu znakomicie udało.

— Ma pani bardzo miły głos przez telefon. Wyobrażałem sobie panią jakoś, zwłaszcza mając od pani tak znakomite informacje, ale rzeczywistość stanowczo przechodzi moje oczekiwania.

— Jeszcze gorzej?...

— Przeciwnie, znacznie lepiej...

— Dlaczego pan nie pije herbaty? — spytała Joanna wytwornie nieco sztywniejac. — Proszę, tu jest cukier...

Facet wzdrygnął się lekko i bohatersko nasypał cukru. W chwili, kiedy mieszał smętną ciecz z sufitu odpadł mały kawałek farby, zawirował lekko w powietrzu i wpadł mu wprost do szklanki. Joanna skamieniała, nieznajomy też. Obydwoje spojrzeli na sufit, a potem na siebie.

— Mam nadzieję, że zechce mi pan wybaczyć ten smutny mankament — powiedziała okropnie godnie. — Jestem na progu remontu.

— Drobiazg — odparł, wyraźnie powstrzymując śmiech. — Taki mały kawałek... — A poza tym — ciągnął dalej — pani obecność wystarczy, żeby upiększyć każde wnętrze.

— Bardzo pan jest miły.

— Dziękuję pani. To mnie uspokaja.

— Dlaczego?

— Przez chwilę zdawało mi się, że pani żałuje, że mnie pani zaprosiła...

— Przyzna pan, że to było szaleństwo. Przecież mógł pan okazać się bandytą.

— Ale się nie okazałem. Zresztą pani lubi popełniać szaleństwa.

— Skąd pan wie?

— Tak mi się wydaje. Ale proszę nie myśleć, że uważam szaleństwa kobiet za coś zdrożnego. Wręcz przeciwnie.

— Szaleństwa mężczyzn są znacznie bardziej interesujące. Pan ich nigdy nie popełnia? Nieznajomy pochylił się ku niej z uwodzicielskim uśmiechem.

— Dla tak interesujących kobiet — zawsze!

Uśmiech na twarzy Joanny nagle zgasł.

„Janusz też tak kiedyś patrzył... Mój Boże, żebyż tu siedział nie ten, tylko tamten...”

Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna zmienił się nagle w Janusza i patrzył na nią z uśmiechem. A potem nagle spojrzął na zegarek.

Joanna ocknęła się.

Nieznajomy uśmiechał się w dalszym ciągu, a jego oczy patrzyły badawczo.

— Już pani wróciła? — spytał.

— Skąd?

— Z pokoju trzysta trzydzieści sześć.

— Joanna spojrzała na niego zaskoczona.

— A skąd pan...? Wcale tam nie byłam.

— Oczywiście. Pozwoliłem sobie na żart. Może dla poprawienia pani samopoczucia opowiedzieć pani kilka dowcipów?

Ale Joanna pozostała przygaszona.

— Dziękuję panu, o tej porze tracę poczucie humoru.

Nieznajomy spojrzął na zegarek.

— Istotnie, jest bardzo późno, a raczej bardzo wcześnie, bo zaczęła się już nowa doba. Muszę przyznać, że dla mnie zaczęła się bardzo przyjemnie.

— Bardzo pan jest miły — uśmiechnęła się Joanna i pomyślała: „Oj, niedobrze, zaczynam się powtarzać. A swoją drogą, miły nie miły, mógłby już sobie pójść. Chyba nie zamierza tu nocować?...”

Nieznajomy przyglądał się jej uważnie.

— O czym pani znowu myśli?

— O panu — wyznała zgodnie z prawdą.

— Widzę, że poprawianie samopoczucia nie bardzo mi się udało. Będę musiał robić to intensywniej.

Joanna roześmiała się.

— Przeciwnie. Moje samopoczucie jest już w znakomitym stanie.

Wstała. Jej gość, ociągając się uczynił to samo. Widać było, że chętnie pozostałby dłużej. Skłonił się z uśmiechem.

— Jednorazowa kuracja nigdy nie daje rezultatów. Czy pozwoli pani jeszcze do siebie zadzwonić?

— Oczywiście...

Odprowadziła go do przedpokoju, zamknęła za nim drzwi i wydała z siebie głębokie westchnienie.

Nieznajomy zatrzymał się za zamkniętymi drzwiami. Przez chwilę stał i nadsluchiwał. Z mieszkania dobiegł odgłos oddalających się kroków Joanny, a potem szum wody, lecącej z kranu ostrym strumieniem. Nieznajomy przysunął ucho do samych drzwi, chwilę słuchał uważnie, a potem powoli i bardzo cicho odszedł...

Z wanny wydobywały się obłoki pary. Joanna w zamyśleniu wyciskała wielką gąbkę.

„Nie zadzwonił — myślała. — Jednak nie zadzwonił... Boże mój, czemu nie zadzwonił w czasie wizyty tamtego? Powiedziałabym: «Ach, to ty? Co za niespodzianka!» Nie, nie tak. Zdziwiłabym się tylko zimnym głosem: «To ty? Jak się masz?» I dodałabym: «Proszę, niech pan słodzi...» Rzeczywiście, miał co słodzić... I dodałabym: «Przepraszam, to nie do ciebie...» Nie ma siły, musiałby spytać: «Nie jesteś sama? Może ci przeszkadza?» A ja na to: «Ach, nie, skąd» takim tonem, po którym wiadomo na pewno, że właśnie przeszkadza...”

Kilka razy powtórzyła głośno: — Jak się masz? — i — Ależ nie, skąd — różnymi tonami, po czym znów popadła w zamyślenie.

„On by powiedział: «mam strasznie mało czasu», a ja na to: «Doprawdy?» też takim zimnym tonem... z uprzejmym zdziwieniem. Zaniepokoiłby się i powiedział: «Ale nie tak mało, żeby odmówić sobie przyjemności zobaczenia się z tobą» ach, i ja wtedy na to: «Och, wiesz, nie wiem, jak to będzie... Ja też jestem okropnie zajęta...» A on na to: «Mam nadzieję, że znajdziesz chwilę...?» A ja wtedy tak pięknie, jadowniczo: «Dla ciebie? Ależ oczywiście! Zadzwoń kiedyś, to się umówimy...» Zatrzymała gąbkę na wysokości twarzy i powiedziała do niej chłodno i niedbale:

— Zadzwoń kiedyś, to się umówimy...

Zamiast gąbki życzenie to spełnił telefon, którego dźwięk dobiegł z pokoju. Joanna wyfrunęła z wanny i ociekając wodą, owinięta szlafrokiem, boso, dopadła słuchawki.

— Joanna? Tu Janusz...

Na chwilę ją zamurowało. Dopiero po długiej chwili udało jej się wydobyć z siebie głos.

— Jak się masz — powiedziała bardzo ciepło i miękko. — To miło, że dzwonisz...

— Dzwoniłem do ciebie już w czwartek, ale nie było cię w domu, a jak wiesz, nie mam twojego telefonu do pracy. Przepraszam, że nie dzwoniłem później, ale jestem potwornie zajęty...

— Szkoda, bo miałam nadzieję, że się zobaczymy...

— Oczywiście, że się zobaczymy. Zadzwonię, jak tylko się nieco obrobię i jakoś się umówimy. A w ogóle co słyhać? Jest strasznie późno, czy ja ci nie przeszkadzam?

— Ależ skąd! — odparła, usiłując wytrzeć bose nogi, z których ściekała woda na podłogę. — Wcale jeszcze nie spałam.

„Kłamie, Boże, jak kłamie... W czwartek siedziałam w domu jak słup graniczny... Słup graniczny nie siedzi w domu... To nieprawda, to nie brak czasu, nieprawda, nieprawda, nieprawda! Ach, już niech będzie, miej mnie w nosie, ale niech cię chociaż zobaczę!...”

— Nic z tego — powiedziała nagle, przerywając mu w pół słowa. — Nie jestem pewna, czy uda ci się złapać mnie telefonicznie. Możesz mnie wliczyć w zakres twoich ciężkich obowiązków, ale umówić się musimy zaraz!

— To będzie trochę trudne — w jego głosie brzmiało wyraźne zakłopotanie. — Chyba, że...

— No?

— Jeżeli masz chwilę czasu jutro, zaraz po pracy... O której wychodzisz?

„Ach, głupi! Wyszłabym dla ciebie nawet o piątej rano!...”

— O czwartej.

— Nic wcześniej?

— A o której chcesz?

— Chociaż za piętnaście czwarta. Gdzie, może w Europejskim?

— Dobrze, za kwadrans czwarta w Europejskim. Jutro. Mam nadzieję, że do jutra nie zapomnisz?

— Ależ skąd! O spotkaniu z tobą?... No cóż, to do jutra?

— Na razie... Dobranoc...

W pracowni panowała cisza. W tej ciszy głośno skrzypnęło odsuwane krzesło. Wiesio wstał od stołu i przyglądał się stojącej przed nim makiecie pogórkowatego terenu, wykonanej pięknie z plasteliny, umieszczonej na podstawie z szyby okiennej. Uroczyście wziął do ręki mały sześciobok również z plasteliny i ostrożnie wetknął go w środek makiety, wykańczając nim narożnik głównego placu. Sześciobok w zestawieniu z innymi budynkami na makiecie okazał się imponującym wieżowcem.

— Koniec — powiedział Wiesio z satysfakcją. — Hotel miejski wieńczy dzieło. Joanna, twoja kolej, sadź drzewka!

Joanna spojrzała na niego, westchnęła ciężko i bardzo niechętnie usiadła przy jego stole. Wiesio wysypał z pudełka wielką kupę różnych patyczków i wyciągnął z za stołu planszę, którą zawiesił na gwoździu.

— Tu masz podkład — powiedział. — Hotel obsadź niską zielenią, a na skwerze daj grupy wysokiej...

Joanna popatrzyła na planszę i bez słowa zaczęła wtykać patyczki w plastelinę.

„Gdyby nie chciał, toby się nie umawiał... Niemożliwe, żeby to była tylko uprzejmość... Zawsze miał mnóstwo różnych zajęć...”

„Koło hotelu zieleń niska... To ja byłam u niego w hotelu, a nie ta tłusta kretynka... Przyszłam po niego, jak szliśmy na tego brydża”.

Oczyrna duszy ujrzała wewnątrz pokoju hotelowego, ale obok uroczego młodzieńca nie było antypatycznej brunetki, tylko sama Joanna, szczęśliwa, roześmiana... Pomagała mu sprzątać różne szpargały ze stolika popędzając go... — Spiesz się, jest tylko osiem osób, będą na nas czekać!.. — Młody człowiek, zaniedbując sprzątanie, obejmował ją ramieniem...

„I spóźniliśmy się wtedy półtorej godziny...” — myślała melancholijnie.

Dookoła zaczął brzmieć angielski walc. Śmiertelnie zamyślona Joanna wtykała te patyczki i wtykała na oślep, jak leci. W uszach dźwięczały jej czułe słowa: „Ten walc będzie mi się zawsze kojarzył z tobą... Jeszcze nigdy tak nie żałowałam, że muszę wyjeżdżać... Spędzimy razem ten ostatni wieczór...”

„Ostatni wieczór... Rzeczywiście, ostatni... A może?...”

Nagle za jej plecami stanął kierownik pracowni. Spojrzał i osłupiał.

— Na litość boską, co ty robisz? — jęknął. — Projektujesz osiedle mieszkaniowe, czy las?!

Joanna ocknęła się z zamyślenia.

Na makiecie działały się rzeczy przedziwne. Liściaste i iglaste drzewa rosły wszędzie: na pagórkach i dołkach, na drogach i placach, na dachach domów, a nawet na kominach fabrycznych...

Przepięknie umalowana Joanna spóźniła się honorowo, pięć minut, ale on spóźnił się jeszcze bardziej. Wszystkie stoliki były zajęte i tak stała beznadziejnie w wejściu, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

„Jeżeli się nic nie zwolni, to znaczy, że jestem źle widziana u czynników nadprzyrodzonych” — pomyślała ponuro.

W chwilę potem dwie panie wstały i czym prędzej zajęły ich miejsce. Zapaliła papierosa, zamówiła kawę i zaczęła usiłować niej patrzeć na drzwi.

Młody człowiek z hotelu wszedł, spóźniony o kwadrans i powitał ją z uśmiechem w niebieskich oczach. Joanna spojrzała i nastąpił w niej jakiś dziwny przewrót, który sprawił, że wszystko wokół zrobiło się zamazane, a wyraźna pozostała tylko ta twarz, niebieskie oczy i uśmiech...

— Nawet cię nie będę przeproszał — powiedział z bezradnym wdziękiem. — Wszędzie się spóźniam, nie mam już siły. Czekałem teraz na zamiejscowy telefon, który powinien być do wpół do czwartej i nie doczekałem się. Będę musiał o piątej sam zadzwonić.

Joanna patrzyła na niego baranim wzrokiem, z którego można było z łatwością wyczytać, że przebaczy mu wszystko, cokolwiek zdoła popełnić.

Młody człowiek usiadł, zamówił sobie również kawę, a potem przyjrzał się jej przyjaźnie.

— Bardzo ładnie wyglądasz — powiedział. — Doskonale ci jest z tą zmianą uczesania. Co słychać? Co robisz?

„Nie ma siły, nie ukryję tych kretyńskich uczuć — myślała szybko zrozpaczona Joanna. — Muszę udawać, że się wygłupiam... Boże, ratuj!”

— Moje główne zajęcie polega na myśleniu o tobie — powiedziała pozornie bez troski. — Dniem i nocą bez przerwy nic, tylko ty i ty.

— Nigdy nie wątpiłem w twoje poczucie humoru — odparł z rewerencją. — To szalenie uprzejmie z twojej strony... A co robisz?

— Chciałeś chyba powiedzieć, co usiłuję robić. Aktualnie usiłuję napisać artykuł o wnętrzach domów kultury, ale oczywiście wszystkie moje wysiłki idą na marne przez ten nadmiar uczuć do ciebie.

— Zawsze miałaś skłonności do pewnej przesady — powiedział z westchnieniem i nieznacznie obejrzał się za przechodzącą brunetką. — Wprawiasz mnie w zakłopotanie, nie przywykłem do takiej ilości komplementów.

— Czyżbym miała błędne pojęcie o twoim powodzeniu u płci pięknej? — spytała Joanna i udało jej się uczynić to nieco drwiąco.

— Z pewnością przesadzone — odparł, śmiejąc się.

— Na długo przyjechałeś tym razem?

— Jeszcze tydzień. A co u ciebie? Wybierasz się gdzieś na urlop?

— Wykluczone, muszę odnawiać mieszkanie. Już stanowczo zbyt wiele farby wpadło moim gościom do herbaty.

— Przy tak czarującej gospodynie takie drobne mankamenty nie mają znaczenia...

Joanna poczuła w sercu drgnienie nadziei.

— Czy mam z tego wnosić, że pozwoliłbyś się zaprosić do mnie na herbatę? — spytała, usiłując ukryć napięcie. — Bo chyba nie wątpisz, że powitam twoją wizytę okrzykami radości?

— Z największą przyjemnością — odparł, nie odrywając wzroku od rudej dziewczyny przy sąsiednim stoliku. — Tylko chyba nie teraz, może przy moim następnym przyjeździe. Mówiłem ci już, że jestem nieprawdopodobnie zapracowany.

Joanna również przyjrzała się rudej i w oczach jej zapłonęła serdeczna nienawiść.

„Zęby wyłysiała natychmiast! I żeby jej wszystkie zęby wyleciały. I to już, zaraz...” — pomyślała mściwie.

— Spieszysz się? — spytała nieco zdławionym głosem, bo przestał patrzeć na rudą tylko po to, żeby spojrzeć na zegarek.

— Tak, niestety — powiedział z lekkim zakłopotaniem, rozglądając się za kelnerką. — Wiesz, muszę załatwić ten telefon...

— A co robisz potem? — spytała Joanna, nie panując już nad ostateczną rozpaczą.

— Powinienem jeszcze później wstąpić do znajomych moich rodziców. Cały przyszły tydzień mam zupełnie zatkany, więc jednak będę musiał dzisiaj tam zdążyć...

Nieszczęsna Joanna siedziała w milczeniu. „Lepiej nic nie mów, moja kochana, lepiej nic nie mów... Nic mądrego nie zdołasz powiedzieć, a idiotyzmów powiedziałaś już dosyć” — myślała. — „Nie ma co się łudzić, nie znikną mu przy tobie inne kobiety sprzed tych niebieskich oczu... Nie ma na co czekać... Nieszczęsna, zakochana kretynko...”

Wyszli z kawiarni i na ulicy wziął ją pod rękę. W serce Joanny wbrew zdrowemu rozsądkowi znowu wstąpiła nadzieja.

— Kochanie, wybaczone, że cię nie będę odprowadzał — powiedział jakoś serdecznie. — Naprawdę bardzo się śpieszę. Jedziesz taksówką?

Joanna pokręciła przecząco głową.

— Mam do załatwienia mnóstwo rzeczy na mieście — powiedziała z goryczą. — Jedź, jeżeli się śpieszysz, nie przejmuj się, przecież ja ci wszystko przebaczę...

Pożegnali się na postoju taksówek, wsiadł i odjechał. Joanna ruszyła powoli przed siebie Krakowskim Przedmieściem i szła zamyślona do tego stopnia, że nawet nie zauważyła jak przedziwnie przedłuża sobie drogę. Otrzeźwiała dopiero koło „Złotej Rybki”, ponieważ obcas wszedł jej między płyty chodnika. Wydobyla go z trudem, zdejmując z nogi pantofel, podniosła głowę i zmartwiała.

Przed najbliższą bramą zatrzymała się taksówka. Wsiadł z niej ukochany mężczyzna z piękną, młodą, ciemnowłosą kobietą. Ujął ją pod rękę i zapatrzony w nią tak, że nie zauważył nie tylko Joanny, ale w ogóle niczego dookoła, wszedł z nią do bramy...

Zarówno taksówka, jak i Joanna jeszcze stały. Joanna ruszyła pierwsza, dopadła taksówki i zinnym, zupełnie nieswoim głosem podała swój adres...

„O Boże, ześlij cokolwiek! — modliła się, jadąc. — Wszystko jedno co! Cokolwiek, żebym mogła się chociaż uspokoić!... Wszystko uczynię!... Wszystko!... Za wszelką cenę wybić go sobie z głowy!!!... Nienawidzę go... Kretynka, nieszczęśliwa kretynka... O Boże, ześlij cokolwiek!...”

Taksówka nie zatrzymała się przed domem, ale po drugiej stronie ulicy. Joanna wysiadła i znalazła się oko w oko z sympatycznym panem, poznanym poprzedniego wieczoru. Mężczyzna wychodził ze sklepu i dostrzegłszy Joannę uczynił ruch, jakby chciał się cofnąć, ale opanował się natychmiast i z serdecznym uśmiechem podszedł do niej.

— Dzień dobry pani!

„Chwała Ci, Panie! — pomyślała Joanna. — Jest to lekarstwo na miłość”... i powiedziała z uwodzicielskim uśmiechem:

— Dzień dobry. Zachwycające spotkanie! Co pan tu robi?

— Stęskniłem się za panią i przyszedłem tu w nadziei, że panią spotkam. Jak widać los okazał się łaskawy. Jak samopoczucie?

— Fatalnie — westchnęła Joanna. — Okazuje się, że bez pana moje samopoczucie zupełnie się psuje. Musi się pan nim bez przerwy opiekować.

— Ależ z największą przyjemnością...

— I zamiast liczyć na szczęśliwe przypadki powinien pan zadzwonić i od razu się umówić.

— Jak najchętniej. Kiedy pani sobie tylko życzy. Nawet dziś.

— Nawet zaraz. Proszę...

— Niestety, oprócz tęsknoty wezwały mnie tu jeszcze różne sprawy urzędowe, którym się muszę poświęcić. Natomiast wieczorem... Czy o jedenastej nie będzie zbyt późno dla pani?

— Skąd, przepiękna pora! Mogę panu nawet obiecać, że tym razem zaparzę przyzwoitej herbaty.

— W takim razie o jedenastej jestem. Do zobaczenia...

Z niesłychanie uwodzicielskim uśmiechem i wściekłością w oczach Joanna skinęła mu głową i zniknęła w bramie.

Późnym wieczorem Joanna przygotowała apartament na przyjęcie gościa. Rzuciła okiem na pięknie uporządkowany pokój i przestawiła nieco fotel pod lampą.

„No, chyba jest dostatecznie przepięknie” — pomyślała i w tej samej chwili z sufitu zleciał wielki kawał farby wprost na tapczan.

Joanna spojrzała ze wstrętem na sufit. — „To świństwo zleci mu na głowę w najbardziej niestosownej chwili... Jak to wygląda, jak chlew. A malarze przyjdą dopiero jutro...”

Poszła po miotkę i śmietniczkę i zmiatając farbę zamyśliła się.

„Może by poczekać?... Wykluczone! Po malarzach?!... Co najmniej trzy dni sprzątania... Nie, nic z tego, dość tej kretyńskiej rozpaczki!... Nikt mu nie każe patrzeć na sufit, nie farbę ma tu oglądać, tylko mnie!...”

Wyniosła farbę, wróciła do przedpokoju i zatrzymała się przed drzwiami łazienki.

— Właśnie, że będę niemoralna! — powiedziała na głos z zaciętością. — Właśnie będę! Wolę być niemoralna, niż idiotycznie nieszczęśliwa!...

I zamknęła się w łazience.

Wyszła z łazienki zrobiona na absolutne bóstwo, weszła do pokoju i ujrzała, że na środku podłogi znów leży kawałek potrzaskanej farby. Zgrzytnęła zębami, przyniosła miotkę ze śmietniczką, zmiotła to i rozejrzała się po suficie. Większa część odstającej farby robiła wrażenie, jakby miała za chwilę też zlecieć. Joanna zastanowiła się chwilę, przyniosła stołek i szczotkę do zmiatania, przyjrzała się szczotce, która miała krótki kij, postawiła na stołku krzesło, wlaźła na to po drugim krześle i zamachnęła się szczotką po całym suficie z zamiarem zmiecenia farby za jednym zamachem. Szczotka zaczęła o nisko wiszący żyrandol, Joanna przy gwałtownym ruchu straciła równowagę, również chwyciła żyrandol i razem z nim oraz stołkiem i szczotką zleciała na podłogę.

Nic jej się nie stało, bo zdążyła zeskoczyć, a cała piramida runęła dopiero na nią. W chwili, kiedy podniosła się, z rozpaczą patrząc na okropne pobojuwisko, zadzwonił dzwonek u drzwi.

Przez chwilę Joanna przedstawiała sobą uosobienie wahania, ale natychmiast podjęła decyzję. Zostawiła ruinę, machnąwszy nad nią ręką i poszła otworzyć.

W kwadrans potem oboje kończyli sprzątanie.

— Niech się pan może umyje — zaproponowała Joanna, zmiatając resztki śmieci. — Ten żyrandol mi się właściwie nigdy nie podobał — dodała patrząc na sufit, z którego sterczały resztki zerwanych przewodów.

— Istotnie, tak jest znacznie ładniej — odparł z przekonaniem jej gość i udał się do łazienki. Joanna wyrzuciła śmieci i szybko zaczęła robić nastrój. Przestawiła fotele, poprawiła małą lampkę i nastawiła radio na rzewną muzykę. Następnie przyniosła herbatę i usiadła na tapczanie.

— Co pani zamierza z tym zrobić? — spytał nieznajomy, spoglądając na sufit.

— Powieszę drugi — odparła z westchnieniem. — Muszę... Do gry w brydża to górne światło jest potrzebne.

— Jeżeli nie ma pani nic upatrzonego, to rekomenduję pani taki sklep na Krakowskim Przedmieściu... Widziałem tam bardzo ładne rzeczy.

„Czy on zamierza rozmawiać wyłącznie o żyrandolach? — pomyślała Joanna. — Nic z tego, ten numer nie przejdzie... Właśnie że popełnię ten idiotyzm. Nie będę w nieskończoność siedziała i dręczyła się tamtym! Dość tego!... Wszystko popełnię!...”

— Cieszę się, że pan przyszedł — powiedziała uwodzicielsko.

— Ma pan kolosalny wpływ na moje nastroje.

— Na stan oświetlenia również...

„Dostał obsesji na tle żyrandola?” — pomyślała Joanna z niepokojem.

— Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza?

— Przeciwnie, wygląda pani w tym świetle zachwycająco... „Chwała Bogu, zszedł z żyrandola...”

— Widzę, że stanowczo zyskuje pan przy bliższym poznaniu...

— Może to tylko skutek braku dostatecznego oświetlenia? Gdyby ten żyrandol wisiał, dostrzegłaby pani we mnie mnóstwo wad...

„Ale nie wisi, do diabła!...”

— Wykluczone, nigdy w to nie uwierzę...

— Bardzo miła melodia — powiedział, zmieniając nagle temat.

— Ogromnie to lubię...

Joanna zamilkła, słuchając. Z odbiornika rozbrzmiewało upojne tango.

„Tańczyłam to z nim... Och, mój Boże, tańczyłam to z nim tyle razy! A teraz tamta tańczy... Dość tego, do diabła! Dość tej kretyńskiej rozpaczki!...”

— Te fotele są szalenie niewygodne — powiedziała z determinacją. — Proszę, może pan tu usiądzie...

Nieznajomy jakby się na sekundę zawahał, ale podniósł się i przesiadł na tapczan. Joanna wyglądała wręcz bojowo. Patrzyli na siebie z bliska i w tym momencie radio zakończyło rzewne dźwięki. Dziennik wieczorny zabrzmiał fatalnym dysonansem. Zanim wścieklej Joannie udało się wśród urozmaiconych efektów akustycznych znaleźć Luksemburg, minęła długa chwila.

— Pan ma ogromnie radiofoniczny głos — powiedziała, siadając na powrót. — Powinien pan być spikerem radiowym.

— Nie jestem pewien, czyby mi ten zawód odpowiadał — odparł. Jakimś tajemniczym sposobem siedział dalej od Joanny niż przedtem. Joanna spojrzała i zapraszającym gestem wskazała mu miejsce nieco bliżej. Zamiast faceta na tym miejscu znalazł się nagle kawałek farby.

— O, przepraszam — powiedziała Joanna bliska apopleksji. — Zaraz to sprzątnę.

Wstała, przyniosła śmietniczkę i zmiotła farbę, po czym znów wróciła na miejsce.

— Najwyższy czas zrobić tu remont — powiedziała z rozgoryczeniem. — Już mam nawet zamówionych malarzy, mam nadzieję, że to nie będzie długo trwało.

— Współczuję pani. Remont to istne nieszczęście.

— Dla mnie nie tak wielkie. Z racji zawodu mam znajomych malarzy, którzy mi to załatwią bardzo szybko...

„Boże jedyny, znów mi wejdzie na ten przeklęty żyrandol...”

— ...Żałuję tylko, że nie zrobiłam tego wcześniej. Oczywiście, żałuję ze względu na pana.

— Nic nie szkodzi, ogromnie lubię sprzątać potłuczone żyrandole...

— Czy nie powinien pan dodać: „w tak zachwycającym towarzystwie”?

— W tak zachwycającym towarzystwie — powtórzył posłusznie, uśmiechając się.

Joanna przyjrzała mu się krytycznie.

— Nie jestem pewna, czy powiedział pan to z wystarczającym przekonaniem. Uważam, że powinien mi pan jakoś udowodnić swój zachwyty...

Zupełnie wyraźnie było po niej widać, jaki sposób udowadniania uważa za najwłaściwszy. Niestosowna rezerwa nieznanego wyraźnie chwiała się w podstawach. I wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Do Joanny ten dźwięk jakby nie dotarł, natomiast nieznanomy drgnął, uczynił ruch w kierunku aparatu i spojrzał na nią pytająco.

— Może to coś ważnego? — powiedział.

Po trzecim sygnale bardzo niechętnie podniosła słuchawkę.

— Słucham — powiedziała.

— Halo, centrala?

— Tak — odparła Joanna stanowczo.

— Kto mówi?

— Honorata.

— Siódemka jest tu, na miejscu, wszystko przygotowane — powiedział ktoś cicho i pośpiesznie. — Natychmiast zawiadomić szefa!

Przez cały czas rozmowy Joanna zdążyła pomyśleć mnóstwo rzeczy.

„To jest pech, przeklęty pech!... Nastrój i tak mi diabli wzięli... Jeżeli oni mi robią głupie dowcipy, to ja im teraz zrobię dowcip za wszystkie czasy!... Kimkolwiek ten facet jest, na pewno jest dostatecznie inteligentny...”

— Jest szef — odparła stanowczo. — Proszę chwileczkę poczekać. Zasłoniła ręką mikrofon i wtykając mężczyźnie w rękę słuchawkę wyjaśniła w pośpiechu:

— Od dwóch dni jakaś banda robi mi głupie dowcipy. Teraz domagają się szefa, błagam pana, niech pan będzie szefem! Niech pan powie byle co!...

Wziął słuchawkę bez namysłu.

— Tak, słucham — powiedział spokojnie.

— Szefie — zawołał ten ktoś — ostatnia partia do wymiany o wpół do pierwszej przy wejściu do kina Stolica!

— Jutro? — spytał rzeczowo, spoglądając na zegarek.

— Nie, dziś! Za... osiem minut! Już wychodzimy.

Tamten z tamtej strony się wyłączył, a ten z tej strony siedział jeszcze ciągle ze słuchawką w ręku, patrząc na Joannę dziwnym wzrokiem. Nagle zerwał się z miejsca.

— Rany boskie!...

— Co się stało? — spytała Joanna, podnosząc się także.

— Coś okropnego — powiedział i zaczął się szybko ubierać. — Popełniłem fatalny błąd. Nie mogę pani teraz tego wyjaśniać, Joanno, strasznie panią przepraszam...

Nic nie mówiąc oszołomiona Joanna przeszła za nim do przedpokoju. Przed drzwiami odwrócił się nagle, chwycił ją w objęcia, pocałował i krzyknąwszy: — Zadzwonię w najbliższym czasie! — szarpnął zasuwę i wybiegł.

Doszczętnie otumaniona Joanna powoli zamknęła za nim drzwi, odwróciła się, oparła o nie i ze zmarszczonymi brwiami utkwiała wzrok w podłogę przed sobą, myśląc bardzo intensywnie...

— Głowę dam za to, że to jest szajka szpiegowska — powiedziała Joanna z przejęciem.

— Skąd wiesz?! — wykrzyknęła z równym przejęciem Janka.

Szły Nowym Światem po pracy, w godzinach szczytu, zaabsorbowane rozmową do tego stopnia, że nie zdawały sobie sprawy z tego, co robią.

— A co innego? Myśl logicznie. Mówią o szefach, nowych partiach do wymiany, porozumiewają się szyfrem... Towar oznacza z pewnością jakie zdjęcia, albo dokumenty, albo co...

— No tak i są numerowani... Jak szpiedzy — uzupełniła Janka.

— Przez telefon podają sobie zakamuflowane wiadomości...

Przeszły przez ulicę w niedozwolonym miejscu, bezmyślnie zatrzymały się za ludźmi, wchodzącymi do sklepu serowarskiego, bezmyślnie weszły za nimi i stanęły w ogonku.

— ...A on jest szefem...

— A skąd wiedzieli, że jest u ciebie?

— Wcale nie wiedzieli, połączyli się przez pomyłkę. Przecież nie dzwonią do mnie cały czas specjalnie, żeby mi zrobić przyjemność! Dlatego on był taki zdenerwowany... Myślał, że to coś będzie jutro, a to się okazało, że dziś, to znaczy wczoraj, a na domiar złego tę wiadomość dostał u mnie.

— Jakim sposobem zdążył od ciebie w osiem minut pod kino Stolica?

— Wcale nie zdążył! Jeżeli nie miał pod ręką samochodu...

— Samochodem też by nie zdążył. Słuchaj, ale w ten sposób wiesz, gdzie jest siedziba szajki!

— Co?... Gdzie?!

— Jak to, w odległości ośmiu minut drogi od kina Stolica! Na upartego można by znaleźć...

— Nonsens, a jeżeli to chodziło nie o drogę piechotą, tylko o drogę samochodem?

— Zastanów się, przecież to wypadnie mniej więcej to samo. Do samochodu trzeba wsiąść, otworzyć drzwi, zapuścić motor i tak dalej, I jeszcze pewnie parę razy zakręcić, a potem wysiąść, a pod samo wejście też nie podjedziesz... Mówię ci, to samo co piechotą!

Kolejka posuwała się błyskawicznie. Joanna dotarła już do ekspedientki, która właśnie sprzedawała pani przed nią tylko kilo ementalera.

— Słucham, co dla pani? — zwróciła się do Joanny.

— Oczywiście, że to samo — odparła z zapalem rozpedzona Joanna, nie zwracając żadnej uwagi na ekspedientkę.

Ekspedientka zaczęła ważyć.

— Co teraz zrobisz? — spytała Janka z zainteresowaniem.

— Nie wiem, ale myślę, że mnóstwo rzeczy...

— Sto sześćdziesiąt pięć złotych — powiedziała ekspedientka.

— Słucham? — zdziwiła się Joanna.

— Płaci pani sto sześćdziesiąt pięć złotych!

— Za co?!...

— Jak to za co? Za ser! Chyba pani wie, co pani kupuje!

— Ja coś kupuję? — zdziwiła się Joanna jeszcze bardziej. — Jaki ser? Wcale nie chciałam żadnego sera...

— Co pani sobie żarty stroi! Proszę płacić i brać, nikt tu nie ma czasu na dowcipy!...

Joanna wzruszyła ramionami i zaczęła wyjmować pieniądze.

— Uważam, że powinnaś zawiadomić milicję — powiedziała Janka, głęboko zaabsorbowana swoimi myślami.

Ekspedientkę trafił szlag.

— Jaką milicję?! To ja zawiadomię milicję! Patrzcie ją, klientka się znalazła!... Płaci pani, czy nie?

— Wykluczone — odparła Joanna, podając pieniądze. — Za nic w świecie.

Równocześnie kolejka po ser zaczęła reagować.

— Jak pani się zwraca do klientów? — zawołał ze złością jakiś pan.

— Co pani tu sobie żarty stroi! Każdy się śpieszy, a pani zatrzymuje! — zawołała równocześnie jakaś pani do Joanny.

— Czego pani chce od tej pani, ta pani jest uprzejma, a ekspedientka jest ordynarna — zawołał gniewnie ktoś inny.

— Kto jest ordynarny?! Pan tu postoi cały dzień, to zobaczymy, jaki pan będzie!

— Klient ma zawsze rację!...

Cała kolejka już brała udział w awanturze. Nie zwracając na to najmniejszej uwagi Janka i Joanna opuściły sklep z potwornym kawałem ementalera. Za ich plecami rozległy się okrzyki:

— Stanie taka lafirynda za ladą!...

— A pan jest cham!...

— Sam pan jest cham!...

— Radzę ci zawiadomić milicję — powtórzyła Janka.

— Nie mam żadnych dowodów — mówiła Joanna idąc dalej ulicą. — Co im powiem? Że mam przeczucie, że szajka szpiegowska działa w okolicy kina Stolica? Bzdura!

— No, a co możesz zrobić innego?

— Wykryć tajemnicę! Odnaleźć tego człowieka! Uzyskać dowody! Wszystko!

— I na zakończenie dostać w ciemność...

— Na zakończenie iść do milicji. I pokazać im czarno na białym...

— Słuchaj — przerwała Janka. — A może... Może on cię wcale nie podrywał, tylko wiedział, że się do ciebie myślą i specjalnie przyjechał, żeby odebrać ten telefon?

— Co? — spytała Joanna, zatrzymując się gwałtownie. Spojrzała —ła na Jankę i ruszyła dalej. — No, jeżeli tak... — dodała złowieszczo...

Zupełnie bezwiednie zatrzymały się przed wystawą komisju przy Chmielnej. Zapatrzona w niebieski, złotem tkany brokat na wystawie, nie odwracając od niego oczu, Joanna powiedziała:

— Jeżeli tak, to znaczy że zostałam wystawiona rufą do wiatru. Możesz być zupełnie pewna, że stanę na głowie, żeby się zemścić!

Obejrzała się i ujrzała, że Janka stoi w jakimś oddaleniu, a informację o zemście otrzymała jakaś pani, całkowicie obca, która przyjrzała się jej z lekkim zdziwieniem i dużym niesmakiem. Wściekła na przyjaciółkę przesunęła się w jej kierunku i usłyszała, że Janka kończy właśnie obszerny wywód do stojącego za nią grubego pana, łysego i w zaawansowanym wieku.

— ...byłoby ci w tym ślicznie z takim dużym dekoltem — powiedziała z przekonaniem.

Łysy pan spojrzał na nią i otrząsnął się z wyraźną zgrozą.

— Mam o nim różne wiadomości — mówiła dalej Joanna, przechodząc przez jezdnię. — Wiem, że ma psa i tego Wartburga, wartburga nawet widziałam...

— To idiotyzm, widzieć samochód i nie zauważyć numeru — powiedziała z niezadowolaniem Janka, stając na przystanku autobusowym. — A pamiętasz chociaż jak wyglądał?

— Samochód?

— Nie, ten twój... szlachetny bandyta...

— No pewnie. Mam jeszcze jakąś pamięć wzrokową. Żeby tak go spotkać na mieście!... Czasem przecież chodzi...

— Gdybym wiedziała, jak wygląda, to mogłybyśmy go spotkać obie — powiedziała z żalem Janka.

— Przecież ci opowiedziałam szczegółowo!

— Dużo mi z tego przyjdzie. Nie mogłaś go poprosić o fotografię?

— Z dedykacją dla przyjaciółki? Mamy autobus...

Janka zaczęła nagle myśleć okropnie intensywnie, pchając się równie intensywnie. Autobus był niemożliwie zatłoczony. W chwili kiedy była już w drzwiach, nagle zawróciła.

— Ach! — krzyknęła i zaczęła się gwałtownie wypychać w przeciwną stronę. Zdumiona Joanna mimo woli pomogła jej, wyciągając ją z tłumu na siłę. Zmiętoszona Janka poprawiła czapkę, zapięła guziki i spojrzała na Joannę z triumfem.

— Mam genialną myśl! — zawołała i ruszyła przed siebie, ciągnąc za sobą zaskoczoną Joannę. — On jeszcze jest w pracowni!...

Młody człowiek z wielkim nosem i melancholijnym spojrzeniem otworzył drzwi i na widok Janki blask opromienił mu twarz.

W chwilę potem usiadł z deską na kolanach i „kubusiem” w rękę, nadał się okropnie, co miało oznaczać przyływ natchnienia i spojrzał pytająco.

— No więc? — powiedziała Janka niecierpliwie. — Zaczynaj!

— Od czego? — spytała Joanna niepewnie.

— Od początku, od góry. Tylko dokładnie. Joanna skupiła się i zapatrzyła w przestrzeń.

— Miał włosy — powiedziała stanowczo. Janka skinęła głową z uznaniem.

— Jakie? — spytała.

— Bez przedziłka. Uczesane do tyłu, nie za długie, nie za krótkie, jak przed wojną. Ciemne.

Ołówek ruszył z miejsca.

— Proste? — spytała Janka.

— No przecież nie w lokach! Ciemne oczy i brwi... I oczywiście rzęsy.

— Zrosnięte?

— Przecież nie mógłby patrzeć!

— Brwi zrosnięte, idiotko! — poprawiła ze zniecierpliwieniem Janka. — Czekał, wróć do włosów. Gdzie mu się zaczynały?

— Nad czołem.

— No pewnie, że nie pod brodą. Gdzie, tu? Niżej, wyżej?...

— Nie, trochę wyżej — powiedziała Joanna, korygując gest Janki. — W tym miejscu to się gorylom zaczynają. Rosły równą linią, bez ząbków...

— No dobrze, a te brwi? Odkąd dokąd?

— Normalnie. Nie za szerokie, nie za wąskie. Nie zrosnięte.

— Zakrzywione w górę? W dół?

— Przecież mówię, że proste!

— Jakie szerokie?

Joanna zastanowiła się chwilę, szybko wyjęła z torebki małą, stalową taśmę i na tej taśmie zaczęły odmierzać.

— Tyle, o! Dziewięć milimetrów. No, może gdzieś centymetr.

— To jak to, miał takie w kawałkach? Tu więcej, tu mniej?

— Oszalałaś, każdy ma brwi tu więcej, tu mniej! Zobacz u siebie.

— Nie mnie ten pan rysuje, tylko jego. Mów dokładnie!

— Zaraz... Tak ze cztery centymetry było nieco szerzej, a dalej wężiej. Równy sobie szły, o, tu...

— Oczy?

— Bardzo ładne. Duże. Osadzone w oczodołach...

— Szkoda, że nie w dziurkach od nosa — mruknęła Janka.

— To by dopiero było dziwo...

— Głupiaś, mnie idzie o to, że dość głęboko. Rozumiesz, przeciwieństwo wyłupiastych. I tu mu się taka zmarszczka robiła przy uśmiechu...

„Kubuś” migał po papierze w wyraźnym natchnieniu.

— Nos prosty, raczej długi niż szeroki. Pod nosem usta...

— A gdzie ty chciałaś, żeby miał usta? Na czubku głowy?

— Czekaj, nie tak. Nie zaraz pod nosem, trochę przerwy było...

— Ile?

— Czy ja wiem... Tyle, o!...

Intensywne demonstracje na Jance zastąpiły słowa.

— Zaraz. Jeszcze nos. Jak długi? Gdzie mu się kończył?

— A o, tu. Na końcu może odrobinę w dół... Ale bardzo nieznacznie.

— A jakie miał dziurki? — zaciekawiła się Janka.

— Nie pamiętam — odparła Joanna z niesmakiem.

— Szkoda — westchnęła Janka z żalem. — Jak dotąd żadnych znaków szczególnych.

— Miał przepiękne zęby — powiedziała Joanna marząco.

— I coś w brodzie...

— Co w brodzie? — zaciekawiła się Janka zachłannie.

Artysta również spojrział z zainteresowaniem.

— Nic takiego — zawołała szybko Joanna. — Żaden defekt, ani, broń Boże, dołek. Ale miał taki układ...

Zatrzymała się i popatrzyła niepewnie na Jankę, usiłując pokazać gestem ów układ. Janka również uczyniła pytający gest dookoła własnej brody i przez chwilę obie w milczeniu usiłowały odtworzyć brodę nieznanego. Portrecista przyglądał się temu uważnie.

— Miał szczękę — powiedziała Joanna po namyśle.

— Jak to, jedną?... — przestraszyła się Janka.

— Nie, dwie. Tu mu się tak zaznaczało — znów pokazała, co się zaznaczało i gdzie. — Z drugiej strony też i może nawet nieco asymetrycznie.

— Uszy miał? — spytała Janka krótko po chwili zastanowienia.

— Miał.

— Oba?

— Oba. Normalne.

— Wszystko miał normalne — powiedziała Janka gniewnie i z dezaprobatą. — Zwariować można! Usta jakie?

— Może drogą eliminacji? — zaproponowała Joanna po namyśle. — Nie obłeśne, nie w serduszko, nie zaciśnięte, nie murzyńskie...

— Nie rozdziawione, nie z zajęczą wargą... — uzupełniła Janka jadownicę. — Tylko jakie?

Joanna popatrzyła na nią bezradnie.

— Podobne do twoich, tylko nieco węższe w pionie. Jak się uśmiechał, to mu się robiła taka mała, okrężna zmarszczka z jednej strony.

— Z drugiej nie?

— Nie, z jednej. Czekaj... z lewej? Z lewej.

Artysta rysował w twórczym zapale, przysłuchując się ich wypowiedziom i co jakiś czas spoglądając z ubolewaniem na Jankę. Obie, szalenie przejęte, umilkły i czekały końca tworzenia.

Wreszcie malarz z dumą odwrócił ku nim deskę z rysunkiem. Spojrzały i zabrakło im tchu.

Przedziwna maskara na papierze posiadała istotnie włosy, które w formie wydłużonych trójkątów unosiły się ku górze. Brwi, zgodnie z informacjami, miały bardzo urozmaiconą szerokość, a to coś dziwnego wokół oczu należało zapewne uważać za rzęsy. Pod nosem znajdowała się olbrzymia przestrzeń, zajmująca nieomal więcej miejsca, niż cała reszta rysunku, a pod przestrzenią usta, z których twórca eliminował kolejno poszczególne cechy. „Coś w brodzie” uwidaczniało się w postaci szeregu splątanych linii, a za to zęby zostały

potraktowane równie dobitnie, jak w ustnym opisie i rzucały się w oczy na kształt klawiatury fortepianu. Wszystko to razem nie było podobne nie tylko do tajemniczego nieznanego, ale w ogóle do żadnej ludzkiej istoty...

— Musimy działać metodycznie — powiedziała Joanna, siedząc z długopisem nad kartką papieru. — Najpierw spisujemy wszystkie wiadomości.

Janka kiwnęła głową z uznaniem.

— Siedzibę szajki znajdę w książce telefonicznej. Najpierw z planu miasta sprawdzę, gdzie może być te osiem minut drogi, a potem wypiszę wszystkie numery telefonów, które mają te adresy. Rozumiesz, te które się mieszczą na tym terenie...

— I co ci z tego przyjdzie?

— Zadzwońię pod wszystkie kolejno, pytając: „centrala?”, a potem powiem cokolwiek tym ich szyfrem.

— Genialne — powiedziała Janka z zachwytem. — Tylko to może być, ja wiem, ile?... Czteryście numerów?...

— Trudno, odbędę czterysta kretyńskich rozmów telefonicznych. To jedno. Czekaj, teraz drugie. Mamy psa...

— My?

— Nie, on. To jest czarny nowofundlandczyk. Znajdę ten Związek Kynologiczny.

— Jak ten pies wygląda? — zainteresowała się Janka.

— Nie wiem dokładnie, wiem tylko, że są takie bardzo duże i czarne.

— Nigdy w życiu nie widziałam. Za wiele tego dobrego jak dla mnie, faceta nie widziałam, psa nie widziałam.... Nie masz może encyklopedii?

— Mam, oczywiście! — ucieszyła się Joanna. — Czekaj... Zerwała się z miejsca i przykucnęła przy szafie.

— Chodź tu i potrzymaj — zażądała.

— Co mam trzymać?

— Szafę!

Szafa pozbawiona jednej nogi wspierała się na grubym tomie. Janka z wysiłkiem uniosła ją nieco do góry, a Joanna wyciągnęła encyklopedię i zaczęła w niej grzebać.

— Pośpiesz się! — jęknęła Janka z wysiłkiem.

— Bernardyn, chart angielski, foksterier — mamrotała Joanna, nie zwracając na nią uwagi. Szafa przechylała się powoli.

— Jest! — zawołała nagle Joanna i wpatrzyła się w ilustrację. Janka odwróciła się zaciekawiona, zapominając o szafie, która z trzaskiem i zgrzytem kiwnęła się w stronę Joanny. Ta z okrzykiem rzuciła książkę i w ostatniej chwili podparła mebel.

— Trzymaj, ja znajdę! — krzyknęła Janka. Zaczęła kartkować gruby tom.

— Dog angielski, dog niemiecki... Jaki łaciaty! — zdziwiła się.

— Pośpiesz się! — stęknęła Joanna.

— Już, już — Janka przewróciła kilka kartek. — Pekińczyk, pudełek! Jaki śliczny! Jak zabawka...

— Gdzie ty szukasz! — wrzasnęła Joanna, opierając się plecami o szafę. — Na „N”, idiotko!...

Janka cofnęła się o kilka kartek.

— Jest! — ucieszyła się i zapatrzyła się w rysunek. Joanna resztkami sił podtrzymywała szafę.

— No już? Nauczyłaś się na pamięć? — spytała zniecierpliwiona.

— Dobra, dobra, nie masz żadnej kondycji — mruknęła Janka z naganą, wsuwając tom pod szafę. Joanna wyprostowała się z ulgą.

— To cześć — powiedziała Janka. — Lecę do miasta. Może go gdzieś spotkam. A ty szukaj telefonu — i wybiegła z pokoju.

Joanna otworzyła książkę telefoniczną. Obok położyła plan miasta i wielki stos papieru i przystąpiła do pracy. Jadąc palcem wzdłuż spisu abonentów wypisywała kolejno numery w długich kolumnach...

To miłe zajęcie przerwał jej dzwonek telefonu.

— Halo, Centrala?

Joanna się wyraźnie ucieszyła.

— Centrala — potwierdziła stanowczo.

— Kto mówi?

— Honorata.

— Tu Kasjer. Wymiana jutro punktualnie o piętnastej szesnaście. Powtarzam, piętnasta szesnaście. Równo osiem i pół. Wszystko przygotowane.

— Bardzo dobrze — powiedziała Joanna i dodała pozornie niedbale: — Nie wie pan, gdzie jest szef?

— Ja mam wiedzieć? — zdziwił się Kasjer. — Przecież to pani ma kontakt z szefem. Niech pani natychmiast przekaże wiadomość!

Wyłączył się. Joanna skrzywiła się z niesmakiem i wróciła do książki telefonicznej.

Na kartce papieru wyrosły długie kolumny cyfr, kiedy znów zadzwonił telefon.

— Centrala? — spytał Chudy.

— Tak, Honorata — odparła Joanna, nie czekając na pytanie.

— Nie wiecie przypadkiem, gdzie jest teraz szef?

— Szef? — zdumiał się Chudy. — Przecież ja go na oczy nie widziałem! A co, zginął? — zaniepokoił się.

— Nie — odparła Joanna z determinacją. — Gdzieś poszedł, a ja mam pilną wiadomość.

— Ale chyba się nic nie stało? Miała pani wiadomość od Kasjera?

— Co?... A, tak.

— Co mówił?

— Wszystko przygotowane... — Joanna straciła zainteresowanie dla rozmówcy i spojrzała na swój spis telefonów.

— Co przygotowane? — zniecierpliwiał się Chudy.

— No, wymiana — odparła w roztargnieniu i wpisała następny numer. — Jutro punktualnie... — przerwała i zajrzała do książki telefonicznej.

— Ale o której, do cholery! — wrzasnął Chudy.

— O... szesnastej piętnaście. Równo osiem i pół.

Niecierpliwie odłożyła słuchawkę i natychmiast przypomniała sobie, że pomyliła godziny. Chwyciła słuchawkę ponownie i prędko zawołała:

— O piętnastej szesnaście, przepraszam!

Ale po drugiej stronie nie było już nikogo.

Chudy wpadł do pokoiku pod warsztatem.

— Załatwione! — zawołał do zgromadzonego tam towarzystwa.

— Wymiana jutro o szesnastej piętnaście!

— To jednak Kasjer wziął pod uwagę nasze trudności — zauważył z satysfakcją Intelektualista.

Pod ścianą piętrzył się stos paczkowanych pięćsetek. Obok leżały worki takie, jakich używa się do przewozu pieniędzy. Chudy podszedł do wiszącego na ścianie planu, wykonanego przez Kasjera.

— Uwaga. Przypominam jeszcze raz plan operacji. Punktualnie o szesnastej piętnaście wjeżdżamy na dziedziniec. Mamy ze sobą całą forszę... — spojrzął na stos pieniędzy pod ścianą...

Joanna przeczytała tablicę: „Polski Związek Kynologiczny”, zawahała się chwilę i weszła. Czowała się wyraźnie niepewnie.

W małym pokoiku znajdowało się kilka pań i jeden pies, ale niestety, nie czarny nowofundlandczyk, tylko mały, biały pudełek, z którym odbywało się coś tragicznego. Piesek siedział na stole, jedno oko miał czymś zalepione, kasłał, kichał, prychał, usiłował się drapać i ocierać wszystkimi łapami równocześnie, a panie szalały wokół niego w panicznej rozpacz. Zaskoczona Joanna zatrzymała się w drzwiach.

— Wydłub jej palcem! — krzyknęła jedna z pań.

— Nie mogę! — wyszlochała druga. — Ma wszędzie!...

— Może poczekać, aż zaschnie, to się wykruszy — radziła trzecia.

— Udusi się! Wody!...

— Co jej się stało? — spytała Joanna z przejęciem i współczuciem.

— Zjadła krówkę słupską!...

Istotnie, pudełek nie tyle zjadł, co usiłował zjeść świeżą krówkę słupską i zaklajstrował się na amen. Miał tę krówkę wszędzie, w pysku, na oczach, w uszach, w sierści, a co najgorsze nie mógł poruszać ugrzęźniętymi zębami. W tych warunkach Joanna nie mogła rozpocząć dyplomatycznej konwersacji, musiała przeczekać.

Wreszcie zapłakana właścicielka wydłubała z wielkim trudem psu krówkę z pyska palcem i zapanował względny spokój. Jedna z pań oddała się na usługi Joanny.

— Hodowla nowofundlandczyków? — powiedziała z namysłem. — Jest kilka. Podać pani adresy?...

Zegarek na ręce Chudego wskazywał dokładnie szesnastą piętnaście. Chudy siedział w szoferce obok Kierowcy. Samochód zatrzymał się w bramie. Strażnik z pistoletem maszynowym na plecach podszedł do samochodu.

— Co jest?

— Transport z PWPW — powiedział Chudy, podając równocześnie dokumenty.

— Z PWPW? — zdziwił się tamten. — O tej porze?

— Mielśmy być wcześniej, ale złapaliśmy gumę — wyjaśnił Chudy.

Strażnik spojrzął na papiery i odszedł.

Chudy spojrzął na Kierowcę. Spod beretu spływał mu kroplami pot, ciekąc po czole i nosie.

— Wytrzyj gębę, ty tchórze — mruknął z wyrzutem.

Kierowca sięgnął po chusteczkę i starannie wytarł nią czoło, zerkając w stronę wartownika. Wartownika nie było widać. Kierowca bębnił nerwowo po kierownicy.

— Przestań — syknął Chudy. Kierowca spojrzął na niego. Po twarzy Chudego spływały krople potu. Kierowca bez słowa podał mu chusteczkę. Chudy otarł nią czoło i spojrzął w stronę wartowni, z której szedł strażnik.

— Tam w wozie ktoś jest? — spytał podając Chudemu papiery. Chudy skinął głową. Strażnik obszedł wóz i zajrzał do wnętrza. W środku na ławeczkach siedzieli Intelktualista i Elegant. Po ich twarzach spływał pot. Strażnik obrzucił ich zdziwionym spojrzeniem i obejrzał dokładnie wnętrze samochodu, po czym bez słowa zatrzasnął drzwiczki i podszedł do szoferki.

— Dobra jest, wjeżdżajcie!

Kierowca wycierał właśnie twarz chusteczką. Pośpiesznie zapuścił motor i ruszył. Strażnik spojrzął za odjeżdżającymi, potem zdjął czapkę i przesunął dłonią po czole. Ze zdziwieniem stwierdził, że dłoń jest sucha.

Zatrzymali się przed rampą, po której spacerował uzbrojony strażnik. Chudy rozejrzył się po dziedzińcu.

— Tych z Płocka jeszcze nie ma — mruknął. Strażnik podszedł do szoferki.

— Przywieźliście coś?

Chudy skinął głową.

— No to rozładowywać, szkoda czasu! Chudy ociągając się wylazł z szoferki.

— Tu mieli przyjechać z Płocka po pieniądze... — zwrócił się do strażnika. Strażnik spojrzął na niego podejrzliwie.

— A bo co?

— Nic, kuzyn jest tam konwojentem. Myślałem, że go spotkam...

Strażnik pokręcił głową.

— Może byli wcześniej. Ja tu jestem dopiero od czwartej — i dodał stanowczo: — No, to załatwiajcie co trzeba!

Chudy z rozpaczą spojrzął w stronę bramy, potem w ciemne wnętrze klatki schodowej i nie widząc znikąd ratunku, otworzył drzwi wozu.

— Zabieramy na górę — warknął.

Obok Chudego stanął Kierowca. Intelktualista i Elegant podali po dwa worki, sami wzięli drugie dwa i cała czwórka zniknęła w drzwiach.

— Wiecie gdzie? — krzyknął za nimi strażnik.

— Wiemy, wiemy — odparł Elegant.

Chudy nacisnął łokciem klamkę drzwi, oznaczonych numerem 9. W pokoju zamiast Kasjera krzątał się zupełnie inny urzędnik. Na jego widok Chudy stanął jak wryty.

— A gdzie jest?... Pan tu pracuje? — wyjąkał.

Urzędnik spojrzął na niego z niechęcią.

— Pracowałem. Teraz idę do domu. — Spojrzął na przyniesione przez nich worki. — A co to jest?

Chudy zupełnie zbity z tropu powiedział niepewnie:

— To? Z PWPW... przywieźliśmy...

— Oszaleliście?! Po godzinach pracy? Myślicie, że będę tu siedział do wieczora i liczył? Ile tego jest?

— Osiem i pół miliona.

— Co?!... Ani mi się śni!

Urzędnik zatrzasnął drzwiczki biurka. Chudy podniósł worek.

— Trudno. Zabieramy z powrotem.

Urzędnik spojrzął na niego jak na szaleńca.

— A kto wam teraz wypisze przepustkę? Wszyscy wyszli!

— A po co przepustka? — oburzył się Chudy. — To przecież nasze. Przywieźliśmy, to zabierzemy.

Urzędnik osłupiał.

— Człowieku, to są pieniądze, nie kartofle! — zawołał. — Kto pana stąd wypuści bez przepustki z ośmioma milionami? Od kiedy pan pracuje w tej branży?

Chudy przelknął nerwowo.

— Od pół roku...

— Myślałem, że pół dnia — powiedział urzędnik drwiąco i dodał: — Zostawcie te worki u nas w depozycie, wydnam wam pokwitowanie, a jutro zgłosicie się od rana, przeliczymy i załatwimy resztę.

Czterej panowie spojrzeli na siebie. Urzędnik pochylił się nad workiem.

— Sprawdźcie plomby...

Strażnik przed budynkiem spacerował miarowym krokiem. Chudy i jego ludzie wypadli z klatki schodowej i rzucili się do samochodu.

— Fajrant, co? — zawołał za nimi strażnik i westchnął z zazdrością.

Samochód ruszył pełnym gazem.

Joanna siedziała przy telefonie.

— Czy to pan ma hodowlę psów?... Tak, czarne nowofundlandczyki! Proszę pana, czy może mi pan podać, komu pan sprzedał psy w zeszłym roku... Dobrze, to ja poczekam...

Chwilę czekała, a potem chwyciła ołówek.

— Tak, słucham... Pan Szymański... Nie, nie, tylko z Warszawy!... Pan Biedronka... Pan Konopczyński... Pan Zientek...

Na kartce wyrósł długi szereg właścicieli psów... Wykreśliła następny numer. Strasznie źle było słyhać.

— Czy to u pana wylęgły się psy w zeszłym roku? — wrzeszczała. — Tak, urodziły! URODZIŁY! Psy!!!... Po co mi to?!... „Jezus Mario, po co mi to?...” Chcę kupić jednego! Czyje nazwisko? Moje?... Mierniewska! Mój telefon?... — wpatrzona w porozrzucane dookoła zapiski Joanna powiedziała pierwszy lepszy numer, jaki jej wpadł w oko.

— 44-50-37!...

— Kto powiedział, że o szesnastej! — jęczał Kasjer, trzymając się za głowę w pozycji wyrażającej ostateczną rozpacz. — Przecież mówiłem wyraźnie: piętnasta szesnastcie!...

— Komu? — warczał Chudy. — Komu pan mówi?! Powtarzam, że Centrala do tej pory o niczym nie wiedziała!

Banda była w komplecie w ogołoconym już z pieniędzy pokoiku pod warsztatem. Intelktualista spojrzął po obecnych.

— Pamiętajcie tę wiadomość, że Osiemnastka był spalony? Chudy skinął głową.

— Mówił pan wtedy, że Honorata była tak zdenerwowana, że aż się jej głos zmienił. Kasjer, kto odebrał telefon, jak pan dzwonił?

— Kobieta. Podała, że Honorata...

— A nie miała trochę innego głosu?

— Może...

— A jak podawała panu godzinę wymiany. Jaki był głos? — zwrócił się do Chudego.

— Inny — powiedział stanowczo Chudy. — I w ogóle inaczej rozmawiała!

— Panowie, ktoś poznał naszą tajemnicę — powiedział grobowo Intelktualista.

— A my nie wiemy kto! — uzupełnił równie grobowo Kierowca.

Kasjer spojrzął na niego z obrzydzeniem, a Elegant uśmiechnął się.

— Myli się pan — oświadczył łagodnie. — Wiemy!

Zebrani spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— Kobieta — dodał Elegant i westchnął. — Ciekawe, czy ładna...

— Uważa pan, że ładna nie zamelduje milicji? — zawołał Intelktualista zrywając się. — Musimy ją odszukać i zmusić do milczenia! Przecież ona ma nas w ręku!

— Szkoda, że nie jest odwrotnie — westchnął znów Elegant.

— To zaczyna być groźne — powiedział Intelktualista. — Jutro zadzwonią z banku do PWPW w sprawie tych cholernych worków i wszystko się wyda. Ogłoszą w prasie, radiu, telewizji, babka sobie skojarzy nasze telefony z wymianą... Musimy ją załatwić, nie ma co...

— Właśnie — mruknął ponuro Chudy. — Ale jak ją znaleźć?

— Znaleźć i ukatrupić! — zawołał stanowczo Kierowca.

— Ja do morderstwa ręki nie przyłożę! — zaprotestował Kasjer.

- Wolisz pan siedzieć? — spytał złowieszczo Chudy.
— Ja nie będę siedział, ja wyjeżdżam...
— Dokąd?! — ryknął Kierowca. — Jeszcze czego?!
— Nonsens — powiedział stanowczo Intelktualista. — Nic panu nie grozi, przecież w tym czasie w ogóle pana tam nie było. A w tej sytuacji musi pan zostać już chociażby dlatego, że nie dostanie pan żadnych pieniędzy.
— To co teraz zrobić? — spytał bezradnie Chudy, zwracając się do Intelktualisty.
— Jest tylko jeden sposób, trudny, ale możliwy. Wypisać z książki telefonicznej wszystkie numery podobne do numeru Centrali i dzwonić, aż się trafi na tę babkę.
— Za parę lat... — westchnął Elegant.

Z okropnym brzękiem Janka przewróciła pojemnik na śmieci, na który trafiła idąc tyłem. Szła tyłem, ponieważ znów oglądała się za następnym wysokim facetem. Powiedziała „cholera”, zawahała się, szybko podniosła pojemnik i poszła dalej. Zaraz za rogiem ulicy stanęła jak gromem rażona, ponieważ wzrok jej padł na wielkiego czarnego psa. Pies trwał chwilę przy latarni, a Janka trwała kilka metrów od niego, wpatrzona jak w obraz. Nagle pies ruszył przed siebie, a Janka ruszyła za nim. Po kilku metrach pies się zatrzymał i Janka też. Pies obwąchał coś na ulicy, pokręcił się w miejscu, po czym drobnym truchtem ruszył dalej. Pies nagle przegalopował na drugą stronę jezdni. Janka zwiększyła tempo i przegalopowała za nim. Pies wpadł do bramy i Janka również i za chwilę obydwójce wypadli na powrót. Pies zawrócił i pobiegł z powrotem. Janka chwyciła długi oddech i twardo dotrzymała mu kroku...

Pies obleciał wkoło kiosk „Ruchu”, a Janka za nim. Znów drobnym truchtem pobiegł przed siebie, znalazł coś interesującego na trawniku i zatrzymał się, usiłując to coś złapać do pyska. To mu zajęło chwilę czasu i nieprzytomnie zziębnięta Janka zdołała nieco odpocząć. Nagle ktoś gwizdnął na psa.

Gwizdnięcie poderwało jednakowo i psa i Jankę i obydwójce runęli w kierunku głosu. Janka zatrzymała się nagle, jak wmurowana w ziemię, a pies dopadł wysokiego, ciemnego faceta w kapeluszu i zaczął dookoła niego skakać, szczekając radośnie. Janka wytrzeszczyła oczy, a facet wziął psa na smycz i poszedł przed siebie. Janka dysząc ciężko, ruszyła za nim.

Właściciel psa przeszedł dwie ulice z Janką uczeponą z tyłu i wszedł do bramy. Janka ostrożnie zbliżyła się, posłuchała chwilę jego kroków na schodach, zajrzała i również weszła. Na palcach weszła na pierwsze piętro, wychyliła się, wyglądając do góry, usłyszała, że facet się zatrzymał i czym prędzej pobiegła nieco wyżej. Przeczekała, aż facet wejdzie do mieszkania, po czym podążyła aż do jego drzwi. Wizytówki nie było. Był tylko numer. Janka w okropnym pośpiechu zawróciła i popędziła w dół.

Na parterze z determinacją zadzwoniła do pierwszych lepszych drzwi.

— Przepraszam panią — powiedziała do osoby, która otworzyła drzwi — gdzie tu mieszka dozorca?

— Przepraszam pana — powiedziała Joanna uprzejmie do słuchawki — czy pan ma takiego wielkiego psa?... Słucham?... Och nic takiego, zeżarł mi 10 jajek i pół kilo konserwowej polędwicy z Delikatesów... Ach pan w ogóle nie ma psa... Przepraszam...

Wykreśliła siódmego Szymańskiego i wykreśliła następny numer.

Chudy i Elegant siedzieli nad książką telefoniczną. Jeden dyktował, drugi pisał.

— De — powiedział Elegant. — Jesteśmy na de...

— Już mi ręka zdrętwiała — powiedział ze wstrętem Chudy — ja bym proponował dojechać do trzystu i od razu iść...

— Przybliżał mi się — powiedziała stanowczo Joanna. — Nie pański? Pański pies jest w domu? Słucham?... Ach pan ma w ogóle brązowego setera... To przepraszam...

Elegant i Chudy smętnie oglądali pięćdziesięciogroszówkę.

— Więcej pan nie ma? — spytał Chudy z dezaprobatą.

— Nie.

Chudy wyciągnął portfel i wyjął pięćsetkę.

— Co pan oszalał? Chce pan teraz puszczać w obieg? — Przeraził się Elegant na widok banknotu.

— To państwowa produkcja — uspokoił go Chudy. — Z mojej pensji. I dodał ponuro: — Żeby z torbami miał pójść, to znajdę tę małą. Ile pan ma?

Elegant wyjął dwieście złotych.

Chudy dorzucił do tego jeszcze dwa złote.

— To jest wszystko, co mamy... Podeszli do najbliższej budki.

Janka odważnie pchnęła drzwi sklepu z piwem. Zawahała się chwilę, szybko rzuciła okiem na zebranych tam facetów i zwróciła się do jednego:

— Pan jest dozorcą w tym bloku na rogu? — spytała niepewnie.

— Nigdzie nie idę — odparł na to kategorycznie kompletnie pijany facet.

— Czy ja panu każę gdzie chodzić? Niech pan tylko powie, czy to pan jest dozorcą?

— Nie idę.

— Nie chodź pan. Panie, ja się pana pytam...

— A co paniusia chce? — spytał z dezaprobatą drugi, nieduży, łysy, nieco trzeźwiejszy — nie widzisz pani, że człowiek już po służbie?

Janka zaczęła wyraźnie wpadać w rozpacz.

— Ale to jest dozorca, tak? — powtórzyła z uporem.

— A bo co?

— Bo ja się chcę dowiedzieć. Tu jest w tym domu taki wielki czarny pies...

— A jest. A bo co?

— Do kogo on należy. Ja bym chciała się widzieć z właścicielem.

— A na co to pani?

— Ugryzł mnie — powiedziała Janka z wściekłością. Łysy zamyślił się.

— Właściciel? — spytał nieufnie.

— Nie, o Boże, pies.

— Gdzie?

— Nie wszystko panu jedno? — I nagle dodała w natchnieniu:

— Wie pan, ja bym chciała odszkodowanie i tak się chcę zorientować, co to za człowiek...

— A to trzeba było od razu tak mówić, pewnie że znam. Zaraz pani powiem...

Chudy i Elegant wyszli z budki telefonicznej i rozejrzeli się dokoła. Obok stał kiosk „Ruchu”. Obaj jak na komendę podbiegli do niego.

— Panie — zawołał Chudy do kioskarza. — Rozmień pan pięćsetkę.

Kioskarz niechętnie sięgnął po pieniądze.

— Na pięćdziesięciogroszówki — powiedział Elegant na widok banknotów stużłotowych wyjętych przez kioskarza. Tamten spojrział na niego oburzony.

— Coś pan oszalał — i ze złością zatrzaskało okienko. Chudy i Elegant odeszli jak niepyszni.

Janka popędziła ulicą okropnie przejęta. Dopadła budki telefonicznej, ale zadzwonić nie mogła. Słuchawki nie było. Zamiast niej z automatu zwiisał smętny kikut kabli. Janka wyskoczyła z budki jak oparzona.

Chudy i Elegant wciąż z tym samym banknotem w ręku odeszli od kiosku z piwem ścigani klątwami kioskarza. Zatrzymali się bezradnie. Nagle Elegant dojrzał coś. Wyrwał banknot z rąk Chudego i pogalopował przed siebie.

Pod murem siedział niewidomy żebrak. Wielkie, ciemne okulary zasłaniały mu oczy, a zawieszona na piersiach tabliczka głosiła: „Niewidomy od urodzenia”.

Elegant zwrócił się do niego uprzejmie:

— Przepraszam, czy może nam pan rozmienić pięćset złotych.

— Podsunął mu banknot pod nos.

Żebrak zdjął okulary i obejrzał uważnie pięćsetkę. Potem nie zwracając jej Elegantowi sięgnął za siebie, wyjął duży worek i wysypał jego zawartość na chodnik. U stóp Chudego i Eleganta wyrosła wielka sterta bilonu.

Joanna mówiła do słuchawki: — Dlaczego pytam? Bo... chciałam mojego... moją nowofundlandkę ożenić z pańskim psem, co. No dobrze, wydać za męża. Ach, pański pies to suka?... To przepraszam.

Janka zatrzymała się przed budką. Długi ogonek wskazywał na to, że automat jest czynny. Janka zawahała się chwilę i popędziła dalej.

Chudy stał w budce ze słuchawką przy uchu.

— Słucham — zabrzmiało w słuchawce.

— Centrala? — zapytał Chudy stanowczo.

— Jaka centrala?

— Wszystko jedno. Centrala.

— Pomyłka. — Odłożono słuchawkę.

Stojący obok niego Elegant skreślił numer z trzymanej w ręku listy i wykręcił następny. Numer nie odpowiadał. Chudy powiesił słuchawkę, ale moneta nie wypadła z powrotem. Chudy stuknął pięścią w automat. Na próżno. Elegant postawił pytajnik i wykręcił następny numer. W słuchawce szczęknęło i zabrzmiał rzeczowy głos:

— Komenda Milicji Obywatelskiej. Słucham. — Chudy zaniemówił. — Halo! — rozległo się ze słuchawki. Chudy odwiesił ją jakby go sparzyła i wybiegł z budki. Elegant poszedł w jego ślady i po chwili obaj zniknęli za rogiem.

Janka zamknęła się w budce i nakręciła numer. Rozległ się sygnał — zajęte — Janka nakręciła ponownie. To samo. Tymczasem przed budką zatrzymali się Chudy z Elegantem. Chudy dysząc ciężko obrzucił swego towarzysza ponurym spojrzeniem.

Stojąca w budce Janka obejrzała się, odwiesiła słuchawkę i wyszła. — Proszę, niech panowie dzwonią — powiedziała uprzejmie. — Mój numer jest zajęty. — Chudy i Elegant weszli do środka.

Janka stała jak na szpilkach. Jakieś dwie osoby podeszły i stanęły za nią w kolejce. Janka spojrzała na budkę. Chudy nacisnął widelki i wyjął monetę, która wypadła na dole. Elegant postawił pytajnik przy numerze, wyjął z worka żebraka pięćdziesięciogroszówkę i wrzucił do automatu, wykręcił numer. Chudy stał ze słuchawką przy uchu. Szczęknęło.

— Centrala? — zapytał Chudy.

— O tej porze — zawołał z oburzeniem jakiś głos — dajcie mi święty spokój, ja jestem też człowiek. Godziny urzędowania skończone — i odrzucił słuchawkę.

— Biurokrata — mruknął pogardliwie Elegant i znów sięgnął do worka.

Przed budką zebrał się już spory ogonek. Janka uchyliła drzwi.

— Ależ panowie dzwonią już piąty raz. Może ja teraz spróbuję. Panowie wyszli ociągając się.

Janka wykręciła numer. Telefon Joanny był ciągle zajęty. Elegant zapukał w szybę i znów nastąpiła zmiana. Janka stanęła na czele długiej kolejki.

— Czy to mój syn pogryzł pańskiego psa?... Co?... Przepraszam, oczywiście, że odwrotnie... Odwrotnie też nie?... Przepraszam...

Joanna kompletnie wyczerpana odłożyła słuchawkę i natychmiast zadzwonił telefon. Joanna podniosła słuchawkę.

— Słucham.

Po drugiej stronie Janka wrzasnęła:

— No nareszcie. Na litość boską, co robisz z tym telefonem. Nie można się dodzwonić. Słuchaj, znalazłam go.

— Żartujesz — krzyknęła Joanna.

— Poważnie. Po psie.

Joanna wykrzyknęła zdumiona.

— Niemożliwe...

— No mówię ci. Wysoki, czarny, przystojny i z psem. Takie wielkie czarne bydlę. Boże, jaki on piękny.

Joanna uśmiechnęła się zadowolona.

— Mówiłam ci, że jest przystojny.

— Ale ja ci mówię o psie — sprostowała Janka.

— Co mnie obchodzi pies. Mów o nim. A w ogóle to opowiadaj po kolei.

— Nie mogę — powiedziała Janka. — Bo tu już za mną dwóch się niecierpliwi.

— To przestań gadać i przyjeżdżaj do mnie.

Janka odwiesiła słuchawkę i wyszła z budki, a jej miejsce zajęli natychmiast Chudy i Elegant, wzbudzając głośne protesty długiej kolejki.

— Spiker Polskiego Radia szefem bandy szpiegowskiej? Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała Joanna ze zgrozą.

— Ja też nie — zgodziła się Janka i wyłowiła ze szklanki z herbatą kawałek farby — ale widziałam na własne oczy.

— Musimy go śledzić — powiedziała Janka stanowczo i podbiegła do drzwi, bo właśnie rozległ się dzwonek.

Za drzwiami stało dwóch panów. Strój i narzędzia, jakie mieli ze sobą, wskazywały, że są malarzami.

— Nareszcie — wykrzyknęła Joanna. — Jutro panowie zaczną.

— Jak pani inżynierowej nie przeszkadza, to możemy jeszcze dziś — uśmiechnął się starszy.

— Chyba oczopląsu dostanę — westchnęła Joanna.

— Właśnie, mam wrażenie, że mi już oczy wyszły z głowy. Jesteś pewna, że on stąd wyjdzie o tej porze?

— Musi wyjść, jeżeli ma zdążyć do radioreklamy.

— A może go już nie ma?

— Jest. Przed chwilą tu dzwoniłam.

Siedziały w taksówce odwrócone tyłem do przodu, wpatrując się z napięciem w wyjście z rozgłośni na Malczewskiego. Wyjście było dość oddalone i zastawione samochodami.

— Właściwie to on ma jeszcze mnóstwo czasu — powiedziała Janka — jakby się uparł, toby nawet na piechotę zaleciał. Poznasz go z odległości?

— Nie wiem. Zobaczmy. W razie potrzeby pojedziemy za nim nawet do Grójca.

— Do Grójca nie jadę — wtrącił się kategorycznie kierowca. Joanna odwróciła się do niego.

— Niech się pan nie zarzeka — powiedziała ostrzegawczo — tego faceta musimy dopaść za wszelką cenę. Pan się nam pewnie dziwi...

— Ja się niczemu nie dziwię — odparł kierowca. — Jakby pani jeździła na taksówce, toby się pani też niczemu nie dziwiła. Mnie tam już wszystko jedno, ale do Grójca nie jadę.

— Jest — krzyknęła nagle Janka. — No? To on?

— Chyba on. W każdym razie tak wygląda — powiedziała Joanna niesłuchanie przejęta. Z rozgłośni wyszedł wysoki facet w kapeluszu i rozejrzał się dookoła.

— To co teraz? — krzyknęła Janka okropnie zdenerwowana.

— Nie wiem — Joanna była co najmniej równie zdenerwowana. W tym samym momencie bliżej rozgłośni podjechała do chodnika taksówka, z której ktoś wysiadł. Wysoki osobnik w kapeluszu szybkim krokiem podszedł do taksówki i wsiadł.

— Za tą taksówką — krzyknęła Joanna. — Niech pan jej nie straci z oczu.

— Co mam stracić — powiedział obojętnie kierowca i ruszył.

— Co zrobisz jak podejdiesz?

— Szturchnę go palcem w plecy i powiem: „Ręce do góry”...

— Idiotka.

— No to wymyśl coś lepszego...

— Może go pani od razu zaprawić w globus parasolką — zaproponował kierowca. — To bardzo dobry sposób, ja tak raz dostałem...

— Doniesiesz teraz milicji? — spytała Janka przerażonym szeptem.

— Doniosę — odparła Joanna stanowczo. — Chyba doniosę — dodała z lekkim wahaniem. — Bo ja wiem... no, może doniosę... Zobaczę, jak się zachowa...

— Głupia jesteś, przecież w razie czego będziesz współniczką przestępstwa. Szpiegostwa...

— No dobrze, to doniosę. Niech ci będzie — powiedziała Joanna ponuro, a w głosie jej zadźwięczała nutka rozpacz. „Taki przystojny i musi być szpiegiem — pomyślała. — Trudno, sam sobie winien”.

— Przede wszystkim muszę mieć pewność, że to on — powiedziała Joanna po chwili, wpatrzona w jadącą przed nimi taksówkę.

— I muszę z nim porozmawiać... Nie zaraz, oczywiście.

— Jeżeli naprawdę jest szpiegiem, to się zorientuje, że wszystko wiesz, wykołuje cię i ukatrupi.

— To ty mnie pomścisz...

— Głupia.

— ...zresztą, będę dyplomatyczna...

Dojechali do rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, pierwsza taksówka zatrzymała się i osobnik wysiadł.

— Ty płąć, nie, ty czekaj — krzyknęła Joanna, również szybko wysiadając. Osobnik przeszedł na drugą stronę ulicy, a Joanna za nim. Była tak wpatrzona w jego plecy, że wpadła na jakiegoś faceta, cudem uniknęła przejechania przez samochód, a kiedy śledzony stanął przed wystawą sklepu z obuwem zatrzymała się tak gwałtownie, że ktoś wpadł na nią. Śledzony ruszył dalej szybkim krokiem i po chwili zniknął za rogiem. Joanna w obawie, że jej ucieknie, ruszyła biegiem i... wpadła prawie na niego tuż za rogiem. Nieznajomy postyszawszy jej kroki odwrócił się błyskawicznie. Joannę zamurowało. To nie był człowiek, którego szukała.

— Czego pani sobie ode mnie życzy? — zapytał chłodno. Joanna nie mogła wykrztusić słowa. Nieznajomy uśmiechnął się.

— Zdaje się, że nie jest pani fachowcem od śledzenia. Zauważyłem panią już dawno.

— Bardzo przepraszam, ale to straszna pomyłka — powiedziała wreszcie Joanna. — Ja pana wzięłam za kogoś innego...

Nieznajomy przyjrzał się jej z sympatią.

— Szkoda — powiedział — ale... — zaczął.

Ale Joanna nie czekała na dalszy ciąg. Odwróciła się na pięcie i odbiegła w stronę taksówki.

— To wcale nie on — powiedziała ze złością do stojącej obok wozu Janki — zrobiłaś ze mnie ostatnią idiotkę.

— Jak to! — krzyknęła Janka z oburzeniem. — A pies?

— Widocznie jest teraz urodzaj na czarne psy — westchnęła Joanna.

W pokoju, wyglądającym na skarbiec bankowy znajdowali się dyrektor banku, bardzo zdenerwowany kasjer, facet, który poprzednio przyjął pieniądze w depozyt i dwóch milicjantów. Kasjer wyjmował z worków paczki banknotów. Do pokoju wszedł strażnik.

— To ten — powiedział dyrektor.

— Opiszcie dokładnie samochód, który przywiózł ten transport — powiedział łagodnie milicjant do strażnika...

Dwaj panowie spacerowali wraz z resztą bandy w pokoiku pod warsztatem. Cienka warstwa pięćsetek szeleściła pod ich nogami. Chudy zbliżywszy się do Intelktualisty powiedział cicho:

— Czy może mi pan pożyczyć tysiąc złotych?

Tamten spojrzał na niego jak na wariata. — Co pan — mruknął.

— A pięćset?

— Teraz, przed pierwszym? — obruszył się zagadnięty.

— No to chociaż pięćdziesiąt.

Ale Intelktualista zamiast odpowiedzieć spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Co się stało?

— To przez tę małpę. Na telefony wydałem przeszło siedemset złotych.

— I co?

— Zostało do sprawdzenia jeszcze sto czterdzieści sześć numerów.

Intelktualista zamyślił się.

— Bo może trzeba inaczej...

— Jak? — zapytał Chudy ponuro.

— Trzeba wykorzystać to uszkodzenie — powiedział Intelktualista pod wpływem nagłego pomysłu i chwyciwszy Chudego za rękę ciągnął dalej:

— Umówi się pan z Honoratą, że będzie pan dzwonił podając się za Biuro Napraw. I oni wtedy odpowiedzą... no powiedzmy: tu klub astronautów. Zadzwoni pan na numer Centrali. Jeżeli nie będzie pomyłki, Honorata odpowie panu tak, jak się pan umówił, jeżeli połączy źle, to babka, której szukamy, poda panu swój numer, myśląc że pan jest z biura napraw.

— A jeżeli się połączę jeszcze z kimś innym?

— Wątpię. A zresztą pozna ją pan chyba po głosie. — Chudy rozpromienił się. — Panie, to genialne — i dodał z westchnieniem — gdyby pan to wcześniej wymyślił, starczyłoby mi do pierwszego.

Późnym popołudniem siedziały obie w łazience Joanny i jadły jajecznicę w ponurym milczeniu. Różne naczynia były poustawiane w wannie i na sedesie, na umywalni stała taca, a w miednicy leżała książka telefoniczna.

— Bo mówiłam ci, donieść milicji i spokój — powiedziała Janka z dezaprobatą.

— Głupia jesteś, co im powiemy? Że ja mam przeczucie, że facet jest szpiegiem? Jaki facet? Kto?

— Już oni go znajdują...

— Nie, nie oni, tylko ja. Zacięłam się. Pójdę do nich dopiero, jak będę im mogła podać jego nazwisko, adres i miejsce pracy.

— Denerwujesz mnie — powiedziała Janka z niesmakiem. — Daj mi jeszcze trochę herbaty, bo muszę pomyśleć.

— Myślenie szkodzi... — mruknęła Joanna. Wyszła z łazienki i z największym trudem dobrnęła do kuchni. Mieszkanie przedstawiało istny obraz nędzy i rozpacz, bo cały teren zajęli malarze. Nalała herbaty, przelazła przez pobjowisko, ale zanim dotarła do łazienki, zadzwonił telefon. Joanna uczyniła gwałtowny ruch, wyrzuciła szklankę w futrynę i popędziła do aparatu. Janka wyskoczyła z łazienki, potknęła się o jakąś kadełkę i z impetem wpadła do pokoju za nią.

— Słucham — powiedziała Joanna w napięciu.

— Dobry wieczór... — powiedział piękny, miękki głos. Joanna na moment zamarła, a potem zaczęła dawać Jance dziwne znaki.

— Dobry wieczór — powiedziała równocześnie bardzo godnie.

— Joanno, jeszcze raz chciałem panią bardzo przeprosić. Czy mógłbym to uczynić osobiście?

Joanna nie odpowiedziała, bo patrzyła na Jankę, która wykonywała wokół niej przedziwną pantomimę. Klepała się w czoło, machała rękami i czyniła takie ruchy, jakby zamierzała wydłubać sobie oczy. Joanna przyglądała się jej ze znakiem zapytania, wypisanym na twarzy. Głos w słuchawce westchnął ciężko.

— Czy pani się na mnie gniewa?

— Nie... Skądże.

Janka w rozpacz zasłoniła jej ręką mikrofon.

— Umów się z nim, kretynko, umów się z nim... — zasyczała wściekle.

— Gdzie, tu? — warknęła szeptem Joanna i szybko odsłoniła mikrofon, pokazując równocześnie wymownym gestem straszliwy, malarski chlew. Janka zaczęła się szarpać za włosy na głowie.

— Wcale się nie gniewam — powtórzyła Joanna i dodała w przypływie natchnienia. — Bardzo chętnie wysłucham pańskich wyjaśnień osobiście. Tylko może umówimy się na mieście, bo u mnie jest remont.

Obie z Janka kiwały sobie głowami tak, jakby te głowy miały im za chwilę odpaść.

— Gdzie pani sobie życzy...

— Gdzie ja sobie życzę? — spytała Joanna, patrząc pytająco na Jankę.

Janka zaczęła nagle robić coś dziwnego. Otwierała i zamykała ręce, zginając je tylko od łokci, a równocześnie kłapała zębami, od czasu do czasu stukając się także po zębach. Joanna patrzyła na nią z zainteresowaniem.

— Ja jestem do pani dyspozycji...

— Zęby? — powiedziała Joanna niepewnie. — Jest coś z zębami?...

— Słucham? Ma pani jakieś komplikacje z zębami?...

— Nie, nie, ja tylko tak myślę...

Janka postukała się palcem w czoło i dla odmiany zaczęła czynić ruchy z tyłu, nadal kłapiąc zębami.

— Ogon?... — powiedziała Joanna.

— Co takiego? Jaki ogon?

— Nic, nic, ja ciągle myślę... — i nagle pojęła. — Aha, krokodyl. Może w Krokodylu?

— Czy to nie za daleko? Będziemy mieli raczej mało czasu. Może gdzieś bliżej...

— Za daleko, mówi pan... Gdzieś bliżej...

Janka, która od chwili wymienienia Krokodyla nagle znieruchomiła, teraz znów nabrała nowego wigoru. Zaczęła przybierać jakieś dziwne, powłóczyste pozy, następnie, widząc całkowite niezrozumienie Joanny zaczęła się szarpać rękami za biust, rozprzestrzeniając potem ręce jak najszerzej i pokazując lampę. Joanna w osłupieniu patrzyła na Jankę i na lampę.

— A kiedy? — zapytała niepewnie, oszołomiona nieco tym dziwnym przedstawieniem.

— Kiedy pani sobie życzy.

Janka zawołała bezgłośnie „zaraz”.

— Zaraz sobie życzę. Jak najprędzej — powtórzyła Joanna. Janka wróciła do swej pantomimy.

— Świetnie. Więc może za pół godziny? — powiedział głośno.

— Za pół godziny? Dobrze, ale gdzie? Gdzieś blisko... Może w Świteziance?

Janka nagle zakończyła przedstawienie i wyczerpana padła na krzesło.

— Doskonale. Więc czekam na panią w Świteziance.

— Na litość boską, o co ci chodziło? — spytała ze zdumieniem odkładając słuchawkę i pędząc do szafy po sukienkę.

— No przecież właśnie o Świteziankę, oślisko. Żeby nie zrozumieć. Pokazywałam ci przecież wyraźnie, tak rzewnie i romantycznie...

— Ach, to miało być to?... Pomyliło ci się z Goplaną. A co to były te takie? — i powtórzyła ruch Janki szarpania za biust.

— Świtez tam jasne rozprzestrzenia łono.

Joanna nie zdążyła już na to odpowiedzieć, bo z przedpokoju rozległ się dźwięk dzwonka.

— Idź i zobacz kto to. Jeżeli malarze to ich wpuść — powiedziała wkładając sukienkę. Janka wyszła i po chwili w przedpokoju rozległy się ciężkie kroki i chrypliwy głos:

— No Feluś bierzem się. Dziś trza podgonić.

Joanna pośpiesznie skończyła się ubierać.

Nieznajomy siedział już przy stoliku, kiedy weszła, na jej widok uniósł się z krzesła z radosnym uśmiechem.

— Bardzo się spóźniłam? — spytała podając mu rękę.

— Najważniejsze, że pani jest — powiedział nie spuszczać z niej oczu. — Cieszę się, że mogę panią znów zobaczyć. — W jego głosie brzmiała szczerłość i Joannie zrobiło się ciepło na sercu.

„On chyba jednak nie jest szpiegiem — pomyślała — taki sympatyczny”... i usiadła na krześle, które jej podsunął. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że siedzi twarzą do sali, a on naprzeciwko niej dokładnie odwrócony plecami do Janki, która właśnie weszła do kawiarni i rozglądała się po sali. Chcąc ratować sytuację rzekła z najmilszym uśmiechem:

— Może woli pan siedzieć twarzą do sali.

Nieznajomy potrząsnął głową.

— Nie — powiedział stanowczo. — Nie obchodzą mnie inni. Przyszedłem tutaj tylko dla pani.

„Gdyby nie to głupie śledzenie, tobym się bardzo z tego cieszyła” pomyślała Joanna i spojrzała na Jankę, która dostrzegła ją już i pędziła w stronę stolika, który właśnie zwolnił się w pobliżu. Ale Jankę ubiegł jakiś dziarski młody człowiek i biedaczka z wyrazem zawodu na twarzy stanęła niezdecydowana w przejściu.

— Stanowczo źle na panią wpływam — westchnął Nieznajomy. — Zawsze w mojej obecności popada pani w jakąś melancholijną zadumę.

— To nie ma nic wspólnego z melancholią — roześmiała się.

— W takim razie nuda? To jeszcze gorzej — westchnął.

— Nuda też nie — zapewniła go patrząc mu w oczy. — Wie pan, o czym myślę? Że pan jest taki tajemniczy.

Nieznajomy spoważniał.

— Mam bardzo ważną i trudną sprawę do załatwienia — powiedział nie patrząc na Joannę — ale myślę, że wkrótce uda mi się ją zakończyć, o ile nie pojawią się nowe dodatkowe kłopoty.

— Nowe? — spytała Joanna patrząc badawczo. — To miał pan ostatnio jakieś kłopoty?

— Niestety tak.

— Czy wtedy, kiedy był pan u mnie ostatnio?

Nieznajomy uśmiechnął się. — Zadaje pani podchwytliwe pytania.

— Przepraszam — powiedziała z uśmiechem — już nie będę.

— Daję pani słowo, że we właściwym czasie wszystko pani opowiem. W tej chwili mogę pani powiedzieć tylko jedno: że cieszę się z tych kłopotów, bo dzięki nim poznałem panią. — Pochylił się ku niej z uśmiechem.

Janka spojrzała na nich i powiedziała do siebie ze zgrozą: — Idiotka, ona najwyraźniej go podrywa.

— Słucham? — zapytała przechodząca obok niej kelnerka.

— Pytałam, czy nie ma tu wolnego stolika — odparła przytomnie Janka.

— Właśnie się zwalnia. — Janka spojrzała we wskazanym przez kelnerkę kierunku. W drugim końcu sali jakaś para szykowała się do odejścia.

— Tak daleko? — mruknęła Janka.

— Jak to daleko? — oburzyła się kelnerka. — Blisko szatni, a zresztą innego nie ma i proszę nie stać w przejściu, bo zamówień nie mogę roznosić. — Odeszła mrucząc do siebie: — Daleko. — Janka raz jeszcze spojrzała w stronę Joanny, ale tamta nie dostrzegła jej nawet. Zajęta rozmową z Nieznajomym nie zwracała uwagi na to, co się dzieje dookoła. Janka ze złością odwróciła się i pomaszzerowała w stronę stolika. Położyła torebkę i zawróciła. Szła prosto w kierunku stolika Joanny rozglądając się jak człowiek, szukający kogoś. Raz po raz spoglądała na Nieznajomego, ale zawsze widziała tylko jego plecy. Wreszcie minęła ich stolik i zatrzymała się, żeby rozejrzeć się dookoła. W momencie gdy skierowała wzrok na Nieznajomego, ten odwrócił się w stronę kelnerki. Janka rzuciła się do przodu, by zobaczyć jego twarz, ale było już za późno. Kelnerka podeszła i zasłoniła go zupełnie. Janka wściekła wróciła do stolika. Usiadła i powiedziała ze złością do kelnerki:

— Małą kawę. I tort — zawołała za odchodzącą.

W mieszkaniu Joanny przeraźliwie dzwonił telefon.

— Nie mogę — powiedział jeden z malarzy. — Cholery dostanę. Dzwoni i dzwoni. Żeby ci tak nad trumną dzwoniło... — Zszedł z drabiny i podniósł słuchawkę.

— Halo.

— Tu Biuro Napraw — powiedział trochę niepewnie głos z tamtej strony. — Jaki to numer?

— A bo ja wiem? — powiedział malarz. — Chwileczkę. — Pochylił się i z trudem odczytał numer.

Chudy i Intelktualista stali w budce telefonicznej. Chudy trzymał słuchawkę.

— Dobra, dziękuję — powiedział i odwiesił ją. Minę miał bardzo niewyraźną.

— Co się stało? — zagadnął Intelktualista.

— Jakiś facet się odezwał.

— Może mąż.

— Zawsze odbierała sama.

— To może narzeczony. Trzeba zadzwonić później.

Janka skończyła tort, nie spuszczać oczu z siedzącej w kącie pary. Ale zobaczenie twarzy Nieznajomego było niemożliwością. Siedział pochylony ku Joannie zatopiony w rozmowie, wpatrzony tylko w nią. Joanna także zapomniała o całym świecie. Ten widok sprawił Jankę w taką złość, że wpakowała do ust resztkę tortu. Sięgnęła po papierosy i w tej chwili przyszła jej do głowy genialna myśl. Z papierosem w ręce ruszyła przez salę w stronę Nieznajomego.

Zatrzymała się na wysokości jego stolika i prawie zawołała:

— Przepraszam pana, czy ma pan może zapalki? Nieznajomy ani drgnął, ale za to siedzący obok starszy pan wstał i z szarmanterią pstryknął zapalniczką. Janka stała przez chwilę niezdecydowana, ale gdy starszy pan podsunął jej zapalniczkę prawie pod nos, zapaliła papierosa i mruknawszy: Dziękuję bardzo — wróciła na miejsce.

— Tam jest naprawdę pięknie. Musi pani to koniecznie zobaczyć — mówił Nieznajomy uśmiechając się do Joanny.

— Sama przecież się nie wybiorę — powiedziała potrząsając głową.

Nieznajomy wziął ją za rękę.

— A może pojedzie pani ze mną — popatrzył jej w oczy. — To byłaby piękna wycieczka.

— Zastanowię się — powiedziała Joanna z uśmiechem. — Na razie i tak pan jest zajęty.

— Ale wieczorem możemy się spotykać.

— Możemy — przyznała patrząc mu w oczy.

Telefon w mieszkaniu Joanny znowu zadzwonił. Malarz z wściekłością cisnął pędzel do wiadra. — Jeżeli to ten facet... — mruknął z groźbą w głosie. Dwoma palcami podniósł słuchawkę:

— Słucham.

— Tu Biuro Napraw, jaki to numer? — powiedział niski głos.

— Baranie — ryknął malarz — napraw swój telefon. Już czwarty raz tu dzwonisz ty...

Intelektualista trzymający słuchawkę przy uchu skrzywił się i sięgnął do widełek. Ze słuchawki dochodziły groźne, choć nieartykułowane ryki, które umilkły dopiero po jej odwieszeniu. Chudy spojrzął z niepokojem na swego towarzysza.

— Co się stało?

— Ta babka musi być na bardzo niskim poziomie, jeżeli ma takiego narzeczonego — powiedział z niesmakiem Intelektualista.

— Wie pan co? Zadzwonimy jutro.

Janka spojrzała i aż się uniosła z wrażenia. Nieznajomy i Joanna szli przejściem w kierunku szatni, prosto na jej stolik. Zajęci sobą, roześmiani, nie zauważyli, że Janka wpiła się wzrokiem w twarz Nieznajomego i odprowadziła go aż do drzwi, a kiedy wraz z Joanną znikli w szatni, rzuciła na stolik trzydzieści złotych i zerwała się z krzesła.

Przed domem Joanny zatrzymała się taksówka. Nieznajomy odprowadził Joannę do bramy.

Siedząc w drugiej taksówce, Janka z daleka obserwowała tę scenę. Nieznajomy pocałował Joannę w rękę, wszedł do taksówki i odjechał.

— Niech pan jedzie za nim — syknęła Janka do kierowcy.

Wóz ruszył ostro.

Joanna weszła do pokoju. Malarze siedzieli na dolnych szczeblach drabiny i palili papierosy.

— Już koniec? — zapytała Joanna i rozejrzała się po pokoju.

— Widzę, że nawet panowie sprzątnęli — powiedziała z zadowoleniem na widok jako tako zamiecionej podłogi.

— Czego to się dla pani inżynierowej po znajomości za pieniądze nie zrobi — mrugnął malarz.

— W takim razie pomóżcie mi panowie jeszcze żyrandol zawiesić.

— Dobra jest. Felek włącz na drabinę...

Janka leżała prawie na oparciu przedniego siedzenia i wpatrywała się w jadącą przed nimi taksówkę. Wozy dojeżdżały do ruchliwego skrzyżowania i zaczynało się robić tłoczno.

— Panie, niech go pan nie zgubi — jęknęła.

— Spokojna głowa — odparł taksówkarz.

W tej samej chwili skręcający tramwaj zmusił ich do zatrzymania się.

— Już koniec — jęknęła Janka z rozpaczą.

— Ja go widzę, pani będzie spokojna — odpowiedział kierowca nie okazując śladu zdenerwowania i ruszył pełnym gazem, bo tramwaj już przejechał, zapaliło się zielone światło. Janka pełna zwątpienia rozglądała się w poszukiwaniu ściganego wozu i nagle dostrzegła go wśród jadących przed nimi pojazdów.

— Jest, jest — zawołała. — Tam obok jasnego Wartburga.

Kierowca skinął spokojnie głową.

— Właśnie za nim jadę.

Zbliżyli się do niego i jechali tuż za nim.

Samochody przecięły skrzyżowanie i skręciły.

Przejechały obok parku.

Minęły nowoczesną budującą się dzielnicę.

Wjechały w małą uliczkę biegnącą wśród zniszczonych, rozwalających się domków.

Janka nie spuszczała oczu z jadącego przed nimi samochodu. W pewnej chwili tamten zapalił światło „Stop” i zajechał przed niewielki baraczek.

Kierowca Janki zatrzymał wóz. Janka przylepiła twarz do szyby. Samochód Nieznajomego stał nieruchomo. Nikt nie wysiadał. Janka z napięciem wpatrywała się weń. Nagle drzwi wozu otworzyły się i wysiadła tęga, wysoka kobieta, a za nią czworo drobnych dzieci. Wszyscy weszli do baraczku. Janka spojrzała na kierowcę. Ten podrapał się w głowę.

— Cholera — mruknął z podziwem.

Joanna siedziała w pracowni tak głęboko zamyślona, że nawet nie zauważyła, co robi. Na pięknie wykreślonej elewacji budynku rysowała jakieś przedziwne ozdoby w kierunku poziomym i pionowym. Przeważały wśród nich wynaturzone kwiatki. To miłe zajęcie przerwał jej telefon.

— Do ciebie — powiedział Wiesio i podał jej słuchawkę.

— To ty? — zawołała okropnie zdenerwowana Janka po drugiej stronie. — Słuchaj, on wszedł przed chwilą do szaletu miejskiego na Wareckiej...

Osobliwa informacja podziałała na zamyśloną Joannę jak ostroga na rasowego konia. Zerwała się z miejsca.

— Skąd dzwonicz?

Po stronie Janki rozległ się jakiś dziwny dźwięk i zapanowało milczenie. Po chwili Joanna usłyszała przedziwną odpowiedź.

— Góra jednak źle wyszła — powiedziała Janka słabym głosem.

Joannę na moment zamurowało.

— Oszalałaś? — spytała Joanna.

Po drugiej stronie przewodu nieszczęsna Janka stała zmartwiała ze słuchawką w ręce, usiłując nie patrzeć na osobnika, który wszedł przed chwilą i stanął obok niej, wyraźnie czekając, kiedy będzie mógł zadzwonić.

— Wykluczone, to się nie da poprawić — powiedziała z determinacją.

Joanna trwała przy telefonie doszczętnie skołowana, usiłując odgadnąć, o co, u diabła, może Jance chodzić. Oczyma duszy widziała siebie, stróżującą na oślep przed szaletem na Wareckiej, aż nagle spłynęło na nią natchnienie.

— Czekaj, już wiem. Nie możesz mówić? Janka odetchnęła z najwyższą ulgą.

— Oczywiście, ty masz jakieś zaciemnienie...

— Dlaczego?... Czekaj, wiem, muszę zgadnąć... Ktoś słucha.

— Tak i to jest właśnie ten zasadniczy element...

— Co? On sam?... On tam stoi koło ciebie?...

— Aha.

— O rany boskie, gdzie ty możesz być? Czekaj, zaraz dojdę... W szalecie na Wareckiej... Nigdzie daleko nie leciałaś... gdzie tam są telefony? W budce by koło ciebie nie stał, w sklepie nie ma... W Instytucie Spraw Międzynarodowych?

— Tak.

— A cóż on tam robi?

— Czeka... czeka, aż ja jej przyniosę podszewkę.

— Idź do diabła z tą podszewką, nie mąc mi w głowie. Na co on czeka?

— To przeze mnie...

— Ach, on chce dzwonić? Rozmawiasz z portierni?... To słuchaj. Ja teraz odłożę słuchawkę, a ty mów dalej. Głędź byle co, żeby musiał długo czekać. Zaraz tam będę.

Rzuciła słuchawkę i wypadła z biura, złapawszy po drodze część swoich rzeczy.

W portierni do nieprzytomności zdenerwowana Janka jękając się mówiła do telefonu:

— Żakiet ma na górze takie zmarszczki w poprzek i pod spodem szew, taki karczek, a na spódnicy kontrafałdy. A w środku jest pliska... I kokardki... A pośrodku takie nieduże fałbanki, a z boku zaprasowane...

Chwilami spoglądała z ukosa na czekającego obok faceta i zarówno głos, jak i władze umysłowe odmawiały jej posłuszeństwa.

— I te takie... ona mi zrobiła... Aha, guziki. Takie mnóstwo, mnóstwo guzików... Wszędzie guziki...

Stojący obok osobnik zaczął jej się przyglądać z nieopisanym zdumieniem...

Nie mogąc złapać żadnej taksówki Joanna przebyła całą trasę biegiem. W drzwiach Instytutu okropnie zdyszana wpadła na Jankę.

— No? Gdzie?...

— O Boże, rok jechałaś albo szłaś tyłem i na czworakach. Wyszedł.

— Idiotka. Trzeba go było zatrzymać.

— Jak? Stanąć we drzwiach i krzyknąć, po moim trupie?

— Nie wiem. Podstawić mu nogę. Zemdleć. Cokolwiek.

— Nie potrzeba, ja byłam bardzo mądra. Pomyślałam sobie, że żaden mężczyzna nie zniesie wysłuchiwania takich głupot, on się może zniescierpliwzić i pójść, więc pozwoliłam mu zadzwonić...

— I co mówił?

— Szalenie ciekawe rzeczy. Powiedział: „Centrala? Dajcie mi dwadzieścia...”

— O Boże... — szepnęła wstrząśnięta Joanna, słuchając z nabożeństwem.

— No właśnie. Potem spytał: „Co nowego?” A potem powiedział: „To ja zaraz tam będę” i poszedł.

— I nie poszłaś za nim?

— Po co, podejrzałam, co kręcił. Tu masz ten numer... Z przejęciem zaczęły oglądać świstek papieru.

— Jedziesz? — spytała Joanna.

— Dokąd?

— Do mnie. Zadzwonimy tam.

— Muszę wrócić do roboty — powiedziała Janka z żalem.

— Wpadnę do ciebie później i dowiem się, co było. — To powiedziawszy rzuciła się w stronę przystanku, bo właśnie nadjeżdżał autobus.

Joanna wpadła do pokoju i rzuciła się do telefonu. Gorączkowo wykręciła numer. Rozległ się sygnał „zajęte”. Rozczarowana odłożyła słuchawkę i usiadła.

Po chwili zadzwonił telefon.

— Słucham? — powiedziała.

— Tu Biuro Napraw, jaki to numer? — Joanna nic nie podejrzewając podała numer.

Twarz Chudego promieniała szczęściem. Powiedział „dziękuję” i odwiesił słuchawkę. Stojący obok niego Intelktualista stwierdził z przekonaniem:

— Ona. — Chudy potwierdził skinieniem głowy.

— Trzeba jeszcze raz sprawdzić — powiedział Intelktualista.

— Po co?

— Żeby mieć pewność. Tylko trzeba powiedzieć coś innego.

Joanna kręciła ostatnie dwie cyfry numeru Nieznajomego. Znów rozległ się sygnał „zajęte”. Ze złością odłożyła słuchawkę. Siedziała wpatrzona w aparat. Dwukrotnie sięgnęła ręką do słuchawki i dwukrotnie cofała ją.

Nagle telefon zadzwonił.

— Słucham? — powiedziała.

— Centrala? — zabrzmiał ostry głos.

— Tak — odpowiedziała bez namysłu.

— Kto mówi?

— Honorata...

— Kiedy wymiana?

— O piętnastej szesnaście...

Intelktualista odłożył słuchawkę.

— Teraz nie mamy wątpliwości — powiedział do Chudego.

Obaj wyszli z budki.

Joanna ponownie wykręciła numer.

— Słucham, Centrala — rozległ się męski głos. Joanna na chwilę zaniemówiła, a potem zawołała.

— Dajcie mi Dwadzieścia.

— Łączę.

Joanna czekała w napięciu. Po chwili rozległ się głos Nieznajomego.

— Słucham?

— Dzień dobry, szefie — powiedziała słodko.

— Kto mówi? — padło ostre pytanie.

— Powiedziałam, że wymiana o piętnastej szesnastce. Czy dobrze zrobiłam?

Zapadła chwila ciszy, potem Nieznajomy zapytał:

— To pani Joanna?

— Tak — odparła beztrąsko. Znowu nastąpiła mała pauza.

— Pani Joanno — powiedział Nieznajomy tym razem z prośbą w głosie — bardzo panią proszę, niech pani nie miesza się do tych spraw. To grozi bardzo poważnymi konsekwencjami.

— To świetnie — ucieszyła się Joanna — uwielbiam niebezpieczeństwa.

— Ale pani sobie nie zdaje sprawy... Joanno, na wszystko panią proszę, niech pani się w to nie miesza.

— Wykluczone — odparła stanowczo.

— Dobrze — powiedział bardzo poważnie — w takim razie przyjdę dziś do pani i wszystko wyjaśnię. Ale do tego czasu proszę o tej sprawie zapomnieć. Zgoda?

— Wszystko pan wyjaśni? — upewniła się. — Dzisiaj?

— Tak.

— Kiedy?

— Za kilka godzin. Proszę na mnie czekać w domu. I powtarzam, nic w tej sprawie nie robić. Zgoda?

— Zgoda.

— To do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę z rozpromienioną twarzą.

— Ukatrupić — powiedział stanowczo Kierowca. — Pójść do niej i ukatrupić. — Dokoła niego zebrali się wszyscy członkowie bandy. Kasjer spojrzał na mówiącego z odrazą.

— Nie rozumiem, dlaczego został pan kierowcą, a nie na przykład rzeźnikiem — wykrzyknął i zwracając się do stojącego obok Eleganta dodał: — Choć jako kierowca też ma dosyć okazji...

Elegant zareagował na to uniesieniem brwi i powiedział do siebie:

— Jeżeli ładna, to szkoda zabijać.

— Panowie, nie możemy narażać się na dodatkowe niebezpieczeństwo — odezwał się Intelektualista. — Musimy ją usunąć, ale nie „ukatrupić”, a upozorować samobójstwo. Uśpić i odkręcić gaz lub coś w tym rodzaju.

— A ja proponuję, żeby ją przywieźć tutaj i potem zastanowić się. Tu nie będzie groźna, a nie będziemy musieli tak szybko się decydować — powiedział Elegant.

— Ukatrupić — upierał się Kierowca. Kasjer zerwał się z miejsca.

— Panowie, uspokójcie go, przecież to kompletny prymityw.

Kierowca skoczył ku niemu. — Ty, zamknij pysk, bo cię ukatrupię.

— No, proszę mnie też... widzicie panowie. — Kasjer rozłożył ręce bezradnie.

— Cisza — ryknął Chudy. — Musimy ją załatwić. Najlepszy jest projekt Intelektualisty.

— Jedziemy we trzech, ja, projektodawca i Elegant. Reszta czeka tutaj.

Wstał. Dwaj pozostali również.

Zrobiona na bóstwo doskonale Joanna usiłowała umieścić z jakimś sensem przedłużacz od lampy, rozciągnięty na kształt węża w pokoju i zupełnie jej się to nie udawało. Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi. Zostawiła przedłużacz i poszła otworzyć, usiłując ukryć podniecenie.

Za drzwiami stał Chudy.

— Ja z administracji — powiedział trochę niepewnie. — Sprawdzamy kontakty...

— Jakie kontakty? — spytała Joanna tknięta nagłą myślą.

— Elektryczne.

— Proszę, niech pan wejdzie. Z nieba mi pan spadł!

Chudy spojrział na nią zdumiony, a Joanna szybko zamknęła drzwi tylko na klamkę i wskazała pokój.

— Proszę, proszę...

Odwróciła się i weszła przed nim. Chudy, idąc za nią, zaczął podnosić do góry teczkę, którą trzymał w ręku z zamiarem opuszczenia jej, tej teczki, gwałtownie na głowę, ale Joanna znów odwróciła się do niego. Chudy nie zdążył ukryć swojego ruchu i chcąc go zatuszować podrzucił teczkę kilkakrotnie, jakby się nią bawił.

— Ostrożnie — powiedziała Joanna. — Niech się pan nie przewróci przez ten sznurek. Widzi pan? Gniazdko mi się zepsuło, niech pan coś z tym zrobi.

— Które gniazdko? — spytał Chudy.

— A o, to — Joanna przesunęła krzesło i odwróciła się. Chudy szybko wyjął z teczki wielki klucz francuski. Joanna odwróciła się do niego.

— Potrafi pan? — spytała z niepokojem.

— Oczywiście, tego... zaraz się zrobi.

— Tym? — spytała Joanna, spoglądając na klucz, którego Chudy nie zdążył schować.

— Co?... A, nie, właśnie, tego... szukam śrubokrętu...

— Tylko prędko, proszę pana, na litość boską! Niech się pan pośpieszy!

Chudy zawahał się niepewnie, ale Joanna stała nad nim jak kat nad dobrą duszą. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko przykucnąć przy gniazdku. Szybko zaczął odkręcać, spoglądając co chwilę na Joannę.

Na tapczanie obok leżał szal Joanny. W chwili kiedy się odwróciła. Chudy chwycił ten szal i uczynił ruch, zmierzający do zarzucenia go jej na głowę, ale zdenerwowana Joanna, która nie mogła spokojnie ustać w miejscu, znów zwróciła się do niego.

— Może panu coś jest potrzebne?

— A nie... ja mam... piękna rzecz... — powiedział Chudy, niemrawo bawiąc się szalem.
— Gdzie pani to kupiła?

— Dostałam w prezencie. Bardzo twarzowe, to prawda, ma pan dobry gust. To co z tym gniazdkiem?

— Zaraz będzie — mruknął Chudy ponuro i zabrał się do roboty. W ciągu kilku minut gniazdko było gotowe. Joanna przełączyła lampę. W ciemności, która zapanowała na chwilę Chudy gwałtownie usiłował znaleźć swój klucz francuski, ale nie zdążył. Joanna uszczęśliwiona wskazała żyrandol.

— Niech pan popatrzy — powiedziała i zamrugała światłem. — Tak mi przerywa. Niech pan coś z tym zrobi, dobrze? Tylko prędko!...

— No to na coś trzeba wejść — powiedział Chudy niechętnie, zadzierając głowę do żyrandola.

— Zaraz panu przyniosę...

Chudy zaczął się przy drzwiach, ale Joanna zamiast wejść z powrotem do pokoju, zawołała:

— Niech pan tu pozwoli na chwilę!...

Wrócili do pokoju razem, zgodnie niosąc stół i stolnicę. Joanna ustawiła stolnicę na stołku, na stolnicy postawiła krzesło i gestem wskazała rusztowanie.

— Da pan sobie jakoś radę?

Chudy rozejrzał się ponuro, przysunął sobie drugie krzesło i z trudem wlaź na górę. Joanna stała w dole coraz bardziej zniecierpliwiona i przyglądała się jego poczynaniom. Chudy zaczął dłużyć w żyrandolu.

— Tu coś jest, z tej strony — powiedziała Joanna. — Niech pan zobaczy, przy tym ramieniu tak wygląda, jakby się coś oblużowało i pewnie się nie styka, albo co...

— Gdzie? — spytał Chudy...

— A o, tu! Nie, nie tu! Tam!...

Chudy macał rękami dookoła żyrandola z trudem utrzymując równowagę. Joanna się zniecierpliwiła.

— O Boże, nie tu! Obok! Zaraz panu pokażę!...

Biegiem przyniosła szczotkę do zmiatania i trzonkiem zaczęła trafiać w wątpliwe miejsce. Chudy przyglądał się temu z zainteresowaniem, przykucając nieco i usiłując zajrzeć pod spód żyrandola. Joanna stuknęła mocniej, szczotka kiwnęła się w jej rękę i trafiła Chudego w głowę. Ten zachwiał się, stracił równowagę, chwycił żyrandol i razem z nim runął na podłogę.

Dwaj panowie, stojący za drzwiami przejści i zaniepokojeni, usłyszeli wewnątrz mieszkania straszliwy rumor. Drgnęli i spojrzeli na siebie.

— Słyszysz pan? — szepnął Intelktualista. — Zdaje się, że użył siły.

Elegant pokiwał głową.

Okropnie zdenerwowana Joanna usiłowała ratować Chudego, który już otworzył oczy i leżał na ziemi wśród szczątków żyrandola.

— Niech pan zaczeka, przyniosę wody!... Albo nie! Koniaku!... — otworzyła górne drzwiczki szafki, zajrzała do środka, otworzyła dolne, wyciągnęła butelkę, wyprostowała się gwałtownie i z całej siły huknęła głową w otwarte górne drzwiczki. Chudy zdążył jeszcze chwycić z jej rąk butelkę...

Przed czekającymi na schodach panami otwarły się wreszcie drzwi i Chudy wpuścił ich do środka. Weszli do pokoju i zamarli na widok obrazu zniszczenia i nieprzytomnej Joanny.

— Nie udało się podstępem? — spytał zatroskany Intelktualista. Chudy potrząsnął głową.

— Broniła się jak diabli!...

— Równa babka — powiedział z uznaniem Elegant i podszedł do leżącej. — Jaka ładna! — dodał ze zdumieniem. Potem spojrział na Chudego.

— Ale wersja samobójstwa odpada. Nikt nie uwierzy, że się stuknęła w głowę, a potem odkręciła gaz.

— Niestety — westchnął Intelktualista.

— Zabieramy ją do nas?

— Tak — powiedział Chudy i rozejrzał się po pokoju. — Tak jej nie wyniesiemy...

Elegant schylił się i podniósł róg dywanu.

— W tym?...

Chudy też się schylił. We trzech zawinęli Joannę w dywan i ponieśli w stronę drzwi. Ale rulon nie mieścił się w drzwiach.

— Do cholery z tym nowym budownictwem! — rozzłościł się Chudy.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi. Na trzech panów padł popłoch.

— Nie otwierać! — szepnął Chudy.

— A kto zamykał? — spytał Intelktualista. Wszyscy trzej spojrzeli na siebie. Potem jak na komendę schowali się za szafę. Był już najwyższy czas, bo klamka drzwi wejściowych poruszyła się i weszła zdziwiona Janka.

— Joanna, gdzie jesteś? — zawołała wchodząc do kuchni. Trzej panowie skorzystali z tej okazji i rzucili się do drzwi. Janka wyskoczyła z kuchni, śmiertelnie wystraszona wyjrzała na schody, zatrzasnęła drzwi i popędziła do pokoju.

— Joanna! — zawołała z rozpaczą. — Gdzie jesteś?!!!

Zwinięty dywan nagle poruszył się i zaczął toczyć w jej kierunku. Janka z wrzaskiem wskoczyła na najbliższe krzesło. Dywan rozwinął się i Joanna trzymając się za głowę usiadła na podłodze.

— Gdzie oni są? — spytała z wściekłością.

— Kto?

— Jego ludzie! Chcieli mnie porwać!

— Uciekli przed chwilą! Dzwon na milicję!

— Ty dzwoni, a ja ich dogonię! — krzyknęła Joanna i wypadła z pokoju.

— Rany boskie, wariatka! Joanna, oni cię zabiją!... Milicja!...

Janka rzuciła się do telefonu.

W samochodzie zaparkowanym opodal Chudy i jego dwaj wspólnicy gorączkowo rozważali sytuację.

— Zaczekamy tu, może się trafi okazja — powiedział Chudy.

— Co pan oszalał? — zaprotestował Intelktualista. — Ona już na pewno wezwała milicję!

— To co robimy?...

— Cholera wie... — mruknął Elegant.

Nadjechał jakiś samochód i oświetlił ich zdenerwowane twarze.

Joanna wybiegła z bramy i zobaczyła oddalający się samochód i drugi, stojący blisko z wygaszonymi światłami. Bez namysłu dopadła go i otworzyła drzwiczki.

— Panie, niech pan jedzie za tamtym wozem! Prędko! — krzyknęła. W tym samym momencie dwie potężne łapy zasłoniły jej usta.

— Mówiłem, że się trafi okazja — powiedział Chudy z triumfem. Samochód ruszył.

Trzęsącymi się rękami Janka usiłowała wykręcić numer milicji, ze zdenerwowania nie mogąc trafić we właściwe cyfry. Wreszcie coś wykręciła.

— Proszę pana — krzyknęła do kogoś. — Tu był napad przed chwilą! Moją przyjaciółkę chcą zamordować!

— To niech pani zadzwoni do milicji! — odkrzyknął tamten ktoś.

— A to nie milicja?! O Boże!...

W chwili kiedy znów zaczęła kręcić, rozległ się dzwonek u drzwi. Janka zmartwiała. Delikatnie odłożyła słuchawkę, na palcach przeszła do kuchni i wzięła do ręki tłuczek do mięsa. Dzwonek rozległ się jeszcze raz, następnie ktoś poruszył klamką i drzwi otworzyły się.

Tajemniczy Nieznajomy wszedł, a oko jego padło wprost na Jankę, stojącą w kuchennych drzwiach z tłuczkiem do mięsa w ręku i zastygł nieruchomo. Przez długą chwilę trwali tak obydwój, przyglądając się sobie wzajemnie.

— Jeżeli uczyni pan jeden krok w moją stronę, zaprawię pana tym tłuczkiem — powiedziała Janka z rozpaczliwą determinacją. — Mam zamiar jeszcze trochę pożyć!

— Gdzie Joanna? — spytał na to ostro.

Jankę natychmiast wyraźnie szlag trafił.

— Mnie się pan pyta?! Chyba pan najlepiej wie! To jest podstępne świństwo! Pańscy ludzie ją napadli, a pan mi tu zadaje głupie pytania!...

— Jacy ludzie? — spytał z niepokojem. — Co to znaczy?

— Ludzie z pańskiej bandy! Ja ich spłoszyłam, a ta idiotka za nimi poleciała!

— Kiedy?! — krzyknął w zdenerwowaniu.

— Przed chwilą! Jeszcze pan za nimi zdąży! Do diabła, pan jest ich szefem, przysięgam, że nikomu nic nie powiemy, tylko niech pan teraz coś zrobi!!!...

Nieznajomy wypadł z mieszkania. Janka z tłuczkiem w ręku czym prędzej zamknęła za nim drzwi i znów rzuciła się do telefonu...

Do pokoiku pod warsztatem Intelktualista i Elegant wnieśli Joannę związaną krawatami i zakneblowaną chustką do nosa. Położyli ją na rozsypanych na podłodze pięćsetkach. Elegant, udając, że poprawia jej knebel, szepnął:

— Jak będziesz grzeczna, to ci się nic nie stanie.

— Co teraz zrobimy? — spytał, prostując się.

— Zaczekamy, co powie szef — odparł Intelktualista.

Wszyscy spojrzeli po sobie w milczeniu, tylko Kierowca bez namysłu wyjął z kieszeni duży klucz francuski.

— Ukatrupimy! — powiedział i ruszył ku leżącej.

Kasjer zastąpił mu drogę.

— Panowie, zatrzymajcie tego bandytę, bo narobi nieszczęścia!

— Kto jest bandytą, ty gnojku! — wrzasnął Kierowca i potężnym ciosem powalił go na ziemię. Stojący obok Intelktualista wyrwał mu klucz i odrzucił w kąt pokoju.

— Panowie, spokojnie, bo... — nie zdążył dokończyć, bo pięść Kierowcy wylądowała na jego szczęce, powodując klasyczny knock out. W tym momencie na schodach ukazał się Chudy, wołając:

— Szef zaraz tu będzie!...

Widząc co się dzieje, dopadł Kierowcy i potężnym ciosem w szczękę odrzucił go na ścianę.

— Mówiłem, żeby nie było bójek — powiedział groźnie i pochylił się nad leżącym Intelktualistą. Ale Kierowca zebrał siły i z rozpędem runął na Chudego, rozciągając go na ziemi. Potem wstał i chwiejnym krokiem podszedł do Joanny.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się z przerażenia. Kierowca pochylił się i sięgnął do jej szyi, ale w tej samej chwili Elegant, który dotychczas nie brał udziału w walce, podniósł porzucony w kącie klucz francuski i z rozmachem stuknął Kierowcę. Ten upadł bez jęku. Elegant rozejrzał się po pokoju.

— Idioci — powiedział — nie wiedzą, jak zmusić kobietę do milczenia. Wyjął z kieszeni duży sprężynowy nóż i otworzył go z trzaskiem. Joanna poruszyła się przerażona, a z jej ust wydobył się głuchy jęk. Elegant pochylił się nad nią i... przeciął krawaty, którymi była skępowana. Potem ją wziął łagodnie za ramiona i mówiąc: — Moje biedactwo... — pocałował namiętnie.

Joanna szarpnęła się i wyswobodziła z jego objęć, a potem dysząc z oburzeniem wymierzyła mu potężny policzek.

Pod Elegantem ugięły się nogi i osunął się bezwładnie na ziemię.

Joanna została sama na pobojuwisku. Spojrzała na leżących. Kierowca poruszył się z jękiem. Joanna zdjęła pantofel i, celując dokładnie, stuknęła go obcasem w głowę. Kierowca uspokoił się.

Nagle na górze rozległy się kroki.

Joanna rozejrzała się w poszukiwaniu kryjówki i skoczyła do mrocznej wnęki pod schodami. Niestety, nie zauważyła wystającej ze ściany belki podtrzymującej schody. Rozległ się głośny stuk i Joanna osunęła się na ziemię.

Tymczasem do pokoju wpadł Nieznajomy, a za nim trzech milicjantów w mundurach. Zatrzymali się u podnóża schodów.

— Dobra robota, panie kapitanie — powiedział z uznaniem w głosie sierżant.

— Ktoś nas wyręczył — przyznał Nieznajomy i rozejrzał się po pokoju. — Ale gdzie ona jest? — powiedział z niepokojem.

Kierowca poruszył się z jękiem. Nieznajomy szybko założył mu kajdanki, a milicjanci zrobili to samo z pozostałymi.

— Sierzancie — rozkazał Nieznajomy — weźcie ludzi i przeszukajcie warsztat. Może tam jest drugie pomieszczenie. Ja wypytam tego faceta — wskazał na przychodzącego do przytomności Kierowcę.

Sierżant bez słowa pobiegł na górę. Milicjanci za nim.

Kapitan pochylił się nad Kierowcą.

— Halo! — powiedział potrząsając nim.

Joanna otworzyła oczy. Usłyszała „halo” i zobaczyła Nieznajomego pochylonego nad leżącym Kierowcą. Wzięła pantofel i skradając się stanęła tuż za nie spodziewającym się niczego kapitanem. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła go w głowę. Kapitan bez słowa wyładował obok Kierowcy.

— Zachciało ci się napadać na bezbronną kobietę — powiedziała groźnie.

Nieznajomy leżał nieruchomo. Joanna przyjrzała mu się uważnie. Nie dawał znaku życia.

„Rany boskie, chyba go za mocno stuknęłam” — szepnęła do siebie. Z rozpaczą rozejrzała się dookoła. Uklękła, położyła jego głowę na swoich kolanach i zaczęła go gładzić po policzku.

Na górze rozległy się jakieś hałasy i po chwili na schodach pojawił się sierżant, wołając:

— Obywatelu kapitanie... — i urwał, widząc Joannę i kapitana z głową opartą na jej kolanach.

— Co się... Co... skąd?... — jęknął zaskoczony.

— Zakręciło mi się w głowie — powiedział kapitan, siadając.

Joanna patrzyła na niego w osłupieniu.

— Święci pańscy! A ja cały czas pana podejrzewałam!...

— A ja panią, ale nie przez cały czas — przerwał jej kapitan. — Przeszukajcie szafę pod ścianą! — zawołał do sierżanta, podrywając się gwałtownie, przy czym syknął i chwycił się za głowę. Joanna, pełna wyrzutów sumienia, ujęła jego twarz w dłoń.

— Bardzo boli? — spytała ze skruchą.

— Teraz już nie — uśmiechnął się, patrząc jej w oczy. Nagły okrzyk sierżanta przerwał tę czułą scenę i zmusił ich do odwrócenia głowy.

Szafa była wypełniona paczkami dolarów...

— Bandę śledziliśmy już od dłuższego czasu — mówił kapitan, siedząc obok Joanny w jej pokoju na tapczanie — ale nie mogliśmy wpaść na trop Centrali. Dopiero jak Osiemnastka zadzwonił do ciebie, włączyłem się na podsłuch.

— Nasłuchałeś się ciekawych rzeczy — uśmiechnęła się Joanna.

— I co, zaczęłaś podejrzewać mnie?

— Tylko do chwili, kiedy podałaś mi słuchawkę, żebym odegrał rolę szefa — odparł kapitan. — Ale to twoja wina. Gdybyś od początku mówiła „pomyłka” uniknęłabyś kłopotów.

— Ale sam widzisz, ile bym straciła — powiedziała, przytulając się do niego. — Na szczęście żadna banda już nie zadzwoni...

Telefon zadzwonił w momencie, gdy się całowali. Joanna na oślep sięgnęła po słuchawkę.

— Słucham?...

— Joanna? — odezwał się znajomy głos. — Tu Janusz...

— Ach, to ty? — powiedziała z roztargnieniem. — Jak się masz?

— Może masz ochotę na małą kawę?

— Och, nie... wiesz... zupełnie nie mam czasu...

— To może kiedy indziej?...

— Nie... nie wiem... chyba nie...

— Czy ja ci przypadkiem nie przeszkadzam?

— Nie, skąd!... — odparła takim tonem, że nie można było mieć co do tego żadnych wątpliwości. Widocznie tamten nie miał, bo powiedział:

— Przepraszam...

I wyłączył się. Joanna odłożyła słuchawkę obok aparatu i wróciła do przerwanej czynności.

Janusz odłożył słuchawkę i podszedł do leżącej na łóżku otwartej walizki. Wrzucił do niej piżamę, dwie koszule, skarpetki, gdy dzwonek telefonu oderwał go od pakowania.

— Słucham?

— Szefie — zabrzmiało w słuchawce.

Janusz drgnął.

— Kto mówi? — spytał ostro.

— Honorata...

— Dlaczego pani dzwoni — powiedział gniewnie. — Przecież mówiłem, żadnych telefonów!...

— Tak jest, szefie — powiedziała Honorata ze skruchą w głosie.

— Ale stało się coś bardzo ważnego...

— Co?

Honorata zawahała się. Spojrzała w górę i ciągnęła dalej:

— Nie mogę mówić przez telefon. Musi pan tu zaraz przyjść...

— Dobrze...

— To czekam...

Odłożyła słuchawkę i znów spojrzała w górę na sierżanta, który w towarzystwie milicjanta stał obok jej krzesła...

KLIN

CZEŚĆ PIERWSZA

Wszystko, cokolwiek zdarzyło się potem, było wynikiem uczuć, jakie miotają mną przez cały wieczór. Byłam wściekła. Byłam nieszczęśliwa. Byłam śmiertelnie obrażona i śmiertelnie zakochana. Na zmianę wpadałam w czarną rozpacz albo w radosną nadzieję. Ale radosna nadzieja błyskawicznie gasła, a czarna rozpacz trwała.

Trzeci dzień czekałam na telefon.

Nie dało się już dłużej oszukiwać. Jeżeli do tej pory nie zadzwonił, to już nie zadzwoni. A nawet jeśli zadzwoni jutro albo pojutrze, to też nic nie pomoże. Wszystko jest rozpaczliwie jasne. Gdyby mu chociaż odrobinę na mnie zależało, toby zadzwonił natychmiast po przyjeździe. Albo przynajmniej następnego dnia! Ale nie trzy dni, nie trzy okropne dni, przez które z godziny na godzinę coraz bardziej nikt nadzieja i coraz wyraźniej widać, że mu na mnie, niestety, zupełnie nie zależy.

Siedziałam na tapczanie z podwiniętymi nogami, oparta o poduszki, paliłam potworne ilości papierosów i wzrokiem pełnym nienawiści wpatrywałam się w milczący telefon. Usiłowałam myśleć, ale to mi się zupełnie nie udawało. A dla ukoronowania wszystkiego w kłębiące się w mojej duszy uczucia wtrącało się jeszcze niekiedy sumienie, cicho i nieśmiało przypominające, że miałam pisać artykuł, a nie przeżywać wstrząsy sercowe.

„Estetyka wewnątrz wpływa...” Na co wpływa estetyka wewnątrz? Gdzie on teraz jest? Może jeszcze ciągle z wizytą u tych ludzi? No, to istotnie nie może dzwonić... „...Na podniesienie poziomu kulturalnego...” Pokój trzysta trzydzieści sześć... Bo jeżeli już wrócił i jest u siebie, w hotelu, i nie dzwoni? Dlaczego estetyka wewnątrz wpływa na podniesienie poziomu kulturalnego? O mój Boże, co mnie to obchodzi. Pokój trzysta trzydzieści sześć... Przecież nie zadzwonię, żeby sprawdzić, czy już wrócił, bo pozna mój głos. Nie, tak nisko jeszcze nie upadłam. Jak się dowiedzieć? Jak się dowiedzieć? Przecież ja go chyba już teraz nienawidzę?...

Centrala w hotelu zna mój głos. Cała recepcja zna mój głos. Nie, nie mogę, nie zadzwonię. „Wnętrze powinno być opracowane z myślą o zaspokojeniu potrzeb”. Zaraz, jakich potrzeb? Wszystko jedno, różnych. A gdyby tak ktoś inny?... Może zadzwonić ktokolwiek, byle nie ja. Poprosić ten pokój i sprawdzić, czy się odezwie. I już wtedy będę wiedziała! Genialne, tylko kto? I niech zada byle jakie pytanie, żeby to wyglądało prawdopodobnie, żeby nie pomyślał, że to ja sprawdzani. Niech zapyta, czy tam nie ma na futrynie drzwiowej zapisanego numeru telefonu, bo znajomy, który tam mieszkał trzy tygodnie temu, zapisał pewien numer telefonu właśnie na futrynie, taki miał głupi zwyczaj... To przecież zupełnie możliwe, ludzie mają nieprawdopodobne pomysły z zapisywaniem numerów telefonicznych...

Sięgnęłam po słuchawkę, w zdenerwowaniu pomyliłam się dwukrotnie, kręcąc numer i słuchając sygnału, modliłam się: Halina, bądź w domu, bądź w domu...

Do Haliny nie dzwoniłam już co najmniej przez cztery miesiące, ale jakież to miało znaczenie! To była jedyna z moich przyjaciółek, nadająca się do wykorzystania w tej sytuacji poza Janka, której nie było w domu... Halina, bądź w domu...

Była w domu. Bardzo się ucieszyła, usłyszawszy mój głos. Nie wdając się we wstępne wyjaśnienia, przystąpiłam od razu do zasadniczego tematu, ale niestety, od końca. Powiedziałam:

— Halina, słuchaj, wyobraź sobie, że przed trzema tygodniami mieszkała w hotelu Warszawa jedna twoja znajoma pani, która przyjechała ze Szczecina i ty jej podałaś numer telefonu drugiej znajomej pani i ona go zapisała na futrynie drzwiowej, bo nic innego nie miała pod ręką. I tobie jest teraz ten numer szalenie potrzebny, a nie masz go zapisanego albo może zgubiłaś kalendarz. Proszę cię, zadzwoń do hotelu Warszawa, do pokoju trzysta trzydzieści sześć i tego kogoś, kto się odezwie, zapytaj o numer na futrynie drzwiowej...

— Nic nie rozumiem — powiedziała Halina zdumionym głosem. — Nic nie wiem o żadnym numerze na futrynie drzwiowej i nie znam żadnej pani ze Szczecina.

— Ale możesz znać. Przyjechała i zapisała. Zresztą nie wszystko ci jedno? Zadzwoń i zapytaj, moje życie od tego zależy!

— To dlaczego ty sama nie zadzwonisz? Dlaczego to ja muszę?

— Bo tam znają mój głos.

— To dlaczego ta pani nie zadzwoni?

— Bo ta pani jest osobą fikcyjną, ona w ogóle nie istnieje...

— Jeżeli ona nie istnieje, to po co ty mi o tym mówisz? Ja ciągle nic nie rozumiem.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wyjaśnić jej wszystko po kolei. Uczyniłam to w sposób absolutnie chaotyczny i zagmatwany, ale Halina przytomnie wyłowiła z moich wypowiedzi właściwy sens. Ku mojej rozpaczy odniosła się do mych zamiarów bez entuzjazmu.

— Wiesz, mnie jest głupio — powiedziała trochę niepewnie. — Ja takich rzeczy nie umiem załatwiać. Przecież ja tego pana zupełnie nie znam. Co będzie, jak on mi nawymyśla?

— Po pierwsze, co cię to obchodzi, przecież nie będzie wiedział, że to ty. A po drugie, nie nawymyśla ci, bo to jest sympatyczny facet, intelektualista i młodzieniec z dobrej rodziny. Dzwon!!

— Poczekaj... Zaskoczyłaś mnie... Niech się przez chwilę zastanowię...

— Nie zastanawiaj się, dzwoni!

W tym momencie w słuchawce odezwał się bardzo miły, spokojny, męski głos:

— I po co pani to wszystko?

— Jak to po co? — powiedziałam mimo woli i bez zastanowienia.

— Tak pani zależy na tym panu z pokoju trzysta trzydzieści sześć?

— No pewnie, że mi zależy! Przecież gdyby mi nie zależało, tobym się tak nie wygłupiała!

— No, jak pani tak zależy, to ja to pani mogę załatwić, bo słyszę, że tamta pani ma jakieś obiekcje.

— Halina? — powiedziałam pytająco.

— Na litość boską — odezwała się Halina, której na chwilę odjęło mowę. — Co to znaczy?

— Nic, drobiazg, ten pan się włączył, mnie się ciągle ktoś włącza. To zadzwonisz czy wolisz, żeby ten pan zadzwonił?

— A ty znasz tego pana?

— Skąd? Pierwszy raz w życiu go słyszę.

— Ja panie bardzo przepraszam — powiedział ten pan. — Ja się włączyłem zupełnie przypadkowo. Zamierzałem dzwonić absolutnie gdzie indziej, ale rozmowa pań była tak interesująca, że nie miałem siły się wyłączyć i pozwoliłem sobie wysłuchać. Najmocniej za to przepraszam. To jak, chce pani, żebym zadzwonił? Numer już mam zanotowany.

— Bo ja wiem? Halina, jak myślisz?

— Nie wiem, ja nic nie myślę. Ja jestem ogłuszona.

— No widzi pani, ta pani jest ogłuszona, na pewno będzie lepiej, żebym to ja załatwił.

— Halina, zdecyduj się, ty czy ten pan?

— To już może lepiej niech ten pan... Tylko że teraz to ja już kompletnie nic nie rozumiem...

Byłam tak zdenerwowana zawikłaną sytuacją, że zrobiło mi się wszystko jedno.

— Dobrze — powiedziałam z rozpaczą. — Niech będzie ten pan. Brzmi zupełnie sympatycznie, chociaż nie wiem, jak wygląda. A jak pan mnie potem zawiadomi o rezultatach?

— Poda mi pani swój numer telefonu i ja zaraz potem do pani zadzwonię.

— Nie, to niech pan poda swój numer telefonu i ja do pana zadzwonię.

Widocznie kołatały się we mnie jeszcze jakieś resztki przytomności umysłu, bo miałam niejasne uczucie, że w tego rodzaju okolicznościach nie należy podawać obcemu facetowi swojego własnego numeru telefonu.

— Kiedy do mnie jest bardzo trudno się dodzwonić i w ogóle to jest szalenie skomplikowane. Jeżeli pani ma jakieś obawy, to ja się przecież nie narzucam.

— W nosie mam obawy. Wszystko mi jedno. Tylko niech pan to jakoś inteligentnie załatwi.

— Postaram się, droga pani, wykrzesać z siebie tyle inteligencji, ile tylko zdołam. Słucham.

Zgłupiałam do reszty i podałam mu swój numer. Halina się wyłączyła, nadal nieopisanie zdumiona.

— To ja się też wyłączam i za dziesięć minut do pani dzwonię ze szczegółowym sprawozdaniem.

— Dobrze, czekam.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam zbierać rozproszone władze umysłowe. Zanim je zebrałam, telefon zadzwonił.

— No i co? — spytałam niecierpliwie.

— No i nic. Zadzwoniłem i ten pan odebrał telefon. Nie pytałem go o futryny drzwiowe i napisy na nich, tylko spytałem o pana Zdanowskiego. Powiedział, że pomyłka i koniec.

— Kto to jest pan Zdanowski?

— Nie mam pojęcia. Nie znam żadnego takiego i miałem nadzieję, że ten pan też nie zna. No i co teraz?

— Nie wiem.

Więc jest w pokoju. Jest u siebie. I nie dzwoni... I pewnie już nigdy nie zadzwoni...

Siedziałam ze słuchawką w ręce i ze ściśniętym sercem. W słuchawce znów rozległ się miły, spokojny głos:

— Wie pani co, jeśli można pani radzić, to niech pani sobie tego pana wybije z głowy.

— Dlaczego?

— On mi się nie bardzo podobał...

— Dlaczego? — powtórzyłam z oburzeniem. — To jest bardzo sympatyczny pan, bardzo dobrze wychowany, intelektualista...

— Na intelektualistę to on mi raczej nie wyglądał...

— Dlaczego?!

— Tam takie odgłosy dobiegały...

— Jakie odgłosy?

— Takie różne. Wstyd powtórzyć. „Pijany?” — przemknęło mi przez głowę.

— Jakie odgłosy? — spytałam z niepokojem. — Miotania wiktem?

— Ach, nie. Ale takie miałem wrażenie, jakby tam się jakaś pani zwracała do tego pana takim głosem mało intelektualnym...

Zanim sobie zdałam sprawę z tego, że wcale w to nie wierzę, wszystko w środku odwróciło mi się do góry nogami.

— Cóż — powiedziałam smutnie po chwili milczenia, w czasie którego gwałtownie usiłowałam przyjść do siebie. — Możliwe. Do tego pana wszystko jest podobne...

— No właśnie, tym bardziej niech pani go sobie wybije z głowy.

— Ach, Boże! Nie ma pan pojęcia, jak bym chciała. I w żaden sposób nie mogę.

— Dam pani świetną radę: klin klinem.

— A co pan myśli, że ja o tym nie wiem? Już tak się nawet rozglądałam dookoła siebie, ale jakoś tego klina nie widzę. Nikt się nie nadaje.

— No, a może ja bym się nadał?

— Bo ja wiem? Może by pan się i nadał, skąd ja to mogę wiedzieć.

— No to może byśmy się spotkali?
— Może — powiedziałam w roztargnieniu, bo ciągle jeszcze byłam wstrząśnięta. — A gdzie i kiedy?
— Gdzie pani sobie tylko życzy, a kiedy? No na przykład piętnaście po dwunastej.
— Piętnaście po dwunastej? Co to znaczy piętnaście po dwunastej? W południe?
— Nie, nie w południe, wieczorem. To znaczy, za dwie i pół godziny.
Na tę dziwną propozycję nagle oprzytomniałam. Zwariował? Już się nie ma kiedy spotkać?
— A nie może być na przykład o siódmej wieczorem?
— Nie, bo widzi pani, ja bardzo długo pracuję i to codziennie. Dopiero po dwunastej kończę pracę. I potem jest akurat bardzo piękna pora, żeby się spotkać. No to jak? Gdzie mam na panią czekać?
— Panie, niech pan się opamięta! Nie mam najmniejszej ochoty wychodzić teraz z domu i pętać się po mieście. Wykluczone.
— To ja mogę przyjechać do pani.
— Mowy nie ma, musiałabym posprzątać.
— Ach, to pani jest flądra?
— Oczywiście. A poza tym ja też teraz pracuję. Muszę napisać artykuł i nie mam natchnienia. Szalenie męczące.
— Pani jest dziennikarką?
— Nie, to jest moje uboczne zajęcie. Zasadniczo jestem architektem. A pan?
— A ja jestem handlowcem.
— O, mój Boże, i co? Bilans pan robi?
— Niech Bóg broni! Z żadnym bilansem nie mam nic wspólnego!
— To co pan robi w dziedzinie handlu o tej porze?
— Takie różne rzeczy. Nieważne. Niech pani lepiej powie co innego. Niech pani powie, jak pani wygląda?
— Rozmaicie. Raz przepięknie, a raz wręcz przeciwnie...
— Nie, nie tak. Dokładnie. Wzrost? Wymiary? Oczy, włosy?
— Wzrost? Metr sześćdziesiąt dwa. A wymiary? Niech pan poczeka, wezmę centymetr i zmierzę.
Jestem uczciwa, podniosłam się, wzięłam centymetr i zaczęłam się mierzyć, przy czym dokonałam nadzwyczajnego odkrycia.
— Niech pan sobie wyobrazi — powiedziałam do telefonu — jakie szczęście mnie spotkało. Myślałam, że mam w taliu sześćdziesiąt dziewięć centymetrów, a okazuje się, że mam tylko sześćdziesiąt trzy!
— No widzi pani, jak ja pozytywnie na panią od razu wpłynąłem. Niech pani opisz i tę resztę.
Opisałam resztę. Facet, słyszany w telefonie, zaczynał mi się wydawać interesujący. Miał wyjątkowo piękny, miękki, sympatyczny głos, a ja zawsze byłam ogromnie czuła na głos. Słuchając go, powoli robiłam się nieco mniej nieszczęśliwa. Jak też wygląda facet o takim pięknym głosie?
— A jak pan wygląda? — spytałam, skończywszy szczegółowe omówienie swoich zewnętrznych wad i zalet.
— A tak, dość przeciętnie.
— Ile pan ma wzrostu?
— Metr sześćdziesiąt pięć.
— O, jaka szkoda, że tak mało! Ja tak lubię wysokie obcasy!
— No trudno. Opatrzność nie dała, nie urosłem.
— A reszta?
— Jaka reszta?

— No, włosy, oczy i inne detale? Ma pan jakąś ozdobę na twarzy?
— Na litość boską! Jaką ozdobę?
— Wąsy albo okulary...
— Nie, nie mam żadnej ozdoby na twarzy. Włosy ciemne, oczy też, a poza tym nic szczególnego. No to jak, zdecydowała się pani? Gdzie mam przyjechać o dwunastej piętnaście?
— A gdzie pan teraz jest?
— A wie pani, w takim dziwnym miejscu. W alei Lotników. Wie pani, gdzie to jest?
— Zaraz, wezmę plan Warszawy... Ach, już wiem, to jest tu, koło Wyścigów. No to nawet ma pan do mnie niedaleko.
— A gdzie pani jest?
— Na dolnym Mokotowie.
— Proszę, jak blisko! To przeznaczenie. Gdzie mam czekać?
— Nigdzie. Nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić z domu i spotykać się z panem, chociaż jestem bardzo ciekawa, jak pan wygląda. Mam zamiar pohamować ciekawość, napisać artykuł, a potem iść spać.
— To ja pani coś powiem. Ja się teraz wyłączę i obydwójce sobie popracujemy, a za godzinę do pani zadzwonię i może się pani namyśli. Dobrze?
— Dobrze. Nie namyślę się, ale niech pan zadzwoni. To mi wyraźnie poprawia samopoczucie.
— Świetnie, to na razie dobranoc.
— Dobranoc.
Wyłączył się. Natychmiast wróciły mi wszystkie poprzednie, przygłuszone na chwilę, uczucia. Pani z mało intelektualnym głosem? O, nie! Tego to ja tak nie zostawię!
Chwyciłam słuchawkę.
— Pokój trzysta trzydzieści sześć, proszę... ..sygnał... sygnał... sygnał...
— Nie zgłasza się, proszę pani...
— Przepraszam...
Jak to, nie ma go w pokoju? To co z tą panią? Oczywiście, miałam rację, że nie uwierzyłam. Nawet jeśli tam była jakaś pani, to nie ma żadnego znaczenia, skoro już jej nie ma. Gdyby był, toby odebrał telefon, zawsze odbiera. Do diabła, oszukał mnie!
Nie ma go w domu... Ale był i nie dzwonił. Przecież przez trzy doby nie pętał się po mieście. Niemożliwe, żeby nie znalazł jednej krótkiej chwili czasu na ten telefon do mnie. Przez trzy doby kamieniem siedzę w domu, z pracy wracam taksówką... Cóż, jasna sprawa: ma mnie w nosie, w nosie, w nosie!...
Nienawidzę go! Ach, wybić go sobie z głowy, za wszelką cenę wybić go sobie z głowy! Klin klinem!...
Klin klinem? Taki piękny głos... Co to za facet? Trzeba sprawdzić, trzeba z nim dłużej porozmawiać... O dwunastej piętnaście? Nie, no bzdura! Gdzie mnie diabli będą nieśli o dwunastej piętnaście! Rzeczywiście, nie mam co robić, tylko spotykać się z obcym człowiekiem o takiej idiotycznej porze, dlatego że ma piękny głos...
Klin klinem...
Prawda, miałam pisać artykuł!
Po godzinie telefon zadzwonił. Wzięłam inicjatywę w swoje ręce i zaczęłam przedłużać rozmowę, zahaczając o różne tematy. Nie widać było żadnej słabej strony, żadnego zahamowania. Bardzo inteligentny facet, z dużym polotem, z poczuciem humoru i ten głos! Ten głos!...
Po trzech kwadransach konwersacji zaczęłam się łamać. A może?... Ostatecznie, co mi to szkodzi? Może to jest rzeczywiście sympatyczny i kulturalny człowiek, a że ma cudaczne

pomysły? Ja też mam cudaczne pomysły. Ale nie, jednak nie! Nie chce mi się wychodzić z domu.

— ...Zadzwoń jeszcze za pół godziny...

Burza, szalejąca w moim sercu, powoli przycichała. Zaczynała brać górę urażona ambicja. Nie zadzwonił? To nie! Dość tego! Dość tej rozpacz i tego oczekiwania. Nie będę nieszczęśliwa, nie życzę sobie być nieszczęśliwa! Właśnie że się spotkam z tym facetem! I wszystko mi jedno, co z tego wyniknie!

Bo przecież jeśli nie popełnię jednego głupstwa, to na pewno popełnię inne. Jeśli się nie spotkam z tym dziwnym człowiekiem, umawiającym się w środku głębokiej nocy, to doskonale wiem, że nie wytrzymam i sama zadzwonię do tamtego. I co? Jak wtedy będę wyglądała? Narzucająca się, nieszczęśliwa idiotka, pozbawiona ambicji...

— ...No i co? — powiedziała słuchawka urzekającym, miękkim głosem.

— Dobrze — oświadczyłam stanowczo — zdecydowałam się. Nie mam zamiaru nigdzie latać po nocy. Niech pan tu przyjeżdża.

— Proszę uprzejmie. Gdzie mam przyjechać?

Podalam ulicę i numer domu. Już mi było wszystko jedno. Ostatecznie, jeżeli facet okaże się antypatycznym gburą, to też się nic nie stanie. Już kilka razy w życiu miałam do czynienia z antypatycznymi gburami i znakomicie sobie dawałam radę. A w to, że nagle w przedpokoju rzuci się na mnie i zamorduje mnie albo zgwałci, to ja bardzo przepraszam, ale nie wierzę. To wcale nie jest takie łatwe, jak by się zdawało. Jeżeli nawet jest bandytą albo złodziejem, to też nic nie szkodzi. Każdemu złodziejowi na widok mojego mieszkania odejdzie ochota do popełniania przestępstw. Tu doprawdy nie ma co ukraść, nawet mój zegarek źle chodzi.

— Niech pan tylko nie liczy na to, że dam panu coś do zjedzenia — powiedziałam, tknięta nagle poczuciem gościnności. — Mogę panu najwyżej dać herbaty, nic innego nie mam.

— Nic nie szkodzi, ja jestem po kolacji. A... przepraszam bardzo za nietaktowne pytanie... czy pani ma męża?

— Nie, Bogu chwała, nie mam męża. Jestem nieskazitelnie wolną kobietą. Aha, a pan ma żonę?

— Nie, nie mam.

— A miał pan?

— Miałem.

— I co pan z nią zrobił?

— Przecież jej nie udusiłem. Co można zrobić z żoną. Rozwiódłem się.

— To bardzo uprzejmie z pana strony. No, jak ma pan przyjechać, to już! Żebym się nie zdążyła rozmyślić.

— Już jadę. Tylko jeszcze jedno. Czy nie zechciałaby pani być tak niesłychanie uprzejma i zejść na dół, przed bramę, żebym ja się nie błąkał w nocy po obcym domu? Byłbym pani ogromnie wdzięczny.

— Dobrze, zejść przed bramę.

— To jeszcze niech mi pani powie, jak pani będzie ubrana, żebym mógł panią poznać.

— W fioletowe palto.

— Fioletowy kolor w tych ciemnościach! Fatalnie, nie do rozpoznania. Może pani będzie miała coś na głowie? Bo co będzie, jak tam będą stały na przykład dwie panie?

— Wprawdzie wątpię w obecność dwóch pań przed moją bramą o tej porze, ale mogę wziąć ze sobą znak rozpoznawczy. Szczotkę do zamiatania.

— Świetnie, wobec tego pani ze szczotką do zamiatania to będzie pani.

— Tak. Albo nie! Szczotka do zamiatania trochę nieporęczna. Wezmę ze sobą taką długą rurę z kalki technicznej. Biała, lepiej widoczna w ciemnościach.

— Dobrze, niech będzie rura. Za dwadzieścia minut jestem. Na razie.

— Cześć pracy — mruknęłam i odłożyłam słuchawkę. Zeszłam z tapczanu, na którym leżałam na poduszkach i pod kocami, obłożona gromadą różnych szpargałów, tworzących nieopisany śmietnik. Rozejrzałam się dookoła i zaczęłam uprzątać pobojowisko.

...Za dwadzieścia minut... Czy ten człowiek oszalał? Jakim sposobem on złapie taksówkę o tej porze w alei Lotników? Mowy nie ma, nie zdąży...

Przestałam się śpieszyć.

...Zaraz, ale jeżeli on mówił z taką pewnością siebie, to może ma pod ręką jakiś wóz do dyspozycji? A, to zdąży na pewno. Za to ja nie zdążę pomalować się i posprzątać.

Zaczęłam się znów śpieszyć.

Dokładnie piętnaście po dwunastej zeszłam na dół w palcie, w czarnych klapkach na nogach i z rurą w rękę. Przed domem po drugiej stronie ulicy stała warszawa z pracującym silnikiem, a w środku siedział jakiś facet w kapeluszu. Zatrzymałam się na chodniku po swojej stronie i usiłowałam mu się przyjrzeć.

Pan w samochodzie otworzył okno, wystawił głowę i powiedział:

— Niech pani wsiada.

— Nie mogę — odparłam stanowczo.

— Dlaczego?

— Bo mi się woda na gazie gotuje.

— To niech pani zgasi wodę i niech pani wsiada.

— Mowy nie ma, nie będę tyle razy po piętach latała. Niech pan wysiada.

W czasie tego przekomarzania się stałam w klapkach na śniegu i krzyczeliśmy do siebie na całą szerokość ulicy. Z uwagi na spóźnioną nieco porę uznałam, że te popisy akustyczne są raczej nie na miejscu, i przeszedłam na drugą stronę jezdni. Mój rozmówca przyglądał się temu w milczeniu, a potem powiedział:

— Niech pani się zatrzyma. Niech pani zaczeka tam, gdzie pani stoi.

Ruszył powoli i podjechał tuż przede mną. Nie pozostało mi nic innego, tylko wsiąść, więc wsiadłam. Pan przy kierownicy ucałował moją dłoń i mruknął pod nosem coś, co, w myśl panujących zwyczajów, miało zapewne oznaczać nazwisko. Przyglądałam mu się tak intensywnie, że o mało mi oczy z głowy nie wylazły, ale w ciemnościach nic konkretnego nie mogłam dojrzeć. Ruszyliśmy przed siebie.

— Dokąd pan jedzie? — spytałam, bo oczyma duszy ciągle widziałam czajnik z wodą, stojący na gazie.

— Powinienem odpowiedzieć: dokąd pani każe. Ale tak nie odpowiem, bo szukam tylko miejsca, gdzie mógłbym zakręcić.

Objechał dookoła kilka bloków i wróciliśmy pod moją bramę. Podjeżdżając, spytał, czy nie mógłby wprowadzić samochodu na podwórze, bo mu już kilka razy ukradli, i tym razem chciałby tego uniknąć. Wsiadłam i otworzyłam bramę, a następnie wskazałam miejsce, gdzie mógł zaparkować, cały czas ze świadomością, że poruszam się w pełnym blasku reflektorów i jestem dokładnie oglądana.

„Patrz, patrz — pomyślałam jadowicie. — Ja też ci się przyjrzę”...

Oparłam się o drzwi wejściowe i czekałam, aż wysiądzie, tfstawił wóz, zgasił motor i wysiadł.

W pierwszej chwili przeraziłam się, bo jednak byłam nastawiona na osobnika średniego wzrostu, a nie na to, co ujrzałam przed sobą. Ile to mogło być? Metr dziewięćdziesiąt pięć? Czy równe dwa metry? W każdym razie wrażenie było szokujące, ale natychmiast mimo woli doznałam uczucia ulgi. Chwała Bogu, do takiego można nosić każde obcasy...

Poprosiłam go na górę i weszliśmy do mieszkania. Zdjęłam palto, mój gość też, przypilnowałam, żeby wszedł do pokoju, a nie do kuchni, której, niestety, nie zdążyłam doprowadzić do stanu idealnego, i unieruchomiłam go w fotelu. Usiadłam naprzeciwko i zaczęłam czuć się nieco głupio. Sytuacja była, łagodnie mówiąc, niecodzienna. Gwałtowne

przejście od kontaktów telefonicznych do osobistych trochę mnie oszołomiło i nie bardzo potrafiłam sobie uświadomić, że ten facet, który siedzi vis a vis mnie, to jest ten sam, który rozmawiał ze mną przez telefon.

— Czy to aby na pewno pan? — spytałam, zanim się zdążyłam zastanowić nad tym co mówię.

— Na pewno ja — odparł i uśmiechnął się. Uśmiech miał bardzo sympatyczny. Ogólnie biorąc był bardzo przystojny, chociaż zupełnie nie w moim typie. Pomijając wzrost, którym go Opatrzność obdarzyła nieco w nadmiarze, miał ciemne oczy, a ja nie lubię ciemnych oczu. Włosy też ciemne, prawie czarne, zaczesane do tyłu, bardzo ładne zęby i coś w brodzie. Nie żaden defekt, ani nic takiego, po prostu jakiś taki układ dolnej części twarzy, który mi się też nie podobał. Pomimo to całość robiła interesujące wrażenie. Błyskawicznie oceniłam jeszcze, że jest dobrze ubrany i ma pięknie utrzymane ręce.

I co z tego? Przyglądałam mu się uważnie i obiektywnie, czułam się mile poruszona niezwykłością sytuacji, a na dnie serca leżał cichy żal... Melancholijnie wspominałam inną twarz, w której uśmiechały się do mnie niebieskie oczy... Mój Boże, gdybyż tak tutaj siedział nie ten, tylko tamten!... Tamten, który przez trzy dni nie zdążył do mnie zadzwonić. Tamten, do którego zwracała się pani z mało intelektualnym głosem...

Ach, do wszystkich diabłów! Klin klinem!

Wróciłam do rzeczywistości, która, ostatecznie, nie była taka najgorsza, natomiast wymagała ode mnie pewnych drobnych wysiłków. Pani domu nie może ad infinitum siedzieć w milczeniu i przyglądać się gościowi z ogłupiałym wyrazem twarzy. Podniosłam się z fotela.

— Napije się pan herbaty? Z żalem muszę wyznać, że naprawdę nic innego nie mam, ale herbatą mogę służyć w dowolnych ilościach.

— Jeśli pani sobie tego koniecznie życzy, to mogę się napić. Ale nie muszę.

Zrobiłam herbatę, przyniosłam sobie papierosy i znów usiadłam na fotelu, czując się już nieco pewniej. Nie wiadomo dlaczego, herbata wydała mi się elementem stabilizującym atmosferę. Męczyła mnie jeszcze myśl o farbie, odpadającej z sufitu zazwyczaj w najbardziej nieodpowiednich chwilach i niekiedy wpadającej gościom do szklanki, ale uznałam, że nie farbę tu przyszedł oglądać, tylko mnie, a w ogóle to nie on mnie ma oglądać, tylko ja jego. Byłam ciekawa, jak się zachowa i jak potraktuje tę dziwną wizytę. Czego się właściwie spodziewa? Nieoczekiwanej i sporadycznej przygody? Okoliczności ułożyły się dokładnie według tradycyjnego schematu, sytuacja zupełnie typowa, tylko sęk w tym, że zdaje się, ja jestem nietypowa. I okropnie nie lubię schematów...

— No, niech pani teraz opowie coś o sobie — powiedział mój gość, uśmiechając się lekko. Wyglądał tak, jakby czekał na jakąś inicjatywę z mojej strony.

— Zdaje się, że pan i tak już za dużo o mnie wie — odparłam. — Najwyższy czas, żebym ja się o panu czegoś dowiedziała.

— Nic o pani nie wiem poza tym, że ma pani niezwykle pomysły. I że interesuje się pani nie znanym mi bliżej panem z pokoju trzysta trzydzieści sześć. W związku z czym popada pani w smutny nastrój, zupełnie niepotrzebnie.

— I popełniam szaleństwa, mocno ryzykowne i pozbawione sensu.

— Co pani nazywa szaleństwem?

— A jak pan inaczej nazwie to spotkanie z panem? I zaproszenie pana o idiotycznej porze do własnego domu? Przez telefon mógł pan być zachwycający, a w naturze mógł pan się okazać na przykład bandytą.

— Ale chyba nie okazałem się bandytą?

— To tylko przypadek, nad szaleńcami zawsze Opatrzność czuwa. Zresztą jeszcze nadal nic o panu nie wiem. Najchętniej przeprowadziłabym z panem wywiad według ankiety „Przekroju”: twój paszport duchowy. Jak wygląda pański ideał szczęścia?

— Spokój. Spokój, spokój i jeszcze raz spokój.

— W takim razie wchodząc do tego domu trafił pan tragicznie. Spokój to ostatnia rzecz, jaką można znaleźć w moim towarzystwie. Czego pan najbardziej nie znosi?

— Raków. Dostaję wysypki na sam ich widok. I chamstwa. Przyjrzałam mu się w zamyśleniu. Kim ten człowiek mógł być?

— Kim pan właściwie jest? — spytałam mimo woli.

— Praworządnym obywatelem PRL. Poza tym już pani mówiłam, że jestem handlowcem, rozwiedzionym i bezdzietnym. Bardzo dużo pracuję, mam bardzo ładne mieszkanie i tak sobie żyję.

— Gdzie pan mieszka?

— W Śródmieściu. Ale ja tu jestem mniej ważny, ważna jest pani. To przecież pani była w złym nastroju. Niech pani opowie o tych różnych szaleństwach, które pani, według własnych słów, popełnia.

O szaleństwach, które w życiu popełniałam, mogłabym opowiadać przez tydzień bez przerwy. Coś mnie powstrzymało od tego, żeby mówić prawdę. Wymyśliłam pośpiesznie kilka cudacznych historii, które, sądząc z dotychczasowych doświadczeń, tylko przypadkowo mi się rzeczywiście nie przytrafiły, i w związku z tym brzmiały tak samo nieprawdopodobnie jak te prawdziwe. Kilkakrotnie w czasie rozmowy padały z jego strony uwagi, świadczące o tym, iż był nastawiony na rozrywkę nie tylko intelektualną, ale ja już stałam na twardym gruncie. Nie, stanowczo przez telefon mi się bardziej podobał. Tylko głos, ten piękny głos, słyszany bezpośrednio nie tracił nic ze swego uroku. O wpół do drugiej uznał, że czas pomieszkać w domu. Żegnając go, spytałam:

— Jak panu właściwie na imię? Moje imię pan zna, wizytówka wisi na drzwiach wołami wypisana. A pan?

— Władysław — powiedział i nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że nie powiedział prawdy.

Zamknęłam za nim drzwi i spróbowałam zebrać myśli. Owszem, osobnik jest interesujący i na poziomie. Zdaje się, że był trochę rozczarowany absolutną poprawnością atmosfery. Na to, że się właściwie nie przedstawił, nie zwróciłam większej uwagi, ciekawiło mnie raczej to, czy uzna znajomość za chybioną, czy nie.

„Jeżeli nie uznajesz kobiet, które nie lecą natychmiast do łóżka z każdym poznanym facetem, to się powieś” — pomyślałam. I zamknęłam się w łazience.

O wpół do trzeciej telefon wyciągnął mnie z wanny. Ach, więc jednak? Przez następne pół godziny kontynuowaliśmy konwersację, z której wynikało, że zawarta w ten oryginalny sposób znajomość chyba jednak jest warta podtrzymywania.

Telefon zadzwonił w chwilę potem, jak weszłam do domu. Tym razem przyjechałam z pracy nieco później, nie wracałam taksówką i nawet robiłam zakupy w sklepach. Podniosłam słuchawkę.

— Joanna? — powiedział znajomy głos.

Ach! Po czterech dniach oczekiwania! Gdyby to było poprzedniego wieczoru, to nie wiem, czy zdołałabym wydobyć z siebie jedno rozsądne słowo. A dziś? Czyżby jednak ten klin?...

— Jak się masz — powiedziałam łagodnie i miękko. — To miło, że dzwoniysz.

— Dzwoniłem do ciebie już w poniedziałek, jestem w Warszawie od soboty wieczorem. Nie było cię w domu. Chciałem zadzwonić do ciebie do pracy, ale zgubiłem kalendarz ze wszystkimi numerami telefonów. Ten domowy pamiętałem. Przepraszam, że nie dzwoniłem później. Mam potworną ilość roboty i jestem prawie nieprzytomny.

— Szkoda, bo miałam nadzieję, że się zobaczymy...

— Oczywiście, że się zobaczymy. Zadzwoń, jak tylko się nieco obrobisz, i jakoś się umówimy. A w ogóle co słyhać?

Różne rzeczy było słyhać, ale nie musiałam tego zaraz ujawniać. Dzwonił w poniedziałek... Czułam, jak błogi spokój spływa na moje zmaltretowane serce. Ależ dobrze,

poczekam, aż będzie miał chwilę czasu. Grunt, że jest, że dzwoni, że mogę z nim teraz rozmawiać, że już teraz będę mogła jawnie zadzwonić do niego...

Po trzech kwadransach odłożyłam słuchawkę, wprowadzie nie umówiona konkretnie, ale już znów pełna nadziei i szczęścia. Szczęścia zatrudtego myślą, że jak komuś bardzo na czymś zależy, to zawsze czas znajdzie, ale jednak szczęścia. Zwłaszcza w porównaniu z tym, co było...

Usiadłam do pisania nieszczęsnego artykułu, którego jednak nie było mi sądzone skończyć. Zmagania z opornym ojczystym językiem znów mi przerwał dzwonek telefonu.

— Dobry wieczór — powiedział piękny, miękki głos.

— Dobry wieczór — odparłam, usiłując uczynić to równie pięknie, i dusza mi się sama uśmiechnęła.

— No i jak samopoczucie?

— Nicco lepiej. Chociaż jeszcze ciągle dalekie od ideału. Skąd pan dzwoni, z pracy?

— A nie, niech pani sobie wyobrazi, wyjątkowo dzwonię z domu. Dziś wcześniej skończyłem i nawet byłem na mieście i kupiłem taką piękną narzutę na tapczan.

— Jaką narzutę? Niech pan opowie.

— Taką miękką, szarą, kosmatą, właściwie takie futro. Bardzo ładne. Bo wie pani, ja bardzo lubię kupować sobie coś do domu. Ja w ogóle szalenie lubię swój dom.

— A jakie pan ma mieszkanie?

— Wyjątkowo wygodne. Mam dwa pokoje z kuchnią i wszelkimi wygodami.

— I w ile osób pan tam mieszka?

— Sam mieszkam.

— To pan płaci za nadmetraż?

— Niech pani sobie wyobrazi, że nie płacę za nadmetraż.

— Jakim sposobem? To jest spółdzielcze?

— Nie, kwaterunkowe. Ale nie płacę. A razem ze mną mieszka jeszcze pies.

— Ach, ma pan psa? Uwielbiam psy. Jakiego?

— Czarnego nowofundlandczyka. Absolutnie rasowego z rodowodem, ze specjalnej hodowli, jedynej w Polsce.

Rzeczywiście uwielbiam psy. Przez długie lata chowałam się w towarzystwie psa i teraz, zanim się zdażyłam obejrzeć, zagłębiliśmy się w dyskusję o wadach, zaletach i różnych cechach charakteru najrozmaitszych psów. Poszłam spać z kłębiącym mi się przed oczami stadem szczekających ogarów.

Następnego dnia znów zadzwonił. Zaczęłam już być nastawiona na te telefony i kiedy trzeciego dnia się nie odezwał, poczułam rozczarowanie. Znów mi się zrobiło smutno i doszłam do wniosku, że jednak jestem nieszczęśliwa i zaniedbana. Książka telefoniczna otworzyła się sama na literze H. Zadzwonić? Miał dzwonić, jak będzie dysponował większą ilością czasu... Hotel Warszawa... — ...Pokój trzysta trzydzieści sześć, proszę... Na dźwięk znajomego głosu zmaltretowane serce znów mi zaczęło stukać. Nie masz czasu? Do diabła z twoim czasem. Nie wierzę, to nie brak czasu, to brak zainteresowania. Ostatecznie przyjeżdżasz do Warszawy na dwa albo trzy tygodnie i co? Nie możesz znaleźć godziny na zobaczenie się ze mną? Bzdura, po prostu masz mnie w nosie, ale niech cię chociaż zobaczę...

Ponieważ umówiliśmy się na niedzielę, sobota była nieważna. Sobotę przesiedziałam w domu, przejęta, zdenerwowana, nie zwracając nawet uwagi na to, że telefon milczy. Niech milczy, niech go diabli biorą, ja jestem na jutro umówiona...

W niedzielę siedziałam w publicznym lokalu i patrzyłam na tę twarz, jedyną na świecie. Mój Boże, jak pięknie w opalonej twarzy wyglądają niebieskie oczy!...

I co z tego, że ja też pięknie wyglądałam? Że zauważył zmianę uczesania? Co z tego, że trzymał mnie na ulicy pod rękę? To wszystko nie było TO, to była tylko urocza, miła

przyjaźń... Oczywiście, że jestem sympatyczna, można się ze mną ludziom pokazać, można przebywać w moim towarzystwie bez wstrętu i co z tego? Co z tego? I wbrew logice i zdrowemu sensowi, wbrew niewątpliwej oczywistości na dnie głupiego serca ciągle tkwiła cichutka nieśmiała nadzieja.

A może jednak? Może istotnie ten brak czasu?... Może jeszcze przyjdzie ta najpiękniejsza w życiu chwila, że będę się mogła znów przytulić do flanelowej koszuli i będę na pewno wiedziała, że jestem jedna, jedyna, najważniejsza na świecie...

Ach, nieprawda, nieprawda! Nie przyjdzie... Wszystkie jesteśmy jednakowo głupie...

Czy można pisać artykuł na poważny temat, jeśli się jest szarpanym między nadzieją i rozpaczą? Wykluczone, nie można! Znów, kiedy zadzwonił telefon, siedziałam na tapczanie w ponurym zamyśleniu, nie mającym nic wspólnego z estetyką wewnątrz domów kultury. Ostry dźwięk poderwał mnie jak trąbka bojowego ogiera. Prawda, klin klinem! Precz z beznadziejną rozpaczą!

— ...Dobry wieczór...

— No, nareszcie! — wykrzyknęłam zniecierpliwionym głosem.

— Co to znaczy: „No, nareszcie”. Tak się wita starych znajomych?

— No pewnie, że tak. Co pan najlepszego narobił? Nie dzwonił pan przez dwa dni i ten pan z pokoju trzysta trzydzieści sześć znów mi zaczął skakać po głowie.

— Natychmiast nadrabiam niedopatrzenie. Nie mogłem dzwonić, bo wyjeżdżałem w delegację, ale już, jak pani widzi, wróciłem i właśnie dzwonię.

— O, to chwała Bogu. Wie pan, tak się zastanawiałam nad tym, co pan może robić, i doszłam do wniosku, że są tylko dwie możliwości. W alei Lotników jest rzeźnia miejska i więzienie. Albo pan jest rzeźnikiem, albo naczelnikiem więzienia. Zważywszy pańskie godziny pracy, może pan być jeszcze szatniarzem w Patrii, ale toby się wtedy nie zgadzało miejsce. Chyba, że jest pan nocnym stróżem?...

— Nie jestem nikim z tego, co pani wymieniła. Nocnym stróżem bardzo chciałbym być, ale nigdy mi się to nie udało, pomimo licznych starań.

— Co pan robi, oprócz spełniania zajęć zawodowych?

— Bardzo mało rzeczy, bo ja naprawdę mnóstwo pracuję. Czasem chodzę do kina, czasem do teatru albo na koncert, a czasem po prostu jestem w domu, odpoczywam i czytam.

— A jakie jest pańskie ulubione zajęcie?

— Bardzo śmieszne. Prowadzenie samochodu.

— Aprobuję. Ma pan samochód?

— Mam.

— Jaki? Tę warszawę, którą pan tu przyjechał?

— A, nie. To była warszawa kolegi. Ja mam inny wóz, którego aktualnie nie używam, bo jest w remoncie.

— Co mu się stało? Wypadek?

— Nie, ja nie miewam wypadków, bo ostrożnie jeżdżę. Coś mu tam nawaliło w przednim zawieszaniu i nawet mam z tym pewne kłopoty, bo to jest taki trochę nietypowy wóz i nie mogę dostać do niego części. Ale teraz niech mi pani lepiej powie co innego...

Rzeczywiście, to było co innego. Zagadnienie ewentualnej zamiany kontaktów telefonicznych na osobiste na ogół nie miewa nic wspólnego z przednim zawieszaniem samochodu, obojętne, typowego czy nie. Nie dojrzałam jeszcze w pełni do tej zamiany, ale temat rozwinął się bardzo wdzięcznie. Po godzinie mój rozmówca zapowiedział niewielką przerwę, a potem następny telefon.

W przerwie intensywnie myślałam, co, po podniesieniu słuchawki, objawiło się następująco:

— Wie pan co — powiedziałam bardzo łagodnie — ja nie jestem partykularna i na drobiazgach mi nie zależy. Może pan sobie być hyclem albo członkiem rządu, albo

kimkolwiek, to mi jest doskonale obojętne. Ale imię to jest element nierozdzielnie związany z człowiekiem. Niech pan powie: Jak panu jest naprawdę na imię?

W słuchawce przez chwilę panowało milczenie, a potem usłyszałam odpowiedź.

— Ja panią bardzo przepraszam za te tajemnice. Ja wiem, że ta konspiracja wygląda idiotycznie, ale muszę pani wyznać, że ja w tej chwili wykonuję bardzo poważną i odpowiedzialną pracę i w związku z tym nie mogę sobie pozwolić na zdradzenie swego incognito. Gdyby pani zechciała być tak niesłychanie uprzejma i poczekać około miesiąca, to znaczy, aż pani wróci z urlopu i aż ja wrócę z urlopu, to byłbym pani szalenie wdzięczny. Potem już będę mógł pani to wszystko swobodnie wyjaśnić. A teraz naprawdę nie mogę.

— Dobrze — powiedziałam głosem, z którego nie zdołałam usunąć akcentu głębokiego zdumienia. — Niech pan sobie zostanie zakonspirowany. Ja chcę wiedzieć tylko imię.

— Gdybym pani powiedział, jak mi na imię, toby mnie pani błyskawicznie rozszyfrowała.

— No, nie! Józef Cyrankiewicz to pan nie jest.

— Nie, nie jestem.

— No więc o co chodzi? Imion w kalendarzu skolko ugodno, jakim sposobem miałyby mi to coś powiedzieć? Nie mogę znać człowieka bez imienia. Bez nazwiska, zawodu i miejsca pracy mogę, bez imienia nie.

— To niech mi pani nada imię, jakie się pani podoba. Zgodzę się na prawie każde.

— A jeśli zgadnę, to się pan przyzna?

— Przyznam się.

Złapałam kalendarz, jak diabeł dobrą duszę, i zaczęłam od pierwszego stycznia. Mieczysław!

— Mieczysław to pan nie jest — powiedziałam stanowczo. — Nie wygląda pan na Mieczysława. Makary też nie, wykluczone. Danuta i Genowefa odpada. Tytus? Nie ma pan przecież na imię Tytus?

— Nie, nie mam.

— Eugeniusz? Eugeniusz mógłby pan być, pasuje do pana, Edward ewentualnie też. Telesfor, mam nadzieję, nie? Kacper? Melchior? Baltazar? Najmożliwsze z tego jest jeszcze Kacper. Baltazar to kot. Julian mi się nie podoba. Lucjan to od razu Kydryński. Zresztą, jak to się zdrabnia? Lucuś? Do kitu.

Dojechałam w ten sposób do dwudziestego stycznia i nagle, tknięta przecuciem, spytałam:

— Hej, a może ja już przejechałam przez pańskie imię?

— Istotnie, już pani je wymieniła.

— Masz ci los. I co ja z tego wiem?

— Trudno, nie mogę nic powiedzieć. Jeszcze tylko powiem pani jedno: gdyby pani uważnie czytywała „Przekroje”, toby pani bardzo dokładnie wiedziała, kim jestem.

— Ostatni? Mam go w domu, ale jeszcze nie przeczytałam.

— A nie, te dawniejsze.

Niczego się nie dowiedziałam. Odłożywszy słuchawkę, łamiąc sobie ręce i nogi, runęłam na szafę, gdzie leżały stare czasopisma. Niestety, „Przekrojów” nie było, już dawno znajomi wynieśli.

Zlazłam z krzesła i zaczęłam rozmyślać.

Co to wszystko ma znaczyć? Kim jest ten interesujący, sympatyczny facet o urzekająco pięknym głosie? Dlaczego się otacza taką tajemnicą? Ostatecznie, nie musi mnie w ten sposób intrygować, chyba że uważa mnie za idiotkę, która właśnie na to poleci. Ale po co mu to, przecież nie ukrywam tego, że mnie interesuje i że chętnie kontynuuję znajomość. Nie wygląda na głupiego smarkacza, przeciwnie, wygląda na poważnego człowieka, który nie ma zajęczków w głowie. Więc co? Co ja mam o tym myśleć?

Gdyby się przyznał, jak mu na imię, zostawiłabym go w spokoju, nie dociekałabym prawdy i czekałabym cierpliwie, aż się sam zdecyduje ujawnić. Ale to imię mnie zdenerwowało. Postanowiłam stanąć na głowie i dowiedzieć się wszystkiego.

Zaczęłam od tego, że przeczytałam pół książki telefonicznej, sprawdzając, jakie instytucje znajdują się w alei Lotników. Czytałam systematycznie, od deski do deski i współpracownicy zaczęli patrzeć na mnie podejrzliwym wzrokiem. Co ona robi? Zwariowała? Już nie ma bardziej interesującej lektury niż książka telefoniczna?

— Pani Joanno — powiedział jeden z kolegów, przyjrzawszy mi się ze współczuciem. — Ja mam u siebie w domu książkę telefoniczną sprzed dziesięciu lat. Może pani przynieść? Skoro pani tak to lubi?... Oprócz rzeźni miejskiej i więzienia znalazłam jeszcze mnóstwo różnych spółdzielni i wojskowe zakłady radiowe. Może to to? Ale co to ma wspólnego z handlem?

Po książce telefonicznej przeczytałam równie dokładnie „Przekroje” z dwóch ostatnich lat, także bez żadnego rezultatu. Następnie utwierdziłam otoczenie w przekonaniu o moim obłędzie, ponieważ wypisałam z kalendarza wszystkie imiona od pierwszego do dwudziestego stycznia i kazałam im dorzucać do tych imion znane nazwiska. Wypowiedzi padały różne: Edward Ochab, Eugeniusz Szyr, Melchior Wańkowicz, Feliks Dzierżyński, Marcei Nowotko, Henryk Sienkiewicz, niestety, wszystko nie to. Żadnego promyka w ciemnościach.

Jeżeli chodziło mu tylko o to, żeby mi dostarczyć zajęcia, to ten cel w pełni osiągnął. Nad „Przekrojami” spędziłam dwie godziny, nad książką telefoniczną co najmniej cztery. Ale uparłam się i w rozmowach telefonicznych zaniechałam zadawania pytań. Nie chcesz mówić, to nie.

Dzwonił prawie codziennie. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten cień w sercu, na który koniecznie usiłowałam znaleźć lekarstwo, bo tak cholernie nie lubię być nieszczęśliwa...

— ...Pokój trzysta trzydzieści sześć, proszę... I wreszcie ta okropna chwila:

— ...Obawiam się, że już się nie zdążymy zobaczyć. Wyjeżdżam pojutrze rano, a jutro mam zatkany dzień...

Postanowiłam kategorycznie, że nie będę płakać. Zgrzytając zębami, czekałam na telefon. Zadzwoił.

— Muszę się panu przyznać — powiedziałam słodkim głosem — że już mi się znudził ten brak urozmaicenia w naszych wzajemnych kontaktach. Z przyjemnością obejrzałabym pana w naturze.

— O! Dojrzała pani?

— Może...

Klin klinem! Do diabła, klin klinem! Wszystko mi jedno.

— Mam teraz, przed urlopem, cholernie dużo roboty...

— Och, coś pan kiedyś wspominał o stawaniu na głowie, jak się bardzo czegoś chce...

— Chwileczkę, wezmę kalendarz... Jestem wolny jutro o dwunastej.

— Przepiękna godzina. Przedtem pan zadzwoni?

— Oczywiście. A... napalisz w piecu?...

Boże, co za głos! Zamknąć oczy i tylko słyszeć ten głos...

— Może...

Przyznaję, że to była lekkomyślność albo nawet coś gorszego. Potraktowałam faceta jak rzecz, której mogę dowolnie używać i to na dobitek do celów niezupełnie moralnych. Ale nie byłam zdolna do myślenia. Zacięłam się i w duszy tkwiły mi tylko dwa słowa: klin klinem...

Drugą lekkomyślnością było położyć się po południu na tapczanie, nie zrobiwszy przedtem porządku. Oczywiście, natychmiast zasnęłam. O dziewiątej obudził mnie telefon.

— Wiesz, będę mógł przyjechać wcześniej, może zaraz po jedenastej. Można?

— Oczywiście, proszę bardzo. Czekam.

Od tego momentu zaczęła się sódma i gomora. Powinnam się ubrać, uczesać, umalować, posprzątać normalny bałagan oraz nadprogramowe pranie, które wisiało na sznurkach, tymczasem nie mogłam odejść od telefonu. Dzwoniło całe miasto, jakby się umówili. Przed jedenastą, jeszcze wciąż w dezabilu, odłożyłam słuchawkę i natychmiast znów sygnał:

— ...Jadę... Wpadłam w popłoch.

— Za ile minut tu będziesz?

— Za piętnaście.

Święci patroni! Piętnaście minut na wszystko!

W chwili kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, byłam wprawdzie zrobiona od stóp do głów, ale połowa prania wisiała, a drugą połowę trzymałam w objęciach. Zostawiłam szmaty, otworzyłam drzwi i znów rzuciłam się do telefonu. Rozmawiałam bez sensu, pilnując równocześnie, żeby przypadkiem nie wszedł do kuchni z uwagi na przekłete pranie. Wreszcie skończyłam rozmowę, unieszkodliwiłam go w fotelu, sprzątnęłam wilgotne gałgany, zrobiłam herbatę i przystąpiłam do spędzania wieczoru.

Nastrój był miły i swobodny i miałam uczucie, że znam tego człowieka już od dawna. Nie wytrzymałam i znów poruszyłam sprawę imienia. Odpowiedź była taka sama jak przez telefon:

— Nadaj mi, jakie chcesz...

Z nowym zapałem zajrzałam do kalendarza i nagle przeraziłam się. Pomiędzy pierwszym a dwudziestym stycznia figuruje między innymi imię: Izydor. Na litość boską! Przecież nie ma chyba na imię Izydor? Istotnie, ukrywanie takiego imienia byłoby zupełnie zrozumiałe. Przyjrzałam mu się nieufnie. Nie, na Izydora nie wyglądał, ale kto to może wiedzieć, pozory mylą...

— Nie potrafię ci nadać imienia — powiedziałam, zamykając kalendarz. — Cokolwiek bym wymyśliła, cały czas miałabym świadomość, że to nieprawda. Czy na pewno nie możesz się przyznać sam?

— Już ci mówiłem, że nie mogę. Uwierz mi, że to jest poważniejsze, niż przypuszczasz. Daję ci słowo, że to nie jest w żadnym stopniu związane z jakimiś moimi prywatnymi sprawami ani z moim stanem rodzinnym czy cywilnym. Moja praca i mój tryb życia niejednokrotnie wymagają ode mnie takiego kamuflażu i muszą ci się przyznać, że ja nawet mam bardzo mało znajomych. Takich prywatnych znajomych. To jest zupełnie minimalna grupka ludzi, wśród których się obracam i którzy mnie znają, i poza nimi nie zawieram żadnych nowych znajomości. I właściwie ta znajomość z tobą też nie powinna być zawarta...

— I to tak przez całe życie? Na wieki wieków jesteś skazany na otaczanie się tajemnicą?

— No nie, nie przesadzajmy. Porozmawiamy po urlopie. A teraz opowiedz coś, bardzo lubię, jak opowiadasz.

Siedzieliśmy na tapczanie oparci o ścianę, obok siebie. Paliła się mała lampka, radio grało rzewne melodie i nastrój miał prawo zrobić się bardziej intymny. Zwłaszcza że ja przecież byłam zdecydowana wszelką intymność powitać z aprobatą. Ostatecznie miał być klinem czy nie? To, że go widziałam na oczy po raz drugi w życiu, że nie miałam pojęcia, kim jest ani jak się nazywa, było dla mnie pozbawione zasadniczego znaczenia. Człowiek jest ważny, a nie te drobne dodatki. Nie zamierzałam wychodzić za niego za mąż, nie zamierzałam wiązać się na całe życie i pozostawać na jego utrzymaniu. Oczywiście mogło się potem okazać, że jestem nim zachwycona z wzajemnością lub bez (przy czym to drugie byłoby mniej przyjemne) i nasze kontakty mogły się utrwalić, ale równie dobrze mogłabym go więcej nigdy w życiu nie zobaczyć i nie usłyszeć. Byłam zupełnie wolna i zupełnie dorosła i nie widziałam żadnego powodu, dla którego miałabym się wyrzec tej drobnej fanaberii. A że on sobie będzie myślał?... A niech myśli, co chce. Nie będę w nieskończoność siedziała i dręczyła się panem

z pokoju trzysta trzydzieści sześć. To jest sprawa zupełnie beznadziejna, niech ja go wreszcie zapomnę. Bogu dzięki, przytrafił się facet na poziomie, może się okazać bardziej interesujący?

Nie miałam najmniejszej ochoty niczego opowiadać. Wolałam, żeby się mną zainteresował mniej intelektualnie, bo się bałam, że się jeszcze rozmyślę. I chyba raczej swoich życzeń nie ukrywałam...

Nastrój konsekwentnie zintymniał. Konwersacja nieco okulała i wszystko było na najlepszej drodze, kiedy głupie radio nagle zakończyło rzewne dźwięki i rzuciło w atmosferę fatalny dysonans w postaci dziennika wieczornego. Diabli nadali dziennik wieczorny... Wygłosiłam w duchu wyszukane przekleństwo i wśród urozmaiconych efektów akustycznych znalazłam Luksemburg. Oparłam się na powrót o ścianę, spojrzałam na swego towarzysza i nagle coś mi przyszło do głowy.

— Wiesz, jestem zdania, że właściwie marnujesz dary Opatrzności. Z tym pięknym, radiofonicznym głosem powinieneś być spikerem radiowym. Może jesteś?

— Nie jestem.

— I nigdy w życiu nie byłeś?

— Może kiedyś tam byłem, ale już nie jestem.

— Niepowetowana strata...

Wyraźnie nie podobał mu się ten temat i pewnie dlatego mnie pocałował, bo poza tym nie wyglądał na nieprzytomnie oszołomionego moim towarzystwem. Zaczynałam się nawet obawiać, że przez telefon jestem bardziej interesująca niż w naturze, co akurat tego wieczoru byłoby mi nieco nie na rękę.

Ten pocałunek mnie zaskoczył. Nie dlatego, żeby miał być czymś niezwykłym, bo w tej sytuacji należało się go raczej spodziewać. Nie, to było coś innego i to coś okropnego. On używał tej samej wody kolońskiej co tamten...

Tego było dla mnie już za wiele. Zbyt wyraziście przypomniła mi się przyczyna, dla której zaprosiłam tu tego człowieka... Straciłam resztki rozsądku, umiaru i poczucia moralności. Wszystko mi się dokładnie pomieszało. Ten był nie w moim typie, ale trzeba przyznać, że mi się bardzo podobał, tamtego usiłowałam nienawidzić. Zamknęłam oczy i zobaczyłam tamtą twarz... I do tego ta cholerna woda kolońska, którą tak bardzo lubię i która mi się nieodparcie kojarzy z najpiękniejszymi chwilami w życiu... Który tu jest w rezultacie? Ten czy tamten?

Prawda, przecież nie chcę tamtego! Mam go sobie wybić z głowy... Ten jest co najmniej tak samo interesujący...

Z rozpaczą otworzyłam oczy i zbuntowana, rozgoryczona, zacięta, zdecydowałam się na tego. Do diabła z wodą kolońską! Gwałtownym ruchem przechyliłam się przez tapczan i z wściekłością wyszarpnęłam lampkę z kontaktu...

Czyiłam gigantyczne wysiłki, żeby usunąć sobie sprzed oczu obraz tamtej twarzy i obraz powoli bladł. Facet przy moim boku był jednak naprawdę na poziomie...

Widziałam jego twarz w łagodnym blasku, którym świeciło grające cicho radio. Podniósł głowę i oparty na ramieniu, które znajdowało się pod moimi plecami przyglądał mi się przez chwilę.

— Wiesz, jesteś bardzo ładną dziewczyną — powiedział miękko, cichym głosem.

To dopiero teraz to zauważył? Jak jest ciemno?

— Istotnie, w tym zielonym świetle muszę być szczególnie piękna. Jak świętej pamięci nieboszczka.

Uśmiechnął się i jeszcze przez chwilę na mnie patrzył. I nagle coś się stało. Gwałtownie i nieoczekiwanie zmienił mu się wyraz twarzy. Zerwał się, wyciągnął mi ramię spod głowy, usiadł wyprostowany i wyglądał tak, jak człowiek z nagła huknięty w ciemność, który koniecznie usiłuje przyjść do siebie.

— Jezus Maria — powiedział zmienionym głosem — co ja zrobiłem!

O Boże, co go znowu napadło! Sumienie go szarpnęło, że się niemoralnie zachowuje czy co?

— Co się stało? — spytałam i podniosłam się także.

— Rany boskie! — jęknął i chwycił się za głowę, nieprzytomnym wzrokiem wpatrując się w parapet okienny. Mimo woli też spojrzałam na parapet, ale nie dostrzegłam w nim nic szczególnie niezwykłego ani tym bardziej przerażającego. Skierowałam więc znów uwagę na oszołomionego tajemniczym ciosem faceta i okropne podejrzenia zaczęły się lęgnąć w mej duszy. Milczałam, czekając na wyjaśnienie.

Po długiej chwili, w czasie której wyraźnie odzyskiwał przytomność umysłu, dostrzegł wreszcie moją obecność i prawdopodobnie pytający wyraz twarzy. Podniósł się i przeszedł na drugą stronę tapczanu.

— Słuchaj — powiedział bardzo poważnym głosem — strasznie cię przepraszam, ale stało się coś okropnego. Zapomniałem o pewnej rzeczy. Popełniłem zaniedbanie, które może mieć fatalne następstwa. To już nie jest tragedia, to jest katastrofa. Moje niedopatrzenie grozi konsekwencjami nie tylko dla mnie, ale także wielu innym ludziom. Nie wiem, jak mogłem zrobić coś podobnego, i nie wiem, jak cię mam przepraszać. Przebacz mi, jeśli możesz. ^

Na razie nie mogłam, ale patrzyłam, co z tego dalej wyniknie. Udzielając mi wyjaśnień, podszedł do telefonu, usiadł i podniósł słuchawkę. Zupełnie odruchowo przeszłam na drugą stronę pokoju, bo zbyt długo tkwiły w mojej duszy wpojone we wczesnym dzieciństwie nauki, że nie podsłuchuje się cudzych rozmów. Nie słyszałam więc, co mówił, wpadło mi tylko w ucho kilka słów, głośniejszych wypowiedzianych, z których zrozumiałam, że natychmiast wychodzi i że na wszelki wypadek podaje komuś mój własny numer telefonu. Zaskoczenie mijało, zaczął mnie ogarniać gniew i poczułam, jak dusza wierzgnęła we mnie wszystkimi kopytami. Milczałam nadal, bardzo godnie i sztywno.

Skończył rozmowę i zwrócił się do mnie już całkowicie opanowany.

— Nie mogę ci tego na razie wyjaśnić — powiedział. Wstał i zaczął się szybko ubierać. — Wiem, jak to może wyglądać w twoich oczach, ale wierz mi: to jest rzecz naprawdę o wiele poważniejsza, niż mogłabyś przypuszczać. Jeżeli w ogóle jeszcze kiedykolwiek zgodzisz się ze mną rozmawiać, to dam ci słowo honoru, że ci to wszystko wyjaśnię. Jeżeli teraz nie uda mi się naprawić tego, co zrobiłem, nastąpi katastrofa.

Wydawał się bardzo zaabsorbowany i zaniepokojony, ale już opanowany i przytomny. Ubrał się do końca i podszedł do mnie, bo cały czas stałam w milczeniu, paląc papierosa i przyglądając się jego poczynaniom.

— Joanno, strasznie cię przepraszam — powiedział cicho. — Naprawdę, strasznie cię przepraszam...

Nie odpowiadając, przeszłam za nim do przedpokoju. Przed drzwiami zawahał się i zawrócił.

— Czy... będę mógł jeszcze kiedyś do ciebie zadzwonić?

— Proszę cię bardzo — odparłam nadzwyczaj uprzejmie i lodowato.

Szybkim krokiem podszedł do drzwi i szarpnął zasuwę. Zasuwa ani drgnęła. Byłam zbyt zszokowana, żeby pamiętać w tej chwili o fanaberiach własnego zamka, i stałam nadal, oparta o ścianę, nie myśląc o tym, że należy mu pomóc w otwarciu drzwi. Przez chwilę mocował się z narowistą zasuwą i nagle zniecierpliwiony odwrócił się do mnie.

— Jak to się otwiera?!

Nie, to co brzmiało w jego głosie, to nie była niecierpliwość. To było napięcie, zdenerwowanie, niemal lęk człowieka, który się nieprzytomnie śpieszy i nie może się wydostać z zamkniętego pomieszczenia. Pytanie zabrzmiało ostro i nieprzyjemnie, prawie jak rozkaz. Jakby już nie był w stanie dłużej nad sobą panować.

— Przepraszam — powiedziałam wciąż tym samym zimnym i uprzejmym tonem. Przeszłam obok niego i otworzyłam drzwi, a następnie zamknęłam je za nim.

Powoli wróciłam do pokoju i usiadłam przy stole. Oszołomienie i gniew mijały, zebrałam myśli do kupy i nagle zdałam sobie sprawę z groteskowości sytuacji. Wielki Boże, a cóż to było? Nieprzypadkiem zdenerwowany facet we fragmentarycznym dezabilu, załatwiający przez mój telefon sprawy państwowej wagi... Co za nieprawdopodobny idiotyzm! Wszystkiego się mogłam spodziewać, tylko nie czegoś takiego. Co to ma znaczyć? Kim jest, do stu tysięcy diabłów, ten człowiek?

Zapaliłam drugiego papierosa i zaczęłam myśleć intensywniej. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie czuję się obrażona. Nie czuję się obrażona? Dlaczego? Każda normalna kobieta w tej sytuacji powinna się poczuć śmiertelnie dotknięta. Czyżbym nie była normalną kobietą? Nie, to nie to. Ten człowiek robił rzeczywiście wrażenie wstrząśniętego. Jeżeli udawał, to robił to genialnie, a zresztą nie! Niemożliwe. Cała ta scena mogła być znakomicie zagrana, a jeszcze lepiej wyreżyserowana, ale jedno musiało być prawdziwe. Ten moment przy drzwiach. Ten gest, ten ruch, którym się odwrócił, ten ton głosu, nie to nie mogło być zagrane, to musiała być prawda. Bo jeśli to było zagrane, to doprawdy jeszcze nigdy w życiu nie widziałam lepszego aktora i nie pozostaje mi nic innego, jak tylko złożyć wyrazy najwyższego uznania...

A jeśli to była prawda?... O, świeci pańscy! To co ja najlepszego zrobiłam, w co ja się wplątałam? Co mają oznaczać te wstrząsające tajemnice?

Przez chwilę rozważałam jeszcze jedną możliwość, że ni z tego, ni z owego doszedł nagle do wniosku, że jestem odstręczająca i powziął do mnie głębokie obrzydzenie. Pewnie, to też możliwe, de gustibus non est disputandum, ale po co w takim razie robił takie przedstawienie? Wystarczyło oświadczyć, że mu się nie podobam, i wybyć w trybie normalnym. Prawdopodobnie nie czułabym się tym zachwycona, ale przyjąłabym to jako dopust boży i karę za głupie pomysły, nie wnosząc żadnych pretensji. Ostatecznie, nigdzie nie jest powiedziane, że muszę się podobać całemu światu.

Ale nie, to nie to. W całej tej scenie był element niepokoju, wielkiego niepokoju, a nie było cienia afrontu w stosunku do mnie. Może dlatego nie czuję się obrażona, ale stoję na krawędzi śmiertelnej obrazy. Czekam, co będzie dalej. Wszystkim na tym padole zdarzają się nieprawdopodobne rzeczy, nie ma nic niemożliwego, wobec tego dopuszczam możliwość wyjaśnień. Dopiero te wyjaśnienia mogą mnie obrazić albo nie. Nie mówiąc o tym, że ich brak będzie także znamienny.

Jedno jest pewne: niezależnie od tego, co będzie dalej, czy jeszcze kiedykolwiek usłyszę o tym człowieku, czy nie, ja się dowiem, kto to jest. Nie zostawię sobie do końca życia nieodgadniętej tajemnicy. O tym, co się dzieje ze mną i dookoła mnie, decyduję ja sama i nikt inny. I nikt mnie tu nie będzie wpędzał w bezsensowne konspiracje.

Powziąwszy tę decyzję, podniosłam się i uznałam, że czas iść spać. Nie przestałam być zaabsorbowana tematem, bo jednak w głębi duszy ciągle mi tkwiły raz obudzone, okropne podejrzenia, zupełnie nie związane z żadnym rodzajem państwowotwórczej pracy...

No i już widać, co się zaczęło dziać. Prawie cały ten początek, stanowiący startowy punkt wydarzeń, niby nawet wyszedł, ale rozproszony po taśmie i poprzeplatany szajką przestępczą. W książce tajemnica rozkwita stopniowo, od uciekającego amanta wszystko się zaczyna, film pokiełbał mi rozwój akcji doszczętnie i proszę bardzo, niech ktoś spróbuje tak traktować własny utwór. Obłądu można dostać.

Batory grawitował w kierunku groteski, ja się upierałam przy komedii realistycznej. Z założenia miał być to film o zakochanej wariatce, z tym, że moja wariatka prezentowała jakieś cechy ogólnoludzkie, Batorego zaś czysto kobiece. Może wylazł tu na wierzch generalny pogląd na kobiety jako takie, inny jego, inny mój. Z bogatego życia wewnętrznego, jak twierdził, mógł pokazać robaki, ale wtedy wyszedłby nam film przyrodniczy. Musiałam się ogólnie pogodzić z przewagą elementów zewnętrznych, chociażby ustawicznie obrywany

żyrandol, nie chciałam żyrandola, wystarczały mi te zwyczajne kawałki farby, spadające z sufitu za kołnierz, na głowę i do herbaty. Batoremu wydawały się niedostatecznie efektowne, może dlatego, że sam ich na sobie nie doświadczył. Jednak co empiryzm, to empiryzm.

Od nalewanej przez Kalinę Jędrusik herbaty skóra mi cierpła i przewracały się różne organa wewnętrzne. Dobrą herbatę ceniłam wysoko, takiej koszmarniej lury moja bohaterka nie miała prawa nalać, kompromitowało ją to o wiele bardziej, niż wszystkie wygłupy uczuciowe, protestowałam wniebogłosy, bez mała tłukłam głową w stolik, przy którym uprawialiśmy twórczość, bez skutku. O filmie decyduje reżyser...

Łatwo chyba zgadnąć, że równie energicznie protestowałam przeciwko przestępczości pana z pokoju trzysta trzydzieści sześć. To nie miał być żaden złoczyńca, tylko sympatyczny młodzieniec na wysokim poziomie intelektualnym i wcale nie dziwkarz. Wyłącznie pod straszliwym naciskiem reżysera, wbrew sobie, płacząc gorzko i rwąc włosy z głowy, zgodziłam się uczynić z niego nową postać, w ogóle nie występującą w książce.

Pobiwszy się o najważniejsze osoby, dalej toczyliśmy wojnę o kolejność wydarzeń. Zważywszy zmianę rodzaju przestępstwa, niewiele już miałam do gadania. Ciągle jeszcze byłam nastawiona na scenariusz z konkretnego utworu i nowość dzieła chyba mnie nieco ogłuszyła...

Po dwóch dniach, jak zwykle późnym wieczorem, zadzwonił telefon.

— Chciałem cię jeszcze raz bardzo, bardzo przeprosić — powiedział miękki, dobrze mi już znany głos. — Czy jesteś mocno na mnie obrażona?

Prawdopodobnie popełniłam tu fatalny błąd. Zamiast udać urażoną księżniczkę i kazać się przebłagać na kolanach, po prostu powiedziałam prawdę. Powiedziałam to, co myślę i co się we mnie w ciągu tych dwóch dni ugruntowało. Zapomniałam o tym, że nie każdy docenia prawdę i że wielu ludzi wyżej stawia formę niż treść, i być może, iż ta chwila właśnie stała się dla mnie początkiem potężnej awantury.

— Wbrew temu, co mógłbyś przypuszczać i czego mógłbyś oczekiwać, nie jestem obrażona — powiedziałam. — Nie mam powodu nie wierzyć, że istotnie zaszło coś niezwykłego. Nie wydaje mi się, żebyś świadomie starał się mnie obrazić. Nie wiem, co to było, ale zgadzam się na razie sądzić, że twoje zachowanie było usprawiedliwione i zgadzam się usłyszeć wyjaśnienia.

Westchnienie, które usłyszałam w słuchawce, mogło być westchnieniem ulgi.

— Nie przypuszczasz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczny za takie postawienie sprawy. Nadal nie mogę ci udzielić szczegółowych wyjaśnień, ale zapewniam cię, że to było nawet ważniejsze, niż się mogło wydawać. I cieszy mnie, że w tym, co mówisz, nie dostrzegam elementu hysterii.

Elementu hysterii? Na krótką chwilę przestałam słyszeć jego głos. Przypomniałam sobie różne okresy i wydarzenia w życiu, które dokładnie wyleczyły mnie z hysterii i nauczyły wielkiej tolerancji. Może nawet za dużo było tej tolerancji? Nikt tego przecież nigdy nie docenia. Może i tym razem powinnam była nie przyznawać się do prawdziwych uczuć, tylko urządzić potworną awanturę albo w ogóle nie chcieć rozmawiać?

Znów niczego nie wyjaśnił i niczego nie powiedział. Przeprosiwszy mnie wrócił do dawnego tonu miłej, towarzyskiej konwersacji. O, nie! To już mi się zupełnie przestało podobać. Cóż ten człowiek sobie właściwie myśli? Wplątał mi się przypadkowo w życie w charakterze wielkiej tajemnicy i zamierza tą tajemnicą na zawsze pozostać? Nic z tego, ze mną ten numer nie przejdzie.

Jestem lojalna i przyzwoita, lubię grać fair. Kończąc rozmowę, powiedziałam:

— Muszę cię uprzedzić, że zamierzam cię rozszyfrować. Zrobię wszystko, co się da, albo nawet jeszcze więcej. Nie będziesz miał pretensji, jeżeli mi się uda doprowadzić do dekonspiracji?

— Proszę cię uprzejmie — powiedział tonem, który świadczył, że nie wierzy w moje możliwości. Ha, nie doceniał przeciwnika...

W ciągu następnych tygodni miałam, niestety, zbyt dużo pracy, żeby coś załatwić w ciągu dnia. Pozostawały mi tylko wieczory i telefon. Obdzwoiłam całe miasto, szukając samochodu i psa. Któregoś dnia rozmawiał ze mną bardzo zmęczonym głosem i widać przez niedopatrzenie zdradził mi markę i typ samochodu. Takich wozów jest w Warszawie bardzo mało, a do tego jeszcze wozów, stojących w warsztacie z nawalonym przednim zawieszeniem. Dobrze, tylko w którym warsztacie? Znaleźć coś takiego przez telefon i do tego późnym wieczorem okazało się niemożliwe. Osobiście zapewne byłoby łatwiej, ale nie miałam czasu na zwiedzanie wszystkich stołecznych warsztatów mechanicznych.

Równocześnie z samochodem poszukiwałam psa, który, bądź co bądź, był przecież też nietypowy. Nawiązałam przyjacielskie kontakty ze Związkiem Kynologicznym oraz z właścicielami hodowli psów, opowiadając przez telefon nieprawdopodobne bzdury. Zależnie od chwilowego natchnienia zamierałam takiego psa kupić, sprzedać, tłumaczyłam niewinnym ludziom, że mi zginął, przybłąkał się, zeżarł mi dziewięć jajek z Delikatesów i pół kilo konserwowej polędwicy oraz że chcę go skrzyżować z suką takiej samej rasy. Wreszcie pomyliło mi się wszystko i już sama nie wiedziałam, czy szukam psa czy jego właściciela.

Właściciel tymczasem systematycznie dzwonił, dając mi za każdym razem nowego dubla. Urzekającym, miękkim głosem opowiadał mi rozmaite denerwujące rzeczy. Obrazowo i pięknie mówił o swoich podróżach zagranicznych, o swoich planach urlopowych, przypominając mi tym, że powinnam zająć się załatwianiem własnego wyjazdu za granicę i zorganizowaniem wiszącego mi nad głową urlopu, a nie bawić się w idiotyczne śledztwo. Doprowadzał mnie tym do ponurej rozpaczki, bo doskonale zdawałam sobie sprawę, że już za głęboko wsiąklam, że jestem jak wyżeł na tropie i nie ma siły, która by mnie powstrzymała od czynienia poszukiwań. Wychowałam się niejako na powieściach kryminalnych i teraz miałabym darować sobie taką piękną zabawę? Mowy nie ma! Przerwać w połowie rozpoczęte dzieło, nie doszedłszy do żadnych rezultatów? Wykluczone. Im trudniejsze wydawało się rozszyfrowanie tego człowieka, tym bardziej się zacinałam. Rezygnacja z czegoś, co jest trudne, nie leży w moim charakterze, a przy tym wyraźnie czułam, że on sobie zdaje sprawę z moich wysiłków i świetnie się tym bawi. Krótko mówiąc, robi ze mnie balona dużej klasy. No, to ja ci pokażę balona!

Już prawie przestałam pamiętać, jak ten facet wygląda, a czasem nawet miałam wątpliwości, czy w ogóle istnieje. Nie miał żadnego miejsca w realnym świecie, był tylko głosem, niskim, pięknym, fascynującym głosem, którego z przyjemnością słuchałam. Chwilami docierało do mojej świadomości, że coś tu jest nie w porządku, bo wprawdzie dzwoni, ale spotykać się ze mną nie zamierza, i teraz ja nalegam na spotkanie, a nie on, ale byłam zbyt zaabsorbowana tą drugą stroną medalu, żeby zwracać na to uwagę. Było mi już wszystko jedno, jak wyglądam w jego oczach, niech sobie myśli o mnie, co chce, tylko niech się pokaże w jakimś pojeździe mechanicznym, bo każdy pojazd mechaniczny w tym kraju ma jakiś numer, a te numery są gdzieś zarejestrowane... Bóg raczy wiedzieć, co ten człowiek mógł sadzić o moich zamiarach. Cokolwiek sądził, odnosił się do nich chyba nieufnie, bo zachowywał daleko posuniętą ostrożność. Nawet dzwonił do mnie w zupełnie innych porach, niż go do tego namawiałam, i muszę przyznać, że wiedział, co robi...

Wyjechał na urlop, nie straciwszy nic ze swej tajemniczości. Niewiele brakowało, a pojechałabym do tej samej miejscowości, ale nasze urlopy mijają się w czasie, swój zaczynałam tuż przed jego zamierzonym powrotem. Przytomnie doszłam do wniosku, że przez trzy dni i tak nie zdążyłabym niczego wykryć, więc nie warto się fatygować.

Kończyłam ostatnie przedurlopowe zajęcia. Wieczorami telefon milczał, a wielka tajemnica wisiała mi nad głową nie rozstrzygnięta. Rozmyślałam nad nią tak intensywnie, że w końcu zaczęłam się obawiać, że mi to zaszkodzi. Fioła dostanę albo coś w tym rodzaju.

Kim mógł być ten oryginalny osobnik? Członkiem rządu? Figurą państwową? Pracownikiem kontrwywiadu? A może wrogiem ojczyzny? Bo jeżeli nie był nikim takim, tylko przeciętnie pracującym obywatelem, to cóż, na miły Bóg, mogło znaczyć jego postępowanie? Otaczanie się tajemnicą było dla mnie zrozumiałe na samym początku. Ostatecznie nie wiedział, kim jestem, i mógł podejrzewać najgorsze rzeczy, przyzwoite kobiety na ogół nie zapraszają do siebie o północy obcych ludzi, mógł się obawiać napadu, okradzenia, bo ja wiem, czego jeszcze? Ale teraz? Zna moje nazwisko, ma o mnie mnóstwo wiadomości, nie ma w moim życiu niczego, co kogokolwiek mogłoby napełniać jakąś obawą. Może doszedł do wniosku, że mu się bardzo nie podobałam i nie zamierza utrzymywać tej znajomości, ale w takim razie po co dzwoni? Przecież go do tego nie zmuszam. A może zmuszam?

Po namyśle doszłam do wniosku, że chyba jednak zmuszam. Pewnie, przecież jeżeli więcej nie zadzwoni, to nie mam żadnych szans czelegokolwiek się o nim dowiedzieć. Możliwe, że wywieram na nim presję moralną. Ale to co, taka niedojda, że zaraz tej presji musi ulegać? E, nie wierzę! Cóż, rozsądne wytłumaczenie jest tylko jedno i to, niestety, okropne...

Bo właściwie nie mam żadnej pewności, czy istotnie miałam do czynienia z mężczyzną...

A wszelkiego typu zbrojeńców to ja się śmiertelnie boję...

Wróciłam z urlopu świeża, wypoczęta i pełna wigoru, z gotowym planem działania. Zebrałam do gromady wszystkie wiadomości, jakie dotychczas udało mi się uzyskać. Spisałam sobie w punktach to, co widziałam na własne oczy, to, co słyszałam od niego, i to, co zdołałam z tego wydedukować. Oczywiście, nie wszystko z tego, co mówił, musiało być prawdą, rozgraniczyłam więc sobie to, w co mogłam wierzyć, i to, co było wątpliwe.

Przede wszystkim na własne oczy widziałam, że istnieje. Bardzo wysoki, przystojny, interesujący facet, w wieku między trzydzieści pięć a czterdzieści, bardzo dobrze ubrany w zagraniczne ciuchy. Inteligentny, z dużym wykształceniem i z poczuciem humoru. To było pewne. Na własne oczy widziałam też samochód, który, jak twierdził, nie należy do niego, ale który sam prowadził, to mi jednak nic nie dało. Pożyczyć samochód można chociażby z Motosbytu.

Tego, że pracuje w dziwnych godzinach, też byłam pewna. Odgłosy, które mnie niekiedy dobiegały w czasie naszych rozmów, na pewno nie pochodziły z prywatnego mieszkania. Jeżeli w prywatnym mieszkaniu goście mówią „do widzenia”, to pan domu na pewno w tym czasie nie rozmawia przez telefon. Chwilami przerywał rozmowę ze mną i zwracał się do kogoś, odpowiadając na jakieś pytania albo wydając jakieś dyspozycje. Czasem ktoś mówił do niego bezpośrednio, a czasem to robiło takie wrażenie, jakby rozmawiał przez jakiś aparat. Jakiś aparat... Ten aparat mnie męczył, było w tym coś znajomego, ale nie mogłam sobie uprzytomnić co.

Żonaty nie był, wykluczone. Żonaty człowiek nie rozmawia przez telefon z obcą kobietą o godzinie wpół do drugiej w nocy. Chyba, że ta żona jest głucha, niewidoma i mieszka w innym pokoju, ale to już przypadek raczej rzadko spotykany. I z pewnością wtedy rozmawiał z domu, bo te rozmowy brzmiały nieco inaczej niż te z pracy i nic w nich nie przeszkadzało.

Na pewno mogłam też wierzyć w psa. Tak, pies był pewny. Zbyt długo sama miałam psa, żeby nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Tak się nie mówi o psie, którego się nie posiada...

Resztę już znałam tylko z jego opowiadań. Mogłam w to wierzyć albo nie. Mieszka sam w czterdziestu czterech metrach kwadratowych i nie płaci za nadmetraż? W Warszawie? Figura państwowa, nic innego. Urlopy spędza za granicą. Możliwe, niektóre z rzeczy, o jakich mi opowiadał, musiał widzieć na własne oczy, niech będzie, że spędza. Wóz posiada taki więcej oszołamiający, też możliwe albo nie. Jeżeli przed pierwszym kupił tę kudłatą szmatę na tapczan, to znaczy, że na braki finansowe nie cierpi. Czasem wyjeżdża w delegacje, a

przynajmniej tak twierdził. Wyjeżdża niespodziewanie i przymusowo. Co jeszcze? Ach, i ma tak pięknie urządzone mieszkanie...

Przypomnienie mieszkania od razu wyprowadziło mnie z równowagi i zbiło z tematu, bo natychmiast pojawiła mi się przed oczami moja farba, sypiąca się z sufitu. Zamiast ciągnąć dalej śledcze rozważania, zaczęłam zastanawiać się nad tym, jaki kolor dać w łazience i czy zrobić w pokoju jedną ścianę ciemniejszą, i ile mnie to wszystko będzie kosztowało?...

Doszłam do wniosku, że bardzo drogo, i czym prędzej przestawiłam się na powrót na poprzedni temat. No więc, co teraz? Co ja wiem z tych wiadomości, zebranych do kupy? Nic. I nic mi nie tłumaczy tamtej dramatycznej sceny u mnie w domu. Po jakiego diabła rzucał wtedy moim numerem telefonu?

Po bardzo głębokim namyśle uznałam, że mam tylko jedną drogę. Jeżeli nie trafię po mieszkaniu, to nie trafię po niczym. To jest jedyny element należący do dziedziny dobrze mi znanej. Trzeba uzyskać więcej wiadomości i zorientować się, gdzie i kiedy były oddawane do użytku budynki o takim właśnie typie mieszkań i akurat tak wykończone. Poza tym trzeba przyjąć za prawdę wszystko, co do mnie mówił, bo nawet jeżeli to wszystko było zełgane, to jakieś ziarno prawdy może w tym tkwić i to ziarno właśnie uda mi się wyłowić.

Powziąwszy tę decyzję, w napięciu czekałam na telefon. Zadzwoń czy nie? Bo jeżeli nie zadzwoni, to się chyba nigdy nie dowiem...

Zadzwonił. Jak zwykle późnym wieczorem i jak zwykle wyciągnął mnie z wanny. Byłam tak przejęta, że się nawet nie wycierałam, tylko owinięta szlafrokiem wlałam pod kołdrę. Po wstępnych rewerencjach przystąpiłam do realizowania planu.

— Okropnie ci zazdroszczę mieszkania — powiedziałam obłudnie. — Mówiłeś, że masz tak ładnie wykończone. Może masz nawet szafy ściennie?

— Mam w przedpokoju.

— Mój Boże, a ja nie mam. A jakie masz? Dwudrzwiowe?

— Jedną mam dwudrzwiową, a jedną jednodrzwiową, jeżeli już tak to nazywasz.

Ach, to będzie prawdopodobnie typ B1 i B2.

— A więcej nie masz? Tylko w przedpokoju? Bo wiesz, znam taki budynek, gdzie ludzie mają więcej szaf ściennych niż czegokolwiek innego i nie mają do nich co chować.

— Nie, ja mam co chować. I w ogóle więcej ich nie mam, tylko w przedpokoju.

— A jakie masz podłogi? Z czego?

— Jak to z czego? Z klepki.

— W kuchni też klepka?

— A, nie, w kuchni mam coś takiego innego...

— Co? Płytki PCW?

— Nie wiem, co to są płytki PCW, ale sądząc z nazwy, to są jakieś małe elementy. Nie, u mnie jest jednolita powierzchnia z jakiegoś tworzywa sztucznego.

Pewnie, że z tworzywa sztucznego. A co on tam chciał mieć, marmur? Tylko co to może być: polichlorek winylu w metrach?

— I pewnie masz glazurę w łazience?

— Co to jest glazura? Te kafelki na ścianach?

— Aha.

Jak można nie wiedzieć, co to jest glazura?

— Nie, nie mam tego. Mam łazienkę malowaną, ale bardzo ładnie.

— Jeszcze jak żyję, nie widziałam ładnie malowanej łazienki... Wysokie masz to mieszkanie?

— A wysokie. Pewnie ma ze cztery metry.

— Co? Wykluczone. Przed wojną mieszkania miały cztery metry. Teraz się takich nie buduje.

— No to może trochę mniej. Ale co najmniej trzy i pół. Proszę cię, nie każ mi teraz wstawać i mierzyć.

Najchętniej bym mu właśnie kazała, bo mnie to okropnie zaintrygowało. Trzy i pół metra? Nietypowa wysokość, gdzie takie budowali, u diabła? Dowiązanie do istniejących budynków czy co?

— A co masz przed oknem? Ładny widok?

— Trudno to nazwać widokiem. Z jednej strony mam taki mały kawałek jakby ogródka, a z drugiej strony stoi dom. I to jest nawet bardzo wygodne, bo ten dom zaraz po południu zasłania już słońce w moim oknie. Jestem z tego bardzo zadowolony, nie lubię, jak jest za gorąco.

No to mam usytuowanie. Jeszcze tylko lokalizację...

— Na którym piętrze mieszkasz?

— Na drugim.

— Głupie piętro. Nigdy nie wiadomo, czy jeździć windą, czy chodzić piechotą. A przy tym dostatecznie wysoko, żeby się zmęczyć, i dostatecznie nisko, żeby był hałas.

— U mnie nie ma hałasu. Tu jest idealnie cicho. Nic nie jeździ, nic nie przeszkadza. Właśnie dlatego się przeprowadziłem, bo wiesz, ja przedtem też miałem bardzo ładne mieszkanie, które ogromnie lubiłem, ale tam mnie o piątej rano budziły autobusy. No a poza tym po rozwodzie, kiedy zostałem sam, było jednak trochę za duże. Nieprzyzwoicie jest mieszkać samemu w trzech pokojach z kuchnią.

— Też mieszkałeś w Śródmieściu?

— Oczywiście. Na rogu Mokotowskiej i Koszykowej. Właśnie Mokotowską jeździły autobusy.

— Nie zamierzasz przypadkiem odnawiać mieszkania? To jest problem, który mnie strasznie gnębi, bo już dawno powinnam to zrobić.

— Ja nie muszę. Mieszkam tutaj... czekaj, jak długo ja tu mieszkam? Dwa lata. Tak, teraz właśnie mijają dwa lata. Wszystko jeszcze bardzo ładnie wygląda.

— Sprowadziłeś się do nowego mieszkania, czy dostałeś je po kimś?

— Do absolutnie nowego. Nawet czekało na mnie przez kilka miesięcy, inni ludzie już w tym domu mieszkali, a mnie było żal się przeprowadzić.

— Ach — powiedziała perfidnie — jak ci zazdrozczę. Jeżeli jeszcze powiesz, że masz ładną klatkę schodową...

— Mam bardzo ładną klatkę schodową.

— Na pewno się rozchoruję z zazdrości i żalu. Można zjeżdżać po poręczy?

— Co takiego?

— Po poręczy, pytam, czy można zjeżdżać. Bardzo lubię, przez długie lata zjeżdżałam codziennie.

— Wiesz... nie próbowałam. Ale raczej się nie da, ona jest zbyt kręta.

— Jak to kręta? Nie normalne dwa biegi?

— O, nie. To tak jakoś idzie, najpierw trzy stopnie, potem cztery stopnie, potem jeszcze kilka stopni, jeden stopień...

Na moment zaniemówiłam. Co on mówi? Jeden stopień? Takiego czegoś w nowym budownictwie nie ma, chyba że... Ach!...

Coś mi zaczęło świtać. Znów coś znajomego, o czym powinnam na pewno wiedzieć. Ale przecież wydawało mi się, że mieszka na Latawcu, dlaczego mi się ubzdrył ten Latawiec? Coś tu nie gra, no nic, potem się będę zastanawiać.

— Tak, rzeczywiście — powiedziała w roztargnieniu. — Po takich schodach byłoby trudno zjeżdżać. A balkon masz?

— A widzisz, to jest jedyny mankament tego budynku, że w nim nie ma balkonów. Ale trudno, nie można mieć wszystkiego. A teraz już cię muszę pożegnać, bo zaraz wyjeżdżam w delegację. Zdaje się nawet, że już samochód zajechał.

— Na długo wyjeżdżasz? Kiedy można oczekiwać, że zadzwonisz?

— Nie wiem dokładnie na jak długo, ale w środę już będę na pewno.

— Środa to parszywy dzień, ale niech będzie. Powodzenia.

— Dobranoc.

Ha, mnóstwo wiem! Jeżeli po tym nie trafię, to będę ostatni matoł. Nie ma wątpliwości, że budynek jest nietypowy. Nienormatywne powierzchnie, nienormatywna wysokość, usytuowany południe–północ, po północnej stronie ulicy, obustronnie zabudowanej. Na zapleczu zieleń niska, ulica zamknięta dla ruchu albo tylko ruch lokalny. I ta dziwna klatka schodowa z jednym stopniem. Niemożliwe, zełgał albo mu się coś pomieszało, jeden stopień jest niedopuszczalny z punktu widzenia prawa budowlanego. A poprzednio mieszkał na rogu Koszykowej i Mokotowskiej... Wyprowadził się dwa lata temu i mieszkanie czekało... Budynek oddany do użytku w czwartym kwartale sześćdziesiątego roku!

A poprzednio mieszkał...

Rany boskie, cieć! To jest człowiek, który wie wszystko o lokatorach. Natychmiast ciecia!

Niech Pan Bóg da zdrowie wszystkim autorom powieści kryminalnych, żywym i martwym, razem wziętym. Z sercem przepelnionym wdzięcznością i uwielbieniem dla wyżej wymienionych autorów ruszyłam na podbój tajemnicy. Ruszyłam dwukierunkowo: raz — na obecne mieszkanie, bo znowu nie oddajemy budynków do użytku na setki, i to w dodatku nietypowych, dwa — na byłe mieszkanie, bo z nowego budownictwa ludzie się tabunami nie wyprowadzają.

Miałam jeszcze dwa dni urlopu, które mogłam swobodnie wykorzystać na tę niezwykłą rozrywkę. Pierwszy raz w życiu przytrafiła mi się taka atrakcja i w gruncie rzeczy byłam temu człowiekowi gorąco wdzięczna za nieoczekiwane i nadprogramowe urozmaicenie szarej rzeczywistości. Prawdopodobnie nawet nie przypuszczał, jaką przyjemność mi robi.

Zaczawszy od Wydziału Architektury Dzielnicowej Rady Narodowej, przez projektantów, bądź co bądź, kolegów po fachu, dotarłam do inwestorów budynków mieszkalnych. Projektanci zaprzysięgli się na klęczkach, że żaden z nich nigdy w życiu nie wymyślił takiej idiotycznej klatki schodowej, więc w końcu musiałam im dać spokój i wzięłam się za DBOR. DBOR inwestuje wszystkie mieszkaniówki, z wyjątkiem bardzo nielicznych, należących do jakichś specjalnych instytucji, i tu miał prawo zaistnieć ten wypadek, ale musiałam się o tym upewnić. Pierwszego dnia już nie zdążyłam; skończyły się godziny pracy, więc zmieniłam kierunek i uderzyłam na cieciów. Każdego interesowały przyczyny moich dociekań, wobec tego musiałam coś wymyślić. No i wymyśliłam szalenie wzruszającą historię o tym, jak przed trzema laty zginął mi „Orland szalony” Ariosta, biały kruk, wydanie z osiemnastego wieku, którego pewien mój przyjaciel zostawił przez pomyłkę u swoich znajomych. Przyjaciela musiałam jakoś unieszkodliwić, żeby się nikt nie dziwił, że go o to nie pytam, więc wysłałam go do Iraku, gdzie szczęśliwie wybuchła rewolucja, uniemożliwiająca jakiegokolwiek kontakty. Ja tych jego znajomych nie znam, nie wiem nawet, jak się nazywają, wiem tylko, gdzie mieszkali przed trzema laty. Słyszałam o nich mnóstwo plotek towarzyskich i teraz padam ofiarą dyskrecji i taktownych ludzi, którzy, plotkując, nie wymieniają nazwisk. Cóż, normalna rzecz, nomina sunt odiosa. A Ariosta muszę natychmiast odzyskać, bo należał nie do mnie i jego właściciel właśnie wraca z zagranicy. Bezwzględnie muszę go zwrócić, jak ja inaczej będę wyglądała, zagubić taką cenną rzecz, istna rozpacz!

Bóg raczy wiedzieć, czy w ogóle pęta się gdzieś po Polsce jakiś egzemplarz „Orlanda szalonego” z osiemnastego wieku, ale miałam nadzieję, że nie trafię na żadnego bibliofila, a z przeciętnych ludzi na pewno też nikt tego nie wie. Opowiadałam tę historię, komu tylko się dało, wzbogacając ją coraz to nowymi szczegółami, aż wreszcie sama w to uwierzyłam i nie

musiałam już udawać rozpacz. Nieomal że miałam łzy w oczach. Powtarzałam też systematycznie wszystkie plotki o poszukiwanych, że mieli te trzy pokoje, że się rozwiedli i wyprowadzali kolejno, podając przybliżoną datę, kiedy to było. Moje zainteresowanie brzmiało na pewno szczerze, choć jedyne, co w tej opowieści było prawdziwe, to fakt, że nie znałam nazwiska tych państwa. Wszyscy mi wierzyli i wyrażali swoje najgłębsze współczucie, ale co z tego, skoro ciecie, jak jeden mąż, zaprzysięgli się, że w tym domu nie ma ani jednego trzypokojowego mieszkania. Szóstym zmysłem wiedziona, nie uwierzyłam cieciom i postanowiłam odwiedzić jeszcze biuro meldunkowe. Uparłam się jak kozioł w kapuście.

Następnego dnia udałam się przede wszystkim do DBOR-u. Tutaj wzruszające opowiadanie o „Orlandzie szalonym” było całkowicie nie na miejscu i musiałam wymyślić coś innego. Wymyśliłam już wcześniej, a uzupełniłam sobie po drodze zagadnienia społeczno-mieszkaniowe, którymi interesuje się jedna z bardzo poważnych państwowych instytucji. Jeden z pracowników tej instytucji rozmawiał kiedyś z kimś spotkanym w pociągu o mieszkaniach w nowym budownictwie i ten ktoś opowiadał o budynku, którego lokatorzy są bardzo zadowoleni. Instytucja poleciła mi odnaleźć to curiosum, ponieważ to był pierwszy wypadek w dziejach naszego budownictwa, żeby mieszkańcy nowego budynku byli z niego zadowoleni. Pracownik instytucji, prawdopodobnie debil, nie uzyskał od swego rozmówcy ani jego nazwiska, ani adresu, no i ja teraz muszę nadrobić niedopatrzenie tego idioty. Znów sypałam znanymi mi wiadomościami, największy nacisk kładąc na datę oddania budynku do użytku. Moja legitymacja służbowa oddawała mi wielkie usługi, będąc niezbitym dowodem, że pracuję w pokrewnej branży. Niejakie zdziwienie wywoływały tylko metody poszukiwań, stosowane przez poważną instytucję.

Moje uparte obstawanie przy zadowoleniu lokatorów witane było wyraźnym zaskoczeniem i nieufnością, a na wieść o klatce schodowej z jednym stopniem każdy się pukał palcem w czoło. Pomimo to udało mi się uzyskać to, czego chciałam: adresy budynków w owym czasie oddanych do użytku, i to nie spółdzielczych, a kwaterunkowych. Konsekwentnie trzymałam się powziętego na początku postanowienia: wszystko, co mi powiedział, uznać za prawdę.

Z DBOR-u polecałam do biura meldunkowego, przedstawiając się po drodze na nowo na zaginionego Ariosta. Bałam się, żeby przypadkiem nie pomylić tematów, bo już sama zaczynałam być tym wszystkim nieco skołowana i cały czas mamrotałam do siebie pod nosem: „Orland szalony, Orland szalony”...

W biurze meldunkowym siedziało kilka pań i jeden pan. Łamiąc ręce i rwąc sobie włosy z głowy wystąpiłam przed nimi z rzewnym opowiadaniem o moim nieszczęściu. Przy okazji zlokalizowałam jeszcze właściciela Ariosta i sprecyzowałam datę jego przyjazdu. Mianowicie miał wrócić ze Szwajcarii pojutrze. Dlaczego pojutrze, nie wiem, ale ze Szwajcarii dostałam właśnie poprzedniego dnia list od kolegi, który jako żywo w ciągu najbliższych lat wrócić nie zamierzał, jak również nigdy w życiu nie posiadał „Orlanda szalonego”. Jestem tego zupełnie pewna, bo gdyby miał, toby mi pożyczył.

Wszyscy ci państwo patrzyli na mnie wzrokiem pełnym współczucia i wyraźnie gorąco pragnęli mi pomóc. Panie stwierdziły od razu, że nic nie wiedzą, ale pan spojrzał w dal zamyślonym spojrzeniem.

— Trzy lata temu, pani mówi? I rozwiedli się przedtem? To ja chyba wiem, o kogo pani chodzi...

Na krótką chwilę skamieniałam, a potem rzuciłam się na niego, jak hiena na padlinę.

— Panie, życie mi pan uratuje! Mów pan, rany boskie!

Pan spojrzał na mnie z nagłym zainteresowaniem i uśmiechnął się, prawie jak Mona Lisa.

— To był taki bardzo wysoki, przystojny, czarny facet, prawda? Rzeczywiście, ona się wyprowadziła pierwsza, a on jeszcze został i wyprowadził się potem. Mieli dwie córki.

O, święci pańscy, jakie córki? Przecież jest bezdzietny. Aha, prawda, mógł żelgać, chociaż nie wiem, po co.

— O córkach nic nie wiem — powiedziałam ostrożnie. — Ale reszta się zgadza.

— To były chyba jej córki z pierwszego małżeństwa. Jedna już prawie dorosła. No tak, to ja wiem, kto to jest.

Bierz diabli córki, niech ich będzie nawet sto. Nazwisko! Jeżeli nie powie nazwiska, to go uduszę.

Widocznie przeczuł moje zamiary, a możliwe też, że patrzyłam na niego, jak jadowita zmija na niewinnego ptaszka, bo zwrócił się nagle nie do mnie, tylko do jednej z pań.

— No, nie pamiętasz? To byli ci z drugiego piętra. Ta aktorka i jej mąż, jak on się nazywał? No!

Na dźwięk nazwisk, które padły, skamieniałam po raz wtóry. Patrzyłam na tych ludzi z nieopisanym zdumieniem. Niemożliwe!?!...

— Ależ... — powiedziałam w oszołomieniu — ależ to niemożliwe...

— W tym czasie nikt inny się nie wyprowadzał — wszyscy obecni w pokoju przyglądali mi się teraz z dużym zaciekawieniem. Musiałam się szybko opanować, żeby nie zaczęli czegoś podejrzewać. — Jeżeli pani jest pewna, że to ktoś z tego domu, to musieli to być oni.

Intensywnie usiłowałam się skupić. Przypomniałam sobie Ariosta, którego przecież lada moment miałam odzyskać i przybrałam uradowany wyraz twarzy.

— Mój kolega był znajomym raczej tego pana niż tej pani — powiedziałam z odpowiednio umiarkowanym wzruszeniem. — Gdzie oni teraz mieszkają?

— Ona mieszka w Śródmieściu, a on to nie wiem gdzie. Cholera! Co mnie to obchodzi, gdzie ona mieszka...

— To ja się już spróbuję jakoś dowiedzieć. A on co robi, ten facet?

— Wtedy był spikerem radiowym, a teraz to nie wiem.

Ten głos! Rany boskie, ten głos! Co za skończona idiotka ze mnie! Niech się chociaż dowiem jak najwięcej!

— A nie wie pan, jak mu było na imię?

— Nie mam pojęcia.

— No, nic nie szkodzi, jak znam nazwisko, to już go jakoś znajdę. Bardzo panu dziękuję, uratował mi pan honor i życie.

Wyszłam na ulicę, nieprzytomna z wrażenia. Ciągle nie mogłam w to uwierzyć. On czy nie on? Polskie Radio! W Polskim Radio nie ma dla mnie tajemnic, zaraz będę wszystko wiedziała.

Wieczorem, w domu, powiesiłam się na słuchawce i zaczęłam koncert. Błyskawicznie dotarłam do znajomej osoby, pracującej w tejże instytucji, w odpowiednim dziale. Bez wstępów przystąpiłam do rzeczy.

— Czy pani przypadkiem nie słyszała o facecie o takim nazwisku? Parę lat temu był spikerem? — spytałam głosem możliwie opanowanym.

— Jest spikerem nadal — odparła uprzejmie moja znajoma.

— Co pani powie? I zna go pani? Rozmawiała pani z nim kiedy?

— Milion razy. Bardzo sympatyczny facet.

— Możliwe. To niech mi pani powie, jak mu na imię?

— Janusz. A czy mogę wiedzieć, dlaczego pani pyta?

Janusz! Jasny piorun! A ja już byłam gotowa uwierzyć w tego Izydora.

— Bo wie pani, znam jednego faceta, który się podszywa pod tamtego. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ja chcę sprawdzić, czy to ten, czy to nie ten, łże czy prawdę mówi.

— No, wie pani, ten jest raczej nietypowy. Chyba trudno byłoby komukolwiek się pod niego podszywać.

— Jak on wygląda?

— Dwa metry wzrostu, czarny, bardzo przystojny, z pięknymi zębami. Wiek tak około czterdziestki, może trochę mniej.

Zgadza się! Wszystko się zgadza!

— Krótko ostrzyżony czy normalnie?

— Krótko? Nie, raczej normalnie. I tak się czesze do tyłu. Oszołomiona, przez chwilę milczałam. Trudno mi było uwierzyć w ten nieoczekiwany sukces. Znalazłam faceta? Niemożliwe! A może to jednak nie on, wbrew pozorom?

— A jakie ma oczy? Ciemne?

— Wie pani, że nie wiem, nie przyglądałam się. Ale chyba takie ciemnoszare albo coś w tym rodzaju.

Guzik, szare wykluczone. Ten miał brązowe. On czy nie on?

— Bo ja wiem... — powiedziałam z wahaniem. — Może być ten. A może być nie ten. Niby się zgadza, ale nie mam pewności. Musiałabym usłyszeć jego głos przez telefon albo go obejrzeć osobiście, inaczej nie uwierzę.

— To niech pani do niego zadzwoni. Mogę pani podać jego telefon do pracy.

— A do domu? Jego prywatnego telefonu pani nie zna?

— Nie, nie znam.

— No to niech pani daje ten służbowy.

Zapisałam sobie kilka numerów, aż zbyt dobrze mi znanych sprzed lat i przyjrzałam się im z goryczą. Mój Boże, był czas, kiedy wszystkie figurowały w moim kalendarzu...

— A jak pani go chce zobaczyć — powiedziała moja znajoma — to ja mogę jutro powiedzieć, gdzie on będzie miał dyżur pojutrze, to go pani sobie obejrzy.

— Doskonale, zadzwonię do pani. A może pani jeszcze wie, gdzie on mieszka?

— Gdzieś na Starówce, ale dokładnie nie wiem.

Z wyrazami głębokiej wdzięczności pożegnałam tę panią i już gnana siłą rozpędu zadzwoniłam pod jeden z tych służbowych telefonów. Dowiedziałam się, że ten pan już wyszedł, ale będzie jutro o dziesiątej. Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam porządkować panujący w mojej głowie chaos. Na Starówce...

Kręcona klatka schodowa i nietypowa wysokość... Najgorszy bałwan powinien się domyślić. I ten aparat, ten tajemniczy aparat, przez który mówił, równie dobrze mi znany, jak numery telefonów... Chyba miałam zaćmienie umysłu.

Otworzyłam książkę telefoniczną. Oczywiście, tego nazwiska nie ma. Biuro numerów!

— ...Ten numer jest zastrzeżony, proszę pani. Nie udzielamy żadnych informacji...

Do diabła! Żona! Była żona! Znam kogoś, kto jest z nią zaprzyjaźniony. Na pewno ma jej numer telefonu!

Po co mi był numer telefonu tej pani, Bóg raczy wiedzieć. Doprawdy działałam już siłą rozpędu. Nie wiem, co zdołałabym jeszcze popełnić, gdyby nie moja prawdziwa, odwieczna przyjaciółka Janka, do której zadzwoniłam w celu naradzenia się, gdzieś około północy. Przyjaciółka powiedziała:

— Moja dusza czuje, że doszłaś do momentu, kiedy wszystko, cokolwiek jeszcze zrobisz, będzie nieopisanym idiotyzmem. Idź spać, a jutro zaczniesz na nowo.

Wzięłam pod uwagę wypowiedź jej duszy i poszłam spać.

Następnego dnia, zważywszy, że urlop mi się skończył, byłam zmuszona udać się do pracy. To było nawet korzystne, bo natychmiast złapałam kolegę, przyzwyczajonego już do uczestniczenia w moich szaleństwach, i zawiadomiłam go, że ma się nastawić na odbycie niezwyklej rozmowy telefonicznej. W napięciu doczekałam godziny dziesiątej. Kolega również czekał w napięciu, zaniepokojony informacjami, których mu udzieliłam.

— Wiesiu — powiedziałam bowiem tajemniczo — zadzwonisz do jednego faceta i powiesz byle co. Zadasz mu jakiegokolwiek pytanie, żeby tylko musiał odpowiedzieć.

— Mogę się go zapytać, jak mu się wiosna w Warszawie podoba?

— Nie, do kitu, odpowie, że wcale, i odłoży słuchawkę. Wymyśl coś takiego, żeby musiał odpowiedzieć obszerniej.

Parę minut po dziesiątej wetknęłam Wiesiowi słuchawkę w rękę i nakręciłam numer. Wiesio, przejęty i zdenerwowany, poprosił tego pana, chwilę czekał, a następnie powiedział:

— Proszę pana, mnie tu do pana skierował pan... pan... pan Piotr Kępiński. Ja się chciałem dowiedzieć, kiedy się odbędzie odczyt na temat malarstwa impresjonistycznego?

Wyrwałam Wiesiowi słuchawkę z ręki i słuchałam:

— Ależ ja o tym nic nie wiem, proszę pana, nie rozumiem, dlaczego pana do mnie skierowano?

Łupnęłam Wiesia słuchawką w ucho i krzyknęłam szeptem:

— Nic nie wie!... Wiesio powiedział:

— Bo ma się podobno odbyć cykl odczytów na ten temat i mnie chodziło o to, kiedy ma się odbyć ten pierwszy?...

Znow mu wyrwałam słuchawkę i wysłuchałam odpowiedzi:

— ...ja panu nic nie mogę powiedzieć na ten temat, obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka...

Pośpiesznie wyrzuciłam Wiesia tą słuchawką i szeptem streściłam mu odpowiedź.

— Pomyłka...

To Wiesio sam wiedział i bez mojej informacji, ale twardo brnął dalej.

— No i właśnie ten kolega mi mówił wczoraj w kawiarni, że pan ma w tym brać udział i on mnie do pana skierował...

Zabrałam słuchawkę. Facet mówił już nieco zdziwionym głosem:

— ...Ależ dlaczego ja? Tych informacji udzielą panu w planowaniu programu...

Tym razem szarpaliśmy przez chwilę słuchawkę, bo Wiesio usiłował ją przyłożyć do ucha, a ja go trafiłam w oko, mamrocząc nerwowo: — ...planowanie programu...

Wiesio nie wiedział, co to znaczy, a przy tym już zgłupiał nieco od tego walenia w czołko, więc zignorował moją wypowiedź i ciągnął dalej:

— Bo jeżeli pan ma w tym brać udział, to pan musi coś wiedzieć. Nasz rozmówca już się nieco zniecierpliwiał i mówił, oczywiście, nie do Wiesia, a do mnie:

— Nie, proszę pana, ja o tym nic nie wiem, mogę panu podać numer planowania programu i tam pan zechce uprzejmie zadzwonić.

I podał numer, który mieliśmy cały czas przed sobą, zapisany na stole. Wepchnęłam słuchawkę Wiesiowi, który upierał się przy swoim, całkowicie bez sensu, czemu nie należy się dziwić, zważywszy, że nie słyszał ani jednej odpowiedzi tamtego, a moje skrócone informacje nie dawały mu jasnego obrazu sytuacji. Zaczęłam prychać w telefon, Wiesio spojrzał na mnie, również prychnął, zarżał i w tym momencie tamten pan się, szczęśliwie, rozłączył.

Przyszedłszy do siebie, Wiesio spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— No i co? Jaki wynik?

Wynik był jednoznaczny. Od pierwszych słów poznałam piękny, ciepły głos, który mnie fascynował od kilku tygodni. Więc jednak to on. Ach, kurczę blade!...

To tak wygląda ta państwotwórcza praca, która wymaga otaczania się tajemnicami? A cóż, u diabła, takiego mogło się zdarzyć w rozgłośniach Polskiego Radia w ów wieczór, opromieniony nimbem Wielkiej Katastrofy??? Kto tu ma fioła, on czy ja? Nie, ja go muszę koniecznie zobaczyć, nie wierzę, dopóki go nie zobaczę w biały dzień, na własne oczy...

— Kto to jest Piotr Kępiński? — spytałam, kiedy już całkowicie oprzytomniałam i sprecyzowałam swoje zamiary na następny dzień.

— Jeden facet, który tam rzeczywiście pracuje — powiedział Wiesio. — Podobno homoseksualista, ale to nic nie szkodzi, on mnie w ogóle nie zna.

— No, jeżeli tamten go zna, to zrobi mu teraz awanturę, że jakichś idiotów na niego nasyla. Trzeba przyznać, że tak znowu bardzo błyskotliwie w tej rozmowie nie wypadłeś...

— Ale on jest nieuprzejmy — powiedział Wiesio w zamyśleniu. — Odłożył słuchawkę.

— Każdy by odłożył. I tak długo wytrzymał.

Następnego dnia w godzinach rannych wybyłam z pracy i udałam się na ustalone telefonicznie miejsce. Czekałam w taksówce. Warszawscy taksówkarze to są ludzie, którzy się już niczemu nie dziwią.

Nawet nie czekałam długo, interesujący mnie pan okazał się człowiekiem punktualnym i obowiązkowym. Przyjrzałam mu się z daleka. On, oczywiście! Nie musiałam wyraźnie widzieć twarzy, żeby zyskać pewność, nie ma chyba w stolicy dwóch takich samych.

Po długich, intensywnych i ponurych rozmyślaniach doszłam do wniosku, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie tej konspiracji. Facet sobie zrobił zabawę pierwszej klasy, pozostając w charakterze tajemniczego nieznanego. Proszę bardzo, niech mu będzie, ja mu tej rozrywki nie żałuję. Mogę w tym wziąć udział. Skoro dałam z siebie zrobić takiego rekordowego balona, to już mi nic nie zaszkodzi. Ale nie odmówię sobie tego, żeby mu trochę nie podokuczać, wykluczone, mnie też się coś od życia należy.

Gdyby to chodziło o przeciętnego, znajomego człowieka, to żadne inne dane już by mnie nic nie obchodziły. Tym razem uparłam się, że odkryję wszystko. Numer samochodu, numer telefonu, adres, co się da! Zastrzeżone? Tym lepiej. Ja bardzo lubię trudne rzeczy.

Wiedziałam, kiedy będzie miał dyżur do północy i wiedziałam, gdzie. Wszystko, co dotyczyło jego pracy, było mi znane niemal równie dobrze jak własny zawód. Na ten temat mogłam uzyskać bez trudu wszelkie możliwe informacje, niezależnie od wiadomości, które posiadałam od lat.

Zamówiłam sobie na wieczór taksówkę, inteligentnie wybrałam kierowcę z upodobaniem do dziwnych przygód, i czekałam. Nastawiłam radio i słuchałam, jak znajomy, piękny głos czyta komentarz do „Cannen”. Już dawno wydawało mi się, że niekiedy z głośnika rozbrzmiewa coś znajomego, ale tak kategorycznie zaprzeczał temu, że jest spikerem... Zresztą, przez radio ten głos brzmiał nieco inaczej. Wolałam go słuchać przez telefon, kiedy mówił własnymi słowami i z własną intonacją. Przez telefon głos był bardzo miękki, ciepły, może nieco niższy i na pewno o wiele bardziej urzekający...

A telefon właśnie zadzwonił. Istotnie, miał prawo, pierwszy akt „Cannen” szedł pełną parą. Złośliwie uśmiechnięta, podniosłam słuchawkę.

— Dobry wieczór.

— Jak się masz — powiedziałam i włączyłam się do zabawy. — Wiesz, znów się zastanawiałam nad twoim imieniem i doszłam do wniosku, że jednak muszę cię jakoś ochrzcić.

— Proszę cię bardzo. Co proponujesz?

— Najpierw uznałam, że najodpowiedniejszy będzie ten Izydor. Bo to i pasuje do ciebie, i w kalendarzu jest na właściwym miejscu...

— Izydor... No cóż, jeśli ci tak bardzo na tym zależy, to niech będzie Izydor, chociaż, gdybym miał do wyboru, to już wolałbym Pikador.

— Nie. Rozmyślałam się. Nie wiadomo, jak się ten Izydor zdrabnia. Izydorciu? Izydusiu? Do luftu takie imię. Po jeszcze głębszym namyśle doszłam do wniosku, że oprócz Izydora pasuje jeszcze do ciebie Jan. Ale Jana bardzo nie lubię, bo w młodości znałam jednego alkoholika imieniem Jan. Z Jana można by ewentualnie zrobić Janusza. Janusza lubię i lubię bardzo imię Zbyszek, i imię Marek, ale ani Zbyszek, ani Marek do ciebie nie pasują. Więc chyba pozostanę przy tym Januszu... Co ty na to?

Janusz go na chwilę zamurował. Wyraźnie było słyhać, jak się zaciął przy tym imieniu. Dopiero po chwili powtórzył:

— Jak mówisz? Nie Jan, tylko Janusz? Dobrze, proszę bardzo, zgadzam się. Zawsze to jednak lepsze niż Izydor.

Po półgodzinie „Carmen” zbliżyła się do antraktu, więc musieliśmy przerwać rozmowę. Cierpliwie przeczekałam drugi akt, jak również dziennik w programie pierwszym, oraz: „Miłym słuchaczkom i słuchaczom życzę: dobrej nocy”. Nigdy w życiu nie słuchałam dziennika z takim zainteresowaniem. Zaraz po hymnie państwowym telefon znów zadzwonił.

— Mam teraz chwilę spokoju — powiedział. Mógł się nie fatygować, sama wiedziałam. — Zrobiłem sobie dobrą herbatę i odpoczywam.

— Yunan? — spytałam mimo woli z zainteresowaniem.

— Nie, to jest taka w małych paczuszkach, którą się parzy w szklance. Przywiozłem sobie z zagranicy.

Ponieważ absorbujące mnie dotychczas tajemnice były już w znacznym stopniu wyjaśnione, zaczęła mi się wydobywać na światło dzienne ukryta na dnie niepokojąca myśl. Właściwie coś w tych naszych kontaktach towarzyskich jest niepewnego. Przez cały czas wszelka inicjatywa spoczywa w jego rękach, a ja, zajęta zagadnieniami śledczymi, zupełnie na jego poczynania nie reaguję. Poczynania mi się nie bardzo podobają i już od pewnego czasu przestałam je rozumieć. Po co on we mnie wmawia, że wyjeżdża w delegację? Przecież to nieprawda. Jeżeli nie ma ochoty przez kilka dni dzwonić, to może nie dzwonić, kto mu każe? Potem powie, że nie miał czasu i koniec.

Nie ma ochoty mnie widywać? No to niech nie widuje. Bóg z nim, ale chyba podstawowa uprzejmość wymaga ustawienia tych kontaktów na jakiejś określonej płaszczyźnie. Zwłaszcza po tamtej scenie, która dopiero teraz zaczyna być dla mnie obraźliwa... Tak, najwyższy czas przejąć inicjatywę, ale wtedy musiałabym się ujawnić, że wszystko wiem. A na to na razie nie mam ochoty, zabawa jest znakomita, szkoda ją kończyć tak szybko. A może on coś myśli? Obawiam się, że to, co myśli, też mi się nie bardzo podoba...

Z roztargnieniem słuchałam tego, co do mnie mówił, i odpowiadałam nadzwyczaj nieinteligentnie. Toczący się we mnie proces myślenia absorbował mnie coraz bardziej i wreszcie nie wytrzymałam.

— Chciałam cię o coś zapytać — powiedziałam nagle. — Dlaczego ty właściwie do mnie dzwonisz?

— Jeżeli sobie tego nie życzysz, to ja mogę przestać dzwonić... W duszy mi zapłonął czerwony sygnał. Uwaga, awaria!

— To jest odpowiedź, która mi się cholernie nie podoba... — powiedziałam powoli. — Wyjątkowo mi się nie podoba...

— Widzisz ja bardzo nie lubię pchać się tam, gdzie jestem niechętnie widziany. Jeżeli mi zadajesz takie pytanie, to możliwe, że ci moje telefony po prostu nie odpowiadają. To jest przypuszczenie, które się samo nasuwa. Natychmiast budzi się we mnie podejrzenie, że ci się może narzucam, a bardzo bym tego nie chciał. Jak widzisz, wyjaśniam ci genezę mojej odpowiedzi.

— W takim razie pozwolisz, że ci wyjaśnię genezę mojego pytania — powiedziałam tonem zupełnie odmiennym od tego, którym zadawałam pytanie. — Zadzwoniłeś do mnie pierwszy raz zaraz po tej pomyłce. Potem się ze mną widziałeś, wprawdzie w okolicznościach nieco niezwykłych, ale faktem jest, że widziałeś. A potem dzwonisz do mnie dalej. Należałoby może wyciągnąć z tego wniosek, że uznałeś mnie za interesującą. A kto wie, może ci się nawet podobałam? Ostatecznie, inicjatywa leży całkowicie w twoich rękach... A ja chyba, jak dotąd, nie ukrywałam tego, że bardzo lubię, jak dzwonisz?

— Sama sobie odpowiedziałeś na swoje pytanie. Nie muszę nic do tego dodawać.

— Tak sądzisz? W takim razie nieco dziwna wydaje mi się twoja skłonność do poprzestawania na telefonicznych kontaktach...

— Już ci mówiłem, że bardzo dużo pracuję i mam bardzo mało czasu na przyjemności i rozrywki. Właściwie w ogóle nie mam czasu.

Boże, jakim głosem on to mówił! Ciepłym, miękkim, spokojnym i tak absolutnie przekonującym, że gdybym nie wiedziała zupełnie; dokładnie, jak to w rzeczywistości wygląda, z całą pewnością bym mu uwierzyła. Nawet było mi trochę żal, że nie mogę uwierzyć.

— Istotnie? — powiedziała tonem uprzejmego zdziwienia. — O ile się dobrze orientuję, to nie ma takiej pracy na tym padole,] z której nie dałoby się wygrzebać odrobiny czasu dla siebie, jeżeli się f bardzo chce.

— Nie wiesz, jak wygląda moja praca. Nie wiesz, jak wyglądają' moje obowiązki. Czasem jest taka sytuacja, że nie można nic zrobić, j choćby się nie wiem jak chciało.

— Zdawało mi się dotychczas, że, ogólnie biorąc, mam jakieś pojęcie o pracy i obowiązkach...

— Ale nie o moich. Nie możesz mieć pojęcia o wszystkim, bo byłabyś nie do zniesienia. Akurat o tym, co robię, nie wiesz nic.

Przypadkowo akurat o tym, co robi, wiedziałam bardzo dużo. Niewiele brakowało, a byłabym to powiedziała, bo okropnie nie lubię, jak ktoś łże niepotrzebnie. Ja stawiam sprawy jasno i życzę sobie, żeby wobec mnie też je stawiano jasno. Ale czerwony sygnał ciągle mi płonął w duszy, więc nic nie powiedziałam i pozwoliłam mu zmienić temat.

— Nigdy byś nie zgadła, czym się w tej chwili zajmuję — powiedział po chwili.

„Czytasz komentarz do «Carmen»„, — pomyślałam ponuro i odparłam:

— Wiem, pijesz herbatę. Sam mi o tym powiedziałeś.

— A, nie. To raczej nie należy do moich obowiązków służbowych.

— Przerwa obiadowa?...

— Relaks. Służbowo zajmuję się pewną postacią historyczną. Nie zgadniesz, jaką.

Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć, że ja bym raczej nie nazwała Bizeta postacią historyczną. Zamiast tego powiedziałam:

— Nie wiem. No?

— Księciem Józefem Poniatowskim.

Tak mnie zaskoczył, że zupełnie nie musiałam udawać zdziwienia.

— Co takiego? A cóż ma księżę Józef Poniatowski wspólnego z handlem?

— Jak to z handlem? Dlaczego?

— No przecież mówiłeś, że zajmujesz się handlem. Zawód wyuczony i wykonywany... Sprzedajesz pomnik księcia Pepi? W Warszawie sprzedawano już różne rzeczy, most Poniatowskiego, kolumnę Zygmunta, tramwaj, można sprzedać i pomnik. Tylko że cię o to dotychczas nie podejrzewałam.

— I słusznie, nie sprzedaję pomnika księcia Józefa. Interesują mnie za to szczegóły jego życiorysu.

— Pisziesz jego biografię?

— Nie tyle piszę, co czytam.

— Bardzo ciekawe. To rzeczywiście handlowe zajęcie.

— Wybacz, muszę kończyć rozmowę. Wzywają mnie obowiązki. Zadzwoń jeszcze, jeśli nie będzie zbyt późno, żeby się pożegnać.

Znów błysnął czerwony sygnał. Co on chce przez to powiedzieć?

— Co to znaczy pożegnać? Na wieki?

— Mam nadzieję, że nie na wieki. Ale obawiam się, że tym razem na nieco dłużej. Wyjeżdżam jutro i pewnie już nie zdążę zadzwonić.

— Daleko jedziesz?

— Dość daleko. Do ciepłych krajów.

— Bardzo ci zazdroszczę. Kiedy wrócisz?

— Właśnie w tym cała rzecz, że nie wiem. Może za kilka dni, może za kilka tygodni, a może za kilka miesięcy. Ale raczej chyba najpóźniej za kilka tygodni. A możliwe też, że wpadnę do Warszawy na parę godzin i natychmiast będę musiał znów wyjechać.

Milczałam przez długą chwilę, bo mi się to okropnie nie podobało. Co on właściwie zamierza? Zerwać te kontakty ze mną? Nie może wprost?

— A jak wrócisz, to co? — spytałam ostrożnie.

— A jak wrócę, to zadzwonię i mam nadzieję, że będę mógł cię zobaczyć. Muszę ci się przyznać, że czasem się czuję bardzo zmęczony i miałbym ochotę pożyć jak normalny, przeciętny człowiek. Pracować określoną liczbę godzin, potem wracać do domu i mieć czas na jakieś przyjemności, rozrywki i osobiste życie. Chciałbym mieć dużo, dużo czasu i wykorzystywać go w sposób przyjemny.

— Myślałam, że na pożegnanie powiesz coś miłego...

— A to, co mówię, jest niemiłe?

— Nie widzę tu miejsca dla siebie...

— Zawsze mi się zdawało, że kobiety dysponują pewną bystrością] umysłu. Przecież wyraźnie powiedziałem, że chciałbym mieć dużo czasu na prywatne, osobiste przyjemności...

— Czyżbym się mieściła w przyjemnościach?

— Jak najbardziej. Nie sądzisz chyba, że się mieścisz w ciężkich obowiązkach?

— No, to już trochę lepiej brzmi. Tylko mi się ta przerwa w czasie nie podoba.

— Na to już nic nie mogę poradzić. Mam akurat taką pracę, że właściwie nie dysponuję sobą. Ojczyzna mną rządzi. Ale na ogół nie narzekam, bo ja jednak tę moją pracę bardzo lubię.

Nie, to nie wyglądało na ostateczne zerwanie. Ciepły, piękny głos brzmiał tak przekonująco... Zupełnie jakby mówił świętą prawdę. Ale przecież wiem, że łże. Nigdzie nie wyjeżdża, zawracanie głowy z delegacją. Z wielkim wysiłkiem powstrzymałam się od wyjawienia tego, co myślę.

— A teraz już cię rzeczywiście muszę pożegnać. Jeśli zdążę, to jeszcze zadzwonię.

Odłożyłam słuchawkę i zerwałam się z miejsca. „Carmen” się kończy, jeszcze dziennik i koniec! Taksówka czeka przed domem, polowanie zaczyna się na nowo!

Na wszelki wypadek ubrałam się w rzeczy, których już od dawna nie nosiłam i które powinny całkowicie zmienić sylwetkę. Nie wiedziałam, co mnie może czekać, zważywszy, że nigdy nie potrafię przewidzieć tego, co sama wymyślę. Wybiegłam z domu, czując się jak wyżeł, który poczuł świeżą farbę.

Rozgłośnia miała, na szczęście, tylko jedno możliwe wyjście, ale przed tym wyjściem nie było gdzie stanąć. Należało stać tak, żeby nie zwracać uwagi. Kierowca, pełen zrozumienia, nie tylko podporządkowywał się moim dziwacznym życzeniom, ale nawet wykazywał inicjatywę. W wyniku tego przez jakiś czas jeździliśmy w kółko po kilkudziesięciu metrach ulicy, cofając się, zawracając i zatrzymując w rozmaitych miejscach. Wreszcie ulokowaliśmy się znakomicie ukryci, ale za to daleko od owego wyjścia. Trochę mnie niepokoiło, bo w ciemnościach niewiele było widać i mogłam go przeoczyć. Na parkingu nie było żadnego samochodu.

Czekaliśmy w nieskończoność. Włochata czapka gryzła mnie w głowę. Palłam papierosy i wytrzeszczałam oczy, aż w ogóle przestałam już cokolwiek rozróżniać.

— Chyba oczopląsu dostanę — mruknęłam do kierowcy, niemal równie jak ja zainteresowanego tym śledztwem. Odwrócił się do mnie.

— A wie pani, że mnie też już w oczach miga. Trochę za daleko stoimy. Ale bliżej nie można, bo będziemy znaczni.

Odwrócił się z powrotem i nagle wydał zduszony okrzyk:

— Jest! Ktoś wyszedł!

— Gdzie??

— A o tam! Widzi pani? Nogi! Na tej kupie śniegu widać nogi. Rzeczywiście, na tle śnieżnej zasy widać było męską sylwetkę, poruszającą się tam i z powrotem.

— Co on robi? — spytał kierowca ze zdumieniem. — Na spacer wyszedł o tej porze?

— Na wóz czeka, wóz mu się pewno spóźnia. Żebym ja chociaż na pewno wiedziała, że to ten facet, o którego mi chodzi.

— To już się pani w tej chwili nie przekona, za ciemno.

— No nic, czekajmy.

Po kilku minutach zza zakrętu wyskoczyła warszawa i podjechała pod wyjście z rozgłośni. Ledwo widoczny w ciemnościach osobnik wsiadł. Ruszyliśmy za nimi w momencie, kiedy znów znikali za zakrętem.

Przez puste miasto nie można było jechać zbyt blisko, ale to nie miało znaczenia, bo i tak wiedziałam, dokąd jadą. Zbliżyliśmy się do niego dopiero na placu Zamkowym. Wjeżdżając w Świętojańską, ujrzelśmy, że skręcają w Zapiecek.

— O rany — powiedział kierowca z niepokojem — w kółko będą jeździć?

— Jedź pan prosto i zatrzymaj pan w Rynku!

Jeszcze nie zdążył zatrzymać, kiedy już wyskoczyłam. Ostrożnie wyjrzałam w Zapiecek i ucieszyłam się. Jest! Stoją. Pomyślałam, że będzie cholernie śmiesznie, jeśli teraz z tej warszawy wysiadzie ktoś inny, ale nie było śmiesznie. To był bez wątpienia on, znajoma, wysoka sylwetka. W butach na gumie spokojnie poszłam za nim, przyjrzałam się drzwiom, które otwierał własnym kluczem, zaczekałam, aż w oknach na drugim piętrze zapaliło się światło. Jednakże, należy przyznać, że dużo prawdy powiedział...

Ruszyłam w powrotną drogę do domu. Otworzyłam torebkę, żeby wyjąć papierosa, i nagle coś mnie w jej wnętrzu zastanowiło. Rany boskie, nie miałam portmonetki! W tym momencie uprzytomniłam sobie, że portmonetkę ze wszystkimi pieniędzmi zostawiłam na stole w miejscu pracy. A na liczniku taksówki dziewięćdziesiąt osiem złotych. O, wszyscy święci!

Zastygłam z papierosem w rękę i zaczęłam gwałtownie myśleć. Portmonetka to drobiazg, u mnie w pracy wartościowe przedmioty nie giną, ale co ja teraz mam zrobić? Nie wystawię przecież do wiatru kierowcy, który mnie z takim poświęceniem woził. Muszę natychmiast skądś zdobyć pieniądze...

Niestety, jedyny człowiek, który o tej porze mógłby mi pożyczyć pieniędzy, to pan z pokoju trzysta trzydzieści sześć... Wiem, że jest w Warszawie, niedawno znów przyjechał...

— Jedziemy na plac Warecki — powiedziałam twardo. — Pod hotel Warszawa.

Musiałam nieco dziwnie wyglądać w starej jesionce, ze skołtunionymi włosami, z wielką, włochatą czapką w garści. W recepcji spojrzeli na mnie bardzo podejrzliwie.

— O pierwszej w nocy chce pani kogoś budzić? — powiedziała dyżurująca pani z oburzeniem.

— Nic nie szkodzi, ten pan jest przyzwyczajony — odparłam uprzejmie i wykręciłam numer.

— To ty? Tu Joanna. Słuchaj, jestem w recepcji, błagam cię, zjedź na dół i przynieś mi pięćset złotych.

— Na litość boską, dziewczyno, co ty masz za pomysły? Czy to musi być zaraz? Nie można jutro?

— Wykluczone. Ja rozumiem, że śpisz, ale nie mam innego wyjścia. Nie ubieraj się, jak dla mnie możesz zejść w piżamie, w slipach, w czym chcesz. Tylko pożycz natychmiast pięćset złotych!

— Dobrze, zaraz schodzę.

Wiedziałałam, że mogę na niego liczyć! Czekając, usiłowałam się uczesać, ale to mi nic nie pomogło. Na dobitkę uprzytomniłam sobie, że nie mam także pieniędzy dla portiera, który przez cały czas przyglądał mi się bardzo uważnie.

Czekałam bardzo krótko. Pan z pokoju trzysta trzydzieści sześć zszedł przyodziany w koszulę, w spodnie, w buty i skarpetki. Spojrzałam na niego i spytałam:

— Nie masz przy sobie przypadkiem pięciu złotych?

— Co takiego? — powiedział ze zdumieniem i nagle obydwójce wybuchnęliśmy śmiechem. Usiadł koło mnie i powiedział:

— Masz pięćset złotych i powiedz mi, coś ty nowego wymyśliła?

Całe śledztwo nagle wywietrzało mi z głowy. Taksówka cykała licznikiem na placu Wareckim, a ja patrzyłam na moje nieszczęście w białej koszuli i czułam, jak mnie reszta świata przestaje obchodzić. I ja, skończona idiotka, chciałam na niego znaleźć klina? Beznadziejne. Nie ma siły, niebieskie oczy są najpiękniejsze na świecie...

— Proszę cię, daj jeszcze jutro portierowi pięć złotych za moje kontakty z drzwiami — powiedziałam, żegnając się.

— Dobrze, nie martw się, już ja to załatwię. Powodzenia.

Do rozwikłania tajemnicy wróciłam dopiero nazajutrz. Uzyskanie numeru samochodu było niegodnym wzmianki drobiazgiem. Gorzej wyglądała sprawa z numerem telefonu.

Na razie podpuściłam Wiesia.

— Wiesiu — powiedziałam z niesmakiem — on odłożył słuchawkę i co? Tak to zostawisz?

— A nie, skąd — podchwycił Wiesio natychmiast. — Mowy nie ma, trzeba zadzwonić.

Zadzwoniliśmy około południa. Pani, która odebrała telefon, kazała chwilę zaczekać i zawróciła tego pana z portierni, bo właśnie wychodził.

— Proszę pana — powiedział Wiesio z głębokim rozżaleniem w głosie — pan mi wtedy nie odpowiedział, kiedy się odbędzie ten odczyt o malarstwie impresjonistycznym. A mnie tak zależy na tym, żeby się dowiedzieć. Czy pan mnie jednak może o tym poinformować...

Odpowiedź padła natychmiast.

— Pojutrze o siedemnastej dwadzieścia trzy.

— O siedemnastej dwadzieścia trzy — powtórzył Wiesio, wyraźnie uradowany. — Bardzo panu dziękuję.

— Proszę. Nie ma za co.

— Dobry — powiedział Wiesio z uznaniem, odkładając słuchawkę. — Ma refleks.

— Pewnie, że ma. Pojutrze jest niedziela. W poniedziałek trzeba będzie zadzwonić i zapytać, dlaczego się ten odczyt nie odbył. Ciekawe, co odpowie.

Zabawa zapowiadała się pierwszej klasy. Wyglądało na to, że nie zawiodłam się na jego poczuciu humoru. Teraz jeszcze tylko ten przeklęty prywatny telefon.

Znów zaczęłam myśleć, a to jest czynność, która w zestawieniu z moją osobą daje jak najgorsze wyniki. Wymyśliłam sposób znalezienia tego numeru, wprowadzie nie stuprocentowo pewny, ale za to bardzo pracołłonny. Czegoś podobnego chyba nikt inny nie zdołałby wymyślić.

Wszystkie numery nie zastrzeżone znajdują się w książce telefonicznej, która, na szczęście, została dopiero co wydana. Te numery, których tam brakuje, są zastrzeżone. Trzymając się tej jednej, staromiejskiej centrali, można drogą eliminacji dojść do olśniewających rezultatów.

Zacząłam więc dochodzić. Spędziłam na tym frapującym zajęciu dwa dni i dwie noce. Przybyła do mnie moja przyjaciółka, spojrzała na to, co leżało na tapczanie, i spytała z najwyższym zdumieniem:

— Co ty robisz? Zwariowałaś? Dodajesz książkę telefoniczną?

Po wysłuchaniu wyjaśnienia, bez słowa narysowała palcem kółko na czole i muszę przyznać, że nie czułam się zdziwiona jej reakcją. Sama miałam wątpliwości, czy jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach. Ponuro i z dużą abominacją patrzyłam na istotnie

olśniewające rezultaty moich poczynań. Zostało mi przeszło czterysta numerów. Rany boskie, mam odbyć czterysta kretyńskich rozmów telefonicznych?...

Trudno, będę konsekwentna. Skąd zacząć? Zaraz, na tej ulicy znajdują się telefony, które mają określone dwie dalsze cyfry. Nie jest wykluczone, że wszystkie pozostałe mogą być zupełnie inne, ale jest duże prawdopodobieństwo, że będą takie same. No to zacznę od tego. Wykręciłam numer pierwszy z brzegu. Odezwał się jakiś pan.

— Przepraszam, czy to mieszkanie państwa Krupczatków? — spytałam uprzejmie, bo mi było wszystko jedno, o co pytam i co mi odpowiedzą, bylebym usłyszała głos.

— Nie, proszę pani, pomyłka — odpowiedział ten pan równie uprzejmie. Zupełnie inny głos. Wykreśliłam ten numer. Przy następnym do pana, który się odezwał, powiedziałam:

— Czy mogę mówić z Krystyną?

— Proszę bardzo — padła odpowiedź. Przeraziłam się. Świeci patroni, też trafiłam! Trzeba było pytać o Pelagię, co ja teraz zrobię z tą Krystyną?

— Słucham — powiedziała nie znana mi bliżej Krystyna.

— Słuchaj, Krystyna — powiedziałam z rozpaczą — nie będę mogła do ciebie jutro przyjść, może się jakoś inaczej umówimy?

W telefonie przez moment panowała konsternacja.

— Nie rozumiem. Kto mówi?

— Joanna.

— Ja nie znam żadnej Joanny... To chyba pomyłka?

— Jak to? Czy to numer... — powiedziałam byle jaki numer, uważając tylko, żeby nie trafić na właściwy.

— Nie, pomyłka.

— Och. Najmocniej panią przepraszam...

Chwała Bogu, skończyłam z Krystyną. Do bani taka metoda, kobiety mogę sobie od razu darować, trzeba dłużej rozmawiać z mężczyznami, bo po jednym słowie mogę go nie poznać. Wykręciłam następną numer.

— Bardzo pana przepraszam — odezwałam się możliwie ujmująco — czy to pana syn pobił się dziś rano z moim synem na Wisłostradzie? Ten chłopiec podobno podał taki numer telefonu i ja chciałam bardzo przeprosić...

— Nie, proszę pani, ja nie mam syna, ja mam dwie córki — odparł ten pan z lekkim zdumieniem.

— A, to bardzo przepraszam, widocznie się pomylił.

Następny numer nie odpowiadał. Wykręciłam dalszy kolejny. Kobieta.

— Pana Janusza proszę — powiedziałam bezczelnie.

— Pomyłka... Następny:

— Przepraszam pana, czy to pańskiego syna pogryzł wczoraj mój pies?

— Chwileczkę, proszę pani... Zosiu, czy Piotruś był wczoraj pogryziony przez psa?...

— Nie, proszę pani, my nic o tym nie wiemy...

— To widocznie pomyłka, przepraszam... Odpada. Następny.

— Przepraszam pana, czy to pański pies pogryzł wczoraj mojego syna?

— Co takiego? Ależ ja nie mam psa...

W momencie, kiedy spytałam, czy to mój syn pogryzł pańskiego psa, doszłam do wniosku, że dostałam już kołowacizny i powinnam iść spać. Jedenaście numerów mi odpadło. Lekko licząc, można było mieć nadzieję, że to miłe zajęcie potrwa jeszcze czterdzieści dni. Jak potop.

Następnego wieczoru usiadłam znów przy telefonie. Z głośnika dobiegał znajomy głos, z czego bystro wywnioskowałam, że w domu go nie ma. W porządku, wobec tego wszystkie numery, które odpowiedzą, automatycznie odpadają.

Niestety, to była sobota. Mnóstwo telefonów nie odpowiadało, pół miasta wymiotło z domów i eliminacja mi szła jak po grudzie. Na wszelki wypadek zadzwoniłam jeszcze raz do biura numerów i do biura napraw, nie mając nawet nadziei, że mi cokolwiek powiedzą. Istotnie, nie tylko nic nie powiedzieli, ale nawet zaczęli się do mnie odnosić podejrzliwie. Z westchnieniem wróciłam więc do poprzedniej metody.

Okoloł wpół do jedenastej przypomniałam sobie, że miałam na poniedziałek rano wykreślić elewację budynku. Bardzo niechętnie podniosłam się z tapczanu i podeszłam do stołu. Popatrzyłam na pokrywający go śmietnik, nie myśląc o tym co robię, wzięłam do ręki jeden szkic, potem drugi... Odgarnęłam papiery i przyjrzałam się z dezaprobatą rysunkowi, który był przypięty na samym dole. Nie podobało mi się to, co było na nim uwidocznione, gdzieś w podświadomości błysnęła mi myśl, że poprzednio to wyglądało lepiej. Ciągłe jeszcze zaabsorbowana tamtym tematem, mimo woli zaczęłam grzebać w stosach szpargałów, wydostałam inny rysunek i przyjrzałam mu się z nieco mniejszą dezaprobatą. Tak, tu jest trochę lepiej. Dlaczego tu jest lepiej?

Jeszcze przez chwilę bezmyślnie porównywałam oba rysunki, rzuciłam okiem na rozrzucone obok szkice i nagle dokonałam odkrycia: już wiem! Za mało jest tej ściany nad górnym oknem, za nisko jest gzyms. Gdyby się dało go nieco podwyższyć... W najgorszym wypadku można dać rynnę wpuszczoną w mur...

Z odzyskaną nagle energią zmiotłam ze stołu śmietnik, odpięłam rysunek od rajzbretu i sięgnęłam po nową kalkę. Zanim się obejrzałam, siedziałam przy desce nad elewacjami. Zapomniałam o poszukiwaniach zakonspirowanych facetów, o numerach telefonów i o innych głupstwach. Elewacje wychodziły pięknie pod warunkiem podwyższenia gzymsu. Może się da to osiągnąć? Trzeba sprawdzić na przekrojach. Przekroje ma w domu Janusz, który miał je wykończyć też na poniedziałek, o tej porze powinien już mieć ustalone wszystkie poziomy. Zaraz, detal gzymsu... Nie, chwała Bogu, detal gzymsu jeszcze nie jest wykreślony, można będzie wprowadzić zmianę. Teraz mi są tylko potrzebne wszystkie „koty” i za nędzne parę godzin będę miała elewacje gotowe w ołówku. A jutro je zdążę wykreślić w tuszu!

Nie zauważyłam upływu czasu. Podchodząc do telefonu, spojrzałam na zegarek i zdziwiłam się, że jest już po wpół do pierwszej. A, to nic dziwnego, że się czuję nieco zmęczona, po tamtych dwóch nie przespanych nocach. Jak na towarzyskie rozmowy pora jest trochę późna, ale jak się pracuje całą noc, uzgadniając równocześnie różne rzeczy z kimś innym, to godzina nie ma znaczenia. Wiedziałam, że mój kolega, Janusz, ma więcej roboty niż ja i na pewno będzie siedział do rana. Inaczej na poniedziałek nie zdąży, wykluczone.

Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer.

— Słucham — odezwał się prawie natychmiast męski głos.

— Janusz? — powiedziałałam pytająco i, nie czekając na odpowiedź, przystąpiłam do rzeczy. — Słuchaj, daj mi teraz te koty na przekroju A, budynek 5. Chyba już masz gotowe?

— Halo — powiedział męski głos — nie rozumiem?

— Czego nie rozumiesz? Koty, mówię, daj na przekroju.

— Proszę mi nie zwracać głowy — odpowiedziano mi w telefonie i usłyszałam trzask odkładanej słuchawki.

Zdumiałam się niewymownie. Janusz zwariował? Byłam tak zaskoczona, że przez chwilę siedziałam nieruchomo, przyglądając się ciągle trzymanej w ręce słuchawce. Nagle przyszło mi do głowy, że może ten drań spał, zamiast pracować, i ogarnęła mnie wściekłość. To ja się tu mecze, a on śpi? Komu zależy na terminie, mnie czy jemu? Z furii] wykręciłam po raz drugi ten sam numer.

— Słucham...

— Czego się wygłupiasz, do diabła! — powiedziałam gniewnie i z wyrzutem. — O tej porze powinieneś mieć już wszystkie przekroje okotowane. Jeżeli powiesz, że spałeś, to ci w poniedziałek pysk stłukę. Daj w tej chwili przekrój A!

— Halo, co to znaczy? O co pani chodzi?

— Pijany jesteś czy co? Skończ te głupie hopsztosy. Stałam z robotą i bez poziomów dalej nie ruszę. Nie zamierzam potem siedzieć do rana przez twoje wygłupy.

— Proszę pani, ja nie rozumiem, o czym pani mówi. Proszę przestać do mnie dzwonić i dać mi święty spokój albo zawiadomię milicję.

Zamurowało mnie. Nagle dotarło do mojej świadomości, że to przecież nie Janusz. Rany boskie! Nie dość na tym, ja przecież znam ten głos... O, święci pańscy!

— Halo — powiedziałam bardzo niepewnie — czy to numer dwadzieścia jeden osiemdziesiąt trzy czterdzieści osiem?

— Nie i proszę się wreszcie uspokoić z tymi telefonami, bo, oświadczani pani, zawiadomię o tym milicję. Ja żądam spokoju we własnym domu! — I znów trzask słuchawki.

Tym razem przez długą chwilę przychodziłam do siebie. Co ja wykręciłam, na litość boską? Przecież to on, jak Bóg na niebie. Numer... ten cholerny numer, który cały czas usiłuję znaleźć! Do diabła z Januszem i przekrojami, muszę natychmiast wykręcić to samo. Zaraz, przecież to inna centrala, czyżbym pomyliła tylko pierwszą cyfrę?

W zdenerwowaniu wykręciłam ten sam numer, zaczynając go tylko od trójki, a przynajmniej tak mi się zdawało. Znow się odezwał męski głos.

— Słucham.

— Bardzo pana przepraszam — powiedziałam, okropnie przejęta. — Czy to pan miał przed chwilą taki dziwny telefon o kotach? Zdaje się, że ja się pomyliłam...

— Słucham panią? O kotach? Nie, proszę pani, nie miałem przed chwilą żadnego telefonu.

— Niemożliwe. Jest pan pewien?

— Zupełnie pewien. Od paru godzin nie miałem żadnego telefonu...

To mnie do reszty zdeorientowało. Rany boskie, znow coś głupiego zrobiłam! Pierwsza godzina, wyrwałam z łóżka jakiegoś niewinnego faceta. Niech się chociaż upewnię...

— Czy to jest numer trzydzieści jeden osiemdziesiąt trzy czterdzieści osiem?

— Nie, proszę pani, sześćdziesiąt trzy czterdzieści osiem.

— O Boże! Strasznie pana przepraszam, to niech pan uprzejmie dalej śpi. Dobranoc.

— Dobranoc. Nic nie szkodzi.

Opanowałam się z wielkim wysiłkiem i bardzo uważnie wykręciłam numer.

— Słucham... Tak, to ten głos.

— Bardzo pana przepraszam — powiedziałam niestychanie uprzejmie — zdaje się, że ja do pana przed chwilą zadzwoniłam przez pomyłkę...

— Do ciężkiej cholery, czy ja będę wreszcie mógł spać, czy nie? Czy pani przestanie do mnie dzwonić po nocy? Już pani wyraźnie powiedziałem, że ma się pani odzepić od mojego telefonu.

— Ależ proszę pana, dlaczego pan krzyczy? Chcę pana przeprosić za pomyłkę, którą popełniłam, a pan robi awanturę...

— I zrobię jeszcze większą awanturę. Niech mnie pani przestanie prześladować, radzę pani, bo ja zawiadamiam milicję i milicja się panią zajmie.

Rzucił słuchawkę. Zwariował czy co? Co go napadło z tą milicją? Pomylił mnie z jakąś przestępczynią. Może go wyrwałam ze snu?

Zresztą, co mnie to obchodzi, najważniejsze jest, że znam numer, ha, ha, rozwikłani do końca tajemnicę!

Przez chwilę zastanawiałam się na tym, czy mnie poznał. Nie, chyba nie, po diabła mówiłby do mnie takie bzdury? Nic nie szkodzi, niech śpi, jutro sprawdzę. Aha, prawda, miałam skończyć elewację.

Następnego wieczoru o zdecydowanie wcześniejszej godzinie zadzwoniłam. Nie zamierzałam się jeszcze przedstawiać. Cały czas uważałam to wszystko wyłącznie za oryginalną zabawę i byłam bardzo ciekawa, co z tego wyniknie.

— Proszę pana — powiedziałam, kiedy się odezwał. — Usiłowałam wczoraj panu wyjaśnić pewne drobne nieporozumienie telefoniczne, ale pan mi okropnie nawymyślał. Czy można...

Przerwał mi. Odpowiedź, którą usłyszałam, była tak zdumiewająca, że mi na dobre odebrało mowę. Uprzejmym, pięknym, spokojnym głosem, z nienaganną dykcją wygłosił do mnie przemówienie, w którym kategorycznie zabronił mi się napastować zarówno w domu, jak i w miejscu pracy, postawił pod znakiem zapytania stan mojego umysłu, jakość mojej kondyty oraz sposób zdobywania środków na utrzymanie, wreszcie znów zagroził okropnymi konsekwencjami, wyraźnie zahaczającymi o kodeks karny. Słuchałam tego w osłupieniu, acz z dużym zaciekawieniem. Na zakończenie powiedział:

— I jeżeli pani jeszcze raz do mnie zadzwoni, to ja natychmiast potem dzwonię na milicję.

Wobec tego natychmiast zadzwoniłam jeszcze raz, bo bardzo kocham milicję, i powiedziałam:

— Czy pan sobie w ogóle zdaje sprawę z tego, z kim pan rozmawia?

— Nie i nic mnie to nie obchodzi. A teraz dzwonię na milicję.

Kompletny brak logiki. Zaczął mnie ogarniać duch przekory. Odczekałam chwilę, żeby mu zostawić czas na ten telefon do milicji i znów zadzwoniłam.

— Dlaczego pan właściwie robi takie piekło, zamiast rozmawiać normalnie? — spytałam z zaciekawieniem.

— Nie, no tego już za wiele. Z panią nie można rozmawiać normalnie, bo pani jest nienormalna. I oświadczam pani...

— Mnie się nieodparcie wydaje, że to pan jest nienormalny...

— ... i oświadczam pani, że będzie pani miała duże nieprzyjemności i sama pani będzie sobie winna...

— Okropnie jestem ciekawa, za kogo mnie pan bierze?...

— Niech pani nie udaje idiotki. Wymyśliła pani sobie jakąś fikcyjną pomyłkę, zdobyła pani podstępem mój numer telefonu i zakłóca pani mój spokój. Ja już z panią skończyłem, teraz zajmie się panią milicja.

Co za mania z tą milicją? Istna obsesja. Zaczęły mnie ogarniać wątpliwości, czy to aby na pewno on? Przy moim szczęściu do pomyłek telefonicznych istnieje możliwość, że rozmawiam cały czas z jakimś zupełnie obcym człowiekiem, który istotnie mógł uznać, że prześladowuje go wariatka. Ale nie, niemożliwe, to z pewnością jego głos. Wobec tego co? Nagle oszalał?

Z jednej strony byłam szalenie zaintrygowana, a z drugiej zaczęło mnie ter ogromnie bawić. Sama myśl, że miałabym się przestraszyć kontaktów z milicją była idiotyczna, nie mówiąc już o nieprawdopodobnych kalumniach, z którymi nie miałam nic wspólnego. Duch przekory działał i nie mogłam się oprzeć chęci kontynuowania zabawy.

Pojechałam do Komendy Dzielnicowej. Znalazłam właściwego przedstawiciela władzy i poinformowałam go, że gdyby wpłynął meldunek o chuligańskich prześladowaniach telefonicznych, to chuliganem jestem ja. I że chciałabym się dowiedzieć, czy jeżeli dzwonię do człowieka, który mi się wydaje moim znajomym, i usiłuję wyjaśnić mu zaistniałe nieporozumienie, to popełniam przestępstwo, czy nie.

Przedstawiciel władzy wysłuchał mnie z nieprzeniknioną twarzą i powiedział:

— Dowód proszę.

Dałam mu dowód osobisty i legitymację służbową. Z radością dałabym jeszcze bilet miesięczny i prawo jazdy, ale nie chciał. Zapisał mnie na jakimś papierze, powiedział, że nic

o takiej sprawie nie wie, że telefony do znajomych na ogół nie bywają przestępstwem, a wreszcie uśmiechnął się lekko i oświadczył:

— Proszę pani, chuligańskie prześladowania telefoniczne zaczynają się wtedy, jeżeli ktoś przez dwa tygodnie robi złośliwe dowcipy, i to w nocy. Z tego, co pani mówi, rozumiem; dzwoniła pani wszystkiego dwa razy, a w dodatku to ten pan pani nawymyślał, a nie pani jemu.

Pozegnałam się uprzejmie, wróciłam do domu i następnego wieczoru nie wytrzymałam. Wykręciłam numer.

— Słucham.

— Chciałam pana zawiadomić — powiedziała słodkim głosem — że nie musi się pan fatygować. Już zawiadomiłam milicję. Dobranoc.

Po dwóch dniach zorientowałam się, że zrobiła się jakaś draka. Normalni ludzie, mający do tego pana normalne interesy, nie mogą się do niego dodzwonić. W miejscu pracy odpowiadają, że pomyłka, i odkładają słuchawkę. Ponieważ ja przez ten czas nigdzie nie dzwoniłam, poczułam lekkie zaniepokojenie. Jak na mój gust zamieszanie zrobiło się za duże, wcale nie miałam zamiaru czegoś takiego wprowadzać. Czy to przypadkiem nie jest jakaś poważniejsza sprawa, niż przypuszczałam? Mój Boże, może ja temu człowiekowi istotnie narobiłam jakichś kłopotów? Doprawdy, zupełnie nie miałam takich intencji, nie mam do niego żadnych pretensji ani żalu, wręcz przeciwnie, jestem mu gorąco wdzięczna za zabawę, jakiej mi dostarczył. Kalumnie, które na mnie rzucał, nic mi nie przeszkadzają, są tak dokładnie pozbawione sensu, że mogę je uważać jedynie za element rozrywkowy. Dobrze, ale może ja mam zabawę, a on poważne kłopoty?

Doszłam do wniosku, że jednak należy tę imprezę jakoś zakończyć. Spytam go po prostu, czy to on, bo co do tego ciągle żywiłam pewne wątpliwości, przedstawię się wyraźnie, wyjaśnię to przedziwne nieporozumienie, przeproszę go za moje niezamierzone nietakty i bez wzajemnych pretensji rozejdziemy się w przeciwne światła strony. Jego numer telefonu oraz inne dane wymażę na wieki z pamięci.

Z powyższym zamiarem zadzwoniłam wczesnym wieczorem do miejsca pracy, chcąc się dowiedzieć, kiedy będzie miał dyżur, bo wydawało mi się, że lepiej będzie porozmawiać z nim w pracy niż w domu. Może ma jakiś uraz na punkcie tego swojego prywatnego telefonu?

Panią, która odebrała telefon, spytałam o to uprzejmie i zupełnie normalnie. Odpowiedź mnie znów zaskoczyła.

— Już pani mówiłam, że nie udzielamy żadnych informacji. To pani dziś dzwoniła, prawda?

Jako żywo, nie dzwoniłam nigdzie od trzech dni. Co to znowu znaczy, u diabła.

— Nie, proszę pani, nie dzwoniłam — powiedziała ze zdumieniem. — Chciałam się po prostu dowiedzieć, kiedy ten pan będzie miał dyżur w rozgłośni, żeby go złapać telefonicznie, ale na razie pierwszy raz o to pytam.

— Proszę zadzwonić do sekretariatu, podam pani numer. Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam rozmyślać. Ki diabeł? Dzwoni do niego jakaś inna facetka i on ją bierze za mnie? Czy mnie za nią? Co tu się w ogóle dzieje? Nic nie rozumiem.

Machnęłam ręką na sekretariat i zadzwoniłam do domu. Wiedziałam, że to on, ale na wszelki wypadek, spytałam o to pełnym imieniem i nazwiskiem. Przedstawić się już nie zdążyłam.

— Czy pani się nigdy nie uspokoi? Czy pani dzwoni do mnie po to, żeby wysłuchiwać impertynencji? Czy pani nic nie zdoła obrazić? — usłyszałam zamiast odpowiedzi.

No, to mnie już nieco zdenerwowało. Co on sobie wyobraża? Ze ja te idiotyzmy potraktuję poważnie?

— Mogę pana zapewnić, że pańskie impertynencje mnie w ogóle nie dotyczą — powiedziała lodowato. — Nie mogę się obrażać o coś, co nie ma ze mną nic wspólnego.

Wydaje mi się, że zaistniało tu bardzo nieprzyjemne nieporozumienie, które doprawdy chciałabym wyjaśnić.

— Nic pani nie będzie wyjaśniać, bo ja sobie nie życzę z panią rozmawiać. Czy do pani dociera to, co do pani mówię?

— Nie — powiedziałam z zimną furią — nie dociera.

— To znaczy, że pani cierpi na zaburzenia umysłowe. Pani jest nienormalna i powinna pani przebywać w zakładzie zamkniętym, bo pani jest niebezpieczna dla otoczenia.

Możliwe, że w tym miejscu miał trochę racji.

— Czy pan wreszcie zdoła zrozumieć, co ja do pana mówię? Czy pan dostał fioła?...

— Nie chcę rozumieć, co pani mówi, i nie chcę tego słyszeć. I radzę pani przestać dzwonić.

Odłożył słuchawkę. Szlag mnie trafił, uparłam się i przestałam myśleć. Wykreśliłam numer.

— Oświadczam panu — powiedziałam zimno — że nie przestanę dzwonić, dopóki nie zdecyduje się pan zamienić ze mną kilku normalnych zdań.

— Tego się pani nie doczeka. Nie zamierzam rozmawiać z nikim, kto do mnie dzwoni anonimowo.

— Ja się panu mogę w każdej chwili przedstawić. Ja nie mam żadnych powodów do ukrywania swojego nazwiska.

— Nie interesuje mnie pani nazwisko...

Wyłączył się. Natychmiast zadzwoniłam.

— Słucham...

— Będzie pan miał święty spokój do końca życia — powiedziałam uprzejmie — jeśli mi pan udzieli odpowiedzi na jedno pytanie.

— Nie udzielę pani żadnej odpowiedzi na żadne pytanie. Pani jest nieprawdopodobnie bezczelna i nic dziwnego. Nauczyła się pani tej bezczelności pod „Polonią”...

— Co??

— Dobrze pani słyszy, pod „Polonią”...

To mnie znowu zaciekawiło. Skąd mu to wszystko przychodzi do głowy?

— Nieco mnie pan dziwi — powiedziałam z zainteresowaniem — Nie przypominam sobie tej profesji w swoim życiorysie...

— Mam na pani temat zupełnie dokładne informacje. Zarówno profesja, jak i miejsce są dla pani najbardziej odpowiednie.

Chciałam mu powiedzieć, że „Polonia” już teraz niemożliwa i że to wszystko przeniosło się gdzie indziej, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie. Zanim sobie przypominałam, zdążył się wyłączyć. Po namyśle zadzwoniłam czwarty raz:

— Słucham.

Po co on podnosi słuchawkę? Przecież chyba wie, że to ja?

— Czy pan się może obawiać — spytałam ze współczuciem — że ja zażądam od pana honorarium za pańskie kontakty ze mną?

Odpowiedź była długa i wyszukana, acz nieskazitelnie wytworna. Na zakończenie znów się uczepił nieszczęsnej milicji. Wobec tego zostawiłam go na chwilę w spokoju i zadzwoniłam do dwóch komend. Pokrótkę przedstawiłam sprawę i spytałam, od którego telefonu do tego pana zaczynam już podpadać pod kodeks karny. Upewniłam się, że jeszcze trochę mogę sobie pozwalać. Zadzwoniłam znów do niego.

— No, i co pani nowego wymyśliła? — usłyszałam pytanie.

— Chciałam się pana zapytać, którą Komendę Milicji zamierza pan zawiadomić? Bo ja już załatwiłam pańską Komendę Dzielnicową, moją Komendę Dzielnicową i Komendę Główną.

Chwila milczenia, westchnienie i odpowiedź:

— No, to już tylko Tworki zostały...

I znów brzęk słuchawki. Ucieszyłam się, że nareszcie odzyskuje poczucie humoru, bo już mnie zaczynała martwić ta niesprawiedliwość: ja się świetnie bawię, a on — jak na pogrzebie. Nie mogłam przestać dzwonić, żeby go nie rozczarować, bez wątplenia czekał przecież na mój następny telefon, a poza tym musiałam mu dać szansę ewentualnego zorganizowania podsłuchu i nagrania rozmów. Po kilku minutach podniosłam słuchawkę.

— Słucham...

— Czego pan się właściwie boi? — spytałam z zaciekawieniem — dlaczego...

— Pani jednak brakuje piątej klepki. — Już do pani dzwoniła milicja i jeszcze pani mało?

Ten człowiek miał szczególny dar zaskakiwania mnie dziwnymi wypowiedziami. Jako żywo żadna milicja do mnie nie dzwoniła, natomiast ja dzwoniłam do milicji. Pomieszało mu się coś. O rany, a może on napuścił milicję, przez pomyłkę, na kogoś innego?

— Panie! — krzyknęłam. — Rany boskie, na kogo pan tę milicję napuścił? Do mnie nikt nie dzwonił!

— Czy pani sobie nie zdaje sprawy z tego, jak pani sama sobie szkodzi? Dzwoni pani do mnie piąty raz...

— Nie, proszę pana, szósty — przerwałam uprzejmie.

— Szósty, jeszcze gorzej. Zakłóca mi pani spokój w moim własnym, prywatnym domu, całkowicie bezprawnie. Popelnia pani przestępstwo...

— Niech pan mi nie zwraca głowy przestępstwem...

— Uniemożliwia mi pani wypoczynek...

— Czy pan nie może na chwilę zamilknąć? Wyraźnie panu mówię...

— I poniesie pani konsekwencje...

Mówiliśmy obydwójce równocześnie, bo on całkowicie ignorował moje wypowiedzi. Sensu to miało raczej niewiele. Zadzwoiłam po raz siódmy.

— Uszami mi już wychodzą te rozmowy z panem — powiedziałam zniecierpliwiona. — Nic z tego nie rozumiem i cały czas podejrzewam, że pan jest kimś innym. Chcę od pana uzyskać odpowiedź na jedno pytanie i potem może się pan nawet utopić...

— A ja pani powiedziałem, że nic pani ode mnie nie uzyska. Nie zamierzam zawierać z panią żadnych znajomości. Pani jest szantażystka...

— Już mi pan to mówił...

— Pani mnie szantażuje, bo pani wyraźnie powiedziała, że pani nie przestanie dzwonić, dopóki się nie zgodzę na rozmowę z panią...

— Kicham na rozmowę, mnie chodzi o pańską jedną odpowiedź...

— A to jest szantaż i za to poniesie pani konsekwencje. Będzie pani miała przykrości zarówno osobiste, jak i w miejscu pracy...

— U mnie w miejscu pracy i bez pana jest tak źle, że już gorzej być nie może...

— Za to wszystko, co pani zrobiła, czekają panią duże nieprzyjemności...

Znów mówiliśmy jednocześnie, ale po chwili zamilkłam, słuchając z wielkim zainteresowaniem, bo mówił bardzo ciekawe rzeczy. Powtarzał uprzednio wygłoszone expose z nową inwencją twórczą. Dowiedziałam się przy tym, że milicja jest już na moim tropie. Zakończył znów nieoczekiwanie i zdumiewająco. Powiedział:

— Czy podsłuch skończony? To ja się wyłączam, dziękuję.

Tym podsłuchem ucieszył mnie bardziej niż cokolwiek innym. Uznałam, że mogę zakończyć tę miłą, wieczorną konwersację. Zadzwoiłam ósmy raz i powiedziałam rzewnym, rozmarzonym głosem:

— Chciałam tylko jeszcze raz w życiu pański głos usłyszeć...

— I to wszystko?...

— Tak... — wionęłam w telefon jak podmuch zefiru. Odłożywszy słuchawkę, wybuchnęłam śmiechem i poszłam spać.

Następnego dnia późnym popołudniem telefon zadzwonił.

— Słucham — powiedziałam.

— Chciałem panią poinformować, że teraz może pani sobie dzwonić do sądnego dnia. Mój numer telefonu jest zmieniony. A pani poczynaniami zajęła się już milicja.

Chciałam mu odpowiedzieć, że pewnie w związku z tym oszaleję z przestachu, ale nie zdążyłam, bo się rozłączył. Na wszelki wypadek dowiedziałam się od razu, jak wygląda sprawa zmiany numeru telefonu, uznałam za możliwe, że nie zełgał, i zajęłam się czym innym. Późnym wieczorem znów zadzwonił. Jednak ten człowiek wyraźnie nie może żyć beze mnie...

— Ponawiam informację, której pani już udzieliłem. Zmieniłem sobie numer telefonu i nareszcie jestem przed panią zabezpieczony.

Usiadłam przy telefonie, zapaliłam papierosa i powiedziałam:

— To bardzo miło z pana strony, że się pan zdecydował definitywnie ujawnić oraz że przemawia pan ludzkim głosem.

— A, tak, teraz już mogę. Stoimy na równych płaszczyznach, nie jestem już bezsilny wobec pani szaleństw...

— Co pan nazywa równą płaszczyzną? To, że pan o mnie wie wszystko, a ja o panu nic? Mówi pan w zamroczeniu?...

— Teraz mam całkowitą pewność, że pani telefon nie zakłóci mojego spokoju. Oświadczam pani, że jestem w domu, odpoczywam i jest mi bardzo przyjemnie, że pani nie może do mnie zadzwonić...

Przez chwilę miałam ochotę powiedzieć, że wobec tego zaraz do niego przyjadę, ale się pohamowałam.

— Skoro już jest pan taki niesłychanie uprzejmy, że pan w ogóle ze mną rozmawia, to może zechce mi pan wyjaśnić, co to wszystko miało znaczyć? Z kim pan mnie pomieszał?

— Z nikim pani nie pomieszałem i pani o tym doskonale wie. Nie życzę sobie pani znać i pani nieprawdopodobna bezczelność nic pani nie pomoże. Niczego pani ode mnie nie uzyska. Na szczęście wystarczająco wcześniej zorientowałem się, kim pani jest, i zdążyłem się w porę wycofać. Niejednokrotnie w życiu miałem do czynienia z kobietami tego autoramentu i między innymi właśnie dlatego mam zastrzeżony numer telefonu... I zapewniam panią, że potrafię się zabezpieczyć przed pani atakami.

Wysłuchiwałam tej przemowy w milczeniu, niepomiernie zdumiona. O co mu chodzi, na litość boską? Co mu się ubzdryło? Mania prześladowcza? O co on mnie podejrzewał?

— Czy pan się może obawiał — spytałam bardzo łagodnie, bo wariatów nie należy denerwować — że ja zamierzam ciągnąć z pana jakieś korzyści materialne?

— Zechce pani uprzejmie wziąć pod uwagę, że to jest pani supozycja. Ja tego nie powiedziałem.

— Nic nie szkodzi, wyręczyłam pana po prostu.

— Chcę panią jeszcze poinformować, że o pani poczynaniach do dnia wczorajszego włącznie jest powiadomiona milicja i będzie pani miała bardzo duże nieprzyjemności. Pani telefony do mnie są nagrane na taśmę i ta cała sprawa tak się łagodnie dla pani nie skończy. A teraz się wyłączam i będę mógł w spokoju poczytać książkę, a pani mi w tym przeszkodzić nie zdoła. Dobranoc pani.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Powoli położyłam także słuchawkę na widelkach. Oparłam się o poduszki i zapaliłam drugiego papierosa. I dopiero teraz zaczęłam wreszcie myśleć.

Z miłej zabawy zrobił się potężny dramat. Nie ulega wątpliwości, że on tę całą hecę potraktował zaskakująco poważnie. Nie dość na tym, najwyraźniej w świecie głęboko wierzy w to, co mówi. Jestem w jego oczach kobietą lekkich obyczajów zarówno z profesji, jak i z charakteru, szantażystką i w ogóle zgoła bydlęciem. A do tego j jeszcze, sądząc z jego metod działania, niedorozwiniętą kretynką. Na miły Bóg, jaką drogą ten człowiek do tego doszedł?

Ponieważ na razie żadne wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy, zastanowiłam się nad czymś innym. Niech ja będę wszystkim najgorszym, przypuśćmy, że to prawda, to dlaczego się przedtem nie upewnił? Że jego zdanie i opinia o mnie są słuszne? Chyba normalny człowiek może rozmawiać nawet z szantażystką? Dlaczego od razu wyskoczył z taką piekielną awanturą? Może istotnie jest przekonany, że ja popełniam jakieś czyny niezgodne z kodeksem karnym i wystraszę się śmiertelnie na sam dźwięk słowa „milicja”? Czy mu istotnie nie przyszło do głowy takie proste i łatwe rozwiązanie sprawy, jak zamienienie ze mną kilku słów w ogólnie przyjętej formie na temat jego niechęci do tej całej sprawy? Przecież gdyby się nie wygłupiał z konspiracją zaraz po moim pierwszym telefonie, tylko wprost powiedział: „droga pani, niech mi pani uprzejmie wybaczy, ale kontynuowanie znajomości z panią jest mi ogromnie nie na rękę i będę pani szalenie wdzięczny, jeśli zechce pani zapomnieć o moim istnieniu. Było mi bardzo miło, przepraszam, dziękuję, to z całą pewnością spełniłabym jego życzenie. Możliwe, że zadałabym mu kilka pytań, ale gdyby nie chciał na nie odpowiedzieć, to nie upierałabym się przy tym. Ostatecznie każdą sprawę można zakończyć kulturalnie, a ten facet doprawdy robił wrażenie kulturalnego człowieka. Czyżbym się tak fatalnie pomyliła?

Trochę się zdenerwowałam, a trochę mi się zrobiło smutno. Zawsze mi jest smutno, kiedy się przekonuję, że oceniłam kogoś za wysoko. Poza tym było mi nieprzyjemnie, że z czegoś, co ja uważam za ciekawą rozrywkę, zrobiła się taka ponura draka.

Skandalicznej opinii o mnie, którą ten pan mógł nawet rozprzestrzeniać po świecie, pod uwagę nie brałam, bo te wszystkie insynuacje były tak ode mnie odległe i tak pozbawione sensu, że w ogóle nie miały nic wspólnego z moją osobą. Wątpię, czy ktokolwiek ze znajomych powitałby je inaczej niż wybuchem śmiechu i postukaniem się palcem w czoło.

Ponieważ ciągle, mimo głębokich rozmyślań, nie mogłam nic z tej całej historii zrozumieć i cały czas miałam uczucie, że się ślizgam po wierzchu czegoś tajemniczego, zadzwoniłam do mojej przyjaciółki, zorientowanej w sytuacji. Streściłam jej ostatnie wydarzenia, wprawiając ją w osłupienie nie mniejsze od mojego. Przyszedszy do siebie, przyjaciółka powiedziała:

— Moja droga, ja widzę tylko jedno wytłumaczenie: ten facet jest upośledzony na umyśle i cierpi na zaawansowaną manię prześladowczą.

— Mnie to już też przychodziło do głowy, ale jakoś mi trudno w to uwierzyć. Nie upierajmy się przy najprostszych rozwiązaniach. Odłóż na razie na bok manię prześladowczą i wymyśl coś innego.

— Co tu można innego wymyślić? Chyba że... czekaj...

— No?

— Czekaj, czekaj... on od razu wyskoczył z awanturą? A może, jak ty do niego zadzwoniłaś, to on nie był sam?

— Babka tam siedziała?

— Siedziała, nie siedziała... dość, że może akurat była?

— Nic nie wiem o żadnej babce. Zaprzysięgał się, że jest wolnym człowiekiem, wolny człowiek się przed żadną babką nie trzęsie.

— Głupiaś. Mógł zełgać.

— Zełgać? A po co?

— Diabli go wiedzą. Ale jeżeli na babkę trafiłaś, to ja mu się przestaję dziwić...

— Proszę cię, nie podawaj w wątpliwość jego poziomu umysłowego. Przecież ja wyraźnie mówiłam o pomyłce. Każdy człowiek z odrobiną inteligencji uchwyciłby się tego jak deski ratunku.

— Prawda, masz rację. A jeśli cię poznał i zorientował się, że go rozszyfrowałaś...

— O, właśnie. Wyobraź sobie tę sytuację. Siedzisz z facetem zadowolona z życia i nagle dzwoni ci ten drugi, którego jesteś zmuszona ukryć przed światem. Co byś zrobiła?

— Kategorycznie upierałabym się przy pomyłce. Nawet do rana.

— A potem?

— O Boże! Skontaktowałam się z nim natychmiast, jak tylko to byłoby możliwe. Nie wiem, kiedy. O świcie, o piątej rano, o czwartej. Żeby mu wyjaśnić, że ma się przestać wygłupiać, bo mi złamie życie. I dopiero potem, gdyby się okazało, że to jest złośliwe bydlę, zaczęłamby myśleć nad jakimś innym wyjściem.

— No widzisz. Widocznie on z góry założył, że ja jestem złośliwe bydlę. Właściwie to nic dziwnego, jeśli był tak głęboko przekonany o tych moich wszystkich zaletach...

— Kradniesz także?

— Nie wiem, nie zdążyłam go zapytać. W ogóle dużo rzeczy jeszcze zostało. Stręczycielstwo, szpiegostwo, narkomania... przemyt...! nie, nie zostałam dokładnie omówiona. Wyraźne niedopatrzenie.

— Czekaj, coś mi jeszcze przyszło do głowy. Co on mówił? Że się zabezpiecza przed kobietami tego autoramentu?

— Tak, że się w życiu stykał...

— To może on rzeczywiście obracał się w takim towarzystwie przez! całe życie? I nawet mu na myśl nie przyjdzie, że istnieją ludzie? O, moja kochana, to ja zaczynam dla niego odczuwać głębokie współ czucie...

— Może masz rację. Może należało mu złożyć wyrazy ubolewania, a nie głupie dowcipy? Może to po prostu nieszczęśliwy człowiek z życiowym pechem do kobiet?

— Jakkolwiek by było, wygląda na to, że popełnił fatalną pomyłkę. A to, że zadziałał na podstawie nie sprawdzonych przypuszczeń, świadczy o nim jak najgorzej. I gdzie to jego poczucie humoru?

— Poczucie humoru jest różnokierunkowe. Każdy z nas ma kierunek, w którym poczucie humoru nie działa. Przypomnij sobie, że była kiedyś taka dziedzina, której moje poczucie humoru nie obejmowało. Może jemu zanika w odniesieniu do własnej osoby?

— Tym gorzej dla niego...

Po godzinnej rozmowie nie doszliśmy do żadnych rezultatów. Wysunęliśmy mnóstwo różnych przypuszczeń, ale nadal nie było wiadomo, które z nich są błędne, a które nie. Wreszcie poczułam się tym wszystkim zmęczona i zniecierpliwiona. Odłożywszy słuchawkę, wykapałam się, położyłam do łóżka i zgasłam światło. Radio jeszcze grało, oświetlając pokój słabym blaskiem. Tak samo jak tamtego wieczoru...

I wtedy nagle rozjaśniło mi się w głowie. Patrzyłam na świecące pudło i czułam, jak mi się zimno robi. Zobaczyłam siebie oczami tego faceta.

No tak, oczywiście. A cóż on mógł innego o mnie pomyśleć, skoro zachowywałam się odwrotnie, niż powinna się zachować każda normalna kobieta. Skoro, zamiast się śmiertelnie obrazić na skutek braku wyjaśnień, usilnie go namawiałam na spotkanie. Że też mi to do tej pory nie przyszło do głowy!

W tej sytuacji istotnie musiał dojść do wniosku, że mój poziom moralny przekracza wszelkie dopuszczalne granice. Cóż, Bóg z nim. Miał prawo tak myśleć, nie mam do niego pretensji. No, jedno przynajmniej zrozumiałam... Reszta pewno na wieki przepadnie w mrokach niewiedzy.

Następnego dnia zaczęłam remont mieszkania. Zaczęłam go od skuwania tynków i zainteresowanie minionym, zdawałoby się, problemem w znacznym stopniu znikło w tumanach kurzu. Trzech facetów waliło w ściany, a ja się modliłam do Opatrzności o cierpliwość sąsiadów. Wysłałam z łazienki, bo mnie rozpacz ogarniała na widok człowieka, siedzącego z butami w wannie i sypiącego do niej całe góry gruzu, i tylko dzięki temu usłyszałam telefon. W łazience bym go nie usłyszała. Zamknęłam drzwi od pokoju i podniosłam słuchawkę.

— Czy mogę mówić z panią Joanną Chmielewską? — usłyszałam nieznany głos.

— Jestem, słucham.

— Dzwonię do pani z polecenia mojego przyjaciela, a pani znajomego.
Nie miałam ani odrobiny wątpliwości, o kogo tu chodzi, ale uprzejmie spytałam:
— Może pan zechce sprecyzować, którego znajomego[^] bo ja mam bardzo dużo znajomych.
— Tego, który utrzymywał z panią kontakty telefoniczne i, jak rozumiem, znajomość państwa poza te kontakty nie wyszła.
— Czy nie zechciałby pan uprzejmie wymienić nazwiska tego pana?
— Wolałbym na razie nie. Mam polecenie przekazać pani pewną wiadomość, ale nie telefonicznie, tylko osobiście. Byłbym pani wdzięczny, gdyby zechciała pani określić czas i miejsce, w którym mógłbym panią spotkać.
— Zważywszy, że pan dzwoni do mnie, bez wątpienia wie pan, z kim pan rozmawia. Czy byłby pan taki uprzejmy sam się także przedstawić?
— Uczynię to z największą przyjemnością, ale... osobiście.
— Cóż, skoro pan tak chce... zaczynam się powoli przyzwyczajać do tych tajemnic, które mnie otaczają z przyczyny pańskiego przyjaciela.
— Zdaje się, że tajemnice to pani wprowadza...
— Co takiego? (Boże, następny oszalał!) Pozwoli pan, że będę innego zdania...
— Proszę pani, ja znam tę całą historię i orientuję się, że to zamieszanie powoduje pani. Zresztą, to się zapewne wyjaśni przy osobistej rozmowie. Gdzie i kiedy wobec tego będzie pani najwygodniej się spotkać? Dziś chyba już za późno?
Mimo woli spojrzałam na zegarek. Było wpół do dziesiątej.
— Mam nadzieję, że nie będzie się pan domagał spotkania o dwunastej piętnaście — powiedziałam jadownicie.
— O dwunastej piętnaście? Dlaczego? — w jego głosie słychać było wyraźne zdumienie i niemal oburzenie. A, to jednak nie tak dokładnie zna tę całą historię...
— Nic, drobiazg — odparłam uprzejmie. — Myślałam, że przyjaciel zaraził pana swoimi metodami. Może być jutro... zaraz, chwileczkę...
Jest takie miejsce, w którym z konieczności bywam codziennie o tej samej godzinie. Po prostu wychodzę z pracy. Nie zamierzam nigdzie latać nadprogramowo dla przyjemności tych szaleńców.
— Może być jutro o siedemnastej w kawiarni na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej. Koło sklepu z plastikami.
— Proszę uprzejmie. Jutro o siedemnastej.
— Zaraz, chwileczkę. Jak pan będzie wyglądał?
— Ja panią poznam. Ale jeśli pani sobie życzy... Wysoki, czarny, w szarym ubraniu...
Dusza mi się gwałtownie wzdygnęła. Iluż ich jest, u diabła, takich samych? Wysokich, czarnych i w szarym ubraniu?
— ... i w okularach.
— Ach, pan nosi okulary?...
— Zasadniczo nie noszę, ale wyjątkowo włożę.
— Żeby mnie uczcić?
— Może raczej jako znak rozpoznawczy...
— To bardzo miło z pana strony. Wobec tego do jutra. Czekam z utęsknieniem...
— Aha, jeszcze jedno. Zechce pani przyjąć... — rzeczowy głos w telefonie napełnił się nagle jadowitą słodyczą i zabrzmiał szczególnie dobitnie — ... serdeczne pozdrowienia od pani... — i wymienił nazwisko.
Znów mnie zastrześlił. Co to za nowa szopka? Nazwisko znane, ale bez związku ze mną.
— A kto to jest ta pani? — spytałam ze zdumieniem, którego nie zamierzałam ukrywać. — Słowo panu daję, że takiej nie znam.
— Wybacz pani, jestem zmuszony się wyłączyć. Przepraszam, do widzenia...

— Do widzenia — powiedziałam mimo woli, na nowo zaskoczona i zaintrygowana. Nie, no, oni mnie do grobu wpędzą. Jak długo będzie trwał ten cudaczny galimatias? Znow przestałam cokolwiek rozumieć.

Podejrzywałam głupi kawał. Na wszelki wypadek zajrzałam o piątej do kawiarni, ale żadnego odpowiedniego faceta tam nie było. Kawał, oczywiście. Dobrze, że się tak inteligentnie umówiłam.

Tynki skuwać przestali i nic nie zagłuszało dźwięku telefonu. Z nadzieją, że znow będzie coś dziwnego, podniosłam słuchawkę. I nie zawiodłam się.

— Najmocniej panią przepraszam — usłyszałam ten sam głos co wczoraj — że nie mogłam przybyć na umówione spotkanie. Doprawdy, jest mi ogromnie przykro.

— Drobiazg, nic nie szkodzi — odparłam. — Niech pan uprzejmie chwilę zaczeka, wezmę sobie papierosa...

Wzięłam papierosa i wróciłam do telefonu.

— Ale skoro pan nie przybył — powiedziałam — to niech pan przynajmniej teraz cokolwiek wyjaśni. Niech mi pan powie, na litość boską, kto to jest ta pani, której nazwisko pan wymienił? Nie znam takiej pani i nigdy w życiu o niej nie słyszałam.

— Niestety, nie jestem upoważniony do udzielania pani odpowiedzi na to pytanie.

— Nie widzę w tym żadnego sensu. Panie, co to wszystko ma znaczyć? O co tu chodzi?

— Nie jestem upoważniony do udzielania wyjaśnień...

— To niech pan chociaż powie, dlaczego to pan do mnie dzwoni, a nie ten pański dziwny przyjaciel?

— Widzi pani, ja jestem niejako podwładnym mojego przyjaciela i załatwienie tego rodzaju sprawy można by zaliczyć do moich obowiązków.

Masz ci los, minister się znalazł, kurczę blade...

— Jeszcze raz panią najmocniej przepraszam. Wiadomość, którą miałem pani przekazać, jest już nieaktualna. Otrzyma ją pani drogą oficjalną.

— Niech pan chociaż powie, kiedy, bo mogę wpaść w rozstrój nerwowy od tego oczekiwania — powiedziałam złośliwie.

— Nie jestem upoważniony do udzielania dalszych wyjaśnień... „Płyta mu się zacięła” — pomyślałam z wściekłością.

— ...a teraz, Niestety, muszę już kończyć rozmowę. Pani wybaczy.. Istny Wersal, tylko tyle, że w domu wariatów. Byłam zmuszona zająć się moim remontem i przez kilka dni miałam urwanie głowy. Czułam się nieco zaniepokojona możliwością ewentualnego zaareztowania mnie w momencie, kiedy mój dom przedstawiał najgorsze pobojowisko. Na szczęście remont się skończył, a ja ciągle jeszcze przebywałam na wolności.

I wtedy właśnie nadeszła chwila najokropniejsza ze wszystkich. Zadzwoił do mnie jeden z przyjaciół, którego nie widziałam od urlopu.

— Coś ty najlepszego narobiła? — spytał bez wstępów. — Już kompletnie na głowę upadłaś? Dużo się po tobie mogłem spodziewać, ale tego, to już doprawdy nie.

Ha! Bojowy rumak w mojej duszy poderwał się na dźwięk pobudki.

— Kochany! Złoty! — wykrzyknęłam. — Mów natychmiast, co ty wiesz!

— Dużo wiem, ostatecznie znam parę osób. Po jaką cholere zrobiłaś takie potworne zamieszanie?

— Ależ skarbie drogi, to nie ja. Ja w ogóle nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Może wreszcie ty mi cokolwiek wytłumaczysz.

— Ja bym wolał, żebyś to ty mi wytłumaczyła. Kiedy masz czas? Możesz przyjść jutro o pierwszej do „Bristolu”?

Przyszłabym wszędzie o każdej porze, żeby się wreszcie czegoś dowiedzieć. Już przed pierwszą twardo czekałam w „Bristolu” na parterze. Zaprzyjaźniony człowiek wszedł, spojrzał na mnie i pokiwał głową z politowaniem.

— Jak się czujesz? — spytał troskliwie. — Nie masz gorączki? Nie dostrzegasz u siebie jakichś dziwnych objawów? Muszę ci się przyznać, że się poważnie obawiam o stan twojego umysłu.

— Przestań się wygłupiać i usiądź. I mów.

— Co mam mówić?

— To, co wiesz. Może na przykład wiesz, kto to jest ta pani, od której jadowitym głosem przysłało mi pozdrowienia? — I wymieniałam nazwisko.

Przyjaciel spojrzał nagle na mnie bystro, a potem odwrócił wzrok.

— Wiem, kim jest ta pani — powiedział powoli i na chwilę zamilkł. Czekałam w napięciu. Sięgnął po papierosa, zapalił i zaczął dalej.

— Kim był ojciec tej pani, to bez wątpienia wiesz?

— Ach, więc to jednak jego córka? Tak przypuszczałam, ale to mi nic nie wyjaśnia. Co ja mam z nią wspólnego?

Przyjaciel znów popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem.

— Powiem ci to, co wiem, a resztę sobie sama wydedukujesz. Znałem kiedyś tę panią jeszcze w jej panińskich czasach. Bardzo dobrze ją znałem.

Znów zamilkł i spojrzał w dal w zamyśleniu. Nie patrząc na mnie zaczął opowiadać dalej. Streszczał mi biografię tej pani, a ja słuchałam w milczeniu i mroki tajemnicy zaczęły się wreszcie rozpraszać. No tak, moja genialna przyjaciółka miała jasnowidzenie: babka siedziała... Dwa rozbite małżeństwa i to rozbite z wielkim hukiem... Związek od kilku lat... podrywacz dużej klasy... no i babka z ostrym charakterem...

— I po diabła tyś się w to wplątała? — zakończył z wyrzutem.

— Na co ci to było? To jest związek, który się pewnie skończy małżeństwem, a tyś się wpakowała w sam środek.

— Mój drogi — powiedziałam smutnie — a skąd ja o tym mogłam wiedzieć? Czekaj, opowiem ci, jak to wyglądało od mojej strony, to też coś zrozumiesz. Wprawdzie on sam sobie był winien, bo trzeba było nie łąć tak bez sensu, ale przyznam ci się, że chętnie bym go przeprosiła za te moje dowcipy. Posłuchaj.

Przyjaciel wysłuchał mojego opowiadania z przerażeniem malującym się na obliczu. Niekiedy wydawał z siebie jęk rozpacz.

— Wiesz, że ty jesteś rzeczywiście niebezpieczna dla otoczenia

— powiedział wreszcie. — Nie wiadomo, kiedy można być narażonym na ataki twojego poczucia humoru. Głęboko współczuję temu nic szczęśliwemu człowiekowi. Ale już go może lepiej nie przepraszaj, znów nie wiadomo, co z tego wyniknie.

— Ale wszystko jedno, uważam, że zachował się idiotycznie — wiedziałam z przekonaniem.

— Zapewniam cię, że ja bym się na jego miejscu zachował samo. Zastanów się, przecież on ciebie nie znał.

Tak, to prawda. Podobno trzeba się do mnie przyzwyczaić, bo dla osób, które mnie mało znają, bywam niekiedy szokująca. Komuż normalnemu mogło przyjść do głowy, że lecę nie na faceta, a na tajemnicę?!

Zamilkliśmy na chwilę. Paliłam papierosa i bezmyślnie przyglądałam się wchodzącym. W pewnym momencie ujrzałam wysoką sylwetkę, przystojny czarny facet w szarym ubraniu. Zanim zdążyłam się przestraszyć, zobaczyłam twarz. Nie, na szczęście zupełnie mi nie znana. Spojrzałam na mego towarzysza, chcąc coś do niego powiedzieć i ujrzałam, że patrzy na mnie z wyraźnym podziwem.

— No, ale nerwy to masz jak postronki — powiedział z uznaniem. Bardzo mnie to zdziwiło.

— Dlaczego?

— Na litość boską! Przecież spojrzałaś na tego faceta i nawet okiem nie mrugnęłaś.

— Na jakiego faceta? Tego, co wszedł? Ja go nie znam, dlaczego miałam mrugać?
Mój przyjaciel przyjrzał mi się uważnie i z lekkim zaniepokojeniem.

— Dowcipy sobie robisz? Cały czas mówimy o tym człowieku. Twierdziłaś, że go widziałaś.

— Kogo? Tego? Ależ to nie on!

— Jak to nie on? To jest pan... — wymienił wyraźnie imię i nazwisko. — Ostatecznie znam go chyba.

Przez chwilę miałam wrażenie, że trafił mnie piorun z jasnego nieba. Bez wątpienia, ktoś tu zwariował, możliwe, że ja. Obejrzałam się na siadającego przy sąsiednim stoliku faceta, a potem znów spojrzałam na mojego przyjaciela. Musiałam mieć prawdopodobnie osłupiały wyraz twarzy, całkowicie zgodny ze stanem mojego ducha, bo na obliczu przyjaciela też pojawiło się niebotyczne zdumienie.

— Kobieto, oprzytomniej — powiedział z gniewem. — O kim tyś mówiła przez cały czas?

— Czekał, czekał — powiedziałam zduszonym głosem. Czy jesteś pewny, że to jest ten facet? O takim nazwisku? Spiker Polskiego Radia? Jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy w świecie. Widziałem go mnóstwo razy.

— Boże, zmiłuj się nade mną!

Siedziałam ogłuszona niespodziewanym ciosem, a przyjaciel przyglądał mi się ze zdumieniem i narastającym niepokojem. Nie byłam w stanie zebrać myśli. Nie, niemożliwe, nie wierzę!

Nie zastanawiając się na tym, co robię, nie myśląc o konsekwencjach, na jakie się narażam, podniosłam się od stolika i podeszłam do siedzącego obok wysokiego, przystojnego faceta. Stałam nad nim i wpatrzyłam się w niego osłupiałym wzrokiem. Miałam na sobie tego dnia mój najpiękniejszy kostium i nowe szpilki, byłam pięknie uczesana i umalowana i tylko inteligencji na moim obliczu zapewne trudno się było w tej chwili dopatrzeć. Pomimo to facet, spojrzawszy na mnie, automatycznie też się podniósł.

— Bardzo pana przepraszam — powiedziałam z rozpaczą. — Strasznie pana przepraszam, ale niech mi pan powie, czy to pan jest pan...

Wymieniłam nazwisko.

— Tak, proszę pani, to ja — odparł z lekkim zdziwieniem, ale bardzo uprzejmie.

— Czy pan jest tego pewien??

— Co? Ależ droga pani, chyba jeszcze wiem, jak się nazywam.

— Możliwe — odparłam z determinacją, bo już mi było wszystko jedno. — Ale, na litość boską, niech mi pan to udowodni! Błagam pana! — pomimo ogłupienia malującego się na twarzy, musiałam rzeczywiście wyjątkowo pięknie wyglądać, bo facet uśmiechnął się lekko i sięgnął do kieszeni.

— Służę pani moim dowodem osobistym.

Porwałam dowód jak diabeł dobrą duszę. O, święci pańscy, nazwisko jak byk! Imię, adres, fotografia, wszystko się zgadza. Zrobiło mi się słabo. To przecież tego człowieka ja cały czas prześladowałam, a to nie on. Nie on!!!

— Proszę pana — powiedziałam z jękiem rozpacz. — Słowo honoru panu daję, że to nie o pana chodziło. Czy pan mi to zdoła kiedykolwiek w życiu przebaczyć?

Teraz z kolei on się zdumiał niezmiernie. Wyjął mi z ręki dowód osobisty i patrzył na mnie, wyraźnie nic nie rozumiejąc.

— Co ja mam pani przebaczyć?

— To wszystko. Te telefony i inne idiotyzmy. To ja pana prześladowałam, ale przysięgam panu, wzięłam pana za kogoś innego, pana pierwszy raz widzę na oczy...

— Ja panią także. O czym pani mówi? Były do mnie złośliwe telefony, ale przecież to nie pani...

— Jak to nie ja? Ja!!!

W tym momencie podszedł do nas mój przyjaciel, obserwujący c; czas tę dziwną scenę.

— Przepraszam pana — powiedział spokojnie — pozwoli pan, że wyjaśnię to nieporozumienie, bo moja znajoma jest nieco zdenerwowana. Czy możemy na chwilę usiąść?

Usiedliśmy i już nawet powietrze dookoła nas było zdumione. Przyjaciel pokrótce przedstawił sprawę od mojej strony. Pan, siedzący z nami przy stoliku, zamiast się uspokoić, usłyszawszy wyjaśnienie, wydawał się coraz bardziej wstrząśnięty. Wreszcie powiedział pięknym, niskim, miękkim głosem...

— Drodzy państwo, zdaje się, że zamieszanie zrobiło się podwójne. Ja mam doskonałą pamięć wzrokową i to na pewno nie pani była tą panią, która mnie zatrzymała, kiedy jechałem samochodem po dwunastej w nocy, mniej więcej miesiąc temu. Padał deszcz i podwoziłem tę panią do Śródmieścia. Ta pani dowiedziała się kim jestem, i dzwoniła do mnie do pracy, a potem zaczęła dzwonić do domu...

— Nie — przerwałam, ciągle pełna rozpacz. — Do domu ja...

— Ale ja myślałem, że to ona, i bardzo mi się to nie podobało, bo ja z tą panią nie zamierzałem nawiązywać bliższej znajomości. Nie znalazłem jej nazwiska i, szczerze mówiąc, nie interesowało mnie, kim jest i jak się nazywa. Dopiero kilka ostatnich rozmów z nią dało mi coś niecoś do myślenia. Już przy jej ostatnim telefonie do pracy nie ukrywałem tego, że wolałbym te kontakty zakończyć. Przez kilka dni był spokój, a potem zaczęły się telefony do domu...

— To dlatego pan wybuchnął od razu z taką awanturą?

— Oczywiście. Ma pani głos bardzo do niej podobny. Jeśli to istotnie była pani?...

— Ja, na pewno! Mogę panu zaraz zacytować pańskie wypowiedzi.

— Niech pani tego lepiej nie robi. Ja bardzo...

— Zaraz — przerwałam, intensywnie usiłując zebrać myśli, bo w głowie miałam jeden potężny chaos. — Zaraz. A ten pański przyjaciel? Przecież dzwonił do mnie?

— Jaki przyjaciel? To ja dzwoniłem do pani, byłem przekonany, że dzwonię do tamtej pani...

— A przedtem pan nigdy sam do niej nie dzwonił? I nie znał pan jej numeru telefonu?

— Nie, to ona dzwoniła do mnie. Dopiero jak zaczęła dzwonić do domu... to znaczy, jak pani zaczęła dzwonić do domu, to mnie zdenerwowało. W rezultacie wyłapałem pani numer telefonu. I to panią mam nagraną na taśmę, a nie ją?

— Wygląda na to, że mnie...

— Masz ci los — powiedział z zakłopotaniem. — Bardzo panią przepraszam.

— Nie, to ja pana bardzo przepraszam.

— Już się państwo wystarczająco przeprosiliście — wtrącił stanowczo mój przyjaciel. — Pan z pewnością na kogoś czeka, a na nas już czas. Mówiłaś, że masz o wpół do trzeciej jakąś konferencję? Zwracam ci uwagę, że jest dwadzieścia po drugiej.

Siedziałam zgnębiona i pełna rozpacz. Co on mi tu zawraca głowę jakąś konferencją, co mnie obchodzi konferencja. Po jakiego diabła ja robiłam tyle wysiłków? I to nieprawdopodobne podobieństwo głosów... I te zbiegi okoliczności... Czy to na pewno były zbiegi okoliczności...? A nie czyjeś świadome działanie?... „Uprzedzam cię, że cię zdekonspiruję”... „Proszę cię uprzejmie”. Ta pewność siebie w nienagannie uprzejmym tonie... I tak się idealnie wszystko zgadzało...

Westchnęłam rozdzierająco i wróciłam do okropnej rzeczywistości. Niewinnie prześladowany mówił:

— ... ale myślę, że się państwo pozwolą zaprosić na kawę? Tak niezwykle rozpoczęta znajomość...

— Wykluczone — przerwał mój podły przyjaciel. — Mnie pan może zaprosić, jej — nie. Ta kobieta jest zdolna doprowadzić do obłędu całe miasto, zresztą sam pan miał próbki jej

temperamentu. Nie zgadzam się na to, żeby ktokolwiek w mojej obecności zawierał z nią znajomość. Potem bym sobie czynił wyrzuty, że nie zapobiegłem nieszczęściu.

— Pomimo to mam nadzieję, że się kiedyś jeszcze spotkamy... Wyszliśmy z „Bristolu” w milczeniu. Przyjaciel przeprowadził mnie na drugą stronę ulicy i ustawił twarzą w kierunku mojego biura.

— Idź — powiedział — konferencję masz. I, na miłość boską, nabierz odrobinę równowagi umysłowej...

Poszłam przed siebie, bo cóż mi innego pozostało? Nawet się nie—; wiele spóźniłam, ale o czym była mowa na tej konferencji, do dziś nie, potrafię sobie przypomnieć. I, co najdziwniejsze, wracając do domu, nie wpadłam pod żaden samochód, nie zapomniałam, gdzie mieszkam, i nawet się za mną nikt na ulicy specjalnie nie oglądał...

Dwuosobowość bohatera Batory zlekceważył całkowicie. Ja go widziałam jako jednego aktora, odpowiednio podrobionego, grającego dwie różne osoby, Batory moją wizję wykluczył bezapelacyjnie. Jedyne ustępstwo, na jakie poszedł, to pomyłka popełniona przez psa, źle mówię, spowodowana przez psa, a popełniona przez Krystynę Sienkiewicz, ujawniona w ogrodzie Saskim. Coś w końcu z tej książki musiało zostać, wypaczone karkołomnie, ale jednak. W dodatku ta pomyłka, w książce zasadnicza, w filmie kompletnie straciła znaczenie i konsekwentnie wyeliminowała ze scenariusza całą batalię telefoniczną. Rany boskie, blisko połowa tekstu...! Wszelka broń wypadła mi z ręki...

I co teraz? Co ja mam teraz zrobić? Już rzeczywiście wszystko przepadło?

Chyba tak...

Nigdy w życiu nie dowiem się, kim był człowiek, który przypadkiem włączywszy się w mój telefon, uratował moje nadpęknięte serce i który — przysięgam — na pewno istniał...

CZEŚĆ DRUGA

Człowiek, siedzący za biurkiem naprzeciwko mnie, przyjrzał mi się z uśmiechem na ustach, ale bez uśmiechu w oczach. Przyjrzałam mu się wzajemnie, rozważyłam sytuację i postanowiłam mówić prawdę.

— Dobrze — powiedziałam — zrelacjonuję panu tę hecę. Ale uprzedzani pana, że to może długo potrwać.

— Nie szkodzi, mamy mnóstwo czasu. Tu są papierosy, a zaraz nam przyniosą kawę. Cieszę się, że się pani zdecydowała... Proszę, niech pani mówi.

Westchnęłam ciężko i zaczęłam...

Po dobrej godzinie w pokoju było pełno dymu, na stole stały szklanki po kawie, a pan po drugiej stronie biurka słuchał bez komentarzy z wyraźnym zainteresowaniem na obliczu. Zamilkłam na chwilę, bo mi zaschło w gardle.

— Nie powiem panu ani słowa więcej, dopóki nie dostanę chociaż odrobiny wody sodowej — oświadczyłam.

— Natychmiast będzie cały syfon! Niech pani mówi dalej, to zaczyna być coraz bardziej interesujące.

...Po wszystkim, co mnie spotkało, wpadłam w przerażającą depresję. Rzadko mi się zdarza taki stan doskonałej apatii i zniechęcenia, ale tym razem ten stan doszedł do zenitu. Życie zrobiło się beznadziejnie obrzydliwe i doprawdy nie widziałam żadnego powodu, dla którego warto byłoby w ogóle się rodzić.

Siedziałam w pracowni razem z Januszem i Wiesiem i wszyscy troje byliśmy zajęci pracą. Wiesio robił makietę pagórkowatego terenu, na którym miał stanąć kompleks budynków mieszkalnych. Janusz kreślił elewacje, a ja kończyłam detale stalowej bramy w ogrodzeniu. Odwracając rysunek na drugą stronę, spojrzałam na nich, patrzyłam przez chwilę i nagle dotarła do mnie świadomość tego, jak idiotyczne i groteskowe są nasze poczynania. Siedzi w pokoju troje dorosłych ludzi z wyższym wykształceniem. Jedno z nich z przejęciem wycina z plasteliny prostopadłościanny o kubaturze pół centymetra sześciennego. Drugie w skupieniu dziobie redisówką w kalkę, stawiając na niej nieprzeliczone roje kropek, a trzecie, to znaczy ja, pracowicie zamazuje ołówkiem po lewej stronie nieforemne figury geometryczne. Na litość boską, po to było kończyć studia, uczyć się tyle lat, żeby teraz wykonywać takie czynności?

— Januszek, jak myślisz? — spytałam. — Gdybyś się tak z rok mniej uczył, to pewnie byś nie dał rady?

Janusz spojrzał na mnie błędnym wzrokiem.

— Co bym nie dał rady?

— Stawiać tych kropek.

— Jakich kropek?

— Popatrz, co masz przed sobą, i zastanów się, co robisz. Janusz patrzył na mnie nie rozumując, o co mi chodzi. Spojrzał na stół przed sobą, a potem znów na mnie ze zdumieniem i niepokojem w oczach.

— O co chodzi? Coś źle zrobiłem? Pokiwałam głową i westchnęłam smutnie.

— No widzicie? Tak go te frapujące czynności ogłupiły, że sobie nie zdaje sprawy z tego, co robi. Zastanówcie się, czym my w tej chwili jesteśmy zajęci, i powiedzcie mi: czy na pewno do tego stukania patykiem po kalce i grzebania w plastelinie potrzebny jest dyplom? Może by nam matura wystarczyła?...

Obydwaj patrzyli na mnie pełnym zainteresowania spojrzeniem, nieco zaskoczeni moimi dziwnymi refleksjami. Po chwili spojrzeli na siebie nawzajem i wreszcie do nich dotarło.

— Rzeczywiście, mamy dziś wyjątkowo idiotyczne zajęcia — powiedział Wiesio, nie wiadomo dlaczego wyraźnie tym faktem uradowany.

— Witolda nie ma — dodał Janusz spojrzawszy na stół przed sobą. — On ratuje nasz honor.

Istotnie, czwarty, chwilowo nieobecny, spełniał czynności wymagające kolosalnego wysiłku umysłowego. Wkreślał cyrklem drzewa na planie sytuacyjnym. Rzeczywiście, zawsze co kółka, to nie kropki...

Wróciliśmy do naszych skomplikowanych zajęć. Zamierzałam snuć dalej ponure rozważania, wiodące nieodparcie do wniosku, że wyższe studia nie mają żadnego sensu, ale zadzwonił telefon.

— Do ciebie — powiedział Janusz. Wzięłam do ręki słuchawkę.

— Jak się masz, moja droga — usłyszałam znajomy głos zaprzyjaźnionej pani z redakcji. — Czy możesz mi powiedzieć, co ty sobie właściwie myślisz?

Zdziwiłam się.

— Myśle? Jak to? Ja w ogóle nic nie myślę...

— Tak właśnie przypuszczałam i muszę się przyznać, że mnie to coraz bardziej martwi. Czy ty wreszcie przestaniesz robić ze mnie idiotkę? Czy ty mi dasz ten artykuł o domach kultury?...

Gdybym nie siedziała, to bez wątpienia ugięłyby się pode mną nogi. Artykuł o domach kultury!...

— ...Jak długo jeszcze ja mam świecić za ciebie oczami przed moim szefem?! Już drugi numer zapycham byle czym, bo do ostatniej chwili zostawiam miejsce na twój przekłety artykuł!...

Oczywiście, wiedziałam, że mnie dziś coś złego spotka. Jest środa, we środy spadają na mnie rozmaite ciosy i nieszczęścia.

— Przestań! — jęknęłam. — Przestań, nie znęcaj się nade mną! Dam ci ten cholerny artykuł, dam, już w tym tygodniu!

— Obiecujesz mi już drugi miesiąc...

— Tym razem dam ci na pewno, tylko ucichnij! Już go napisałam, zabrakło mi konceptu na zakończenie. Ale przysięgam, że się skupię, i dostaniesz go najdalej w sobotę.

— Ostatni raz ci wierzę. Jeżeli mi go nie dasz do poniedziałku rano!...

— Dobrze, już dobrze, dam!...

Kropki, kreski, plastelina i sens wyższych studiów przestały mnie nagle obchodzić. Telefon z redakcji przypomniał mi nie tylko ten wstrętny artykuł, który, częściowo napisany, w wirze późniejszy wydarzeń zupełnie wywietrzył mi z głowy, ale przypomniał mi tal te późniejsze wydarzenia...

Zanim jeszcze wpadłam ostatecznie w moją przeraźliwą chandrę, zdążyłam popełnić ostatnie głupstwo. W przyływie zamroczenia zadzwoniłam jeszcze raz do mojej ofiary. W głębi duszy miałam cichą nadzieję wyjaśnić choć część wątpliwości, które mi mgliście chodziły po głowie. Zdawało mi się, że przecież facet powinien się zainteresować faktem posiadania w Warszawie prawie sobowtóra, a może nawet powinien o nim wiedzieć i znać go przynajmniej z widzenia. A przy tym nieco niewyraźna wydawała mi się sprawa owe przyjaciela, który zapowiadał mi przez telefon niesprecyzowane kataklizmy.

Wnosząc z uprzejmości okazywanej przez tego pana w „Bristolu” w dramatycznych chwilach wyjaśnień, mogłam oczekiwać, że prze telefon będzie rozmawiał ze mną równie uprzejmie. Tymczasem nastąpiło coś dziwnego. Pan był uprzejmy, ale lodowato. Ton rozmowy był taki, że mi się błyskawicznie odechciało czegokolwiek dowiadywać. Odniosłam nieodparte wrażenie, że on mnie podejrzewa o jakąś, potężną mistyfikację, mającą na celu uwiedzenie go, usidlenie, wykorzystanie i Bóg wie co jeszcze. Mój duch przekory nawalił i nie wszedł do akcji, zdenerwowało mnie to, napęliło niesmakiem i do reszty zde gustowało.

Na domiar złego pan z pokoju trzysta trzydzieści sześć zaraz potem wyjechał bez pożegnania i tak zostałam, dubeltowo nieszczęśliwa, obrażona i winna mu pięćset złotych.

A teraz redakcja upomniała się o zaległy artykuł!...

Fragmentarycznie uwieczniony płód mojego ducha gdzieś mi zginął. Przewróciłam do góry nogami całe mieszkanie, stwierdzając niezbicie, że wpadł jak kamień w wodę. Pisałam go kawałkami na różnych rzeczach i w różnych okolicznościach. Zaczęłam w domu, w cienkim, żółtym zeszytce, potem miałam trochę w notesie, napisane w czasie wyjątkowo nudnej Rady Technicznej, a resztę na wielkim kawale papieru w kratkę, który wetknęłam potem do tego żółtego zeszytu. Możliwe zresztą, że zeszyt nie był żółty, tylko zielony, w każdym razie niezależnie od koloru diabli go wzięli i z całej twórczości został mi tylko ten kawałek w notesie.

Kawałek w notesie był zupełnie nieźle napisany, więc ogarnęło mnie jeszcze większe przygnębienie, bo nie ma nic gorszego, niż pisać coś, co się już raz dobrze napisało i czego sobie w żaden sposób nie można przypomnieć. Ale nie miałam innego wyjścia. Wzięłam ten notes, papier, papierosy, nalałam sobie herbaty i ulokowałam się na tapczanie, pełna rozgoryczenia i nienawiści do siebie samej, do macierzystej redakcji i do całego świata.

Przekleństwo ciąży nad moim związkiem z domami kultury — pomyślałam. — Jeszcze teraz tylko telefonu brakuje.

I wtedy właśnie zadzwonił telefon...

Niewinny dźwięk rozległ się jak głos przeznaczenia. Okoliczności były zupełnie takie, jak powinny być: nastrojowa lampka nad tapczanem, dookoła stopy szpargałów, w mojej duszy przygnębienie i wściekłość oraz wisząca nad tym wszystkim wizja nieszczęsnych domów kultury. Zanim sięgnęłam po słuchawkę, patrzyłam na nią przez chwilę, usiłując zgasić w sobie wybuchłą nagle bezsensowną, idiotyczną nadzieję.

— Słucham — powiedziałam wreszcie, po trzecim sygnale.

— Cztery czterdzieści dziewięć osiemdziesiąt jeden?

— Tak, słucham...

— Jest szef?

— Co?

— Jest szef? Prędzej!

Niespodziewane pytanie zaskoczyło mnie tak, że przez krótką chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć, zwłaszcza że przed pytaniem usłyszałam przecież mój własny numer. Głos w telefonie był ostry, natarczywy, gniewny i bardzo mi się nie podobał. Zamiast wyjaśnić oczywistą pomyłkę, wpadłam w jeszcze większą wściekłość i poczułam gwałtowną antypatię do rozmówcy.

— Nie, proszę pana, nie ma szefa — powiedziałam z jadowitą uprzejmością. — Dostał bóleści po zsiadłym mleku i wyszedł.

— Co takiego? Wyraźniej!

— Wyszedł! — ryknęłam z furją, bo mnie ten rozkazujący głos zdenerwował i było mi zupełnie obojętne, czy to, co mówię, ma jakiś sens.

— Powtórzyć natychmiast, jak wróci: akcja „Szkorbut” rozpoczęta. M-2 w rejonie sto cztery, codziennie zero dwadzieścia. Ustalić sygnał. Zapamiętacie?

— Niewątpliwie zapamiętamy — zapewniłam go zgryźliwie. — końca życia.

— Synchronizacja jest konieczna — objaśnił mnie jeszcze antypatyczny głos. — Wyłączam się, koniec meldunku.

— Bardzo się cieszę — powiedziałam i odkładając słuchawkę szyła ramionami. Udzielona mi informacja była całkowicie niezrozumiała. Zastanawiałam się nad nią przez chwilę, ale uznałam, że albo pomyłka, albo głupi dowcip, i przestałam się zastanawiać, natomiast moja wściekłość i przygnębienie wzrosły do monstrualnych rozmiarów. Doskonale

wiedziałam, że biorąc się na nowo za artykuł o domach kultury podświadomie czekałam na zupełnie inny telefon, telefon który nie byłby głupią pomyłką...

Siedziałam nad kartką papieru z długopisem w ręku i od czasu do czasu pisałam pozbawione sensu zdania.

Czułam się nieszczęśliwa od stóp do głów, a świadomość niewypełniania wiszącego mi nad głową obowiązku denerwowała mnie coraz i bardziej. Wreszcie doszłam do kulminacyjnego punktu twórczości,! a mianowicie napisałam: „Dom kultury musi straszyć”. Przyjrzałam j się temu, co napisałam, najpierw bezmyślnie, a potem nagle absurdalność tej wypowiedzi uderzyła mnie do tego stopnia, że oprzytomniałam. Jakie straszyć, dlaczego straszyć? Wszystko, tylko nie straszyć! Widocznie mam już nieprzeciętnego fioła, skoro takie bzdury: wypisuję, najwyższy czas wrócić do równowagi!

Chęć powrotu do równowagi mogła być tylko pobożnym życzeniem, bo równowaga była ode mnie oddalona o lata świetlne. Ale głęboko zakorzenione poczucie obowiązku zmusiło mnie do gigantycznych wysiłków i wreszcie, późną nocą, udało mi się odrobinę zainteresować zaplanowanym tematem. Skutek tego zainteresowania był taki, że początek artykułu nabral nieco sensu, ale do pracy pojechałam nieprzytomna z niewyspania.

Najprostsze czynności zawodowe wydawały mi się szalenie skomplikowane. Skończyłam moją bramę i zabrałam się do przerabiania—projektu, który niegdyś tworzył Janusz, a w którym musiały znaleźć odbicie aktualne fanaberie inwestora. Usilnie starałam się możliwie mało przerobić i możliwie dużo zostawić, bo jedyne, do czego byłam zdolna, to bezmyślne kreślenie po Januszu.

Parę minut po dwunastej ugrzęzłam nad zawiłym problemem. Na przekroju podłużnym były wypisane jakieś dziwne wymiary, ale nie było żadnego elementu, którego by dotyczyły. Bardzo długo siedziałam, zastanawiając się nad tym, co ten Janusz takiego mógł mieć na myśli. Moje wysiłki umysłowe nie dały żadnych rezultatów, więc wreszcie postanowiłam go o to zapytać. Mogłam to bez trudu uczynić od razu, ale w tym stanie ducha najprostsze rozwiązania nie przychodziły mi do głowy.

Zanim go zapytałam, wpadły mi nagle w ucho dźwięki, rozprzestrzeniane przez radio. Dziennik południowy... Przez chwilę słuchałam, pełna niechęci i rozgoryczenia.

— O — powiedziałam — chłopaki, słuchajcie. Moja ofiara czyta. Wiesio i Janusz podnieśli głowy i słuchali z zaciekawieniem, bo moje osobliwe kontakty z czytającym były im doskonale znane. Piękny, dźwięczny głos mówił: „...Zostanie sprowadzone do Polski sto osiemdziesiąt ton bułgarskich pomidorów...”

— Ciekawe... — powiedział Wiesio w zamyśleniu. Ocknęłam się nagle.

— Janusz, chodź no tu — powiedziałam z westchnieniem. — Coś ty tu zwymiarował? Powietrze?

— Jakie powietrze? — spytał Janusz nieufnie, podnosząc się od stołu. — Co ty wygadujesz?

Pokazałam mu dziwne miejsce.

— Rzeczywiście. Czekał, co ja tu mogłem zrobić?

Pochylił się nad stołem, oparł na nim łokcie i brodę na rękach i przez chwilę obydwójce przyglądaliśmy się tajemniczemu wymiarom jednakowo bezmyślnie.

— Też mi głupie pytania zadajesz — powiedział z niesmakiem. — Skąd ja mogę pamiętać, co ja tu robiłem trzy miesiące temu.

— No przecież chyba coś myślałeś?

— No na pewno myślałem, tylko co?

— Może tu coś miało być i zapomniałeś dorysować?

— Zaraz, zaraz... Chyba już wiem, weź przekrój poprzeczny...

Zaabsorbowani odgadywaniem minionych procesów myślowych Janusza nie zwracaliśmy uwagi na Wiesia, który wstał z krzesła i podszedł do telefonu. Usiadł, wykręcił numer i poprosił o jakiś wewnętrzny. Rozłożyłam przekrój poprzeczny.

— Jest! — zawołał Janusz. — Studzienka zbiorcza w kanale.

— Rzeczywiście, w poprzecznym jest, a w podłużnym nie ma. Zapomniałeś narysować? Na ogół bywa odwrotnie, rysuje się element, a zapomina o wymiarach...

— Ja jestem taki oryginalny. To teraz ty ją dorysuj... Wiesio dostał połączenie i poprosił kogoś do telefonu. Z niewyspania miałam fatalnie spóźniony zapłon i nazwisko, które wymienił, nie dotarło do mnie we właściwym czasie. Kiedy porzuciłam studzienkę i zerwałam się z krzesła, było już za późno.

— Wiesiu, na litość boską! Co robisz?!...

— Chcę go zapytać, po czemu będą te bułgarskie pomidory — wyjaśnił mi Wiesio uprzejmie, zasłaniając ręką mikrofon i natychmiast odsłaniając. Widocznie tamten podszedł już do telefonu. Przeraziłam się śmiertelnie i zupełnie zgłupiałam. Rany boskie, co mu do głowy strzeliło, przestańmy się wreszcie czepiać tego człowieka!...

— Wiesiu, to nie on! — krzyknęłam rozzwierając. — Na litość boską, zostaw go! Znów mnie posadzi!...

— Bardzo pana przepraszam — powiedział Wiesio do telefonu, patrząc na mnie, wyraźnie zaskoczony. — Czy może mnie pan poinformować, po czemu będą te bułgarskie pomidory?

Wydzierając sobie włosy z głowy, wykonywałam przed nim skomplikowaną pantomimę, która miała mu dać do zrozumienia, że popełnia tragiczny błąd. Bałam się odezwać, żeby tamten mnie przypadkiem nie usłyszał. Telefon działał dziwnie dobrze. Wiesio trzymał słuchawkę daleko od ucha i bez trudu usłyszeliśmy odpowiedź.

— Po dwa złote i dwadzieścia groszy.

Zamarłam w figurze pantomimy. Oczekiwałam awantury i ta odpowiedź zaskoczyła mnie zupełnie. Patrzyłam tępym wzrokiem na Wiesia, a Wiesio tak samo patrzył na mnie, równocześnie mówiąc do telefonu:

— Za kilo?

— Nie, za mendel.

— To bardzo się cieszę, proszę pana, że tak tanio.

— Właśnie, i tak dużo, prawda?

— I długo to ma trwać?

— Dwa do trzech tygodni.

— Bo już się martwiłem, że pogniją...

— Wykluczone, proszę pana, zamrożone...

Bóg raczy wiedzieć, jakie idiotyzmy wygłosiliby do siebie nawzajem, gdyby nie to, że Wiesio, spłoszony moją reakcją, czuł się nieco niepewnie i wołał nie nalegać na dalsze informacje.

— To bardzo panu dziękuję — powiedział uprzejmie i z wielką wdzięcznością.

— Ależ proszę bardzo, nie ma za co.

Odłożył słuchawkę, dzięki czemu mogłam nieco ochłonąć i wrócić do normalnej pozycji.

— Zdumiewające — powiedziałam. — Powinien był zrobić potworną awanturę.

— Dlaczego? Przecież cię chyba ze mną nie kojarzy? A w ogóle co to znaczy, że to nie on? Nie rozumiem?

— Jak to, nie mówiłam ci? Widziałam go w Bristolu, to zupełnie inny facet. Prześladowałam go niewinnie.

— Ale to on ci przecież wymyślał przez telefon?

— On, ale mnie nie o niego chodziło...

Wyjaśniłam Wiesiowi szczegółowo całe nieporozumienie. Słuchał i kręcił głową z niesmakiem.

— Ja się już pogubiłem w tych facetach. Mnie się nie podoba ten, co wymyślał. A który z nich właściwie ma na imię Janusz?

— Obawiam się, że obydwaj. Ten na pewno, a tamten prawdopodobnie. W ogóle tych Januszków do cholery i trochę, jak psów.

— Właśnie — powiedział Janusz z goryczą. — Ja chyba imię zmienię. Ten twój z Łodzi też Janusz?

— Janusz. Prześladowuje mnie to imię, zwariować można.

— Ja bym go chciał zobaczyć — powiedział Wiesio z uporem.

— Którego?

— Tego co robił awantury. Może zadzwonić do niego i poprosić o spotkanie?

— Po pierwsze, na pewno odmówi, a po drugie, po co?!

— Tak sobie. Nie lubię facetów, którzy wymyślają kobietom.

— No to co, pobijesz go? Już teraz za późno, przedawnione. i w ogóle dajmy mu już spokój, ja z nim nie chcę mieć nic do czynienia. Dowiedziałam się o nim różnych takich rzeczy...

Wiesio nie wydawał się przekonany i zaczęłam żywić poważne obawy, że teraz z kolei on wymyśli coś głupiego, a podejrzenie padnie, oczywiście, na mnie. Zaniepokoiło mnie to, zdenerwowało i znów wpędziło w ponurą depresję, napełniając żywą niechęcią do siebie, do otoczenia i do całego świata...

Nie sążone mi było spokojnie napisać tego nieszczęsnego artykułu. Zaraz po powrocie do domu przygotowałam sobie warsztat pracy, zamierzając oddać się twórczym wysiłkom. Okno było szeroko otwarte, bo wiosna wybuchła nieoczekiwanie i zrobiło się nagle ciepło. Zza tego okna dobiegał mnie dziwny, denerwujący odgłos, powtarzający się rytmicznie. Brzmiało to tak, jakby pffff... pffff... przy czym to „pfff” rozlegało się jak potężny ryk po całej dzielnicy. Nie mogłam tego wytrzymać, podniosłam się z tapczanu i stanęłam w oknie. Naprzeciwko mnie, po drugiej stronie podwórza, jakaś kobieta na balkonie nabierała wody w usta i imponującą fontanną pluła na kwiatki.

Zdawałoby się, że balkon to jest element, który ma ograniczone wymiary. Jej balkon ze świeżo posadzonymi kwiatkami, wnosząc z czasu trwania tego plucia, ciągnął się we wszystkie strony w nieskończoność. Pomyślałam sobie, że jednak zakaz posiadania broni palnej ma swój głęboki sens...

Od wpatrywania się okropnym wzrokiem w plującą kobietę oderwał mnie dźwięk telefonu. Doprowadzona tym ryczącym „pfff” do ostatecznej furii, gwałtownie chwyciłam słuchawkę. Ktokolwiek to był, niechaj Opatrzność nad nim czuwa, bo cała moja wściekłość spadnie na jego głowę!

— Słucham! — warknęłam.

— Cztery czterdzieści dziewięć osiemdziesiąt jeden?

— Tak!

— Akcja „Szkorbut”...

Pomimo irytacji zdałam sobie sprawę, że słyszę zupełnie inny głos niż poprzednim razem. Błyskawicznie pomyślałam, że widocznie pół miasta postanowiło robić mi złośliwe dowcipy i ze złości zrobiłam się nagle uprzejma.

— Co mają znaczyć te wygłupy? — spytałam lodowato, ale szalenie wytwornym tonem.

— Jakie wygłupy, to nie ich wina! — zawołał głos, wyraźnie zdenerwowany. — Synchronizacja nawaliła, dlaczego nikt nie odbierał sygnałów?!

Trzeba przyznać, że mnie zaskoczył. W stanie furii reagowałam nieco inaczej niż normalnie i znów, zamiast wyjaśnić pomyłkę, wzięłam czynny udział w dialogu.

— Jak to dlaczego? Stanowiska były źle wybrane — powiedziałam złośliwie. Słowo „sygnały” skojarzyło mi się, nie wiadomo dlaczego, z puszczeniem zajęczków w słońcu lusterkiem i oczyma wyobraźni błyskawicznie ujrzałam człowieka, puszczonego te zajęczki

gdzieś w otwartym terenie, źle ustawionego i zasłoniętego pagórkiem, tak że go nie było widać.

— Możliwe — powiedział głos w telefonie z powątpiewaniem.

— Teraz będzie rejon sto dwa, M-2 i M-4. Jutro, dwudziesta trzecia. Koniec meldunku.

Znów zaskoczona tą odpowiedzią chciałam go zapytać, jak sobie wyobraża puszczenie zajęczków o dwudziestej trzeciej, ale nie zdążyłam, bo się rozłączył. Nieinteligentnie przyglądałam się przez chwilę trzymanej w ręku słuchawce. O co mu mogło chodzić? M-2 i M-4 to są bloki z gruzobetonu, kradnie gdzieś materiały budowlane czy co?

Dziwaczna rozmowa rozładowała trochę moją wściekłość, kobieta na balkonie przestała wreszcie pluć, więc znów usiadłam do pisania. Byłam w połowie dzieła, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę z zainteresowaniem, bo już zaczęłam zabobonnie wierzyć, że rozmyślenia o domach kultury ściągają na mnie jakimś cudownym sposobem same dziwne rzeczy, tak jak piorunochron ściąga pioruny.

— To ty? — spytała moja odwieczna, wyjątkowa przyjaciółka, Janka, i natychmiast dodała tajemniczo: — Widziałam twój przyjaciela.

— Jakiego przyjaciela?

— No to nieprzyjaciela — pośpiesznie poprawiła się przyjaciółka.

— Twojego śmiertelnego wroga.

— Jakiego wroga?!

— Wroga z psem!

— Ach!...

Już mnie widocznie muszą dzisiaj tym człowiekiem prześladować. Najpierw Wiesio, teraz Janka... Przepadło. Wbrew niechęci poczułam zainteresowanie jej wrażeniami.

— Chciałaś chyba powiedzieć: moją ofiarę? — powiedziałam z przekąsem.

— Może być ofiarę, chociaż jeszcze nie słyszałam, żeby ofiary odnosiły się do swoich prześladowców. Moim zdaniem to wróg!

— Dobrze, niech ci będzie wróg. Gdzie go widziałas?

— Na schodach.

— Czy nie mogłabyś się wypowiadać precyzyjniej? Na jakich schodach? Ruchomych?

— Nie, na jego schodach. On mieszka na Starym Mieście, tak?| Jestem pewna, że to był on!

— Po pierwsze skąd wiesz? A po drugie, co, u diabła, robiłaś na jego schodach?

— Byłam u tej Mańki, co ze mną pracuje, w godzinach pracy.: Wiesz, ona tam mieszka na Starówce. Stałam pod drzwiami i dzwoniłam, a tam nikogo nie było, mogłam sobie dzwonić dowolnie długo.: Usłyszałam, że ktoś schodzi po schodach, i pomyślałam, że byłoby świetnie, gdybym tak nagle trafiła właśnie na niego, więc się obejrzałam. I wyobraź sobie, to był on!

— Skąd wiesz?!

— Poznałam go natychmiast z twojego opisu. Czarny, dwa metry i ulizany. Ulizany?

— Ulizany do tyłu.

— Właśnie, do tyłu! I mniej więcej w takim wieku, no i ten pies! Takie wielkie, czarne bydlę! O Boże, jaki on wielki!

— Jeszcze urośnie. Mówiłam ci, że to są bardzo duże psy. No i co?

— Szedł po schodach na dół z tym psem. Mnie było wszystko jedno, więc się odwróciłam tyłem do drzwi i wytrzeszczyłam na niego oczy.

— Nie zwrócił na ciebie uwagi?

— Musiałby być ślepy. Oczywiście, że zwrócił, obejrzał się nawet jeszcze raz, jak już zszedł niżej, a ja ciągle stałam tyłem do drzwi i wpatrywałam się w niego. I oświadczam ci, że on mi się nie podobał!

— Głupiaś! — zawołałam z gniewem, bo wróg, nie wróg, uważałam, że skoro miałam z nim coś wspólnego, to powinien być na poziomie. — Dlaczego ci się nie podobał?

— Bo on wyglądał na to wszystko — odparła Janka uroczyście. Bez żadnych wątpliwości wiedziałam, co ma na myśli. Lata przyjaźni robią swoje. Zastopowałam oburzenie.

— Tak sądzisz? No?

— Miał wyraz twarzy... I pies też mi się nie podobał, obydwaj mieli jednakowy wyraz twarzy. Taki godny, nabzdyczony i odpychający. Mówię ci, i pan, i pies są pozbawieni poczucia humoru!

— Niemożliwe. Nie może być pozbawiony poczucia humoru. Prawie cały czas je okazywał.

— Właśnie, prawie!...

— No i co zrobiłaś?

— Przestałam dzwonić, bo i tak tam nikogo nie było, i zesłam za nim na dół. Nie zaraz, za chwilę, bo zaraz się bałam. Widziałam ich z daleka, jak szli, okropnie dostojnie. To jest chyba bardzo spokojny i systematyczny facet...

— Nie wiem, możliwe. Wymyślał mi dość systematycznie... No i co?

— Nic, mało ci jeszcze?

— Jak to, nic więcej nie zrobiłaś? Trzeba było podejść i poprosić, żeby ci dał dziesięć złotych. Z Kopernikiem. Utwierdziłabyś go w jego dobrym mniemaniu o kobietach.

— Nie przyszło mi to do głowy, miałam spóźniony zapłon z wrażenia. Bardzo się cieszę, że go zobaczyłam. Aha, już wiem, co mi się nie podobało. On ma na twarzy wypisany ten stosunek do kobiet...

— Niech sobie ma. Daj mi z nim święty spokój, mam go po dziurki w nosie. Poppełniłam przez niego najidiotyczniejszą pomyłkę w życiu!

— Ciekawa jestem, dlaczego on potem znów tak...

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Przypuszczam, że on równie nieżyczliwie myśli o mnie, jak ja o nim. Obydwoje wygłupiliśmy się rekordowo...

— A tak, tego wam odmówić nie można... Odłożyłam słuchawkę z niechętnym zamiarem powrotu do pisania. Domy kultury wzbudzały we mnie coraz większą awersję...

Telefon zadzwonił, kiedy byłam już przy zakończeniu.

— Słucham — powiedziałam z lekkim roztargnieniem.

— Halo, tu Szkorbut. Akcja dziś o dwudziestej trzeciej trzydzieści...

Poczułam się nieco skołowana. Czego ci ludzie tak mącą i w ogóle ilu ich jest? Znów inny głos, rzeczywiście chyba pół miasta się wygłupia.

— Przecież miało być jutro o dwudziestej trzeciej — powiedziałam mimo woli z rozpaczą.

— Przyśpieszono termin, jutro będzie jawnie. Reszta bez zmian.

— Kto to widział tak kręcić i to w ostatniej chwili — odparłam z urazą. Chciałam jeszcze dodać, że ja się nie zgadzam na takie głupie skoki w czasie, kiedy nagle uprzytomniłam sobie, że jest mi przecież doskonale obojętne, kiedy będą przeprowadzać jakieś niezrozumiałe akcje i że nie mam z tym nic wspólnego.

— Trudno, trzeba działać przez zaskoczenie. Nic w tym nie ma dziwnego — powiedział zniecierpliwionym tonem mój rozmówca i rozłączył się.

Nie zastanawiałam się nad tymi dziwnymi telefonami, tylko szybko wróciłam do artykułu, żeby nie stracić wątku. O pierwszej postawiłam ostatnią kropkę i poszłam spać.

Telefon wyrwał mnie ze snu o wpół do trzeciej. Półprzytomnie sięgnęłam po słuchawkę.

— Słucham...

— Szkorbut, Szkorbut... Proszę o dyspozycje!

Ktoś mówił bardzo zdenerwowanym głosem. No nie, tego już za wiele. Bardzo lubię dowcipy, ale nie o tej porze, nie zamierzam się wdawać w środku nocy w idiotyczne konwersacje!

— Nic z tego nie będzie — oświadczyłam stanowczo, mając na myśli to, że nie pozwolę sobie robić kawałów o takiej godzinie. Zamierzałam natychmiast odłożyć słuchawkę, ale byłam śpiąca i miałam zwolnione ruchy, wobec czego zdążyłam jeszcze usłyszeć zdumiewającą odpowiedź.

— Tak jest! Natychmiast schodzimy! — powiedział zdenerwowany głos posłusznie i z wyraźną ulgą. Rozłączył się szybciej niż ja.

I dopiero teraz uderzyła mnie niezwykłość tych rozmów. Powoli odłożyłam słuchawkę na aparat i oparłam się o poduszkę, nagle rozbudzona. Patrzyłam w ciemność szeroko otwartymi oczami i czułam, jak serce zaczyna mi bić rozkosznym niepokojem.

Wreszcie, po raz pierwszy, obudziła się we mnie myśl, że to nie jest zwyczajna pomyłka. Zwyczajna pomyłka zdarza się raz albo dwa razy i na ogół polega na pomyleniu numeru telefonu, a tu przecież dzwonią systematycznie, wymieniając przy tym wyraźnie numer, który należy do mnie od wielu lat. Głupie dowcipy? Niemożliwe, ileż osób musiałyby w tym brać udział, a poza tym komu by się chciało dzwonić o trzeciej w nocy wyłącznie dla robienia kawałów. A do tego ten ton głosu!... Zaangażowali samych aktorów? I kto? Nie, wykluczone, to nie są złośliwe dowcipy!

I nagle piknęło mnie w sercu, bo zdałam sobie sprawę z tego, co to może być. Schodzą... natychmiast schodzą... Wielki Boże, ależ to wygląda na szajkę bandytów! I ten Szkorbut... Ależ oczywiście, to jest najwyraźniej w świecie hasło wywoławcze bandyckiego gangu, który przygotowuje duży skok! Telefonicznie podają sobie informacje, rozmawiając niezrozumiałym szyfrem!...

No dobrze, szajka szajką, ale co ja w tym robię? Dlaczego, na litość boską, przyczepili się do mnie? Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z żadnymi przestępcami i, jak rozumiem, nikt z moich znajomych nie zajmował się tego rodzaju działalnością, więc skąd im się nagle wzięło?... I o co im może chodzić? Schodzą... Skąd, u diabła, schodzą? Ze schodów? Wnosząc ze zdenerwowania brzmiącego w głosie tajemniczego członka bandy, coś im się pomieszało i zaistniała jakaś podbramkowa sytuacja...

Pomyślałam sobie, że to jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Przez całe życie marzyłam o wmieszeniu się w jakąś wspaniałą, niezwykłą aferę i teraz miałyby mnie to rzeczywiście spotkać? Cud? Niemożliwe, cud był na kościele na Nowolipkach, ale nie u mnie w domu!

Pełna równocześnie zwątpienia i nadziei zastanawiałam się intensywnie nad tym, skąd wytrzasnęli mój numer telefonu i co im strzeliło do głowy, żeby dzwonić właśnie do mnie. Dlaczego do mnie?

Coś mi nagle błysnęło w głowie i natychmiast zgąsło. Jakaś nieuchwytna, mglista myśl o czymś niesłychanie ważnym, o czym powinnam wiedzieć, a co jest przyczyną tego przyczepienia się do mojego telefonu. Byłam pewna, że w tym coś jest, tylko co? Co?...

Przestałam się zastanawiać nad tajemniczą działalnością bandy i tylko usiłowałam sprecyzować tę niejasną myśl, ale to było tak męczące, że zanim doszłam do jakichkolwiek rezultatów, zasnęłam na nowo. Wróciłam do tych rozmyślań nazajutrz rano, jadąc do pracy. W dzień myśli się o wiele bardziej trzeźwo niż w nocy. Niechętnie i z żalem doszłam do wniosku, że wspaniała afery bandy przestępców jest tylko moim pobożnym życzeniem, a idiotyczne telefony są zemstą byłej ofiary za poprzednie prześladowania i za te bułgarskie pomidory. Prawdopodobnie napuścił na mnie swoich wszystkich znajomy żeby mi życie zatrułi, no, a to są przecież ludzie przyzwyczajeni odpowiedniej modulacji głosu...

Musiałam wybrać odpowiednie zdjęcia do skończonego wreszcie artykułu. Dzień był piękny, słoneczny, wiosenny, więc szłam do macierzystej Redakcji okrężną drogą. A zresztą, trzeba przyznać uczciwie, że niezależnie od pogody, ilekroć byłam w tej okolicy, same nogi

mnie niosły pod hotel „Warszawa”. Bez sensu, bez powodu, nielogicznie i irracjonalnie, ale jednak niosły.

Idąc rozmyślałam o tajemniczych telefonach. Niezwykły okrzyk „Szkorbut, Szkorbut” zaczynał mnie coraz bardziej intrygować. Snułam sobie na ten temat różne przypuszczenia i byłam tym tak głęboko zaabsorbowana, że dopiero w ostatniej chwili zauważyłam idącego naprzeciwko mnie bardzo wysokiego faceta. Poznałam go natychmiast, chociaż widziałam go tylko ten jeden raz w Bristolu, i miałam teraz wielką ochotę zatrzymać się i zawołać za nim: „Dzień dobry panu”, ale powstrzymałam się od tego, bo ten pan szedł z kobietą.

Poczułam głęboki żal, że zauważyłam ich za późno i nie zdążyłam się jej przyjrzeć. Ostatecznie powinienam chyba obejrzeć babkę, za której rywalkę przez jakiś czas uchodziłam. Westchnęłam ciężko i wróciłam do absorbujących rozmyślań o Szkorbucie.

Zdjęcia w Redakcji wybrałam bardzo szybko i już po półgodzinie byłam z powrotem w biurze. Wiesio, Janusz i Witold pracowali, atmosfera była dość niemrawa i wszystkim się wyraźnie chciało spać. Usiadłam przy stole i zupełnie bez zapału zabrałam się do projektu. Wiesio ziewnął okropnie i melancholijnie zapatrzył się w radio.

— Coś nudno dzisiaj... — powiedział. — Może by zadzwonić do tego pana?

— Nie fatyguj się — odparłam niechętnie. — Nie ma go tam, przed chwilą spotkałam go na ulicy.

— Ale przecież słyszałem go parę minut temu — zaprotestował Wiesio.

— Pewnie z taśmy, cudów nie ma, w dwóch miejscach na raz nie przebywa.

Powiedziałam to i nagle coś mnie zastanowiło. Zaraz, kiedy to Janka oglądała go na schodach? Wczoraj? A kiedy Wiesio maglował go o te pomidory?

— Wiesiu — spytałam z lekkim zainteresowaniem — kiedy ty tam dzwoniłeś? Wczoraj, prawda? Wiesio patrzył na mnie w zamyśleniu.

— Wczoraj, oczywiście. To było tuż przedtem, zanim skończyłem te cholerną makietę, a potem stłukłem pod nią szybę. A bo co?

— Nic — odparłam z roztargnieniem i zaczęłam myśleć. Wczoraj Wiesio dzwonił i wczoraj Janka go widziała w naturze. Dzwonił jakieś dwadzieścia po dwunastej... o której godzinie ona go oglądała?

Podniosłam się i podeszłam do telefonu.

— O której godzinie widziałaś go na tych schodach? — spytałam bez wstępów, bo na intelekt ukochanej przyjaciółki mogłam ślepo liczyć. — To było wczoraj, prawda?

— Coś się stało? — spytała Janka natychmiast.

— Jeszcze nie wiem. No? Kiedy to było?

— Zaraz, czekaj, niech sobie przypomnę... Wczoraj na pewno, a o której? Wyszłam stąd o dziesiątej, potem byłam w Pałacu Kultury, potem nie wiem, co robiłam, ale stamtąd wróciłam o pierwszej. Musiałam go widzieć tak gdzieś koło wpół do pierwszej albo nieco wcześniej.

Wniosek nasunął mi się błyskawicznie pomimo rozpaczliwego niewyspania. Milczałam w tę słuchawkę tak długo, aż zaniepokoiłam tym Jankę.

— Halo, co się stało? Umarłaś tam? Nie milcz tak, bo się zdenerwowałam!

— Czekaj — powiedziałam — wezmę papierosa. Ty też weź i uzgodnijmy rysopisy. Przyjmij do wiadomości, że tuż przed wpół do pierwszej Wiesio rozmawiał z nim przez telefon.

— Z domu?

— Nie, z pracy. Stąd.

— Co stąd? Wiesio stąd? Ja się pytam, skąd tamten rozmawiał?

— Z rozgłośni.

— Jak to?

— Zwyczajnie. Wiesio dzwonił do niego do rozgłośni.

— I on tam był?!

— We własnej osobie. Sama słyszałam aż za dobrze. Co jak co, ale ten głos poznam na końcu świata.

— Nie rozumiem. Przecież go widziałam na własne oczy na drugim końcu miasta. Zdążył przejechać?

— Niewykonalne. Z Mokotowa na Stare Miasto w ciągu pięciu minut, i do tego jeszcze wejść na drugie piętro i wyjść z powrotem z psem, żeby cię spotkać na schodach?... Mowy nie ma!

— No to co, rozdwoił się?

— Toteż właśnie zastanawiam się nad tym, kogo ty widziałaś...

Teraz Janka zamilkła na długą chwilę.

— Nie milcz, do diabła! — zdenerwowałam się. — Mów szczegółowo, jak wyglądał!

Przez kilka minut ustalałyśmy rysopis z najdrobniejszymi detalami. Bezskutecznie, nie nam nie dawało stuprocentowej pewności.

— Czy on nie miał niczego, po czym go można na pewno rozpoznać? — spytała zniecierpliwiona Janka. — Żadnych znaków szczególnych?

— Miał — odparłam ponuro. — Szarą marynarkę ze skórzanym kołnierzykiem. Ciuch, na pewno tylko jedna w Warszawie. I dwa metry wzrostu.

— Wypchaj się dwoma metrami. O Boże, gdybym coś podobnego przypuszczała, to możesz być pewna, że kazałabym mu zdjąć jesionkę. Wszystko mi jedno, co by sobie o mnie pomyślał!

— I znów napadłabyś na niewinnego człowieka. Nie, nic z tego, nie wchodzę do konkurencji. Mam tego dosyć, on czy nie on, niech sobie lata po tych schodach z góry na dół i z dołu do góry do dnia Sądu Ostatecznego. Nie zamierzam nic robić!

— Nie denerwuj mnie. Zdechłś duchowo?

— Zdechłam kompletnie. Jestem w stanie zaawansowanej chandry i kicham na cały świat. Zresztą mam co innego na głowie...

— Szkorbut?

— Szkorbut. To może być coś ciekawego. Liczę na to, że mnie wyrwie z tego głupiego stanu...

Wbrew kategoriycznym zapewnieniom nie mogłam się pozbyć nikłego zainteresowania tamtym tematem. Kto by przypuszczał, że w Warszawie jest tylu jednakowych czarnych, wysokich facetów! I do tego z czarnymi psami. Co za urodzaj na czarne psy! Bo przecież nie uwierzę w fakt istnienia człowieka, którego po tylu wysiłkach musiałam przenieść w dziedzinę mitu i legendy, i nie uwierzę w możliwość rozwikłania tej pogrzebanej na zawsze tajemnicy...

Artykuł o domach kultury musiałam jeszcze przepisać na maszynie. Wlokło się to za mną jak kula u nogi i nie miałam innego sposobu pozbycia się tej zakały, jak tylko definitywnie ją skończyć i oddać. Telefon zadzwonił, kiedy byłam na czwartej stronie.

— Słucham...

— Halo Szkorbut! Szkorbut!

Oczywiście, że Szkorbut, cóż by innego! Byłabym zdziwiona gdyby mnie nagle zaniedbali. Z uwagi na bliski, już koniec mojego literackiego męczeństwa, samopoczucie mi się znakomicie poprawiło, a co za tym idzie odzyskałam nieco przytomności umysłu. Czymkolwiek by ten Szkorbut był, nie mogę go wypuścić z ręki, dopóki się czegoś konkretnego me dowiem Postanowiłam działać metodycznie.

— Pod jaki numer pan dzwoni? — spytałam ostro.

— Cztery czterdzieści dziewięć osiemdziesiąt jeden.

— Tak jest, słucham.

— Rejon sto dwa spalony. M-2 odpadł z akcji...

— A M-4? — spytałam w nagłym natchnieniu.

— W porządku, działa. A-x i B-2 będą w rejonie sto jeden Zaczynamy o pierwszej. Czy są jakieś polecenia?

— Nie — odparłam zgodnie z prawdą, bo jako żywo żadnych poleceń nie miałam. Chciałam mu jeszcze tylko zaproponować żeby do tego rejonu sto dwa wezwał straż pożarną, ale nie zdążyłam, bo się rozłączył.

Automatycznie wróciłam do maszyny, usiadłam i zapaliłam papierosa prawdopodobnie już od tej chwili włączyłabym Uaktywnię do tajemniczej afery, gdyby nie nieuchronna konieczność dopełnienia obowiązku. Na ogół biorąc bardzo lubię pisać artykuły, ale w tym jednym wyjątkowym wypadku żywił boki wstręt do zasadniczo miłego zajęcia. Wiedziałam, że muszę go skończyć, bo inaczej nie będę w ogóle zdolna do jakichkolwiek myślenia, a tym bardziej działania. To było coś jak potworny balon, wypełniający do ostatnich granic wszystkie pomieszczenia, w jakich się znajdowałam, otaczający mnie dookoła jak powietrze, gnębiący mnie bez przerwy i bez chwili wytchnienia. Musiałam się go wreszcie pozbyć! Gdyby nie zniechęcony artykuł, niewątpliwie już wcześniej wymyśliłabym coś głupiego, zrobiłabym to, co wymyśliłam, zepsułabym wszystko, bo miałam stanowczo za mało danych, żeby zadziałać inteligentnie. Nie włączyłam się więc jeszcze, tylko zaczęłam myśleć między jednym a drugim przepisywanym zdaniem, co nie wpływało najlepiej ani na przepisywanie, ani na rezultaty myślenia.

Sensu w tym wszystkim nie ma za grosz. Dzwoni do mnie banda przestępców, z dużym uporem informując mnie o jakiejś idiotycznej akcji i domagając się poleceń. Można z tego wywnioskować, że zostałam mianowana zaocznie hersztem szajki opryszków. Akcja jest niewątpliwie nielegalna, bo żadna legalna instytucja tak głupio nie działa.

„...zespoły artystyczne prowadzą ożywioną działalność przestępczą”. Zatrzymałam się, wyksowałam „przestępczą” i pisałam dalej, równocześnie usiłując myśleć logicznie. Co on rozumiał, mówiąc „schodzimy”? Skąd mógł schodzić w warunkach warszawskich? Ze statku nie, za zimno, statki nie kursują, szczytu góry w Warszawie nie ma. Schodów, owszem, jest do diabła i trochę, mogli schodzić na przykład z jakiegoś strychu, na którym byli zaczajeni... „ruchome ścianki pozwalają na dowolną synchronizację pomieszczeń...”

Do diabła, nie synchronizację, tylko użytkowanie! Albo zrezygnuję na razie z jednej z dwóch wykonywanych równocześnie czynności, albo dostanę fijoła! Po namyśle zrezygnowałam z przepisywania.

Uznałam, że muszę się zająć zagadnieniem poważnie. Jedna nie wyjaśniona tajemnica w życiu w zupełności mi wystarczy, drugiej sobie stanowczo nie życzę. A być może uda mi się wykryć jakieś wspaniałe przestępstwo i ojczyzna będzie mi wdzięczna do grobowej deski.

Oczywiście uczyniłam to, co się zawsze w takich wypadkach robi. Dokonałam szczegółowego spisu posiadanych wiadomości, które, utrwalone czarno na białym, wydały mi się niesłychanie głupie, ponieważ nic z nich nie mogłam zrozumieć.

Doszłam jedynie do pewnych oderwanych spostrzeżeń.

Użyłam słowa „stanowiska”, a mój rozmówca nie okazał zdziwienia. Wobec tego należy przyjąć, że schodzili nie ze schodów, tylko ze stanowisk. Stanowiska były w rejonie. Co to jest rejon? Takie określenie dotyczy zazwyczaj miejsca, ale to miejsce to może być równie dobrze fragment ulicy, dzielnica miasta, jak i wszystkie pola, lasy i łąki na terenie całego kraju. Powietrza pod uwagę nie brałam, bo byłam zdania, że przy ustalaniu wysokości nad poziomem morza, podawaliby jakieś informacje o pogodzie, tak jak na przykład dla szybownictwa.

Banda jest liczna, bo po pierwsze za każdym razem dzwoni do mnie ktoś inny, a po drugie mówili o sobie w liczbie mnogiej. Mają jakiegoś szefa. Szefa...

Przy szefie coś mnie tknęło, ale nie wiedziałam co. Ten szef powinien mi dać coś do zrozumienia. Myślałam przez chwilę, nic nie wymyśliłam i zostawiłam szefa w spokoju.

Nadmiar znaków pisarskich, którym mnie cały czas uszczęśliwiają, to może być wszystko, od materiałów budowlanych począwszy, a na szpiegach wrogiego państwa skończywszy. Szczerze mówiąc, wolałabym szpiegów niż cegły. Trzeba będzie zrobić sobie spis wszystkich odpowiednich słów na M, na A i na B i zobaczyć, co z tego wyniknie...

Jedyna rzecz, jaką podają wyraźnie, to czas. Jestem świetnie zorientowana, kiedy się coś dzieje, tylko nie mam pojęcia, co i gdzie. Przez krótką chwilę błysnęła mi myśl, żeby może dzwonić do wszystkich komend milicji w całej Polsce, pytając, czy się przypadkiem gdzieś coś o takiej porze nie zdarzyło, ale szybko wybiłam to sobie z głowy. Spokojnie, na milicję przyjdzie czas, jak już coś konkretnego odkryję.

No i najważniejsze pytanie: dlaczego, na miłość boską, dzwonią do mnie?!

I znów doznałam uczucia, że powinnam to wiedzieć i że to jest clou całej zagadki. To coś okropnie ważnego, czego sobie, nieszczęsna, zaspana idiotka, nie mogę w żaden sposób przypomnieć!

Ta ostatnia myśl tak mnie zmęczyła, że zakończyłam rozmyślenia. Uznałam, że muszę trzymać rękę na pulsie i postarać się o więcej wiadomości, a przede wszystkim muszę wreszcie rzucić z głowy tego upiora w postaci domów kultury!

Nad upiorem wyraźnie ciążyło przekleństwo. Nie skończyłam go przepisywać tej nocy, bo byłam już zbyt śpiąca po wyczerpujących rozmyśleniach i następnego wieczoru znów usiadłam do maszyny. Oczywiście, natychmiast zadzwonił telefon.

— To ty? — krzyknęła moja przyjaciółka podnieconym głosem. — Słuchaj, widziałam coś nadzwyczajnego!

Od razu mnie to zirykowało, bo oczekiwałam Szkorbutu i niepotrzebnie przywołałam na pomoc wszystkie władze umysłowe, maksymalnie wyťažając inteligencję. A przy tym miałam zupełnie wystarczającą ilość własnych nadzwyczajności.

— Denerwują mnie te twoje wizje — powiedziałam gniewnie. — Co znów widziałaś?

— Widziałam go podwójnie!

Doskonale wiedziałam, o kogo jej chodzi, i tylko zastanawiałam się przez chwilę, gdzie i z jakiej okazji mogła się tak zalać.

— Były jakieś imieniny? — spytałam ostrożnie.

— Jakie imieniny?

— Jakiegokolwiek. Po imieninach dużo rzeczy widzi się podwójnie. A czasem nawet w całych stadach... Nie widziałaś go w stadzie?

— Idiotka! W jakim stadzie? Ja mówię o facecie, a nie o buhaju. Widziałam ich dwóch, takich samych, w biały dzień, w samo południe, na placu Zamkowym.

— Jesteś pewna, że ci się w oczach nie dwoi?

— Przestań się wygłupiać i słuchaj, bo ja dopiero teraz jestem naprawdę przejęta! Wyjechałam schodami, wyszłam na plac Zamkowy i natychmiast rzucili mi się w oczy, bo było mało ludzi. Tego samego wzrostu i, jak Boga kocham, można się pomylić!

Powoli i z oporami docierała do mnie rewelacyjność tej informacji. Postanowiłam zachować daleko posuniętą ostrożność.

— Co robili? — spytałam z zaciekawieniem, ale bez przesadnego podniecenia.

— Oddalali się od siebie.

— Co?! Co to znaczy?

— No, szli tak, jakby się przed chwilą pożegnali i rozstali. Jeden poszedł zupełnie, a drugi został.

— Jak to został, gdzie został? Usiadł na placu Zamkowym i karmił gołębice?!

— Nie, podszedł do budki i kupował kwiaty. Natychmiast poleciałam za nim, stanęłam obok i udawałam, że oglądam te kwiaty. Nie mam pojęcia, jakie były, pewnie dostałam rozbieżnego zesa!

— Zauważył cię?

— Jeszcze jak! Wcale nie wierzył w moje zainteresowanie kwiatami i przyglądał mi się okropnie podejrzliwie. I wiesz, już mi się teraz o wiele bardziej podobał...

— Dlaczego ci się bardziej podobał?

— Nie wiem. Miał inny wyraz twarzy... Miał taki uśmiech, jakby go to bawiło. No, miał poczucie humoru!

Mimo woli, wbrew niechęci, ujrzałam oczyma duszy lekko kpiący, a pomimo to bardzo sympatyczny uśmiech. Uśmiech człowieka, który nie istnieje... Otrząsnęłam się z tego widoku.

— Skoro ze sobą rozmawiali, to może to był ten cholerny, mityczny przyjaciel? — powiedziałam z powątpiewaniem. — Ten, który do mnie dzwonił?

— Dwumetrowy?!

— No to co, przyjaciołom nie wolno rosnąć?

— Wykluczone, niemożliwe, żeby się tak dobrali. Jestem pewna, że to był on! Ten twój tajemniczy nieznajomy!

— No i co dalej? — spytałam, zdenerwowana jej kategorycznym przekonaniem. — Co potem zrobił? Przecież nie stoi przy tej budce do tej pory!

— Wsiadł do samochodu i odjechał.

— Do jakiego samochodu?

— Nie wiem.

— Jak to, nie rozpoznałaś marki samochodu?! Zaniewidziałaś nagle czy byłaś kompletnie nieprzytomna?

— No pewnie, że byłam! Duży. Szary.

— I pod spodem miał cztery koła. Rzeczywiście, kuriozum, jedyne w Warszawie. Dlaczego, do diabła, do mnie nie zadzwoniłaś?!

— Nie zdążyłam! Co ty sobie wyobrażasz, miałam mu powiedzieć: „Niech pan chwilę zaczeka, ja tylko zawiadomię przyjaciółkę”?

— Trzeba było za nim jechać!

— Czym?!

— Taksówką!

— Chyba masz źle w głowie. Skąd taksówka w południe na Starym Mieście?!

— No to straciłyśmy okazję rozpoznania obiektu. Następnym razem jak go zobaczysz, to dzwoni do mnie, a potem leć za nim i zostawiaj mi znaki. Rzucaj na ziemię cokolwiek, papierki, pieczywo...

— Głupiaś, papierków wszędzie do diabła i trochę, a pieczywo gołębnie zeżrą.

— No to co innego, byle co. Kapsle od piwa...

— Wyraźnie cierpisz na zaburzenia umysłowe!... Odłożyłam słuchawkę nieco poruszona. Czyżby znów pogrzebana na wieki tajemnica zaczynała mi wchodzić w parady? Kto to jest, ten człowiek, którego ona ustawicznie spotyka? Muszę to sprawdzić, bo inaczej nie zaznam spokoju, tylko jak? Stać na placu Zamkowym i stać przez dwa tygodnie jak Szymon Słupnik? Szymon Słupnik stał, zdaje się, dłużej... Dlaczego ona go ciągle spotyka, a ja nie? Do diabła, i mówi się, że świat jest mały!

Wróciłam do maszyny i pisałam. W głębi duszy byłam pełna napięcia. Czekałam na Szkorbut...

Szkorbut nie zawiódł, zadzwonili przy ostatniej stronie. W milczeniu słuchałam szybkich, zakonspirowanych informacji.

— M-4 w porządku, nie wykryty. W rejonie sto jeden dwa B-x falsyfikaty. Sygnał „olaboga”. Jutro dwudziesta trzecia trzydziści. Koniec meldunku.

Olaboga! Olaboga, to ja mogłabym krzyknąć. Czy ci ludzie poszaleli? Na moment zwątpiłam w bandę przestępców i przyszło mi do głowy, że to może grupa wariatów uciekła z zakładu zamkniętego. O cóż, na miły Bóg, może im chodzić?! M-4 to może być bandzior,

któremu udało się uniknąć kontaktów z władzą ludową, ale te dwa falsyfikaty? Podstawiają manekiny zamiast ludzi? A może to są fałszerze pieniędzy?... Po diabła fałszerzom pieniędzy sygnał „olaboga”?!

Zamiast iść spać zabrałam się do śledztwa i w ciągu godziny wyprodukowałam spis wyrazów, który po bliższym obejrzeniu wyglądał raczej niepokojąco. Pisałam wszystko, co mi przychodziło do głowy na A, na B i na M, nie przebierając, jak leci, i osiągnęłam imponujący stek nonsensów. Muflony, mięso, marihuana, morfina, milicja, mokra robota, anteny, mikrofony, arszenik, brylanty, banknoty, agronomia, biologia... i bardzo dużo innych, równie interesujących rzeczy. Jakim sposobem przedmiotem przestępstwa mogła być na przykład agronomia albo ministerstwo jako takie, które też w tym zbiorze ulokowałam, doprawdy nie wiem. Z niesłychanym wysiłkiem wpatrywałam się w ten osobliwy spis czując, jak mi się zaczyna wszystko w głowie mącić, a równocześnie nie mogąc się pozbyć uczucia, że to wcale nie jest takie głupie, jak by się zdawało. Coś w tym jest, co ma jakiś sens, tylko nie wiem, co i jaki.

Poszłam wreszcie spać, z niepokojem myśląc, co będzie, jak mnie znów wyrwą z łóżka w środku nocy. Będę nieprzytomna i mogę się wygłupić z czymś, co im uprzytomni pomyłkę... Za nic w świecie!

Pomimo niepokoju zasnęłam jak kamień i telefon musiał chyba długo dzwonić, zanim sięgnęłam po słuchawkę. Na dźwięk znajomego hasła błyskawicznie oprzytomniałam. Ktoś mówił bardzo zmęczonym głosem i chyba przez to zmęczenie był wyjątkowo mało oficjalny.

— Jak długo można czekać — mówił, ale raczej z rezygnacją niż z pretensją. — Szef jest?

— Nie, nie ma — odparłam z absolutnie czystym sumieniem. Mogłam przysiąc na wszystkie świętości, że żaden szef w moim domu nie nocuje.

— No, trudno. Proszę go zaraz zawiadomić, że jest krewa. A-x nie działał, nie wiadomo dlaczego. B-1 też nie bardzo, parę rzeczy nie wyszło.

— Których rzeczy? — spytałam ostrożnie i czujnie.

— Zaraz podam, mam spisane... Brząścić, wiątek... krztąc... pierzag, maśla... piąrze... To chyba wszystko.

Zamarłam na chwilę i całe intelektualne wnętrze przewróciło mi się do góry nogami. Przez kilka sekund nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

— Tak, dobrze. Co dalej? — powiedziałam możliwie spokojnie.

— Jutro wszystko według planu. Czekamy na dalsze polecenia. To wszystko, dobranoc.

— Dobranoc — odparłam, zaskoczona pierwszym ludzkim słowem, jakie wreszcie usłyszałam. Ha, to była rewelacja! Już nie światełko, a wspaniały blask reflektora w ciemnościach! Wielki Boże, ja przecież wiem, wiem, co znaczą te idiotyczne słowa!!!

Niewiele brakowało, a olśniona niespodziewanym odkryciem, wyskoczyłabym z łóżka i zaczęłabym tańczyć po mieszkaniu. Uchylił się przede mną rąbek tajemnicy. Kilka dokładnie pozbawionych sensu słów pozwoliło mi nagle pojąć istotę przestępstwa. Byłam tak uszczęśliwiona, że musiałam natychmiast dać ujście uczuciom, bo inaczej nie tylko nie mogłabym spać, ale wręcz groziło mi pęknięcie. Chwyciłam słuchawkę i wykręciłam numer przyjaciółki.

— Słucham — odezwała się zasnętym głosem po Bóg wie ilu sygnałach.

— Brząścić! — krzyknęłam w radosnym szale. — Wiątek, maśla!...

— Matko Boska, zwariowałaś!!

— Nie, miałam przed chwilą telefon! Wszystko wiem! Krztąc!

— Chryste Panie — powiedziała z przerażeniem, nagle otrzeźwiała Janka. — Na mózg ci to wszystko padło? Co ty mówisz?!

— Streszczam ci clou zagadnienia. Znam przedmiot przestępstwa!

— Mam wrażenie, że zwariowałaś do reszty. Mów ludzkim językiem albo natychmiast dzwonię do pogotowia!

— No to słuchaj... Powtórzyłam jej niedawną rozmowę.

— No dobrze, ale ja nic z tego nie rozumiem. Moim zdaniem rozmawiał z tobą obłąkany. Co to znaczy?!

— To są słowa, nie istniejące w polskim języku...

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości...

— Czekaj, słuchaj dalej...

Opowiadając jej swoje wnioski równocześnie porządkowałam sobie radosny chaos w głowie. Od wielu długich lat wiedziałam, że całe spisy takich bezsensownych słów odczytuje się przy sprawdzaniu mikrofonów, nadajników, odbiorników czy też innych urządzeń radiowych. Moje wiadomości na ten temat nie były zbyt dokładne i szczegółowe, bo swymi czasami różne opowiadania, dotyczące prądów słabych i łączności, wlatywały mi jednym uchem, a wylatywały drugim, ale były zupełnie wystarczające, żeby nie mieć wątpliwości, o co tu chodzi.

— Rozumiem z tego — mówiłam z okropnym przejęciem — że oni robią jakąś machlojkę w dziedzinie ogólnie biorąc radia. Nie wiem dokładnie jaką, bo się na tym nie znam. To może być afera szpiegowska, w której posługują się jakąś nową aparaturą, może być przemyt na wielką skalę, może być dużo innych rzeczy. Spróbuję coś od nich wyciągnąć na podstawie tego wiątka... Jestem zachwycona!

— Ja jestem bardziej śpiąca — powiedziała Janka z dezaprobatą. — O tej porze nie doceniam najwspanialszych rewelacji. Nie mogłybyśmy o tym jutro porozmawiać?

— Już jest jutro.

— No to dziś, ale nie w tej chwili. Błagam cię, idź spać! Daję ci słowo honoru, że po południu będziesz mądrzejsza. Wiem na pewno!

— Dobrze, na twoją odpowiedzialność...

Zanim zasnęłam, obejrzałam jeszcze z triumfem mój spis idiotyzmów. Miałam rację, że to nie takie głupie, mam tu mnóstwo słów, dotyczących działalności radiowej. Trzeba to będzie jutro przemyśleć...

Moja chandra skończyła się nagle, jak nożem uciął. Zbiegły mi się razem dwa radosne wydarzenia: skończyłam definitywnie gnębiący mnie artykuł i wykryłam istotę przestępstwa. Poczułam się nagle pełna wigoru i głęboko zainteresowana życiem. Najbardziej dopingujące działał niezrozumiały fakt wmieszczenia mnie, mnie, zupełnie zwyczajnej, praworządnej obywatelki PRL w tajemniczą działalność zradiofonizowanej bandy. Dlaczego mnie?! Coś w tym musi być, gdyby była jakaś zmiana numerów telefonów, to jeszcze to byłoby wytłumaczalne, ale nic takiego nie było. Więc skąd?!... Dlaczego akurat mnie?!...

Rozpoczęłam metodyczną działalność. Udało mi się złapać telefonicznie starych przyjaciół z odpowiedniego działu w Polskim Radio i moje wiadomości na interesujące mnie tematy nabrały wyraźnych rumieńców. Niestety, w zestawieniu z tymi wiadomościami informacje udzielane mi przez uprzejmych bandytów były po większej części pozbawione sensu. Niewątpliwie coś tu nie grało.

Nikt nie robi takiej tajemnicy ze sprawdzania aparatury radiowej i na pewno nikt o tym nie informuje nie zainteresowanych osób postronnych posługując się rodzajem awitaminozy o różnych porach dnia i nocy. I dlaczego to nosi nazwę akcji? Najbardziej mi to wyglądało na działalność szpiegów, używających krótkofalówek. Synchronizacja krótkofalówek jest na pewno konieczna. Dobrze, tylko czemu uzgadniają to ze mną?

Metodyczna działalność zaczęła się na mnie powoli odbijać. Współpracownicy przyglądali mi się nieufnie, kiedy siedziałam nad mapą Warszawy i okolic, usiłując odgadnąć umiejscowienie rejonów. Wreszcie, kiedy pytanie Janusza, gdzie jest plan sytuacyjno-wysokościowy, odpowiedziałam: „w rejonie sto jeden” i kiedy kilkakrotnie powtórzyłam w zamyśleniu „brząścić... piąrze...”, wystraszyłam i ostatecznie.

— Wiecie, ona chyba powinna iść na urlop — powiedział Janusz z żywym niepokojem. — Znów jej coś zaszкодziło. Joanna, książki telefonicznej nie chcesz?

— Odczep się — mruknęłam i dalej trwałam w swoim szaleństwie, ugruntowywanym nocnymi telefonami.

Odnowione wiadomości troskliwie pielęgnowałam, posługując się nimi ze zręcznością, która mnie samą wprawiała w podziw. Przez dwa dni udało mi się niemal uwierzyć, że istotnie należę do szajki, w której wyraźnie coś nawalało.

Drugiego dnia późnym popołudniem odezwał się jeden ze znanych mi już głosów, zdenerwowany bardziej niż kiedykolwiek.

— Szkorbut! — krzyknął w pośpiechu. — Cztery, czterdzieści dziewięć, osiemdziesiąt jeden?

— Tak jest, słucham.

— Co się dzieje, do diabła? Rejon sto jeden spalony, sto dwa spalony, niedługo nie zostanie ani kawałek miejsca! Wiedzą, że wczoraj był falsyfikat, cała seria B nie odpowiada, co to znaczy?!

A bo ja wiem, co to znaczy? Też mi głupie pytania zadaje! Zdenerwował mnie tak, że wcale nie musiałam udawać, że jestem również przejęta.

— Proszę mówić spokojnie i po kolei — powiedziałam stanowczo i zaryzykowałam dalszy ciąg. — Gdzie jest aparatura?

— No jak to gdzie, już przewieziona. Dlaczego wszystkie wiadomości przenikają, to się źle skończy! Załatwią nas i guzik wyjdzie z całej roboty!

Żeby ja się mogła od niego dowiedzieć, z jakiej roboty i dokąd oni tę aparaturę przewieźli! Rany boskie, co by tu powiedzieć?

— A jak milicja? — spytałam na chybił trafił.

— Milicja! — krzyknął mój rozmówca z przerażeniem w głosie. — Chroń nas Bóg przed milicją!

No pewnie, to było dla mnie zrozumiałe. Tylko co dalej? Ja mam mu teraz wyjaśniać sytuację i wydawać polecenia? Przecież to kretynstwo! Skupiłam się najbardziej, jak tylko mogłam, rozpaczliwie przywołując na pomoc całą zdobytą wiedzę.

— A jak synchronizacja?

— A, właśnie. Sygnał „łubudu”. Łubudu! Matko Boska! Co teraz?!

— Co teraz? — spytałam mimo woli, przygnębiona nadmiarem dziwolągów.

— No nic teraz, trzeba odczekać. Jeszcze jutro próba z B-2 i B-3. Termin będzie podany w ostatniej chwili, rejon też. Jakies bydlę się wyłamuje, nie wiadomo kto... No, nie chciałbym być w jego skórze!

— W porządku — powiedziałam, chociaż wyglądało na to, że nic nie jest w porządku. — Czekam na podanie terminu. To wszystko?

— Tak, koniec meldunku. Niech się coś wreszcie, do diabła, wyjaśni!

Sama niczego bardziej nie pragnęłam. Zaczęłam być zaniepokojona, bo uprzytomniłam sobie, że udzielane mi wiadomości powinnam gdzieś dalej przekazywać. Ponieważ tego nie czynię, robi się jakieś zamieszanie. Tylko tego brakuje, żeby się wreszcie zorientowali, z kim rozmawiają! Wystarczy zadzwonić do biura numerów i moje życie zacznie być w niebezpieczeństwie...

Zanim zdążyłam ochłonać po rozmowie i po tym „łubudu”, które mną mocno wstrząsnęło, telefon znów zadzwonił. Z niepokojem podniosłam słuchawkę.

— Słucham — powiedziałam ostrożnie.

— Cztery czterdzieści dziewięć osiemdziesiąt jeden?

— Tak.

— „Szkorbut”. Proszę o dyspozycje!

Masz ci los, tego jeszcze nie było! Jakich ja mu mam dyspozycji udzielać?

— Nie wiem, czego pan jeszcze nie wie — powiedziałam w przypiływie natchnienia. — Nie ma sensu mówić wszystkiego, to niewskazane.

— Tak jest. Co z rejonem sto dwa?

— Spalony — odparłam natychmiast, szybko przypominając sobie poprzednią rozmowę.

— O rany boskie! A co z serią B?

— Nie wiadomo, dlaczego nie odpowiada. Jutro B-2 i B-3.

— Kiedy i gdzie?

— Termin i rejon będzie podany w ostatniej chwili.

— W porządku, dziękuję. Proszę przekazać, A-x działa, sprawdzone, udało się. Sygnał ten sam?

— Łubudu — powiedziałam z determinacją. Diabli wiedzą, czy to chodzi o to, czy o coś innego. Wyglądało na to, że trafiłam, bo mój rozmówca wyłączył się bez sprzeciwów.

Odłożyłam słuchawkę i spróbowałam nieco ochłonąć. Rany boskie, co się dzieje? W co, w co, na litość boską, ja jestem wmieszana?! To prawda, że kocham tajemnice i niezwykle wydarzenia, uwielbiam sensacje w życiu, ale to jeszcze nie powód, żeby mi się miały rzeczywiście przytrafiać. Nie dzwonią przecież do mnie specjalnie po to, żeby mi zrobić przyjemność! Ach, wykryć! Bezwzględnie wykryć, co to znaczy!

Siedziałam kamieniem w domu, czekając na następny telefon i myśląc intensywnie. Mogłabym ewentualnie postarać się o wyłapanie numeru, z którego do mnie dzwonią, ale to nie ma żadnego sensu, bo dzwonią z różnych miejsc. Możliwe, że nawet z budki telefonicznej. Rozmowy brzmią rozmaicie, nie ulega wątpliwości, że są przeprowadzane z wielu aparatów, a nie z jednego. To ja jestem tą niewzruszoną bazą, a banda działa w rozproszeniu. Nie ma co mówić, znaleźli sobie bazę znakomitą!

Zadzwoiła do mnie przyjaciółka.

— Słuchaj, przypomniałam sobie coś, może ci to coś da.

— No?

— Przypomniałam sobie, że miałam kiedyś taki telefon: o wpół do piątej rano zadzwoniła międzymiastowa, jakiś facet spytał, czy to mój numer, i powiedział: „Na terenie Krakowa spokojnie”.

— Co takiego?

— Na terenie Krakowa spokojnie.

— Co to znaczy?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Miałam ochotę mu zaproponować, żeby wobec tego wywołał jakieś zamieszanie, ale byłam okropnie śpiąca i nie chciało mi się. Aha i jeszcze spytał, czy są jakieś polecenia.

— I wymienił twój numer?

— Mój, jak byk. Do dzisiejszego dnia nie wiem, po co mnie o tym zawiadamiał. No i co? Wyciągasz z tego jakiś wniosek?

— Tak, jeden, nieodparty. Że w dziedzinie pomyłek telefonicznych nie ma rzeczy niemożliwych.

— Bo wiesz, mnie się to kojarzy. Bo moglibyście chcieć dzwonić gdzie indziej, a przez pomyłkę łączyłoby ich z tobą. To takie, jak to się nazywa? Mówiłaś, że te jakieś co robią?

— Wybieraki. Przeskakują.

— No właśnie. Ale oni wymieniają twój numer, a ten z Krakowa wymienił mój. W tym musi coś być. Ten z Krakowa mógł mieć jakiś inny numer źle zapisany, ale to było tylko raz, przecież chyba niemożliwe, żeby tylu ludzi miało źle zapisane numery?

— Czekaj, czekaj, coś mi przychodzi do głowy. Tylu ludzi... źle zapisane numery... Źle... Źle?

Czułam, jak znów mi się błąka po głowie niejasna, męcząca myśl, że powinnam doskonale wiedzieć, co to znaczy, i jestem na progu najważniejszego odkrycia. Okropne uczucie!

— Nie, nic z tego. Widocznie nie jestem stworzona do logicznego myślenia. Wiem, że w tym coś jest, ale nie mogę pojąć, co. Mam przeczucie, że to coś, to jest właśnie sedno zagadnienia, i że jak to odkryję, to wszystko inne się samo wyjaśni.

— Ja mam odwrotne przeczucie — powiedziała Janka w zamyśleniu. — Jak odkryjesz to najważniejsze, to dopiero wtedy zrobi się Sodoma i Gomora. Mówię ci, moja dusza to czuje.

— Zaczynam nabierać zaufania do inteligencji twojej duszy...

Oplątująca mnie tajemnica wpływała na mnie znakomicie. Nie powodowała otępienia, tylko przyjemne podniecenie, wzmagając bystrość umysłu. A przy tym przenikała niejako nie przez serce, a przez rozum, pozwalając mi mieć miłe przeświadczenie, że jestem przytomna i nie popełniam nic przeraźliwie głupiego.

Przez cały wieczór był spokój, więc położyłam się spać, nastawiona na natychmiastowe rozbudzenie. Telefon zadzwonił o drugiej.

— Halo, Szkorbut...

— Tak, słucham.

— B-2 w porządku. B-3 jeszcze jutro. Rejon sto nie pasuje, już lepszy będzie rejon sto trzy.

— Dlaczego? — spytałam z zainteresowaniem, bo za wszelką cenę chciałam się dowiedzieć, gdzie te rejony leżą.

— Przejeżdżają trzy pociągi...

Szybko pobłogosławiłam w duchu swoje nieprzeciętne wykształcenie.

— I co, powodują zakłócenia? — spytałam bez wahania.

— Właśnie. Tylko z tym dojazdem nie bardzo.

— Dlaczego? — zaryzykowałam znowu. — Są jakieś przeszkody?

— Roboty drogowe. Trzeba sprawdzić, jak długo może trwać. Jutro będą dane. Koniec meldunku.

Co oni robią takiego, że im zakłócenia przeszkadzają? Pomiary akustyczne...? Wszystko razem świadczy o tym, że przeprowadzają jakieś próby. Boją się śmiertelnie milicji, więc próby są z pewnością nielegalne... Ukradli jakiś sprzęt z Polskiego Radia? Trzeba się dowiedzieć, czy tam przypadkiem coś nie zginęło...

Natychmiast po przyjściu do pracy zadzwoniłam do przyjaciół z radia.

— Nie zginęło wam tam coś przypadkiem ostatnio? — spytałam niedbale.

— Owszem, jedna taśma z Earthą Kitt. A dlaczego pytasz?

— Tak sobie. Miałam nadzieję na jakąś sensację. I nic więcej?

— Nie, nic. A przynajmniej ja o tym nic nie wiem...

No, to teraz muszę sprawdzić, gdzie przejeżdżają trzy pociągi po dwudziestej trzeciej, bo to jest przecież normalna godzina rozpoczynania akcji. Wyciągnęłam rozkład jazdy z szafy głównego księgowego i jedząc śniadanie zaczęłam go studiować. Nigdy w życiu nie jadłam tak ślamazarnie i tak długo, ale wyniki były rewelacyjne. Znalazłam miejsce, gdzie w pobliżu Warszawy istotnie przejeżdżają trzy pociągi w różnych odstępach czasu w ciągu dwóch godzin. To mi znów dało coś niecoś do myślenia...

Przy najbliższym telefonie spróbuję się dowiedzieć, gdzie leży rejon sto trzy, a potem pojedę tam i, być może, odkryję wreszcie tajemnicę.

Całe popołudnie czekałam na telefon. Nie dałam się wyciągnąć z domu na brydza, nie poszłam do fryzjera, me kupiłam sobie chleba, zdecydowana raczej umrzeć z głodu, niż stracić okazję uzyskania wiadomości. Uczepiłam się mojej życiowej sensacji jak rzep psiego ogona.

O wpół do dziesiątej zadzwonił telefon.

— Słucham — powiedziałam z ożywieniem, nastawiona na Szkorbut.

— Joanna? Jak się masz, tu Janusz...

Najpierw pomyślałam, że mam halucynacje słuchowe. Potem nieszczęsne serce fiknęło kilka kozłów, potem zrobiło mi się słabo, a potem wreszcie odzyskałam głosem.

— Niemożliwe — powiedziałam bardzo, bardzo ciepło i miękko. — Jesteś w Warszawie?

— Jestem, jak widzisz. Chciałem cię przeprosić za mój nagły wyjazd bez pożegnania...

— To fatalne...

— Co fatalne?

— Że mnie przepraszasz. Już miałam nadzieję, że się będę mogła raz wreszcie na ciebie definitywnie obrazić.

— Nie zrobisz tego chyba? Wiesz, jak wyglądają moje zajęcia, mnie samego ten wyjazd zaskoczył.

Doprawdy, nie przypuszczałam, że po wszystkim, co było, doznam takiego wstrząsu. Nagle, w jednej, krótkiej jak błyskawica, chwili zrozumiałam, że moje wszystkie poczynania, całe zainteresowanie tajemnicami, całe zaciekawienie sensacją, to nieprawda! Pcham się w to na siłę, przez rozum, bo w najdalszej głębi, na samym dnie serca, tkwi ten cierni, o którym chcę koniecznie zapomnieć. Zrobiło mi się w życiu strasznie pusto i tę pustkę musiałam czymś wypchać. Życzliwa opatrność zesłała mi na pomoc ów Szkorbut, który pozwolił mi wierzyć, że nie jestem nieszczęśliwa. No pewnie, że teraz już nie jestem, skoro dzwoni...

Nagle dotarło do mnie to, czego słuchałam przez telefon. Co on mówi? Że jest w Warszawie od tygodnia? I dopiero teraz dzwoni?!...

W mojej niespodziewanie uszczęśliwionej duszy obudziło się natychmiast gorzkie podejrzenie, że mu chodzi tylko o te parszywe pięćset złotych, które pożyczyłam owej szaleńczej nocy...

— Chcesz pieniędzy? — spytałam wrogo, przerywając mu w pół zdania.

— Słucham cię? Nie rozumiem...

— Pytam, czy mam ci oddać zaraz te pięćset złotych?

— Jakie pięćset złotych?

— Te, które ci jestem winna od trzech tygodni.

— Jesteś mi winna pięćset złotych? Nic o tym nie wiem, ale jeśli istotnie tak jest, to muszę ci się przyznać, że bardzo mnie tą wiadomością ucieszyłaś.

— Aha, to znaczy, że mam ci oddać. Dobrze, niech będzie, kiedy się zobaczymy?

— Czekał, pozwól mi pomyśleć. Jak zwykle odczuwam cholerny brak czasu...

Odłożyłam słuchawkę umówiona tak, że lepiej nie mogłam sobie życzyć. Będzie jutro czekał na zamiejscową rozmowę u siebie w hotelu, a ja mam ten cudowny finansowy pretekst, żeby mu złożyć wizytę...

Zadzwoił telefon.

— Halo, Szkorbut...

Ach, co mnie obchodzi Szkorbut! Jest mi doskonale obojętne, gdzie leżą wszystkie rejony świata, na biegunie północnym czy w Pałacu Kultury! Wszystkie szajki bandytów, złodziei, morderców mogą się jak dla mnie wypchać trocinami i tłuczonym szkłem! Jedyne problem wart moich wysiłków odłożył przed kilkoma minutami słuchawkę w hotelu „Warszawa”.

Zupełnie bez zainteresowania przyjąłem informację, że próby B-3 są na razie wstrzymane. Przepelniona byłam tylko tą jedną myślą i jedną nadzieją. Pójdę jutro do niego do hotelu, zaniósę mu te prześliczne, zachwycające pięćset złotych...

Prześliczne pięćset złotych musiałam gdzieś pożyczyć, bo gdybym mu oddała własne pieniądze, miałabym przed sobą perspektywę życia do końca miesiąca o zebranych chlebie. Ustrzelić kogoś na taką sumę na pięć dni przed pierwszym to nie jest prosta sprawa. Nagabywane przeze mnie w miejscu pracy otoczenie stukało się palcem po głowie albo wybuchało drwiącym śmiechem. Nie dziwiło mnie to wcale, od początku wiedziałam, że rzecz jest beznadziejna. Pomimo to odbyłam jeszcze kilka rozmów telefonicznych, tak samo

bezsuktecznych jak osobiste. Krótko mówiąc dokonałam mnóstwa wysiłków, żeby doprowadzić do momentu, w którym sobie ostatecznie zniszczę życie i odbiorę resztki nadziei.

Przez cały czas tkwiła we mnie smutna gorycz, o której usiłowałam nie myśleć. Doskonale wiedziałam, że nasze wzajemne zainteresowanie sobą jest zupełnie odmiennych gatunków. On we mnie widzi sympatyczną dziewczynę, z którą można się przyjaźnić do końca życia, dostatecznie reprezentacyjną, żeby się z nią bez wstydu ludziom pokazać, dostatecznie zwariowaną, żeby nie była nudna, i właściwie nic więcej. A ja w nim?... O mój Boże!...

Szłam na spotkanie pełna kategoriycznych postanowień. Zamierzałam być życzliwie przyjacielska, a przy tym godna, chłodna i wytworna. Wjechałam windą na trzecie piętro i zapukałam do drzwi i weszłam. Wstał od stołu, przy którym coś pisał, i powitał mnie z żywą radością i z uśmiechem w niebieskich oczach.

Na widok tego uśmiechu nastąpił w mojej duszy wybuch wulkanu i diabli wzięli kategoriyczne postanowienia! Wszystkie stracone nadzieje, minione szczęście i niedawna rozpacz, całe zdenerwowanie różnymi sensacjami, wszystko naraz sprawiło, że straciłam opamiętanie.

Wiedziałam doskonale, że mówię rzeczy skandaliczne i niedopuszczalne, że odbieram sobie wszelkie szansę, jakie jeszcze mogłam mieć, że zachowuję się absolutnie idiotycznie, ale nie byłam w stanie się opanować. Nie wpadłam w histerię, wszystkie te okropności wygłaszałam spokojnym, uprzejmym głosem, starannie dbając o nieskalaną formę. Forma wyszła, ale treść?!... Widziałam, jak w jego oczach powoli rodzi się niedowierzenie i przerażenie.

— Joanno — powiedział cicho. — Na litość boską, zastanów się, co mówisz!

— Nie chcę. Nie będę się zastanawiać. Już mi jest wszystko jedno. Próbowałam sobie wybić cię z głowy, robiłam, co mogłam, bezsuktecznie! W najbardziej intymnych chwilach, spędzanych z osobnikiem płci męskiej, zamykałam oczy i widziałam twoją twarz. Nie, nawet nie musiałam zamykać oczu...

Zapewne wyglądało to dość osobliwie. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, on na krześle, a ja na fotelu, i z uśmiechem na ustach, spokojnym, uprzejmym tonem mówiliśmy rzeczy, wołające o pomstę do nieba. Właściwie ja mówiłam, a on słuchał i z nieopisaną rewerencją udawał, że mi nie wierzy...

We wszystkich głupstwach, jakie może popełnić kobieta, istnieje pewna granica, przed którą zawsze jeszcze można się wycofać z honorem. Potem można już tylko zwyciężyć lub zginąć. Ja tę granicę przekroczyłam. Postanowiłam zginąć.

— Pozwól, że ci zadam jeszcze jedno nietaktowne pytanie — powiedziałam z przyjaznym zainteresowaniem. — Czy jest jakaś pani, którą się specjalnie interesujesz?

Wyraźnie było po nim widać, że czuje się bardzo nieswojo i że najchętniej udzieliłby jakiegokolwiek wymijającej odpowiedzi. Ale wiedział równie dobrze, jak ja, że wymijające odpowiedzi to nie ze mną.

— Bo ja wiem... — powiedział, patrząc na mnie oczami, w których była sama niewinność. — Chyba jest...

Opanowałam się z największym wysiłkiem, bo musiałam wytrwać do końca.

— I długo się ta pani już ciągnie?

— Ciągnie się!... Boże, cóż ty masz za określenia! Ciągnie się tak mniej więcej półtora miesiąca.

— Zupełnie jak guma do żucia — powiedziałam. Już mi było dokładnie wszystko jedno, co mówię i co z tego wyniknie. — Mam nadzieję, że się z nią nie ożenisz?

— Ja też mam taką nadzieję...

— Wobec tego wyraż mi jeszcze wdzięczność za formę, w jakiej się tu przed tobą kompromituję. Mogłam przecież dostać ataku hysterii, rzucić się na ciebie z krzykiem i płaczem...

— Wyrażam ci najgłębszą wdzięczność! Przyznam ci się, że nigdy w życiu nie rozmawiałem z nikim tak jak z tobą. Po każdej naszej rozmowie muszę przez kilka dni przychodzić do siebie...

Zostawiłam go, żeby sobie przychodził do siebie, i wyszłam na idiotyczny świat. Majątek, jakim dysponowałam, równał się sumie osiemdziesięciu siedmiu złotych i dwudziestu groszy, co nie miało prawa starczyć do końca miesiąca nawet na taksówki. Nie do jedzenia mi było, więc ten wydatek na razie odpadał. Papierosy jeszcze miałam, herbatę też... Piechotę wróciłam do domu.

Ułożyłam sobie poduszki i usiadłam z nogami na tapczanie.

Co teraz? Właściwie po tym, co zrobiłam, milicja rzeczna powinna wyłowić z Wisły moje zwłoki, bo nie ma żadnego powodu, dla którego mogłabym mieć ochotę do życia. Pani mu się ciągnie... półtora miesiąca... pani z mało intelektualnym głosem... Ach, niech się ciągnie, niech się zaciągnie na śmierć! I pomyśleć, że przez cały czas miałam głupią nadzieję, głupią, cudowną nadzieję...

Zadzwoił telefon. Powoli, niechętnie podniosłam słuchawkę.

— Halo, tu Szkorbut...

— Mam tego dość — powiedziałam zmęczonym, smutnym głosem. — Mam tego wszystkiego zupełnie dość...

— Wszyscy mają dość — odparł gniewnie głos w telefonie. — Dziwię się, że jeszcze to w ogóle wytrzymują. Noc po nocy, dzień po dniu z tym ustawicznym ukrywaniem się i nie wiadomo, kto wróg, kto przyjaciel. Cholery można dostać! A do tego jeszcze te pioruńskie wyścigi...

— Mnie już jest wszystko jedno...

— Niech pani nie zniechęca ludzi! Do diabła, my mamy na pewno gorszą robotę! B-3 prawdopodobnie jutro, w rejonie sto trzy. Jeszcze trzeba sprawdzić czas...

Wyścigi w rejonie sto trzy? Niech im będzie, co mi za różnica. Co mi do głowy strzeliło, żeby się tak idiotycznie zachować, Boże drogi, masochizm czy co? Co teraz? Co ja mam teraz zrobić? Tak okropnie, tak rozpaczliwie nienawidzę być nieszczęśliwa!

I nagle zbuntowałam się. Nie będę nieszczęśliwa! Dość tego. Dość tej rozpaczki, tych głupich tragedii i groteskowych nieszczęść! Od dziś kończę na wieki z lirycznymi uczuciami! Żadnych nadziei, precz z nadzieją, jedno się kończy, drugie zaczyna, klin klinem, ale już! O Boże, natychmiast ześlij klina!...

Nagle przypomniałam sobie tego klina i poczułam, jak zaczyna mnie ogarniać nieopanowana nienawiść do człowieka, który stał się przyczyną wszystkiego, który mnie nie uratował od sercowego nieszczęścia i który, na domiar złego, wystawił mnie rufą do wiatru. I dokonawszy tego wszystkiego zdematerializował się, unikając mojej zemsty. Ach, dzika nienawiść to jest uczucie, które znakomicie dodaje wigoru...

Zapaliłam papierosa i ożywiona nagle tą nienawiścią pogrążyłam się w ponurych rozpamiętywaniach...

Wbrew znalezieniu się w stanie skrajnej nędzy, następnego dnia do Rady Narodowej na Woli jechałam taksówką. Nie miałam ani czasu, ani nastroju zawracać sobie głowy komunikacją miejską. Rezultatem nocnych rozmyślań było podłe i nieszlachetne postanowienie: będę piękna, będę zła, będę łamać serce, komu tylko zdołam, a w szczególności niektórym osobnikom. Ja mam złamane, to i oni wszyscy też niech mają połamane.

Siedziałam obok kierowcy, mściwie rozmyślając o tym łamaniu. Wgłębi duszy kłębiły mi się plany i zamiary mrozące krew w żyłach. Byłam kontra świat!

Przed skrzyżowaniem Nowego Światu ze Świętokrzyską wpadł mi w oko przechodzący przez ulicę bardzo wysoki facet. Ciemne włosy, znajoma sylwetka... Szedł z kobietą i natychmiast pomyślałam, że teraz wykorzystam okazję i przyjrę się mojej byłej rzekomej rywalce. Spojrzałam i zdziwiłam się nadzwyczajnie. Jak to, wiek, strój, ogólny wygląd tej pani zupełnie me to, czego się mogłam spodziewać! Przecież to wręcz nie ta sfera! O ile wiem, ten człowiek uznaje towarzystwo wyłącznie pięknych kobiet, co mu się stało, że z czymś takim idzie po ulicy?

Szybko wróciłam wzrokiem do faceta. Byliśmy akurat tuż przy mm i bardzo wyraźnie dojrzałam twarz. Ach, wielki Boże!!!...

Piorunujący widok oszołomił mnie i pozbawił refleksu. Siedziałam jak słup soli, nie będąc nawet w stanie odwrócić głowy i obejrzeć się za człowiekiem, w którego istnienie przestałam już wierzyć. Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce. To był on, to była twarz, która na zawsze utkwiała mi w pamięci, którą miałam przed oczami, oświetloną blaskiem nastrojowej lampki w dramatycznym momencie w moim własnym domu! Ach, nie mogło być bardziej sprzyjającej chwili, w której powinnam go spotkać!

Mowę, zmysły oraz zdolność ruchu odzyskałam dopiero na Świętokrzyskiej, po skomplikowanym skręcie w lewo. Zdolności myślenia nie, więc jeszcze przez chwilę nie wiedziałam, co mam zrobić.

— Niech pan zawróci! — krzyknęłam z rozpaczą do kierowcy i w tym momencie przypomniałam sobie, że nie mam pieniędzy. — Nie, niech pan zatrzyma!

Nie, no jakie zatrzyma, bzdura, przecież piechotą za nim nie będę leciała...

— Nie, jedź pan, jedź pan!

Co zrobić?! Zajechać mu drogę?...

— Niech pan skręci w lewo, w byle którą ulicę! Prędsiej!

Nie, też źle, bez sensu, dojadę do Wareckiej, tam jest jeden kierunek ruchu w przeciwną stronę...

— Nie, niech pan nie skręca!

— Niech się pani zdecyduje, co ja mam robić — powiedział zdenerwowany kierowca, który na zmianę hamował, zrywał i wyrzucał oba kierunkowskazy, zależnie od moich sprzecznych okrzyków. — Już się glina na nas patrzy.

Beznadziejne, zginie mi... Kretynka bez refleksu! Świadomość braku pieniędzy ogłupiła mnie do reszty.

— Jedź pan — powiedziałam ponuro i z wściekłością. — Zaraz mnie szlag trafi.

— To w końcu dokąd?

— Jak to dokąd! Na Wolę...

Równie dobrze mogłam jechać do Chin albo do piekła, cel podróży stał mi się absolutnie obojętny. Straciłam zainteresowanie dla wszystkiego, co nie było tym człowiekiem. Jak to, więc on żyje, istnieje, chodzi sobie beztrąsko po świecie! A ja już przestałam w to wierzyć, zaniechałam poszukiwań! Jak mogłam! Ucieleśniona tajemnica, kurczę blade!

Błyskawicznie stanęło mi przed oczami wszystko, co mnie spotkało od momentu, kiedy po raz pierwszy usłyszałam przez telefon urzekająco piękny głos, i ogarnęła mnie zimna furia. Obudzona już wczoraj w moim sercu nienawiść wybuchła teraz wspaniałym płomieniem. Gwałtownie utwierdziłam się w przeświadczeniu, że to on jest winien wszystkiemu, on jest przyczyną mojego wyglądu w hotelu „Warszawa” i mojej klęski sercowej. Wciągnął mnie w jakąś idiotyczną grę, w której cały czas przegrywam i którą w jakimś otumanieniu kontynuuję nie wiadomo po co. Ach, teraz wiem, po co! Teraz go znajdę, choćbym miała poświęcić na to resztę życia! Mam przez niego plamę na honorze, zemszczę się i zmyję tę plamę albo umrę!

Nie miałam najmniejszych złudzeń co do tego, że na sam jego widok straciłam zdrowy rozsądek, ale nic mnie to nie obchodziło. Zacięłam się, że go odnajdę. Ponieważ, wnosząc z dotychczasowych doświadczeń, nie ma na to rozsądnej metody, będę szukać nierozsądnymi metodami. Będę pytać o niego każdego, kto mi tylko wpadnie pod rękę, będę dzwonić do obcych ludzi po kolei, według książki telefonicznej, ktoś go przecież zna, do diabła! Zawrę znajomość ze wszystkimi taksówkarzami w mieście, z bileterami w kinach i w teatrach, obejdę wszystkie komendy dzielnicowe MO!! Znajdę go, jak Bóg na niebie, obojętne, teraz czy po latach! A jak go znajdę, to niech go ręka boska ma w swojej opiece!

W radzie narodowej patrzyli na mnie dziwnym wzrokiem, ale nie zwróciłam na to większej uwagi. Na nic już nie zwracałam uwagi. Zanim wróciłam do pracy, zdążyłam przemyśleć mnóstwo rzeczy. Zdawałam sobie sprawę z tego, że dostałam się w jakieś błędne koło. Gdyby nie pierwotne niepowodzenia sercowe, nie nawiązałabym tej znajomości. Gdyby nie okropne wydarzenia, które z niej wynikły, nie strzeliłabym tego straszliwego byka w hotelu. Gdyby nie ten beznadziejny wygląd, nie zapłonęłabym teraz taką nienawiścią i pragnieniem zemsty i nie zacięłabym się w takim szaleńczym uporze. Na domiar złego natknęłam się na niego akurat w chwili, kiedy duszę szarpała mi świeża wściekłość i rozpacz. Doprawdy, wszystko złożyło się na to, żeby mnie z tym człowiekiem nierozzerwalnie związać!

Przyjechałam do biura opętana szaleństwem i niezwłocznie przystąpiłam do realizowania zamiarów. Reszta świata przestała dla mnie istnieć. Janusz i Wiesio zaniechali pracy, odwrócili się od swoich stołów i wlepili we mnie zdumione spojrzenia. Naczelnny inżynier pracowni wszedł do pokoju, zaczął coś do mnie mówić, przerwał, popatrzył na nich pytająco, następnie narysował kółko na czole, ze zrozumieniem pokiwał głową i wyszedł. Wszedł kierownik pracowni, rozmawiał chwilę z wyraźnie roztargnionym Wiesiem, przerwał i też odwrócił się w moim kierunku.

— Czy ona oszalała? — spytał ze zdumieniem i niepokojem.

— Zostaw ją — powiedział Janusz, śledzący z zainteresowaniem moje poczynania. — Minie jej to, ona ma dzisiaj swój zły dzień. Kobiety mają różne takie...

Siedziałam przy stoliku z telefonem, kręciłam numer za numerem, przeklinając okropnymi słowami, kiedy nie mogłam dostać połączenia, i każdemu rozmówcy zadawałam te same pytania:

— Jerzy? Słuchaj, zastanów się, czy znasz albo czy widziałeś, albo czy słyszałeś o facecie, który wygląda następująco... Nie? Zastanów się, przypomnij sobie dobrze...

— Irena? Słuchaj, czy znasz albo czy widziałeś, albo czy słyszałaś o facecie...?

— Staszek? Słuchaj, czy znasz albo czy widziałeś...? Przy jedenastym telefonie Janusz nie wytrzymał.

— Nie, ja już nie mogę, albo ona przestanie, albo ja zwariuję. Joanna! Już jesteś całkiem pomyłona?!

— Szukaj! — warknęłam na niego wściekłym głosem. — Szukaj takiego faceta! Dzwon do swoich znajomych albo daj mi ich telefony, to ja będę dzwoniła! Nie radzę ci ze mną zaczynać, bo ja jestem niebezpieczna dla otoczenia!

— Kompletna wariatka — powiedział Janusz. — Czekaj, zacznasz mnie interesować. Jak to, tyle ludzi i nikt nie zna człowieka?

Stanowczym gestem podniósł mnie z krzesła, odsunął na bok i sam usiadł przy telefonie.

— Leszek? Cześć, słuchaj no, czy ty przypadkiem nie znasz takiego faceta...

Wiesio dostał ataku śmiechu. Stałam nad Januszem jak kat i wpatrywałam się w niego zachłannym spojrzeniem, warcząc wściekle, kiedy zaczynał towarzyskie rozmówki. Zaniepokojony Janusz czym prędzej przerywał i kręcił następny numer. Poruszylibyśmy zapewne w ten sposób całe miasto, gdyby nie to, że skończył się dzień pracy i centrala przestała działać.

Wróciłam do domu i zawisłam na słuchawce. O dziesiątej wieczorem wyczerpałam kontyngent znajomych posiadających telefony i obecnych w domu. Troje z nich znało moją byłą ofiarę, dwóch jednakowych nie znał nikt!

O jedenastej postanowiłam, że zacznę dzwonić po czynnikach rządowych z Cyrankiewiczem włącznie. W momencie kiedy z ponurą zaciętością zastanawiałam się, kogo wziąć na pierwszy ogień, Radę Ministrów czy Sztab Generalny, zadzwonił telefon.

— Słucham.

— Tu „Szkorbut”...

Pomyślałam, że teraz pewnie zwariuję. Już tak mi niewiele brakuje do całkowitego obłądzenia. Rozpaczliwie usiłowałam się przestawić z jednego tematu na drugi, bo nagle wróciło mi zainteresowanie moją prywatną sensacją. Gwałtownie przypomniałam sobie uzyskane poprzednio dane i związane z nimi zamiary i szukałam wzrokiem kartki, na której miałam spisane kolejne wiadomości. Kartkę gdzieś diabli wzięli. Odetchnęłam głęboko i poczułam się zmuszona zaufać pamięci.

— Tak, słucham...

— Rejon sto trzy przygotowany. Czas jazdy jedenaście minut od granic miasta. Szybciej nie można...

— Roboty drogowe? — spytałam ze zrozumieniem.

— Tak, na czterzystym kilometrze. Termin jeszcze nie ustalony...

— Zaraz — powiedziałam. — Jak szybko da się przejechać z rejonu sto do sto trzy?

— Bezpośrednio?

— Tak.

W słuchawce zapanowało zakłopotane milczenie. Serce zabiło mi niepokojem, czy się przypadkiem nie wygłupiłam...

— To są parszywe drogi. Nie da się wyciągnąć większej średnicy niż A. czterdzieści. Poniżej godziny nie zajędzie.

— To i tak dobrze — mruknęłam, ochłonawszy. Uzyskałam informację, o którą mi chodziło, mógł się teraz wyłączyć. Zamiast tego powiedział z nadzieją w głosie:

— Jeszcze tylko B-trzy, a potem ostatnia próba całości i będzie spokój. Oby jak najprędzej.

„Nie daj Boże — pomyślałam. — Jak skończą swoją machlojkę, to przestaną do mnie dzwonić. Przedtem muszę wykryć możliwie dużo...”

Odłożyłam słuchawkę i zostawiając na razie w spokoju czynniki rządowe rzuciłam się na mapę. Po drodze stłukłam szklankę, ale nawet jej nie zbierałam, nie miałam czasu na głupstwa.

Godzina... czterdzieści kilometrów bocznymi drogami od miejsca, gdzie przechodzą trzy pociągi. Jedenaście minut od granic miasta... Wyciągnęłam cyrkiel, rozsypując dookoła wszystkie narzędzia kreślarskie. W pośpiechu dokonywałam skomplikowanych obliczeń matematycznych, przywołując na pomoc całą swoją wiedzę motoryzacyjną. Po kwadransie narysowałam czerwone kółko na mapie i wpatrzyłam się w nie olśniona sukcesem. Wiedziałam, gdzie jest rejon sto trzy! Byłam tak dumna z tego odkrycia, jakby to już było rozwiązanie całej zagadki.

W nagłym przypływie bystrości umysłu rozważałam różne możliwości. Te wszystkie mątle i krztące oznaczają z całą pewnością sprawdzenie elementów aparatury nadawczo-odbiorczej. Jest jakaś przyczyna, dla której sprawdzają tą metodą, a nie innymi, bardziej naukowymi, ale tu nic nie zdołam wymyślić, bo po pierwsze, nie pamiętam, jaka to przyczyna, a po drugie, nigdy nie potrafiłam zrozumieć tych bardziej naukowych sposobów działania. W każdym razie faktem jest, że sprawdzają. Natomiast nocne godziny w zestawieniu z przeszkadzającymi pociągami świadczą o czymś innym: zakłóceń należy

unikają przy różnych pomiarach akustycznych. Pomiar akustyczny w terenie? A może jednak zakłócenia mają wpływ także i na tę całą aparaturę?

Czy można aparatury nadawczo–odbiorczej używać do jakichś innych celów niż te, o których ja wiem? Jeśli tak, to do jakich? Tam występują przecież takie niesłychanie skomplikowane rzeczy, fale radiowe, ultradźwięki... Ultradźwięki potrafią uprać bieliznę, to skąd ja mogę wiedzieć, jakie są możliwości fal radiowych? Zapewne kolosalne...

W przyprawie jeszcze większej bystrości umysłu pomyślałam sobie słusznie, że każdy radiowiec, poznawszy moje rozmyślenia i wynikające z nich epokowe odkrycia, dostałby strasznego ataku śmiechu. Dobrze, niech sobie dostaje, ale każdy radiowiec mógłby mi na ten temat mnóstwo rzeczy powiedzieć. No to natychmiast, na gorąco, trzeba zadzwonić do radiowca!

Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby spojrzeć na zegarek. Przejęta, pełna zapału, wykręciłam numer jednego z przyjaciół.

— Jak się masz! — wykrzyknęłam. — Słuchaj, czy możesz mi udzielić kilku informacji, związanych z kierunkiem studiów?

— Twoim czy moim?

— Twoim, oczywiście! Mam nadzieję, że w moim ja się nieco lepiej orientuję.

— Na pewno, ale wiesz, nie jestem pewien, czy zdołasz usłyszeć ode mnie coś sensownego. Ja o tej porze słabo działam...

— A co, spałeś? — spytałam z niepokojem, uprzytamniając sobie godzinę.

— Nie, tylko dlatego, że przed chwilą wróciłem z pracy. Jestem potwornie zmęczony.

— No to będziemy rozmawiać bardzo krótko. Słuchaj, powiedz mi, do czego, oprócz normalnych rzeczy, można używać tego całego waszego urządzenia?

— Co? Nie rozumiem... Jakiego urządzenia?

— Tego, które na początku ma mikrofon, na końcu odbiornik, a po drodze mnóstwo skomplikowanych rzeczy.

— Jak to do czego można używać?

— No, do czego poza normalnym przeznaczeniem?...

W słuchawce zapanowało na chwilę milczenie, pełne zdezorientowania.

— Wiesz co, wytłumacz mi jakoś przystępniej, o co ci chodzi. Nic nie rozumiem.

— Wytłumaczę ci na przykładzie. Ja bym ci mogła powiedzieć, do czego można używać zaprawy cementowej: można nią zapchać komuś gębę, można ją kroić nożem na talerzu w kostkę, w odpowiedniej fazie stężenia, przy czym wiem nawet, po ilu godzinach zaistniałaby taka faza stężenia. Bardzo dużo wiem. Niewątpliwie ty wiesz tyle samo o urządzeniach radiowych.

— Aha, o to ci chodzi... No to, oczywiście, mogę ci powiedzieć. Można na przykład to całe urządzenie zrzucić komuś na głowę, zawsze to parę kilo waży, można rozciągnąć te wszystkie druty i powiesić na nich pieluszki... Wiesz, tam wchodzi cholernie dużo drutu.

— Na litość boską, opamiętaj się! Na głowę można ludziom zrzucać i doniczki z kwiatami też! Mnie idzie o wykorzystanie szczególnych właściwości tej maszynierii.

— Możesz komuś przez to cholernie naubliżyć...

Nie wytrzymałam. Wbrew zamiarom, w sposób szalenie mglisty i dyplomatyczny poinformowałam go o tajemniczych telefonach. Cała afera Szkorbutu była i tak niesłychanie niejasna, a moje streszczenie zaciemniło ją do reszty. Powiedziałam najwyżej połowę rzeczy.

— Co byś im na to powiedział?...

— Skłąbym od ostatnich, zwłaszcza o trzeciej w nocy...

— To ty, ale nie ja. Błagam cię, powiedz, co ja mam powiedzieć, żeby się nie zorientowali w pomyłce i żeby od nich coś jeszcze wyciągnąć...

— Dam ci świetną radę. Mów byle co. Na przykład: igrek, igrek, pięć. A łamane przez zero dwadzieścia...

— Nie wygłupiaj się, mów poważnie...

— O tej porze?!...

— Zaraz cię od siebie uwolnię i pójdziesz sobie spać, ale przedtem muszę się czegoś od ciebie dowiedzieć!

— Poważnie będę mógł iść spać?

— Przysięgam!

W słuchawce przez chwilę panowało milczenie. Nagle doznałam przecucia, że za chwilę się czegoś dowiem, a jeśli nie dowiem się teraz, kiedy on jest taki zmęczony i kiedy dla świętego spokoju uczyni wszystko, to nie dowiem się nigdy. Czekałam w napięciu.

— No to ci powiem — westchnął zrezygnowanym głosem. — Ktoś brał ostatnio od nas moje wzmacniacze...

— Twoje genialne wzmacniacze, których normalnie nie ma w użyciu?! Kto?!...

— Instytucja, której nie należy wymieniać przez telefon...

— Ach! Ta sama, która wam kiedyś dawała zlecenie na pomiary?

— Pokrewna. A teraz ci powiem bardzo poważnie: jest tylko jeden człowiek w Polsce, który by ci mógł na ten temat udzielić informacji...

Mógł mi już tego nie mówić. Wiedziałam, że jest taki tylko jeden człowiek. Powinnam była to wiedzieć już od chwili, kiedy usłyszałam te idiotyczne, bezsensowne słowa, których nie ma w polskim języku. Znałam także tego człowieka i nie miałam najmniejszych wątpliwości, że nie powie mi absolutnie nic...

Odłożyłam słuchawkę i poczułam się zastopowana.

Podpisałam listę i natychmiast uciekłam z biura. Zacięta w uporze i zdecydowana na wszystko, udałam się do budynku, po którego schodach chodził obiekt moich niezyczliwych zainteresowań. Przeczytałam listę lokatorów, znalazłam na niej trzech Januszów rozmaitych nazwisk, weszłam na drugie piętro i zaczęłam zwiedzać mieszkania. Było mi wszystko jedno, co sobie ludzie o mnie pomyślą, więc nawet się nie fatygowałam wynajdywaniem przekonującej przyczyny tych krajoznawczych poczynań. Resztkami przyzwoitości mamrotałam coś o krawcowej, której adres mi mylnie podano, i po obejrzeniu osoby otwierającej drzwi nie upierałam się przy przedłużaniu wizyty. Podejrzliwe spojrzenia nie wywierały na mnie żadnego wpływu. Obeszłam w ten sposób cały budynek, postałam chwilę bezmyślnie przed kłódką na strychu i wściekła wróciłam do pracy. Rezultaty były właściwie żadne, bo w kilku mieszkaniach nikogo nie było i nie zyskałam pewności ani na tak, ani na nie.

Furia, która mnie ogarnęła, pozbawiła mnie zdolności myślenia. Siedziałam przy stole, a przez głowę przelatywały mi projekty, dokładnie pozbawione sensu i na szczęście zupełnie niewykonalne.

Zadzwonił telefon i Janusz bez słowa podał mi słuchawkę.

— To ty? — zawołał okropnie zdenerwowany głos ukochanej przyjaciółki. — Słuchaj, on wszedł przed chwilą do szaletu miejskiego na Wareckiej!

Osobliwa informacja podziałała na mnie jak ostroga na rasowego konia. Zerwałam się z miejsca nastawiona na natychmiastową akcję.

— Dawno wszedł?

— Przed pięcioma minutami! Cały czas patrzę na zegarek i cholera mnie bierze, bo twoja centrala zajęta!

— Skąd dzwonicz?

— Góra jednak źle wyszła — odparła mi na to przyjaciółka ni w pięć, ni w jedenaście. Zaskoczyła mnie tak, że przez chwilę w ogóle nic nie myślałam. Potem przyszło mi do głowy, że dostała nagle pomieszania zmysłów, i zirytowało mnie to, że dostała go w tak nieodpowiednim momencie.

— Skup się, do diabła, jeszcze przez chwilę! Jaka góra! Gdzie jesteś?

— Wykluczone, to się nie da poprawić.

Najpierw pomyślałam błyskawicznie, że jestem skazana na stróżowanie na oślep przed szaletem na Wareckiej, potem, że chyba jakieś bóstwo od telefonów okropnie mnie nie lubi, a potem nagle zrozumiałam!

— Czeka, już wiem! Nie możesz mówić?

— Oczywiście, ty masz jakieś zaćmienia...

— Dlaczego?... Czeka, niech zgadnę, nic nam innego nie pozostaje. Ktoś słucha?

— Właśnie i to ten, wiesz, zasadniczy element...

— Co? On sam?... On tam stoi koło ciebie?!

— Aha.

— O rany boskie, to teraz mnie chyba szlag trafi! Gdzie ty, do diabła, możesz być? Czeka, zaraz dojdę. W szalecie na Wareckiej... Nigdzie daleko nie leciałaś, gdzie tam są telefony?... W budce by koło ciebie nie stał, w sklepie nie ma... W Instytucie Spraw Międzynarodowych?!

— Tak.

— A cóż on tam robi?

— Czeka... Czeka, aż ja jej przyniosę podszewkę.

— Idź do pioruna z podszewką, nie mąc mi w głowie! Na co on czeka? Na jakąś osobę?

— Chyba nie, to przeze mnie.

— Przez ciebie, przez ciebie... Aha, on chce dzwonić? Rozmawiasz z portierni?

— Właśnie!

— To słuchaj! Ja teraz odłożę słuchawkę, a ty mów dalej! Głędz byle co, żeby tylko musiał długo czekać, natychmiast tam będę!

Rzuciłam słuchawkę, wyskoczyłam z biura, jak stałam, i w dziesięć minut potem we drzwiach Instytutu Spraw Międzynarodowych wpadłam na Jankę.

— No?! Gdzie?!...

— O Boże, rok jechałaś! Albo szłaś tyłem i na czworakach! Wyszędł!

— Idiotka! Trzeba go było zatrzymać!

— Jak? Stanąć we drzwiach i krzyknąć: po moim trupie?!

— Nie wiem! Podstawić mu nogę! Zemdlec! Cokolwiek! Przecież w ten sposób nie zidentyfikuję go nigdy w życiu!

— Nie potrzeba, jestem pewna, że to on, czekaj! Ja byłam bardzo mądra. Słuchaj! Opowiadałam różne kretyństwa, aż się przestraszyłam, że on się zniecierpliwi i pójdzie, bo żaden mężczyzna nie zniesie wysłuchiwania takich głupot. Pomyślałam, że już lepiej będzie pozwolić mu zadzwonić i posłuchać, co będzie mówił. No i on zadzwonił...

— I co mówił?!

— Głupio mówił. Nic z tego nie wiem. Powiedział: „No i jak?” Potem powiedział: „To źle”. Potem chwilę słuchał, a potem powiedział: „To ja czekam na wiadomość”. I odłożył słuchawkę.

Stałam przyglądając się okropnie zadowolonej Jance i myślałam sobie, że za chwilę ją uduszę. Jak mogłam przez tyle lat nie zauważyć, że przestaję z niedorozwiniętą kretynką?

— Rzeczywiście, byłaś niewiarygodnie mądra — powiedziałam jadowicie. — Cóż za olśniewające rewelacje! Bezmyślna oślica.

— Głupia jesteś kompletnie, ja byłam genialna! Podpatrzyłam, co kręcił, i nie dostrzegłam tylko jednej cyfry, a potem zapisałam. Tu masz ten numer...

W mgnieniu oka odwołałam wszystkie kalumnie, rzucane na moją ukochaną, utalentowaną, absolutnie genialną przyjaciółkę. Chwyciłam świstek papieru jak bezcenny skarb i obejrzałam, nie wierząc własnemu szczęściu. No, jeśli nie znajdę go, mając taki punkt zaczepienia, to nie warto było mnie karmić w kołyse!

— Nie wiesz, czy to było siedem, czy osiem? — spytałam z przejęciem...

— Na upartego jeszcze mogło być sześć... Ale, wiesz, głos to on ma!
— Prawda?... No i co potem zrobił?
— Poszedł na parking, wsiadł do szarego forda i odjechał tuż przed tobą. Bardzo ładnie wykręcił...
— Zauważyłaś numer?
— Skąd! Byłam za daleko. Bałam się lecieć tuż za nim, bo tak się na mnie patrzył, jakby mnie chciał udusić.
— Pewnie chciał, wydajesz mu się podejrzana.
— Raczej chyba niespełna rozumu. Opowiedziałam przez telefon cały mój kostium i to tak, że gdyby to była prawda, to za nic w świecie nie włożyłabym go na siebie. Co teraz robimy?
— Nie wiem, zimno mi jak cholera...

Dzień był chłodny, a ja w pośpiechu nie zdążyłam się w nic ubrać. Zaczęłam szczerkać zębami, co mi zdecydowanie przeszkadzało w myśleniu. Uznałam, że po tak wspaniałym osiągnięciu możemy na razie wrócić do pracy.

Ten powrót był czysto teoretyczny, bo głowę miałam nabitą tajemnicami i sprawy zawodowe straciły dla mnie chwilowo jakiegokolwiek znaczenie. Wpatrzyłam się w rzut fundamentów i rozpaczliwie, intensywnie myślałam na dwa tematy równocześnie.

Natychmiast po powrocie do domu usiadłam przy telefonie. Przytomnie zaczęłam od biura numerów, chociaż w pierwszej chwili zamierzałam znów czytać od deski do deski książkę telefoniczną. Przywiązałam się już widać do tej lektury.

Dwa spośród trzech możliwych numerów były zastrzeżone, co nie wzbudziło we mnie najmniejszego zdziwienia. Natomiast przynależność trzeciego wprowadziła mnie niemal w osłupienie. Trzeci numer należał do człowieka, o którym wiedziałam, że jest najbliższym przyjacielem mojej bylej ofiary!

Nie zdążyłam się zastanowić nad tą nową komplikacją, bo zadzwoniła Janka.

— Słuchaj, byłam śpiąca, jak mi to wyjaśniałaś, a teraz okropnie mnie to męczy. Dlaczego używają takich kretyńskich słów, jak mówiłaś, że to się nazywa?

— Logatomy. Nie zwracaj mi głowy, wykrzyłam coś niesłychanie dziwnego...

— Może to przypadek? — powiedziała niepewnie Janka, usłyszawszy świeżą rewelację.

— Nie za dużo tych przypadków? Niemożliwe, żebym była do tego stopnia otoczona przypadkami. W tym jest jakiś sens...

Odnajdywanie sensu wyraźnie nie było naszą mocną stroną. Po długich rozważaniach Janka wróciła do gnębiącego ją tematu.

— Bądź człowiekiem i powiedz, dlaczego nie mówią normalnych rzeczy.

— Chodzi o stwierdzenie, czy wyraźnie słyszać, rozumiesz. Gdyby mówili znane słowa, to słuchający mógłby się ich domyślić i nawet by sobie z tego nie zdawał sprawy. Jak słyszysz na przykład „wodospad”, to wiesz, że tam jest na końcu d, a nie t, i żadna ludzka siła nie stwierdzi, czy na pewno to usłyszałaś. A jak mówią „pierzag”, to wiesz, co jest na końcu? Figę, musisz dosłyszeć albo źle zapiszesz...

— A jak niewyraźnie powiedzą? To wtedy już w ogóle nic nie wiadomo.

— Nic z tego, czyta bardzo wyraźnie spiker z nieskazitelną dykcją...

Spiker z nieskazitelną dykcją!...

Zamilkłam nagle, jak rażona piorunem. Spiker z nieskazitelną dykcją? Wielki Boże! CO w tym jest?! Ja to przecież wiem, ja to wiem na pewno, tylko nie mogę sobie tego sprecyzować... Przyjaciół bylej ofiary?...

Spiker z nieskazitelną dykcją...

Wszystko, co miałam w głowie, przewróciło mi się do góry nogami. Czułam, że jestem na progu tajemnicy. Wszystko lipa? Była ofiara się mści? To który z nich dzwonił z Instytutu? To coś nie tak...

— Wyłącz się — powiedziałam stanowczo. — To wszystko razem gra akurat tak jak Sarassatti na bębnie. Muszę natychmiast dalej działać albo dostanę pomieszania zmysłów na wieki.

Pełna zrozumienia przyjaciółka posłusznie odłożyła słuchawkę. Zgrzytając zębami zaczęłam kręcić wszystkie trzy numery po kolei, nie zastanawiając się, co powiem, jeśli się któryś odezwie. Uparłam się i kręciłam co piętnaście minut. W jednym z antraktów zadzwoniło u mnie.

— Szkorbut — powiedział zmęczony głos. — B-3 działa, w porządku. Łubudu daje impulsy...

— A jak logatomy? — spytałam, przestawiając się szybko z jednego tematu na drugi, tym łatwiej, że zaczęły mi się jakoś kojarzyć. Nie traciłam nadziei, że zdołam poznać nowe szczegóły.

— Prawie sto procent zrozumiałości na wszystkich torach. Będzie można zacząć programować...

— W terenie? — spytałam mimo woli, zaprzątnięta odgadywaniem ich zamiarów.

— No, a gdzie? Termin na razie nie ustalony, cholernie trzeba pilnować. Wyłączam się, koniec meldunku.

Oni się stanowczo za szybko wyłączała i jak na moje wymagania. Ciągłe nie mogłam pojąć zasadniczej treści ich poczynań. Nieco rozproszona zaczęłam znów kręcić moje trzy nie odpowiadające numery. Nagle jeden z nich się odezwał!

W pierwszej chwili nie wiedziałam, który to akurat wykręciłam. Na chybił trafił wymieniałam nazwisko przyjaciela ofiary.

— Tak, to ja, słucham.

— Zechce pan być taki uprzejmy — powiedziałam w natchnieniu pierwsze, co mi przyszło do głowy — i przekazać moje najserdeczniejsze pozdrowienia swojemu przyjacielowi.

— Kto mówi?

— Szantażystka — odparłam uprzejmie, bo mi się to wydało najprostszym sposobem przedstawienia się jednoznacznie i zrozumiale.

— Słucham? Co takiego?

— Szantażystka, proszę pana.

— Zaraz, zaraz, proszę pani... Nie bardzo rozumiem. Czy to chodzi o tę historię sprzed kilku tygodni? Słyszałem o jakiejś pani, która prowadziła z moim przyjacielem telefoniczną wojnę...

— Tak, proszę pana, to byłam właśnie ja.

— Pani go szantażowała? Czym?

— Wyznam panu szczerze, że nie mam pojęcia. Szalenie mnie gnębi oczekiwanie na zapowiadaną zemstę pańskiego przyjaciela, nie wiem, czy jej już dokonuje, czy jeszcze nie. Miałam właśnie nadzieję, że się czegoś dowiem od pana.

— A skąd ja mam coś wiedzieć?!

— Jak to? Przecież pański przyjaciel zakończył swoje kontakty ze mną pańskimi ustami.

— Dlaczego moimi ustami?!

— Tego też nie wiem. Niech się pan zapyta swojego przyjaciela.

— Niech mi pani pozwoli się skupić. On nic moimi ustami nie zakańczał! Nic nie rozumiem!

— Jak to? — spytałam z uprzejmym zdziwieniem, bo ta oryginalna rozmowa w porównaniu ze wszystkim, co mnie spotkało przez telefon, nie była dla mnie niczym szczególnym. — Przecież to pan do mnie dzwonił, udzielając mi krew w żyłach mrozących informacji. Chciałam się właśnie dowiedzieć, czy już panowie rozpoczęli akcję odwetową...

— Jaką akcję odwetową? Proszę pani, słyszałem o tej awanturze, ale ja do pani nigdy nie dzwoniłem i nie mam pojęcia, kim pani jest!

— Jaka szkoda — powiedziałam z żalem, równocześnie uprzytamniając sobie, że istotnie głos tego pana wydaje mi się nieznamy. — To może zechce pan mi tylko uprzejmie udzielić takiej drobnej informacji... Kto rozmawiał z panem przez telefon dziś rano, tak koło pierwszej? Pański przyjaciel czy też ktoś szalenie do niego podobny?

— Po pierwsze, proszę pani, nikt nie mógł ze mną rozmawiać, bo mnie nie było w Warszawie, dopiero przed chwilą wróciłem. Po drugie mojego przyjaciela też nie było, był razem ze mną. A po trzecie nie znam nikogo szalenie do niego podobnego...

— Cóż, wobec tego, nie będę chyba zabierała panu czasu... Pozdrowienia, mam nadzieję, zechce pan przekazać?

— Ależ oczywiście, jak najchętniej!

— Z przykrością pana pożegnam. Wszystkiego najlepszego...

— Polecam się, do usług...

Dziwny człowiek, poleca się do usług szantażystce. To znaczy, że zemsta ofiary odpada. A jednak ten spiker z nieskazitelną dykcją ciągle mnie męczy, co w tym jest?

Wykręciłam następny numer, jeden z dwóch zastrzeżonych. Słuchając sygnału zastanawiałam się intensywnie, co by tu powiedzieć, żeby uzyskać jakieś informacje. Nie zapytam się przecież, kto mówi! Nawet jeżeli się przedstawię, udając, że to pomyłka, to mogą zelgać albo odłożyć słuchawkę, zwłaszcza jeśli on nadal trwa w tej konspiracji...

Ktoś podniósł słuchawkę.

— Słucham...

Spłoszyłam się okropnie, bo nie zdążyłam nic wymyślić. Nie zastanawiając się dłużej, krzyknęłam wystraszonym głosem:

— Szkorbut, Szkorbut!

W telefonie zapanowała sekunda konsternacji i nagle ten ktoś zahuczał ponuro:

— Lumbago, lumbago...

Oniemiałam. Zanim pomyślałam, że być może należy dalej mówić konspiracyjnie, usłyszałam własne, pełne niebotycznego zdumienia pytanie:

— Dlaczego lumbago?!...

— A dlaczego skorbut? Mnie męczy lumbago, proszę pani, zęby mam w porządku...

Ochłonęłam nieco i pojęłam, że trafiłam na niewinnego człowieka. Dobrze, że jeszcze nie jest bardzo późno... Nie miałam się co dłużej fatygować, ale wrodzona uprzejmość nie pozwoliła mi bez słowa odłożyć słuchawki.

— No to życzę panu zdrowia, szczęścia, pociechy z dzieci. Zechce pan wybaczyć pomyłkę...

— Zechcę. Dziękuję pani za dobre słowo... Rozłączyłam się. Został mi jeszcze trzeci numer. Dwie poprzednie rozmowy tak mnie wyczerpały, że przed tą ostatnią, decydującą, postanowiłam trochę odpocząć. Nalałam sobie herbaty i zapaliłam papierosa. Męczące rozmyślenia przerwał mi dzwonek telefonu.

— Halo, Szkorbut! — powiedział zdenerwowany i zaniepokojony głos. — Wykryli C-1, to koniec!

Zdenerwował mnie tym natychmiast tak, jakbym rzeczywiście była jego współniczką.

— Jaki koniec, co za koniec — powiedziałam z gniewem. — Dlaczego zaraz koniec!

— Raz nam się upiekło cudem, prawda? Nie ma co liczyć na drugi cud!

Masz ci los, teraz zaczynają używać sił nadprzyrodzonych! Cóż to znowu znaczy?

— Co to jest cudem? Jakim cudem?

— To co było w lutym, to był cud, może nie? Brakowało sekund, dosłownie. Jak teraz zdążą wykorzystać C-1, to wszystko przepadło, wykryją całość aparatury. Czego pani jeszcze ze mną gada? — krzyknął nagle ze złością. — Zawiadomić szefa, prędejj!

Siedziałam ze słuchawką w ręku jak sparaliżowana. Cud w lutym, spiker z nieskazitelną dykcją, mój numer telefonu... Jak mogłam nie pojąć tego od razu! Boże, a cóż za beznadziejna tępota!!!

Poczułam, jak zaczyna mnie ogarniać wspaniałe, potężne, nieopanowane podniecenie myśliwskie. To był hazard ekstraklasa, a ja przez całe życie byłam hazardzistką i teraz już żadna ludzka siła nie zdołałaby mnie powstrzymać od włączenia się do fascynującej gry. Cokolwiek by się miało stać, popełnię następne szaleństwo!

Po kilku minutach, pełna okropnego napięcia, wykręciłam trzeci numer.

— Halo — usłyszałam zaraz po pierwszym sygnale.

— Szkorbut — powiedziała konsekwentnie, zdecydowana na wszystko.

— Szkorbut... — odpowiedziano mi jakby mimo woli i natychmiast nastąpiło coś zupełnie innego. — Cholera jasna! Co to jest, kto mówi?!

— Szkorbut — powtórzyłam z uporem, bo w okropnym oszołomieniu i tak nic innego nie przyszło mi do głowy. Co, miałam powiedzieć: Chmielewska?

— Kto mówi, do ciężkiej cholery?! Skąd pani ma...?!

— Pilna wiadomość, wykryli C-1 — przerwałam stanowczo w przyływie szaleńczej determinacji, bo poznałam ten głos i niemal straciłam przytomność.

Po drugiej stronie usłyszałam krótkie i bardzo wyszukane przekleństwo, dobiegł mnie dziwny dźwięk i stłumione słowa:

— ...sprawdzić numer...!

Rzuciłam słuchawkę, jakby mnie nagle ugryzła. Ja im sprawdzę numer, a guzik z pętelką!

Po długiej chwili zdołałam oderwać wzrok od fascynującego mnie telefonu, w który wpatrywałam się nieprzytomnie. Wielki Boże, przecież to chyba niemożliwe?! Więc jednak istotnie przez nieprawdopodobny przypadek tkwię w samym środku jakiejś monumentalnej afery, w którą mnie wplątał ten człowiek! Wtedy, w ów wieczór, będący początkiem wielkiej tajemnicy rzucał moim numerem telefonu... Trzeba być ostatnim tumanem, ostatnim matolem, żeby się męczyć tyle czasu i nie przypomnieć sobie tego! Oczywiście, że jest powód, dla którego szajka opryszków upodobała sobie mój numer!

I pomyśleć, że uważałam kiedyś tę całą historię za niewinną zabawę!

Niezbadanym wyrokiem Opatrzności popełnili jakąś tragiczną dla siebie pomyłkę i znakomicie urozmaicili mi życie. Rozrywka jest pierwszej klasy, tylko czy przypadkiem nie zaczniesz być teraz nieco niebezpieczna? Czy ja aby nie posiadam za dużo wiadomości? Dziecinnej igraszki to wszystko raczej nie przypomina...

Powoli zaczęłam myśleć nieco mniej chaotycznie. Nie czułam się rozczarowana dotychczasowymi odkryciami, przeciwnie, napełniły mnie szalonym zachwytem. Ten człowiek jest przestępcą, prawdopodobnie już w tej chwili wie, że ja wiem, i będzie próbował coś zrobić. Doskonale, ale na pewno nie wie, ile ja wiem. Wygląda na to, że mogłabym go unieszkodliwić w każdej chwili, wystarczyłoby zawiadomić milicję... Nie, nie zawiadomię milicji! A przynajmniej jeszcze nie teraz, najpierw wykryję samodzielnie, na czym polega ich przestępstwo, a potem dopiero dokonam mojej wspaniałej krwawej zemsty! Wyobrażał sobie, że można mnie bezkarnie wystawiać rufą do wiatru?!

Oczywiście, że moje postanowienie było pozbawione sensu, ale tego przecież należało oczekiwać. Uczucia, które mnie przepelniały, nie miały nic wspólnego z rozsądkiem. To było wszystko na kupie: dzika nienawiść, szaleńcze pragnienie zemsty, radosne poczucie triumfu, głęboka satysfakcja, że jednak to, co wyrwało go z moich, pozytywnie nastawionych, objęć, to nie było byle co, a do tego jeszcze kompletnie irracjonalna wdzięczność za niezrównaną rozrywkę. Doprawdy, niecodzienny galimatias!

Uścześnieśliwiona faktem, że dwie tajemnice okazały się w gruncie rzeczy jedną, i zdopingowana niejasnościami, których mi zostało zatrząsienie, postanowiłam kategorycznie

odkryć istotę antypaństwowej działalności byłego, tajemniczego wielbiciela. Muszę się śpieszyć, bo zdaje się, że tym ostatnim telefonem narobiłam dobrego zamieszania...

Oparłam się o poduszki i zaczęłam myśleć. Bałagan w głowie nieco mi się uspokoił. Teraz, kiedy już wiedzą, przestaną udzielać mi informacji...

W momencie kiedy to pomyślałam, zadzwonił telefon. Rzuciłam się na słuchawkę jak wygłodzone stado wilków na niewinną łanię.

— Słucham?...

— Szkorbut! Próba programowania przeprowadzona. Świetnie działa, spełnia każde polecenie!...

— Co było programowane? — spytałam, nie zdążywszy się zastanowić, że może powinnam to wiedzieć.

— Cała aparatura X. Udało się znakomicie, nikt się nie zorientował.

Programowanie jakiegoś urządzenia oznacza podłączenie do niego tego całego naboju, który zaczyna się mikrofonem, a kończy którymś rodzajem odbiornika. Tyle wiedziałam na pewno. Ale co dalej? Co to jest, ta aparatura?

— Jakie polecenia były wydawane? — spytałam w przypiływie wręcz nadprzyrodzonego natchnienia.

— Głównie dysponowanie systemem alarmowym. Próby B ze zmianą kierunków trzeba bezwzględnie wstrzymać, wiedzą o nich. W ogóle za dużo wiedzą, cholera. Są nastawieni na jutro, trzeba przeczekać. To wszystko.

I znów się wyłączył, zanim zdołałam jeszcze cokolwiek powiedzieć. Znów zostałam skazana na samodzielne myślenie.

Samodzielnie doszłam do wniosku, że już prawie wiem, o co chodzi. Moi bandyci zmierzają do pewnego celu, a tym celem jest działanie na odległość na urządzenie, które będzie spełniało polecenia. Będzie wyłączało system alarmowy oraz nadawało czemuś kierunek, niewątpliwie czemuś poruszającemu się w przestrzeni, być może w terenie otwartym. Jeśli mogą wyłączać, a zapewne i włączać system alarmowy, to mogą też włączać różne inne rzeczy, na przykład magnetofon, nagrywający tajną rozmowę... A system alarmowy wyłączają, żeby ukraść tajne dokumenty...

Mróz przeszedł mi po krzyżu. To nie bandyci, to szajka szpiegowska! A szefa tej szajki znam osobiście... Ach, kurczę blade! Praworządny obywatel PRL!!!...

Stanę na głowie, poruszę całe miasto, przewrócę świat do góry nogami, ale odkryję personalia tego człowieka i czarno na białym zaniosę je władzom państwowym!...

Od najpoważniejszych ludzi można się bez trudu dowiedzieć wszystkiego, jeśli tylko zadaje się im dostatecznie głupie pytania. Do zadawania głupich pytań niewątpliwie byłam predestynowana bardziej niż ktokolwiek inny. Zaopatrzona w tę broń, ruszyłam do boju.

Najpierw przyczepiłam się do byłego wojskowego, który nigdy nie miał nic wspólnego z kontrwywiadem, w związku z czym nie był szczególnie uczulony na te właśnie tajemnice.

Po wygłoszeniu tysiąca nonsensów na temat ćwiczeń wojskowych spytałam z zaciekawieniem:

— A czego w wojsku nie można załatwić przez telefon albo przez radio, albo przez coś innego w tym rodzaju?

— W żadnym wypadku nie można zastrzelić rozmówcy...

— Tylko? I nic więcej? A co może się przytrafić w służbie kontrwywiadu albo wywiadu takiego szalenie, niesłychanie wstrząsającego, co mogłoby wywołać monumentalną katastrofę?

— Nagła epidemia zapalenia wyrostka robaczkowego.

— E tam! Ja mówię o jakimś okropnym niedopatrzeniu.

— Można zapomnieć o jakimś spotkaniu, o zawiadomieniu, że właśnie ucieka z Polski szpieg z tajnymi dokumentami...

— Mało...

— Jeszcze pani mało?

— Nie, ja chcę czegoś najokropniejszego. Najgorsze niedopatrzenie, jakie można sobie wyobrazić, z ogólnopanstwowymi skutkami.

Były wojskowy zamyślił się głęboko.

— Chyba najgorsze, co tylko można wymyślić, to zapomnienie o zmianie szyfru.

— A jak to się załatwia?

— Na pewno nie przez telefon.

— A przez co?

— Odręcznie. Wyjmuje się z pancерnej szafy kopertę z odpowiednim numerem.

— I co może być?

— Można zapomnieć kluczy od tej szafy i dostać nagle pilną wiadomość pisaną nowym szyfrem...

— No i co może być, jak się zapomni?

— Wszystko, co tylko sobie pani zdoła wyobrazić. Ogólnopanstwowa katastrofa...

Po wynalezieniu jeszcze kilku kataklizmów dałam mu spokój, bo wydawał się wyczerpany umysłowo. Za pomocą skomplikowanych wysiłków spotkałam przypadkowo na ulicy znajomego, o którym świetnie wiedziałam, gdzie pracuje, chociaż oficjalnie był zupełnie czym innym. Kiedyś robiłam dla niego drobną inwentaryzację i siłą rzeczy musiał się przede mną ujawnić. Z tym dla odmiany zaczęłam się sprzeczać o mikrofon stereofoniczny, upierając się przy niewątpliwych bzdurach. Wyprowadzony z równowagi facet udzielił mi olśniewających informacji.

Teraz już mogłam być zupełnie pewna, że banda „Szkorbut” dokonała nie tyle jakich usprawnień. Wiedziałam, czym i w jaki sposób zamierzają kierować, co i w jaki sposób mogą włączać, wiedziałam, dlaczego próby odbywały się właśnie w takim, a nie innym terenie, i dlaczego badano urządzenia za pomocą logatomów. Mgliście, bo mgliście, ale wiedziałam. Gdybym się na tych fidrygałach elektroakustycznych lepiej znała, niewątpliwie miałabym przed oczami jasny obraz całej aparatury ze wszystkimi ulepszeniami włącznie, ale posiadanie przed oczami jasnego obrazu czegokolwiek z tej dziedziny było dla mnie nieosiągalne, nawet gdybym obejrzała to wszystko w naturze siedemdziesiąt razy. Wcale mnie to nie martwiło, bo ostatecznie nie chodziło mi przecież o te drobiazgi. Czy tam są jakieś skomplikowane przyrządy, czy też główny wynalazek polega na zatknięciu drutu w kartofel, to mi jest wszystko jedno. Znam meritum sprawy, teraz muszę dotrzeć do działających osób.

Wczesnym wieczorem wróciłam do domu, usiadłam na tapczanie i pełna mściwego triumfu roziskrzonym wzrokiem wpatrzyłam się w telefon. Zadzwoić? Zawiadomić go o konieczności wstrzymania prób z torem B? Im dłużej to będzie trwało, tym lepiej, każde zastopowanie ich działalności jest mi szalenie na rękę. A przy tym niesłychanie ponętna była dla mnie myśl, że, być może, doprowadzę go tym do rozstroju nerwowego!

Jak było do przewidzenia, nie wytrzymałam. Z bijącym sercem wykręciłam numer.

— Słucham — powiedział głos, na dźwięk którego wszystko mi w środku podskoczyło. Przez moment poczułam głęboki, bardzo głęboki żal, że to wróg i bandyta...

— Szkorbut — powiedziałam stanowczo i przezornie nie czekając na oddźwięk, ciągnęłam dalej uprzejmym tonem: — Cieszę się bardzo, że X tak dobrze działa, to miło... Radziłabym wstrzymać próby z torem B, bo za dużo osób już na nie czeka. Zdalne kierowanie obiektywem aparatu fotograficznego to cenna rzecz, szkoda byłoby to ujawnić, nieprawdaż? Wyłączam się, koniec meldunku. — I natychmiast odłożyłam słuchawkę.

Siedziałam i czekałam w okropnym napięciu i z zapartym tchem. Czułam się trochę tak jak jadowna żmija, która przez złośliwość wlała do przewodu gazowego. Co z tego wyniknie? Jak się dowiedzieć, gdzie oni są? Jak on się nazywa? Kim jest oficjalnie? Jest duża szansa na to, że będą mnie chcieli unieszkodliwić, bo za dużo wiem. Przez telefon tego nie zrobią, przynajmniej jeden będzie się musiał ujawnić i to chyba tylko ten jeden, który mnie zna i wie, jak wyglądam. Możliwe, że w wyniku własnych, niepoczytalnych czynów zginę tragiczną śmiercią, ale już mi jest wszystko jedno! Będę popełniać te szaleństwa konsekwentnie i do końca!...

Telefon zadzwonił po kwadransie. Kończyłam trzeciego papierosa, cały czas siedząc w tym samym miejscu i wpatrując się w słuchawkę dzikim, hipnotyzującym wzrokiem. Podniosłam ją z uczuciem zbliżonym do tego, jakie ma człowiek, wpadający głową naprzód w grząskie, czarne bagno.

— Słucham...

— Dobry wieczór...

Opanowałam się z największym wysiłkiem.

— Kto mówi? — spytałam stanowczo, chociaż nie miałam co do tego najmniej szych wątpliwości.

— Nie poznajesz starych znajomych?

— Nieco trudno poznać starych znajomych, którzy mi się nigdy nie przedstawili — odparłam bez namysłu. „Niekonsekwentna idiotka — pomyślałam równocześnie ze wstrętem. — Trzeba się było upierać, że nie wiem”.

W słuchawce usłyszałam westchnienie.

— Chciałem cię bardzo, ale to bardzo prosić, żebyś się uspokoiła...

— Co przez to rozumiesz? Nie czuję się zdenerwowana — powiedziałam absolutnie niezgodnie z prawdą, bo byłam zdenerwowana do nieprzytomności.

— Co za szkoda, że nie wiesz, co mam na myśli!... Przyznaję, że właściwie jestem ci winien dozgonną wdzięczność za te dwa meldunki, ale powodujesz okropne zamieszanie. Prawdopodobnie wydaje ci się, że wszystko wiesz, ale przyjmij do wiadomości, że nie wiesz nic. Byłbym ci ogromnie zobowiązany, gdybyś zechciała powstrzymać się od jakiegokolwiek działania...

— Zaraz, chwileczkę — powiedziałam, odzyskując powoli przytomność. — Przede wszystkim ja nie mam żadnej pewności, że to istotnie ty. Może byś mi to jakoś udowodnił?

— Obiecałem ci kiedyś, że ci wszystko wyjaśnię. Przypominasz to sobie? Pewnego wieczoru dałem ci słowo honoru, że wyjaśnię wszystko, jak tylko będę mógł. Nie mam zwyczaju łamać słowa honoru, nawet dawanego w chwilach zdenerwowania. Myślałem wówczas, że nastąpi to szybciej, nie przewidziałem pewnych nieoczekiwanych komplikacji.

Nikt inny nie mógł wiedzieć, co mówił wówczas, w owych dramatycznych chwilach. Udowodnił mi...

— Tak, przypominam sobie — powiedziałam równie uprzejmie, jak lodowato. — Wobec tego powinieś i ty pamiętać, co ja powiedziałam pewnego wieczoru. Pamiętasz? Powiedziałam, że dołożę wszelkich starań, żeby cię zdekonspirować...

— Tak, pamiętam. I muszę ci się przyznać, że cię nie doceniłem. Nie przypuszczałem, że jesteś zdolna do takich szaleństw.

— Przecież cię uczciwie uprzedzałem, że dla mnie szaleństwa to jest chleb powszedni.

— Wracając do tematu, czy mogę mieć nadzieję, że okażesz odrobinę rozsądku i cierpliwości? Twoje poczynania mogą mi przysporzyć okropnych kłopotów. Ponawiam obietnicę, że wyjaśnię wszystko we właściwym czasie.

Właśnie się okropnie rozpędziłam w to wszystko uwierzyć! Jeszcze czego! Słuchając, zastanawiałam się w szalonym pośpiechu, jak najlepiej wykorzystać tę rozmowę. Jasne, że na

każde moje pytanie zełga, co może, ale może mu się przypadkiem coś wyrwie. Dyplomatycznie, tylko dyplomatycznie...

— Ależ dobrze, chętnie okażę anielską cierpliwość. Tylko czy nie mógłbyś mi odpowiedzieć od razu na kilka skromnych pytań? Wiesz, niektóre rzeczy tak mnie gnębią.

— No? Słucham?...

Kolosalny talent dyplomatyczny podsunął mi tylko jedno najważniejsze...

— Na litość boską, jak ci na imię?!!!

— Przecież wiesz. Dobrze zgadłaś...

— Dlaczego mnie napuściłeś na tego niewinnego faceta?! Zrobiłeś to świadomie?...

— To już jest dłuższa historia, której teraz nie możemy omawiać. Muszę się już wyłączyć. Jeszcze raz cię proszę, nie rób już nic i nie usiłuj wykorzystywać wiadomości, które posiadasz. Narobisz jeszcze większych kłopotów nie tylko mnie, ale i sobie.

Równie dobrze mógłby mnie prosić, żebym przestała oddychać.

— Mam nadzieję, że uda mi się uniknąć kłopotów — powiedziałam, wracając do lodowatej uprzejmości. — Proszę cię bardzo, mogę poczekać na twoje wyjaśnienia. Tyle czasu czekałam, że te parę lat mniej czy więcej nie robi mi już różnicy...

— Strasznie bym nie chciał stosować jakichś ostrzejszych środków — powiedział z westchnieniem. — Proszę cię, zaoszczędź mi tego.

— To groźba?

— Niech Bóg broni! Nawet mi to nie przyszło do głowy. Twoja reakcja na groźby może każdego radykalnie zniechęcić do ich stosowania. To jest moja gorąca prośba do ciebie...

Nic z tego, nie damy sobie mydlić oczu! Drugi raz mu się ze mną nie uda. Boże drogi, cóż ten człowiek ma jednak za głos...

Telefon milczał. Jeden dzień, drugi, trzeci... Wszelkie informacje skończyły się jak nożem uciął. To, że dzwoniły różne osoby w celach towarzyskich, nie związanych z zasadniczym tematem, denerwowało mnie tylko jeszcze bardziej. Nie przyjmowałam do wiadomości tych zbędnych dźwięków. Dla mnie telefon milczał...

Tajemniczy, zastrzeżony numer nie odpowiadał, chociaż dzwoniłam tam o najdziwniejszych porach dnia i nocy. Nikt się mnie nie czepiał i nie dostrzegałam wokół domu żadnych podejrzanych typów. Wyraźnie zostałam odsunięta na nieprzyjemny margines.

Drugiego wieczoru zadzwoniła Janka.

— No i co? — spytała z szalonym zainteresowaniem.

Odpowiedziałam jej jednym słowem równie krótkim, jak treściwym.

— Nie dzwonił?

— Nie dzwonił. Przypuszczam, że pękne lada minuta. Wygrał, drań w tajemnicę szarpany!

— Myślisz, że jeszcze zadzwoni?

— Diabli go wiedzą. Jeżeli nie zadzwoni, to umieszczę w prasie ogłoszenie, że pan o takiej aparycji i takim imieniu nie dotrzymuje słowa honoru.

— I spiker Polskiego Radia zaskarzy cię do sądu. Dlaczego nie idziesz na milicję?

— I co im powiem? Że mam głębokie, wewnętrzne przekonanie, że nie wiadomo kto przeprowadza nielegalne próby z aparaturą elektroakustyczną? Że wiem, na czym te próby polegają i jaka instytucja brała wzmacniacze? Wkopię przyzwoitych ludzi, którzy mi przez niedopatrzenie zwierzyli tajemnice służbowe, i oskarżę o antypaństwową działalność państwową instytucję? Stuknij się w arbut. Na jakiej podstawie? Moich przeczuć? Milicja kicha na moje przeczucia, a poza tym wszystko, co wiem, wiem nielegalnie. Skutek będzie taki, że mnie przymkną za współpracę z wrogami ojczyzny.

— To co teraz zrobisz?

— A bo ja wiem? Na razie czekam na natchnienie.

— No to czekaj. Jak coś będzie, to zadzwoń.

Istotnie czekałam, lecz nie biernie, a aktywnie. Strzelałam na oślep w różne strony, wywołując tą kanonadą najrozmaitsze efekty. Znajomy człowiek z telefonów miejskich, zapytany o ów zastrzeżony numer, wpadł w paniczne przerażenie i odmówił jakichkolwiek wyjaśnień. Dział techniczny Polskiego Radia, maglowany o skomplikowane szczegóły swojej działalności, zapłonął do mnie żywą niechęcią. Pożyczyłam samochód z Motozbytu i udałam się do odkrytego rejonu sto trzy, obejrzałam sobie orne pole, świeżą ruń i młody zagajnik, ugrzęzłam w błocie, co mnie zmusiło po kwadransie buksowania do galernicznych wysiłków, polegających na wpychaniu pod koła rozmaitych patyków, ubłociłam siebie i samochód od góry do dołu i wróciłam taka sama mądra jak przedtem.

Wiedziałam mnóstwo, ale nie na ten temat, który mnie najbardziej obchodził. W nosie miałam wynalazki, usprawnienia, programowanie wszystkich maszyn świata i działalność szpiegowską, nic mnie to nie obchodziło. Obchodził mnie tylko jeden człowiek, a o tym człowieku właśnie nadal nie wiedziałam nic.

I wreszcie nie wytrzymałam. Doprowadzona do ostatecznej rozpacz, wystrzeliłam ostatni, monumentalny nabój. Doprawdy nie przewidziałam, że wywołam tym takie zamieszanie, ale gdybym wiedziała, niewątpliwie też bym go wystrzeliła bo traciłam już resztki rozumu.

Trzeciego dnia wieczorem słuchawka przyczepiła mi się do ucha zupełnie bez mojego udziału, a tarcza nadprzyrodzonym sposobem sama wykręciła numer. Numer, którego me kręciłam już od wielu lat i który powinnam była już dawno zapomnieć...

— Słucham — powiedział człowiek, od którego nie miałam szans niczego się dowiedzieć. Ale jeżeli czegokolwiek na tym świecie byłam pewna, to tego, że żaden wynalazek i żadne usprawnienie w interesującej mnie dziedzinie nie mogły się odbyć bez jego udziału. Jedyne człowiek w Polsce, który się wyspecjalizował w niektórych drobiazgach i któremu ustępowali najlepsi fachowcy z zagranicy. A równocześnie z całą pewnością ostatni, który zgodziłby się zajmować jakąkolwiek nielegalną akcją...

— Dobry wieczór, to ja — powiedziałam zimno i natychmiast ciągnęłam dalej: — Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, komu służy twoja genialna myśl techniczna?

— O co ci chodzi? Bądź uprzejma wypowiadać się jaśniej bo ja nie mam czasu na te artystyczne przerośnięcie.

— Chodzi mi o próby, zmierzające do zdalnego kierowania czynnościami różnych aparatów. Głosem. O ile wiem, wybaczyć że będę używała ludzkiego języka, a nie właściwych, technicznych wyrażeń, tor elektroakustyczny X służy do działania włączającego i wyłączającego różne rzeczy nieruchome, natomiast tor B do nadawania kierunku rzeczom ruchomym, tor A...

— O czym ty mówisz?! Skąd to wiesz?

— Impulsy zależą jakoś tam od wypowiedzania słów z odpowiednimi samogłoskami; nieprawdaż? Inaczej działało w olaboga, a inaczej w łubudu... oczekiwałam jeszcze „fikimiki” z uwagi na dużą ilość „i”, ale rozczarowaliście mnie...

— Przestań! — krzyknął ostro człowiek po drugiej stronie przewodu telefonicznego. — W tej chwili przestań!

— Nie przestanę — powiedziałam gniewnie. — Przyjmij do wiadomości, że ten ton już nie robi na mnie wrażenia.

— Wiedziałem, że jesteś beznadziejnie głupia, ale nie przypuszczałem, że do tego stopnia. Musiałaś chyba do reszty oszaleć. O co ci chodzi?

— O to, że muszę się na ten temat wszystkiego dowiedzieć, ponieważ podejrzewam, że ten cały nabój dostał się w ręce niepowołanych osób. Właśnie pytam, czy ty o tym wiesz. Wyobrażam sobie, że odpowiesz mi na moje pytania.

— Na pewno nie!

— W takim razie zaczynając od dziś rozgłoszę po całym mieście wszystko, co wiem, a zapewniam cię, że wiem dużo. Będę to wykrzykiwała pełną piersią w zatłoczonym tramwaju, w kinie, na ulicy, wszędzie!

— Zostaniesz zamknięta, zanim zdążysz powiedzieć jedno głupie słowo...

— Możliwe, ale wtedy powiem, że to wszystko wiem od ciebie. I niech mi kto udowodni, że nie...

„Rzeczywiście jestem szantażystką, niebezpieczną dla otoczenia” — pomyślałam równocześnie ze zdumieniem.

Człowiek w telefonie milczał przez chwilę, bo prawdopodobnie był bliski udławienia się wściekłością. Zaniepokoiłam się, że go może trafić apopleksja.

— Hej, słuchaj — powiedziałam ugodowo. — Nie puszcę pary z gęby, ale muszę wiedzieć, kto się tym teraz posługuje. Jak ci mówię, że z tym jest jakaś draka, to mam podstawy...

— Dobrze — powiedział nagle. — Ale nie powiem ci tego przez telefon. Umówimy się na jutro, postaram się znaleźć trochę czasu.

— Figę z makiem — oświadczyłam stanowczo. — Doskonale wiem, że jutro zastawisz na mnie pułpkę. Możemy się spotkać zaraz.

Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał.

— Dobrze, niech będzie. Gdzie sobie życzysz?

— Na ławce w parku Dreszera, koło przystanku trolejbusowego. Za dziesięć minut — powiedziałam, uśmiechając się w duchu złośliwie. — Jeżeli cię nie będzie za dziesięć minut, odchodzę i zaczynam reklamę...

Nadal złośliwie uśmiechnięta odłożyłam słuchawkę obok aparatu. Przez dziesięć minut nie zdąży zadzwonić z budki, ani nigdzie pojechać, na razie jestem bezpieczna. Zablokowałam mu telefon...

Chyba sobie jednak nie zdawałam sprawy z wagi popełnianych czynów. Opętało mnie wzniosłe szaleństwo i nie było już dla mnie nic niemożliwego. A zresztą wyglupiałam się przecież dla dobra ojczyzny!

Człowiek, który przyszedł do parku Dreszera, nie przywitał się ze mną... Spojrzał na mnie ze wstrętem, usiadł obok i zapalił papierosa.

— Nic ci nie przyjdzie z tej blokady — powiedział. — Nie znikniesz nagle z powierzchni ziemi, znajdę cię równie dobrze i jutro.

— Jeżeli masz jeszcze odrobinę zdrowego rozsądku, to nie będziesz mnie jutro szukał. Zaraz się przekonasz... Uważaj: wiem, jaka instytucja patronowała pierwotnie całej akcji, wiem, na czym to polegało, wiem, gdzie odbywały się próby, i oświadczam ci, że nic mnie to nie obchodzi. Chcę się dowiedzieć, w czyje ręce się dostało i kto to wykorzystuje nielegalnie.

— Nikt nie wykorzystuje nielegalnie, przez cały czas robi to wspomniana przez ciebie instytucja. Skąd ci coś podobnego przyszło do głowy?

Zawahałam się. Po krótkim namyśle powiedziałam prawdę. Prawie całą.

— Jakim sposobem, do diabła, znaleźli twój numer?!

— Nie wiem — oświadczyłam stanowczo. — I nie interesuje mnie to.

Teraz on przez chwilę myślał.

— Musiała tu zająć jakaś potworna pomyłka. Słuchaj... Słuchałam. To, co słyszałam, ciągle mi nic nie wyjaśniało.

Akcja „Szkorbut” jest absolutnie legalna? Przeprowadzana przez państwową instytucję, przez praworządnych ludzi? A nie przez szajkę opryszków?

— To dlaczego, do diabła, to było takie zakonspirowane? — spytałam z rozpaczą.

— Nie udawaj głupszej, niż jesteś. Chciałaś, żeby jawnie robić rzeczy, które są największą tajemnicą wojskową? Tajemnicą wywiadu?

— Oj, nie mów bzdur! Chodzi mi o to, co mówili. To ukrywanie się, to zdenerwowanie, że ktoś tam coś odkrył, na coś trafił... Kto?! Co to znaczy?

— Musisz to wiedzieć? — spytał niechętnie po chwili milczenia.

— Muszę. To mi się wydaje najbardziej podejrzane. Znów milczał przez długą chwilę, paląc papierosa i wyraźnie bijąc się z myślami. Właściwie do tej pory nie powiedział mi nic nowego, potwierdzał tylko moje wiadomości. Dopiero teraz miał zdradzić jakąś krew w żyłach mrozącą tajemnicę.

— Powiem ci. W zestawieniu z tym, co i tak wiesz, to już jest niegroźne. Słuchaj...

Czułam, jak mi się robi zimno w sercu i jakoś nieprzyjemnie na duszy. Wszystkie fragmenty łamigłówek układały się znakomicie. W łonie praworządnej instytucji załagał się, obrazowo mówiąc, bakcyl zdrady. Był ktoś na wysokim stanowisku, ze wszech miar godzien zaufania, kto współpracował z obcym wywiadem i usiłował ukraść bezcenny wynalazek. Była misterna siatka, niemal nie do wykrycia, która usilnie pracowała na zgubę ludowego kraju. Przed nimi właśnie trzeba się było ukrywać...

Ktoś na wysokim stanowisku...

— Dlaczego ich wszystkich nie wsadzili do kicia, tylko się z nimi tak głupio cackali, przyprawiając mnie o rozstrój nerwowy? — spytałam z rozgoryczeniem.

— Ponieważ nie było wiadomo, kto to był i kto należał do szajki. To było szalone ryzyko, przeprowadzać te próby tak, żeby ich nie wykryli, a równocześnie udawać, że wszystko jest w porządku. Ale też to była jedyna szansa, żeby to wreszcie definitywnie zlikwidować. Ten podejrzany facet, to, jak ja rozumiem, jest jakiś gość cholernie wysoko postawiony, gdyby podejrzenia w stosunku do niego okazały się niesłuszne, byłaby potworna draka. No i oczywiście cała robota kontrwywiadu od początku...

— Kto to był, ten główny podejrzany?

— Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy istnieją ze trzy osoby, które to wiedzą.

— Jak możesz nie wiedzieć, skoro uczestniczyłeś w całej robocie. Musiałeś chyba wiedzieć, przed kim się masz ukrywać?

— Przed wszystkimi. Było tylko kilka pewnych osób, wtajemniczonych, a cała reszta była na wszelki wypadek podejrzana. Zresztą, nie uczestniczyłem w całej robocie, tylko opracowałem na początku pewne rzeczy, a dalej to już ciągnął kto inny.

Milczałam, pełna mnóstwa mieszanych uczuć, a głównie rozgoryczenia. Czyżbym dotychczas miała nadzieję?... Przecież wiedziałam, że to przestępca...

— Okazuje się, że w gruncie rzeczy nie myślałaś tak głupio, jak na to wyglądało — powiedział z niechętnym uznaniem. — Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co ci grozi za rozgłaszanie tych informacji?

— Zdaję sobie sprawę. Czym ja byłam? Bazą informacyjną?

— Czymś w tym rodzaju. Był taki telefon, pod który należało przekazywać różne wiadomości. Jakim cudem to był twój telefon, nie potrafię zrozumieć.

Za to ja potrafiłam doskonale to zrozumieć, ale co z tego?

— Kto tam był w tę całą hecę zamieszany? — spytałam beznadziejnie. — Powiedz wszystkie nazwiska, jakie znasz. Ostatecznie, już teraz nie masz co przede mną tego ukrywać. Wiem przecież gorsze rzeczy.

— Nie znam nazwisk, nie przedstawiali mi się wszyscy. Znam tylko parę osób. Tych, którzy to ze mną załatwiali oficjalnie, dwóch, którzy ze mną współpracowali w początkowej fazie, i tego, który to po mnie przejął i kontynuował. Sympatyczny gość i ma łeb...

Wpadło mi w ucho kilka nieznanomych nazwisk. Do kontynuatora pracy natychmiast poczułam awersję, skoro się wydał sympatyczny temu człowiekowi... Zresztą do wszystkiego poczułam awersję.

— To co, będziesz się starał od jutra zamknąć mnie w kazamatach?

— Nie bądź głupia. Nie zamieniłbym z tobą dziś ani jednego słowa, gdyby nie to, że wiem, do czego jesteś zdolna. A gdyby się okazało, że dałaś się wciągnąć w jakiś idiotyzm, to możesz być pewna, że nie wróciłabyś teraz do domu. Znam cię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, czy mówiłaś prawdę.

Ja też go znalazłam wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, do czego jest zdolny. Istotnie, gdybym współpracowała z szajką szpiegowską, nie wróciłabym już do domu...

— Nie muszę cię chyba odprowadzać? O ile wiem, nie ma sytuacji, w której nie dałabyś sobie rady. A ja jeszcze dzisiaj mam mnóstwo roboty.

— Dziękuję ci bardzo, istotnie, trafię sama. Wybacz, że cię niepokoiłam...

O wpół do drugiej zadzwonił telefon. Oprzytomniałam błyskawicznie i podniosłam słuchawkę.

— Słucham...

— Czy to cztery czterdzieści dziewięć osiemdziesiąt jeden?

— Tak, słucham.

— Kto mówi?

O, nie, tego ja bardzo nie lubię!

— Królowa Izabella Hiszpańska — odpowiedziałam uprzejmie.

— A, to pomyłka, przepraszam... — powiedział niepewnie ten ktoś po krótkiej chwili konsternacji.

Po paru minutach znów zadzwoniło.

— Słucham...

— Cztery czterdzieści dziewięć osiemdziesiąt jeden?

— Tak, słucham...

— Czy to pani Joanna Chmielewska?

— Tak, słucham...

— Dziękuję.

I rozłączył się. A cóż to znowu takiego? Dziękuję mi za to, że się tak nazywam, czy za to, że podniosłam słuchawkę? Któż to mógł być? Chyba nikt znajomy, nie przypominam sobie tego głosu...

Zaniepokoił mnie ten telefon. Wstałam, nalałam sobie herbaty, zapaliłam papierosa i zaczęłam się zastanawiać. Kto? Czyżby to on? Teraz już rzeczywiście mój śmiertelny wróg? Wie, że rozmawiałam na ten temat i zamierza mnie zamordować?

Istotnie, miał powody prosić, żebym się uspokoiła. I trudno zaprzeczyć, że miał też powody tak starannie ukrywać swoje personalia. Praworządny obywatel PRL!... I akurat to wszystko musiało się właśnie mnie przytrafić! Żeby to jasny piorun strzelił! Nie maco mówić, ładny klin!...

Siedziałam na fotelu i marzłam przy otwartym oknie, pełna rozgoryczenia, kiedy znów zadzwonił telefon.

— Pani Joanno, to pani? — spytał szeptem znajomy człowiek z telefonów miejskich.

— Ja, co się stało? — powiedziałam mimo woli również konspiracyjnym szeptem.

— Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale potem mógłbym nie mieć okazji, o szóstej rano kończę dyżur. Pani telefon jest na podsłuchu...

— Od kiedy? — przerwałam szybko.

— Od pierwszej. Wszystkie rozmowy będą nagrywane. Teraz na chwilę wyłączyłem, ale już włączam. Jakby mnie tak złapali!... Niech pani uważa, dobranoc.

— Dobranoc, dziękuję panu — szepnęłam z gorącą wdzięcznością.

I ja mam w tych warunkach spać?! No, zdaje się, że teraz rozpętałam już piramidalną chryję. Mogę to uznać za szczytowe dzieło mego życia, osiągnięcie, jakiego świat nie widział! Jezus Maria, co jeszcze będzie?! Nigdy nie byłam specjalnie tchórzliwa, ale tym razem się jednak wystraszyłam. Taka wystraszona czym prędzej poszłam spać, bo

pomyślałam, że w obliczu wydarzeń nie do przewidzenia muszę być wyspana i przytomna. Na wszelki wypadek zabezpieczyłam jeszcze tylko drzwi, wtykając kij od starej szczotki do mycia podłogi pomiędzy ścianą a zasuwę. Raz w życiu postanowiłam być ostrożna.

Do rana nic się nie stało, a rano poszłam do pracy. Już zaczęłam czuć się z lekka rozczarowana brakiem jakichś kataklizmów, kiedy zawołano mnie do telefonu.

— Czy pani Joanna Chmielewska? — spytał nieznany głos.

— Tak, słucham...

— Chciałbym zamienić z panią kilka słów. Czy zechciałaby pani wyjść na chwilę do holu na swoim piętrze? W miarę możliwości dyskretnie...

— Kto mówi? — spytałam raczej dość beznadziejnie.

— Moje nazwisko nic pani nie powie. Chodzi o rozmowę, którą przeprowadziła pani wczoraj wieczorem w parku Dreszera.

— Dobrze, już wychodzę...

Kto?!... Bandydzi czy praworzędna instytucja?... Tak źle i tak niedobrze, sama już nie wiedziałam, co bym wolała. Przez moment pomyślałam, czyby nie wziąć czegoś do obrony, chociażby dużego cyrkla, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie ten duży cyrkiel jest. Powiedziałam w duchu: „Raz kozie śmierć!” i z determinacją wyszłam do holu.

W holu podszedł do mnie nie znany mi bliżej, sympatycznie wyglądający pan i powiedział:

— Orientuje się pani, o co chodzi, prawda? Chcielibyśmy z panią porozmawiać. Mam nadzieję, że może się pani zwolnić z pracy i zaraz ze mną pojechać?

„A jak nie mogę, to co?” — pomyślałam i powiedziałam:

— Czy można wiedzieć, z czyjego ramienia pan mnie zaprasza?

Pan wyjął legitymację i bez słowa mi pokazał. Również bez słowa kiwnęłam głową, wróciłam do pokoju, pozbierałam swoje rzeczy i zatrzymałam się w drzwiach. Moi trzej współpracownicy siedzieli przy deskach. Popatrzyłam na nich i powiedziałam rzewnie:

— Przyjrzyjcie mi się, panowie...

Wszyscy trzej odwrócili się jak na komendę i wlepili we mnie oczy z dużym zainteresowaniem.

— No? Bo co? — spytał Janusz.

— Co pani nowego wymyśliła? — spytał z zaciekawieniem Witold.

Wiesio nic nie mówił, tylko patrzył wyjątkowo zachłannie.

— Ostatni raz mnie widzicie — powiedziałam jeszcze rzewniej. — Jakby co, to pamiętajcie, że palę piasty, a od cebuli wątroba mnie boli. Mogą być cytryny... Błogosławie was na dalszej drodze życia!

Wyszłam nie odwracając się, ale mogę dać głowę za to, że co najmniej jeden z nich narysował kółko na czole.

W pokoju, do którego zostałam doprowadzona, czekał na mnie nie mniej sympatyczny pan, który zażądał ode mnie daleko idących wyjaśnień...

Druga część książki w ogromnym zakresie przeniosła się na początek, to po pierwsze, po drugie zaś, całkowicie przepadł „Szkorbut” i wszystkie komplikacje kontrwywiadowczo–szpiegowsko–elektroakustyczne nie do pokazania w filmie. Chociaż może i do pokazania, ale w jakiś inny sposób, taki, który Batoremu nie odpowiadał. Albo w filmie innego rodzaju. Chyba trochę za dużo trzeba by było wyjaśniać, dla laika to czarna magia, pomijam to, że dla mnie też, jednak żałuję tej niemożności, bo przy okazji wypadły logatomy. Oczyma duszy widzę te wszystkie „pierzag”, „mątla”, i „krztąc” i reakcję na nie Krystyny Sienkiewicz. Moim zdaniem, straciliśmy sceny niepowtarzalne i niezapomniane!

W rezultacie szajka radiowa przeistoczyła się w szajkę fałszerzy pieniędzy. Nie chciałam tego, miałam opory, pogodziłam się z fałszerzami dopiero gdzieś w połowie roboty, przedtem ustawicznie potykałam się na tych kłodach, które Batory rzucał mi pod nogi. Nie dość, że co

innego dźwięk, a co innego forsa, to jeszcze jednego bohatera diabli mi wzięli, a drugi, w postaci Wieńczysława Glińskiego, wyszedł nad wyraz sympatycznie. Rozpacz. Miało być odwrotnie i to się nazywa: męki twórcze.

Nic nie mogłam poradzić, awantury na Batorym nie robiły wrażenia, musiałam się ugiąć i w końcu przyjąłam do wiadomości fakt, że piszę nowy, świeży utwór. No trudno, niech mu będzie. Skręciliśmy definitywnie na drogę groteski.

Sposoby zamiany fałszywych pieniędzy na prawdziwe omawialiśmy z tak szalonym zapałem, że aż zdumiewa brak dramatycznych skutków. Robiliśmy to publicznie, bo z braku prywatnej przestrzeni życiowej nadającej się do pracy, cały scenariusz pisaliśmy przy stoliku w kawiarni w Grand Hotelu. Urzędowaliśmy tam przez całe popołudnia i wieczory dzień w dzień, stół wyglądał o tyle oryginalnie, że pokryty był papierem, kartki nam sfruwały i trzeba było za nimi latać, wokół zaś siedzieli ludzie, i słuchali.

— Panie Janie, wyrwie pan mu ten worek z ręki bez problemu! — zapewniałam stanowczo. — Z zaskoczenia...

— Co pani wygaduje, bankowy worek, to jest forsa! — protestował Batory. — On pilnuje!

— E tam, pilnuje, trzyma byle jak, do głowy mu nie przyjdzie... Teksty bywały różne.

— Nie damy rady płacić fałszywymi w dobrym stanie, każdy patrzy...

— To musimy je zniszczyć. Całą produkcję najpierw niszczymy, a potem puszczaemy w obieg.

— No, niby można... Jak niszczymy? To jest robota, spatynować banknoty prosto spod prasy...

Albo:

— Ile pan tej forsy wyprodukuje dziennie...?!

— Więcej, niż pani zdąży wydać...!

Ludzie dookoła milkli, uszy wyciągały im się na metr, patrzyli na nas podejrzliwie, niekiedy nawet ze zgrozą i aż dziw bierze, że nikt nie doniósł i nie zainteresowały się nami władze. Może tylko dzięki temu, iż sama poleciałam do milicji uzgadniać sposoby działań przestępczych i zebrać o radę.

Jasną jest rzeczą, że pomysły w tej dziedzinie były głównie zasługą Batorego, jeśli nawet gdzieś się dołożyłam, w ogóle tego nie pamiętam. A nie, owszem, wymyśliłam sposób upłynniania tej forsy, wymianę zamiast puszczenia w obieg. Moja propozycja skrzywdzenia budownictwa nie została zrealizowana, z doświadczenia wiedziałam, jak się odbywa transport pieniędzy przeznaczonych na wypłaty dla robotników na budowach, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że zamiana worków przejdzie jak po oliwie nicejskiej i sugerowałam akcję pod wejściem do przedsiębiorstwa. Batory wołał bank. Nie mogę sobie natomiast przypomnieć, dlaczego deptali te pieniądze w skarpetkach, pierwotnie uważaliśmy, że lepiej będzie boso.

Co do całej reszty, scenariusz odbiegał mi już od książki ostrym kurcgalopkiem...

Sceny w biurze projektów nie miały w ogóle żadnego sensu i należały do innego utworu, ale w tym, na szczęście, mogą się połapać tylko fachowcy. Usiłowałam się czepiać, ale dość niemrawo i zostałam szybko zgaszona. Może i słusznie, bo i tak całość w tym momencie zmieniła już charakter.

Potężny problem eksplodował na tle obsady aktorskiej. Wszyscy się dziwili, skąd i dlaczego Kalina Jędrusik. Faktem jest, że do roli nadawała się tak samo jak ja na primadonnę w Metropolitan Opera i jeszcze powinnam tam śpiewać „Szumią jodły na gór szczycie”. I rzeczywiście, pierwotnie przewidziana była Czyżewska, pasująca doskonale i już chyba nawet ugadana, cieszyłam się z niej bardzo, ale nastąpiło nieszczęście. Otóż pani Czyżewska zapadła podobno tuż przedtem na komplikacje uczuciowe podobnego rodzaju, spotkał ją cios na tle doznań osobistych, jeśli się nie mylę, z góry ją na wszelki wypadek bardzo przepraszam, ale tak mnie poinformowano. Przeżyła to ciężko i wpadła w depresję tak

porządną, że na jakiś czas wyłączyła się z pracy zawodowej, a już nietaktem szczytowym byłaby propozycja przyjęcia roli, której zasadniczym elementem jest klęska sercowa. Odpadła zdecydowanie ku mojej rozpaczy i w ostatniej chwili. Termin kręcenia był już ustalony, wszystkie inne aktorki zajęte, ani jednej wolnej, dno i mogiła. I w tym właśnie momencie z Włoch wracała Kalina Jędrusik, jeszcze nie zaangażowana z racji nieobecności w kraju. Batory chwycił ją w drapieżne szpony, zdaje się, że czekał na lotnisku i wyrwał swój ratunek prosto z samolotu.

Kalina Jędrusik była aktorką charakterystyczną i miała zdecydowaną osobowość. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ujrzałby w niej na przykład nauczycielki matematyki, albo ascetycznej zakonnicy. Do jednych ról była świetna, a do drugich do bani, nieszczęśliwym przypadkiem bania rozbiła się nam na głowie.

Nastąpiły sceny straszliwe. Z utalentowanej kurtyzany Batory robił człowieka pracy, a upór miał w sobie kamienny. Nie barani, baran tryka, Batory nie trykał, parł przed siebie jak czołg, z niezmaconym spokojem prezentował coś w rodzaju muru oporowego, zapory wodnej w doskonałym stanie, elementu trwającego przy swoim bez względu na koniec świata.

— Nie, pani Kalino — mówił cierpliwie i bez żadnych emocji. — Nie to powłóczyście spojrzenie. Jeszcze raz, proszę.

— Nie, pani Kalino, nie tak, bez tego odwrócenia, głowa prosto... Jeszcze raz, proszę!

— Nie, pani Kalino, nie ten wyraz twarzy, więcej zdziwienia... Jeszcze raz, proszę...

— Nie, pani Kalino, to nie tak, trochę sztywniej, pani go jeszcze nie kocha. Jeszcze raz, proszę!

— Nie, pani Kalino, nie tak uwodzicielsko, normalniej, niech pani sobie wyobrazi, że to jest słup ogłoszeniowy, a nie mężczyzna. Jeszcze raz, proszę!

— Nie, pani Kalino, bez tego zmrużenia oczu, zwyczajniej, bardziej wprost! Jeszcze raz, proszę...

Matko jedyna moja...! Ciemno się w oczach robiło, ja już nie wytrzymałam, a co tu mówić o osobach zainteresowanych bezpośrednio. Kalina Jędrusik raz się popłakała, a Batory swoje. Wygniół ją, wymiędlił, wymaglował, ale rezultat był taki, że na kolaudacji wyrażono opinię, jakoby film stanowił debiut dwóch pań. Pani Chmielewskiej jako scenarzystki i pani Jędrusik jako prawdziwej aktorki.

Inna rzecz, że w ostatniej scenie obydwójce już nie wytrzymali. Kalina Jędrusik wreszcie dała sobie folgę, poniewierając się po łonie Łapickiego z nieco przesadnym zapałem, a Batory machnął ręką, bo zabrakło mu siły. Niby drobiazg, ale jednak wyskakuje z konwencji.

Zmaltretowawszy główną bohaterkę do ostateczności przed kamerą, Batory rozsądnie popuścił jej cugli potem. W trakcie nagrywania dźwięku Kalina Jędrusik wypatrzyła w bufecie kaszankę i uparła się ją nie tylko kupić, ale także zjeść. Zjadła przeszło ćwierć kilo i nie miała czym popić, kawałki produktu utkwily jej w gardle i utrudniły wydawanie z siebie głosu. Odchrząknawszy i odkaszlnawszy ze dwadzieścia razy, zrobiła potężną awanturę.

— Po coście mi pozwolili to zjeść! — piekliła się z ciężką pretensją. — Trzeba mi było nie dać! Gdzie wy macie rozum...?!!!

— Przecież sama chciałaś...

— No to co?! Należało mi nie pozwolić...!!!

Nikt się nie czepiał i charkanie przeczekiwano cierpliwie, bo w końcu przedtem dała z siebie wszystko.

Osobowość Kaliny Jędrusik jednakże rzutuje na całość filmu i tworzy atmosferę. Na pewno odbiega od zaplanowanej. Książka jest o jakiejś dziewczynie i w filmie występuje też dziewczyna, tyle że zupełnie inna. Całe szczęście, że przynajmniej bardzo ładna...

Za to obsada jednej z ról epizodycznych stanowiła dla Filmu Polskiego samą przyjemność. Facet, wypatrzony przez pomyłkę, którego obie dziewczyny śledzą i którego po Saskim ogrodzie gania żona z parasolką, w ogóle nie był aktorem. Prywatny człowiek, sam się zgłosił

i zaproponował swoje usługi razem z własnym samochodem. Żadnych pieniędzy nie chciał, zgadzał się jeździć i uprawiać biegi całkowicie za darmo, dopytywał się tylko troskliwie, czy jego nazwisko ukaże się na ekranie. Ofertę, rzecz jasna, przyjęto radośnie, z sylwetki do Andrzeja Łapickiego był nawet podobny, co do nazwiska natomiast, chyba je gdzieś w tę listę płacy upchnięto. Nie jestem pewna, bo nie pamiętam jak się ów miłośnik filmu nazywał. W każdym razie obniżył koszty produkcji. Scena, gdzie Pietruski wyrzuca z walizki pieniądze, stanowi arcydzieło operatora, o czym widzowie w ogóle nie wiedzą. Cała ulica przy kręceniu zapchana była rozgnionym tłumem, bo rzadko się zdarza, żeby miliony fruwały sobie luzem, milicja musiała zrobić kordon, zdumiona i rozżarta tłuszcza waliła się im na plecy, tymczasem operatorowi udało się pokazać pustą ulicę. Wiem, co się tam działo i jestem dla niego pełna podziwu.

Pieniądze zostały wyprodukowane specjalnie dla potrzeb filmu i miały zupełnie inny kolor niż prawdziwe górale. Ludziom to nie przeszkadzało, każdy chciał chociaż trochę, przy zbieraniu było jeszcze gorzej, piekło na ziemi. Film jest czarno-biały i odmienność barwy nie rzuca się w oczy, a ciekawe, swoją drogą, jak by sobie z tym poradzono w obrazie kolorowym...?

Do rozmaitych gatunków presji fizycznej, zastosowanej w zakończeniu, już się w ogóle nie wtrącałam. U mnie się operuje intelektem, a nie kluczem francuskim, ale Batory znów się uparł, stanowczo twierdząc, że intelekt do przeciętnego widza nie przemawia i on musi mieć trochę ruchu. Sceny mordobicia stanowiły dla niego chleb powszedni, wycofałam się zatem na dalekie tyły, poprzestając na krytyce z punktu widzenia odbiorcy.

Przy tworzeniu dialogów również działy się rzeczy okropne.

Obmyślając scenariusz wspólnie, różne kawałki pisaliśmy na zmianę, już w domach, bo do Grandu maszyny do pisania nie chciało nam się nosić. Póki szło wedle książki, było jeszcze pół biedy, do nowej treści jednakże gadanie przestawało pasować. Niezbędny stał się zupełnie inny tekst i w jakimś miejscu, w melinie szajki, Batory pchał Czechowiczowi na usta słowa „uścisnąć dłoń”.

— Nie dłoń!!! — wyłam dzikim głosem. — Jaką dłoń, przenigdy, w życiu, za skarby świata!!! Żaden bandzior na tym poziomie nie użyje słowa „dłoń”!!! Pan jest człowiekiem kulturalnym, pan operuje językiem literackim, gdzie panu do bandziora...!!!

— Dobrze, już dobrze — łagodził Batory. — Niech pani sama to napisze...

— Trząchnąć grabulą, zafundować piątkę, ale nie uścisnąć dłoń...!!!

Jedna przyjaciółka do drugiej miała powiedzieć delikatnie „niemądra jesteś”. Znów od tego wpadłam w szal.

— Kretynka!!! — wrzeszczałam. — Idiotka!!! Głupia jesteś, to jeszcze najłagodniej! Jaka niemądra, one to mówią w ferworze, w nerwach!!! Chora krowa byłaby słuszniejsza...!!!

— Na chorą krowę się nie zgadzam!

— Poniżej głupiej nie zejdem...!!!

Nie wszystko, oczywiście, budziło moje aż tak gwałtowne protesty, niektóre pomysły Batorego wydawały się znakomite i akceptowałam je bez zastrzeżeń. Chociażby arcyświecna Krystyna Sienkiewicz przy telefonie, opowiadająca swój kostium, bezdennie idiotyczny strój wymyślić potrafię, ale guziki nie przyszły mi do głowy. „Wszędzie guziki i każdy inny” to był pomysł Batorego, ja tak daleko nie poszłam. Dialogi przy patynowaniu pieniędzy i nauka angielskiego również były jego dziełem, „te brylanty są za małe”...

Zamilkłam i z rezygnacją popatrzyłam na siedzącego za biurkiem pana. Pan trwał jeszcze chwilę w milczeniu, patrząc w dal myślącym spojrzeniem. Nagle ocknął się i spojrzał na mnie.

— I to wszystko?...

— Jak widać na załączonym obrazku. Gdybym chciała opowiadać bardziej szczegółowo, musiałabym pana poinformować, co jadłam w tym okresie na śniadania, obiady i kolacje, ile razy mi poleciały oczka w pończochach, jakimi samochodami jeździłam na łebka do pracy i o innych równie istotnych szczegółach. Ale chyba o to panu nie chodzi?

— Nie — powiedział ten pan z cieniem rozbawienia. — O to mi nie chodzi. Opowiedziała pani znakomicie i tylko jeszcze pragnąłbym usłyszeć nazwiska osób, o których pani wspominała.

— To pan sobie może od razu wybić z głowy — oświadczyłam stanowczo. — Nie wymienię nazwiska ani jednej osoby, która mi cokolwiek powierzyła w zaufaniu albo zdradziła przez niedopatrzenie. Nie zmusi mnie pan do tego nawet średniowiecznymi torturami. Raczej zgniję w kazamatach!

— Niechże mnie pani zrozumie. Nikt nie będzie wyciągał żadnych konsekwencji w stosunku do tych ludzi, ale przecież musimy zbadać ich powiązania, kontakty, musimy wiedzieć, co robią, jak postępują, co myślą...

— Guzik, proszę pana. Z pętelką. Ja tych ludzi znam i wiem, że są praworządni. Niech się pan nie fatyguje, bo nic panu z tego nie przyjdzie.

Pan popatrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

— I nigdy się pani nie myli co do tej praworządności swoich znajomych?

— Nie... — powiedziałam i zamilkłam. Trzeba przyznać, że celnie trafił!

— No widzi pani? Co my wszyscy wiemy o naszych znajomych? Niech pani pomyśli, jakie tragiczne konsekwencje może mieć niewłaściwie umieszczone zaufanie.

— Właśnie — powiedziałam z goryczą. — Na przykład zaufanie do mnie.

Pan zza biurka spoważniał.

— Daję pani moje prywatne słowo honoru, że nikt z tych ludzi nie odczuje na sobie nawet cienia podejrzenia, jeśli istotnie nie miał nic wspólnego z antypaństwową działalnością. Tylko o to mi chodzi. Poza tym nie interesuje mnie żadne zdradzanie tajemnic służbowych, nie interesuje mnie lekkomyślność nie interesuje mnie nic, poza ewentualnym udziałem w tej jednej aferze.

Zawahałam się. Wyglądało na to, że miał rację, a poza tym nie można nie wierzyć słowu honoru. W popełnianiu pomyłek, jak widać, jestem szczególnie utalentowana...

— Dobrze — powiedziałam smutnie. — Powiem panu. Gdyby nie to, że istotnie przez długi czas wierzyłam w praworządność mojego tajemniczego nieznanego, i gdyby nie to, że się tak fatalnie rąbnęłam, może pan być pewien, że dzikimi wołami nie wyciągnąłby pan ze mnie ani jednego słowa.

Wyrecytowałam mu długie fragmenty książki telefonicznej pełna uczuć bardzo nieprzyjemnych. Skończyłam i spytałam:

— No i co?

— No i nic. Sądzę, że teraz będzie pani chciała wrócić do domu. Proszę bardzo, może pani to uczynić bez przeszkód.

— Ale co pan, w duchy pan wierzy? Pan myśli, że ja stąd wyjdę bez żadnych informacji od pana? Prędzej wrosnę w to krzesło, zapuszczę korzenie i zakwitnę!

— Co pani chce ode mnie usłyszeć? — powiedział, uśmiechając się już wyraźnie.

— Wszystko o tym człowieku! Kim jest, jak się nazywa, gdzie mieszka, nie dość na tym, ja go chcę zobaczyć!

— Domaga się pani ode mnie rzeczy niemożliwych. Afera jeszcze nie jest skończona, główny bohater przebywa na wolności i nikt nie ma prawa znać jego nazwiska. A tym bardziej pani, sama pani przyznaje, że nie wiadomo, czego się można po pani spodziewać. Może pani zaręczyć, że poznawszy jego dane personalne, nie uczyni pani absolutnie nic?

Zastanowiłam się. Nie, nie mogłam zaręczyć. Przeciwnie, mogłam zaręczyć, że popełnię następne szaleństwo.

— Jedyne, czym mogę pani służyć, to nazwiska osób jak najbardziej praworządnych, które pracowały dla dobra umiłowanego kraju, z głównymmacherem na czele. Już je pani zresztą słyszała.

— Częściowo... Na diabła mi te nazwiska?

— To bardzo sympatyczni ludzie. Jak się to wszystko skończy, to będzie pani mogła ich poznać.

— Nie chcę. Kicham na nich...

— A oprócz tego mogę pani jeszcze doradzić, żeby pani może zmieniła obiekt zainteresowań... Klin klinem!

Aż podskoczyłam na krześle.

— Czy mam rozumieć, że mi pan czyni awanse? — spytałam z jadowitą uprzejmością. — Cóż, muszę przyznać, że nawet jest pan w moim typie...

— Na litość boską, ja jestem żonaty!... Bardzo panią przepraszam, ale ja myślałem o którymś z tamtych panów. Niektórzy z nich są wolni i doprawdy warci zajęcia. Proszę, przy wolnych mogę pani postawić krzyżyki.

Przyjrzałam się niechętnie kilku nazwiskom.

— Mam wrażenie, że już gdzieś widziałam to miano — powiedziałam w zamyśleniu. — To ten główny, prawda? Ale może mi się wydaje. Raczy pan już skończyć te krwawe dowcipy, przyzwolita instytucja nie powinna się naigrawać z doprowadzonych. Kiedy się dowiem od pana tej upragnionej reszty?

— Jak tylko pani najdroższy wróg znajdzie się za kratkami. Zadzwonię do pani. — i po chwili dodał półgłosem: — Jeśli to jeszcze będzie potrzebne...

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że robi pan ze mnie balona dużej klasy — powiedziałam ponuro i wstałam z krzesła. — Nie wiem, czemu mam to przypisać. Sadyzm zapewne, nic innego... Do widzenia panu. Nie życzę panu spotkania ze mną, jeżeli pan nie dotrzyma słowa.

— O konieczności zachowania milczenia nie muszę pani chyba wspominać?

— Nie musi pan. Grób to mięta w porównaniu ze mną. Cześć pracy...

Wróciłam do domu tylko dlatego, że to było jedyne miejsce, do którego mogłam wrócić i do którego trafiłam zupełnie automatycznie. Koniec świata nastąpił. Nie było co ukrywać: przegrałam piękną, fascynującą grę...

O, genialna duszo ukochanej przyjaciółki! Przysięgam, że już nigdy w życiu nie zlekceważę twoich ostrzeżeń!...

Dzień po dniu i godzina po godzinie tłumaczyłam sobie, że powinnam być zadowolona. Okropnie zadowolona. Wręcz niesłychanie zadowolona! Wykryłam potężną tajemnicę, zrobiłam zamieszanie, nawet jak na mnie, nadzwyczajne, człowieka, którego nienawidzę, spotka klęska... Czegóż więcej mogłabym sobie życzyć?

Nic nie pomagało. Na dnię głupiego serca ciągle tkwił mi niezrozumiały, gryzący, cichy żal.

Co z tego, że zadzwonił telefon i że odezwał się w nim upragniony niegdyś głos:

— Joanna? Tu Janusz...

— Jak się masz — powiedziałam, ze zdziwieniem stwierdzając, że nie dostrzegam u siebie wybuchu radości.

— Chciałem się dowiedzieć, jak stoisz z samopoczuciem. Ostatnio wydawałaś mi się trochę nieswoja...

Nieswoja!... Dobry Boże, nieswoja!... Istotnie, właściwe słowo na określenie mojego stanu w owej koszarnej scenie w hotelu. Nieswoja...

Co z tego, że znów siedziałam w publicznym lokalu i patrzyłam w niebieskie oczy w opalonej twarzy, które uśmiechały się do mnie? Co z tego, że pani z mało intelektualnym głosem przestała się ciągnąć?

Tańczyłam cudownego, angielskiego walca i ta niewzruszona przyjaźń ze mną jakoś nie wydawała się taka zupełnie bezpłciowa...! Co z tego?

Na dnie beznadziejnie głupiego serca został mi cichy, idiotyczny żal...

Zdenerwowało mnie to wszystko do ostateczności, więc zrobiłam pranie. Żeby się bardziej zmęczyć, płukałam je w wannie, a nie w pralce, i istotnie, osiągnęłam pożądaną cel, bo dzięki sprzątacze od wieków wyręczającej mnie w gospodarskich czynnościach odwykłam od nich całkowicie. Wytarłam pralkę, rozwiesiłam mokre szmaty w kuchni na sznurkach i usiadłam na tapczanie, żeby z czystym sumieniem odpocząć. Zapaliłam papierosa i oparłam się o poduszki.

Świeciła moja nastrojowa lampka i radio brzęczało tak rzewnie, że aż się niedobrze robiło. Nic mi jakoś to pranie nie pomogło. Na ciele mnie wykończyło, ale dusza pozostała nietknięta.

Zadzwoił telefon. Smutnie, niechętnie, beznadziejnie podniosłam słuchawkę. Co mnie teraz telefony obchodzą?...

— Słucham.

— Dobry wieczór...

Milczałam przez długą chwilę, od stóp do głów wypełniona dźwiękiem tego niskiego, aksamitnego głosu.

— Dobry wieczór — powiedziałam w absolutnym oszołomieniu.

— No i co?

To mnie ogłupiło ostatecznie. To ja mam wiedzieć „no i co”?! Nic nie rozumiem, nie wie, że ja wiem, czy udaje, że nie wie? Co to znaczy?!

Poczułam nagły przyływ nieufności.

— To chyba ja powinnam zadać takie pytanie? — powiedziałam ostrożnie.

— Dlaczego? Pytam, kiedy możemy się zobaczyć? O ile sobie przypominasz, miałem ci wyjaśnić pewne rzeczy. Właśnie nadeszła odpowiednia chwila.

— Obawiam się, że niewiele jest już rzeczy, które musisz mi wyjaśniać — powiedziałam smutnie. — Ale skoro chcesz, to proszę cię bardzo. Chętnie posłucham.

— Czy można wobec tego przyjechać do ciebie, powiedzmy, za pół godziny?

Opanowały mnie najgorsze przecucia. Wie, że mieszkam sama, pora jest późna, liczy na moją lekkomyślność, po co chce przyjechać? Niewątpliwie po to, żeby mnie usunąć z tego padolu.

Na moją lekkomyślność można było liczyć bezbłędnie. Nie byłabym sobą, gdybym się nie naraziła na niebezpieczeństwo z okrzykami radości i szczęścia. Natychmiast weszłam do gry!

— Proszę cię bardzo — powiedziałam uprzejmie. — To będzie nawet z zachowaniem tradycji, na sznurkach u mnie wisi pranie. Czekam...

W pół godziny potem zadzwieczał dzwonek u drzwi. Otworzyłam i wpuściłam go do przedpokoju.

— Wiem, po co przyszedłeś — powiedziałam. — W zasadzie nie mam nic przeciwko twoim zamiarom. Zginać z ręki tak interesującego mężczyzny?... Sam cymes! Mam nadzieję, że zgodzisz się dokonać tego morderstwa w pokoju?

— Gdzie sobie tylko życzysz...

Weszłam do pokoju i zapaliłam górne światło.

— Pozwolisz, że cię przed śmiercią przynajmniej dokładnie obejrzę? Żebym na tamtym świecie nie popełniła następnej pomyłki... Usiądź, za wysoki jesteś do oglądania na stojąco.

Usiadł w fotelu bez sprzeciwu i patrzył na mnie z tym lekko kpiącym i tak bardzo sympatycznym uśmiechem. Miał na sobie szarą marynarkę ze skórzanym kołnierzykiem, białą koszulę i bardzo ładny krawat. I cóż tu ukrywać, był jednak naprawdę nieprzeciętnie przystojny! Chociaż kompletnie nie w moim typie... Z determinacją pomyślałam sobie, że

śmierć w tych okolicznościach będzie na pewno najbardziej romantyczna ze wszystkich możliwych.

— No i jak? — powiedział. — Przyjrzałaś się? To może zgaś ten jupiter pod sufitem, bo się czuję jak aktor na planie.

Zgasiałam i usiadłam na fotelu naprzeciwko niego. Byłam zbyt oszołomiona sytuacją, żeby powiedzieć coś sensownego.

— Jesteś o wiele ładniejsza, niż mi się zdawało — powiedział uśmiechając się. — Dobrze, że tego wcześniej nie wiedziałem.

— Dlaczego?

— Popęłniłbym następne głupstwo, bo pewnie bym nie wytrzymał, żeby cię nie zobaczyć. Musisz tak sztywno siedzieć?

— Usiłuję być godna w ostatnich chwilach życia — odparłam z gniewem. — Chcesz herbaty?

— A owszem, chętnie się napiję.

Robiąc herbatę wyobrażałam sobie szybko, jak by to było pięknie, gdybym tak miała w domu jakąś z opóźnieniem działającą truciznę. Ukatrupiłby mnie, a potem sam by także kofnął przy moich włoskach... Nic z tego, nie da się przecież otruć trójchlorkiem etylenu...

Ustawiłam na stole herbatę, popielniczkę, papierosy i usiadłam na tapczanie. Oparłam się o poduszki i spojrzałam na niego.

— To ty czytałeś logatomy, prawda? — spytałam nieoczekiwanie dla siebie samej.

— Ja. Przeważnie. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Proszę o wyjaśnienia w porządku chronologicznym. Dlaczego mnie napuściłeś na niewinnego człowieka?

— Znałem go z widzenia. Wiedziałem, że jesteśmy do siebie podobni i że przypadkowo mamy takie same psy. Brałem pod uwagę twoje poszukiwania i, Joanno, wybac mi to. Musiałem cię jakoś przystopować...

— Wiedziałeś, że macie identyczne głosy?

— Wiedziałem. W naturze różnica jest słyszalna, ale z taśmy rzeczywiście brzmią identycznie. To mi właśnie podsunęło myśl, żeby go wykorzystać...

— Dziękuję ci bardzo za tę przednią myśl...

— Miałem nadzieję, że ci te poszukiwania zajmą więcej czasu. Nie doceniłem cię.

— Dalej proszę. Kluczowa scena programu...

— Powinnaś się już chyba domyślić, jakiego rodzaju było moje niedopatrzenie — powiedział z westchnieniem. Milczał chwilę, a potem mówił dalej tym swoim miękkim, niskim, urzekającym głosem. Słuchałam bez zdziwienia, bo właściwie istotnie już się tego domyślałam. Wojskowy człowiek rzucał trafne przypuszczenia. Można nie tylko zapomnieć klucza od szafy pancernej, można go także przez pomyłkę zabrać ze sobą...

— ...Usiłowałem złapać telefonicznie od ciebie faceta, który miał drugi komplet, ale go nie zastałem. Wyłącznie ze zdenerwowania podałem twój numer telefonu. Ten idiota, który ze mną rozmawiał, zapisał go w niewłaściwym miejscu i stąd się wzięła ta potworna pomyłka...

— Nie wiedziałeś o niej?

— Nikt nie wiedział. Nikomu podobna bzdura nawet nie mogła przyjść do głowy. Gdybyś była przynajmniej jakoś inaczej odpowiadała! Wprowadzałaś w błąd wszystkich rozmówców w sposób wręcz genialny, można ci pogratulować talentu do robienia zamieszania.

To prawda, miał rację. Miał też przy tym nieco strapiony wyraz twarzy, który razem z uśmiechem jeszcze bardziej go wyprzystojniał. W duszy kotłowały mi się jakieś przedziwne, niesłychanie skomplikowane uczucia, od uzewnętrznienia których powstrzymywało mnie głęboko wpajane w dzieciństwo poczucie taktu. Ostatecznie, zostałam przecież kiedyś dobrze wychowana, nie potrafię teraz wspomnieć o jego przestępczej działalności i o losie, jaki go czeka. Trefny temat, który trzeba pomijać milczeniem...

— Dlaczego to miało taką głupią nazwę? — spytałam. — Szkorbut... Żeby mnie przyprawić o pomieszanie zmysłów?

— Po prostu to było pierwsze słowo, użyte jako sygnał wywoławczy, i tak już jakoś zostało?..

Przyglądałam mu się, z wysiłkiem usiłując rozwikłać te skomplikowane uczucia w duszy. Dlaczego ja się tak dobrze czuję w towarzystwie tego człowieka? Zdumiewające, przecież to bandyta, który mnie zaraz zamorduje. Ja chyba rzeczywiście jestem nienormalna... Ostatnie chwile życia... Chyba ostatnie chwile życia ma się prawo spędzać w sposób dowolny? Nawet jeśli okażę teraz brak patriotyzmu, to żadnej szkody z tego nie będzie. Jaka szkoda, mój Boże, jaka szkoda... Co przeżyjemy, to nasze!...

— Czy ja mogę usiąść jakoś mniej oficjalnie? — spytał nagle, ciągle z tym swoim denerwującym uśmiechem, który go stanowczo za bardzo wyprzystojniał.

— Proszę cię bardzo — odparłam w roztargnieniu, bo byłam zajęta rozstrzygnięciem nadzwyczaj ważnych rzeczy. Na to on wstał z fotela i usiadł obok mnie, na tapczanie...

Radio grało znów przeraźliwie rzewnie i ta idiotyczna lampka tak okropnie nastrojowo świeciła. Niskim, aksamitnym, urzekająco pięknym głosem zaczął mówić różne rzeczy.

Różne prześliczne rzeczy, nie mające nic wspólnego z prawdą...

„Kłam dalej — myślałam sobie. — Kłam dalej tym cudownym głosem. Niech ja mogę przed samą sobą choć przez chwilę udawać, że w to wszystko wierzę...”

A potem pomyślałam sobie, że cokolwiek teraz zrobi, to ja nie jestem w stanie protestować. Może mnie udusić albo wręcz przeciwnie... Widocznie przeczuł to w przyływie jasnowidzenia. W którejś z następnych chwil przechylił się przez tapczan i wyłączył lampkę. Tym razem to on wyłączył lampkę...

Otworzyłam oczy i spojrzałam. W mroku widziałam jego uśmiech.

— Teraz powinieneś się zerwać z okrzykiem przerażenia...

— Nie zerwę się — powiedział cicho. — Teraz się może nawet świat zawalić...

Znajomy zapach wody kolońskiej nie nasuwał mi na myśl żadnych zbędnych skojarzeń. Oj, w ogóle nie przesadzajmy z tym myśleniem!...

— Piąta — powiedział spojrzawszy na zegarek. — Muszę już iść...

Nie pytałam, dlaczego musi iść o takiej dziwnej porze. Nie interesowała mnie także ewentualność mojego śmiertelnego zejścia. Są takie chwile, dla których warto się było urodzić i dla których warto umrzeć.

— Zrób to jakoś szybko i bezboleśnie — powiedziałam z westchnieniem w chwili, kiedy wiązał krawat.

— Co mam zrobić bezboleśnie? — spytał zaskoczony, odwracając się do mnie.

— Zabić mnie...

— Ach prawda! Zupełnie zapomniałem ci się przedstawić. Przy pięknej dziewczynie człowiek kompletnie traci głowę...

Wyjął z kieszeni marynarki portfel, z portfelu dowód i podał mi go.

— Masz — powiedział. — Poczytaj sobie, nie mam już czasu recytować ci moich personaliów. Pozwolisz, że przez ten czas włożę płaszcz.

Powoli otworzyłam dowód i zajrzałam do środka. I wtedy strzelił we mnie grom z jasnego nieba!

Wszystko naraz stało się dla mnie zrozumiałe, i to, skąd znałam nazwisko tego głównego machera od wynalazku, i dziwny uśmiech pana, który stawiał krzyżyki przy nazwiskach wolnych, praworządnych osobników, i to, że jeszcze żyję... Trzech Januszów na liście lokatorów... Nigdy, absolutnie nigdy w życiu nie uwierzę, że kiedykolwiek posiadałam zdrowe zmysły i odrobinę inteligencji!...

— Przeczytałaś? To daj, zaczynam się bardzo śpieszyć... Powoli zasunęłam za nim zasuwę i nagle runęłam na balkon.

— Dlaczego, do diabła, mówiłeś, że jesteś handlowcem?! — wrzasnęłam z trzeciego piętra.

Zatrzymał się przy drzwiczkach szarego forda, spojrzął w górę i odkrzyknął:

— Bo mam wykształcenie handlowe! Wydział łączności skończyłem dopiero potem!...

Był wieczór. Przez cały dzień usiłowałam robić coś pożytecznego, ale nie bardzo wiedziałam, co, i jakoś mi to nie wychodziło. W pracy zrobiłam przekrój budynku, który miał dwie różne skale i o jedno piętro za mało. W drodze do domu dojechałam pośpiesznym autobusem do Dworca Południowego i wysiadłam tylko dlatego, że to był koniec trasy, na co mi konduktor zwrócił uwagę. Do własnego mieszkania trafiłam chyba tylko siłą przyzwyczajenia...

Od stóp do głów przepełniało mnie mnóstwo myśli, całkowicie ze sobą nawzajem sprzecznych i gruntownie pozbawionych sensu. Wyglupiłam się gigantycznie, doprawdy, bardziej już nie mogłam. Okazałam całkowity brak poczucia moralności, ostatecznie widziałam tego człowieka po raz trzeci w życiu. Nie dość na tym, pozwoliłam sobie na to nietaktowne zapomnienie z wrogiem ojczyzny, ze szpiegiem! On przecież wiedział, co ja myślę! Mogę sobie wyobrazić, jakie jest teraz jego mniemanie o mnie!

Więcej go na oczy nie zobaczę... No to co mnie to obchodzi, właśnie że będę miewać sporadyczne fanaberie, bo mi się tak podoba. Nienawidzę go. Oczywiście, że go nienawidzę, wszystkich nienawidzę! Miałam się na nim zemścić, bardzo dobrze, nie życzę sobie więcej go widzieć na oczy, nawet gdyby mnie o to błagał na kolanach! Nie ma obawy, nie będzie mnie błagał...

Kicham na to, co o mnie myśli. Właśnie że będę przez całe życie robiła, co mi się podoba, i koniec! I poniosę konsekwencje własnych czynów. Takie rzeczy traktuje się przygodowo, lekko przyszło, lekko poszło... Na pewno potraktował to tak samo jak ja: oryginalne zakończenie oryginalnie zawartej znajomości. O Boże, jak ja go potwornie nienawidzę!...

Umyłam pół wanny, rezygnując nagle, nie wiadomo dlaczego, z umycia drugiej połowy. Poszłam do kuchni i stłukłam szklankę. Włączyłam żelazko z zamiarem uprasowania wczorajszego prania i przypomniałam sobie o nim w momencie, kiedy olejna farba szafki zaczęła już dobrze skwierczeć. Wyłączyłam je, zapomniawszy, że zamierzałam prasować. Zaczęłam podlewać kwiatki i już przy pierwszym nie zauważyłam, że woda dawno wyciekła przez doniczkę, przez podstawkę i leje się na podłogę...

Dopiero kiedy zadzwonił telefon, pojęłam, z jakimi uczuciami na ten dźwięk czekałam. Nie podniosłam słuchawki od razu, musiałam jeszcze odczekać, aż mi serce przestanie tak okropnie bić. „Kompletna idiotka — pomyślałam niechętnie. — To na pewno nie on”.

Nabrałam oddechu i podniosłam słuchawkę.

— Słucham...

— Dobry wieczór, kochanie... — powiedział niski, miękki, urzekający głos. Najpiękniejszy głos na świecie...

Asystowałam przy kręceniu filmu, na co Batory pozwolił mi pod warunkiem, że nie będę się wtrącać. Warunek spełniłam, słowem się prawie nie odezwałam, przyglądałam się tylko z wielkim zainteresowaniem, co z tego wszystkiego wyniknie. Różne komediowe pomysły Batorego wyskakiwały w trakcie zdjęć, szacowałam je wysoko, pogodziwszy się już, że z moją książką nie mają nic wspólnego. Taki nowofundlandczyk na przykład, przemieniony w ratlerka, niby drobiazg, ale cała ekipa wybuchnęła śmiechem. Upewniłam się ostatecznie, że o filmie decyduje reżyser.

Tak na marginesie, z okazji skorzystał mój syn, który też się przyglądał roziskrzonym okiem.

— Matka — powiedział na stronie z wielkim przejęciem. — Wejdę Łapickiemu na nogę, co?

— Zwariowałaś? Po co?!

— Wejdę, on powie do mnie „won, pętaku”, a ja będę się potem w szkole chwalił, że Łapicki ze mną rozmawiał...

Kilka fragmentów, nakręconych niepotrzebnie, wyleciało z taśmy przy montażu, l całe szczęście, bo pasowały jak pięść do nosa.

W jednym brałam udział osobisty, jako statystka, tak sobie, dla draki. Pomyślany był jako podkreślenie rozszalałego powodzenia pana z pokoju trzysta trzydzieści sześć i wchodził w skład wizji bohaterki. Wielka kupa dziewczuch siedziała w knajpie przy stolikach i wszystkie gapiły się na Glišńskiego omdlewającym wzrokiem. Byłam pomalowana jak należy, na pomarańczowo, nie wiem, czy piękna, bo nie widziałam rezultatów i Batory ustawicznie zwracał mi uwagę, że mam patrzeć miłośniczo i uwodzicielsko. Źle mi to patrzeć wychodziło, chociaż piętnaście lat wcześniej kochałam się w panu Gliškim śmiertelnie, bo byłam teraz za bardzo zainteresowana techniczną stroną imprezy i zapomniałam, że mam z siebie wyduszać uczucia. Batory mnie skrytykował i stanowczo oświadczył, że nie nadaję się na gwiazdę, a cała scena okazała się pozbawiona sensu i od razu została usunięta.

Drugi fragment wyrzucono dopiero po kolaudacji i też słusznie. Kalina Jędrusik, w srebrnej sukni i cała zrobiona na błyszcząco, śpiewała jakąś piosenkę dla wiwatujących tłumów. To z kolei miało obrazować wybujałą wyobraźnię bohaterki i jej nieopanowane pragnienie wzbudzenia podziwu w opornym amancie. Wyszło ni przypiął ni wypiął i gryzło się z filmem nieznośnie. Nakręcono, bo Kalina się upierała, ale szczęśliwie bez dalszych złych skutków, sama uznała, że nie pasuje i z furory zrezygnowała dobrowolnie. Być może, pewien wpływ miał na to fakt, że to świecące bardzo ją postarzało i odbierało urodę.

Montaż, na moje prywatne oko, nie stanął na wysokości zadania. Można było lepiej. Od montażysty zależy mnóstwo, a „Lekarstwo na miłość” jest trochę rąbane. Wiem, co było w scenariuszu, czytałam scenopis, widziałam kręcenie i autorytatywnie stwierdzam, że montaż wykonano drętwo, niedostatecznie eksponując to co trzeba i nietrafnie ucinając, albo przedłużając sceny. Na ten temat też nie miałam nic do gadania, a rezultaty działania montażysty ujrzałam dopiero po zakończeniu całej roboty, na kolaudacji.

Jeśli zatem ktoś sobie wyobraża, że na ekranie ujrzy „Klina” we własnej postaci, niech się czym prędzej pozbędzie tych złudzeń. Już sam komentarz powinien wydawać się niezrozumiały, bo książka sobie, a film sobie. Żeby chociaż trochę rozjaśnić sprawę, powiem w czym rzecz.

Bohaterka istnieje, pokazuje się już w czołówce i od samego początku przeżywa udręki sercowe. Pomyłek telefonicznych ma skolko ugodno. Równocześnie, też prawie od początku, pojawia się szajka przestępcza, operująca hasłem nie „Szkorbut”, tylko „Honorata”, szkoda, „Szkorbut” brzmi bardziej tajemniczo. Szajka fałszuje pieniądze i to również staje się wiadome od razu, fałszywe zaś wymieniają na prawdziwe metodą fingowania napadów. Rąbnął facet walizkę z forszą, za rogiem szybko zamienił na drugą, pozwolił się dogonić i porzucił zdobycz. Nikt już za nim nie leci, bo łup odzyskano, a że fałszywy, na razie nie widać.

Tajemniczy osobnik z telefonu składa bohaterce wizytę o północy, owszem, to się zgadza. Psa posiada. Pomyłki telefoniczne szaleją i wreszcie Kalina Jędrusik zaczyna odpowiadać jak trzeba, podszywając się pod Centralę z Honoratą i paskudząc przestępcom robotę. Nic się jeszcze nie zazębia, kryminał swoje, a uczucia swoje, aż osobnik z telefonu składa drugą wizytę i dzięki kolejnej pomyłce sieci łączności, zamiast uprawiać amory, wybiega w

przyśpieszonym tempie. Wówczas zdenerwowana Kalina Jędrusik zaczyna sobie kojarzyć i we dwie z przyjaciółką ruszają na poszukiwania.

Jak widać, coś tam jednak z książki ocalało, przynajmniej do tego miejsca. Dalej robi się już zupełnie co innego, bohaterka i jej telefoniczny pocieszyciel nie kłócą się wcale, koegzystują na bazie wzajemnego podrywania, za to szajka dokonuje odkrycia, że bruździ obca osoba. Kalina Jędrusik i Krystyna Sienkiewicz szukają Łapickiego, a szajka szuka Kaliny Jędrusik, żeby ją unieszkodliwić. Tajemniczy szef złoczyńców majaczy na horyzoncie, podejrzenia przyjaciółek grupują się na Łapickim, szajka dopada Kaliny i porywa ją nieudolnie, milicja dopada szajki, Łapicki okazuje się kapitanem MO, zaś pan z pokoju trzysta trzydzieści sześć, czyli Wieńczysław Gliński, owym mitycznym szefem.

Z tym ostatnim punktem programu najtrudniej mi było się pogodzić, czemu dałam wyraz, ale tu Batory uparł się dziko. Czymś ten pan musiał być, inaczej w ogóle byłby niepotrzebny. Niepotrzebny, ha, ha! Wszystkie nieszczęścia sercowe przez niego i niepotrzebny...! Bez pana z pokoju trzysta trzydzieści sześć w ogóle nie byłoby akcji, ale możliwe, że Batory prezentował po prostu męski punkt widzenia...

Kilka drobnostek do dziś dnia pozostało dla mnie tajemnicą. Dlaczego, na przykład, to źródło zgryzoty bohaterki zostało przeniesione z hotelu Warszawa do Grandu, pojęcia nie mam. Co za różnica, w barku na Kruczej Kalina z Glińskim mogli się spotykać niezależnie od miejsca zamieszkania. Dlaczego Krystyna Sienkiewicz dzwoniła z Super Samu, a nie z Instytutu Spraw Międzynarodowych na Wareckiej? W Instytucie Spraw Międzynarodowych telefon u portiera naprawdę istniał i można było z niego korzystać, to nie, Batory wepchnął ją do Super Samu. Jak ta nieszczęsna Kalina Jędrusik miała zdążyć z Królewskiej...?

Przyczyn tych zmian nie znam i podejrzewam, że jest to właśnie ów sposób widzenia. Mówimy „hotel” i on widzi Grand, a ja hotel Warszawa. Reżyser pracuje oczami, te widoki muszą mieć straszliwą siłę i trwają w nim, bez względu na to, co wyobraża sobie autor.

Wielokrotnie byłam pytana, co myślę o filmie „Lekarstwo na miłość”. Bardzo dobrze myślę. Mojej synowej i mojej wnuczce ta komedia ogromnie się podobała...